
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji),
Mirosław Lewandowski, Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew
Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

Podsumowanie konferencji „Niepodległa 4.0”	9
Josepf Conrad Literature Award dla Bohdana Urbankowskiego	12
Pokaz filmu <i>Marsze Niepodległości</i>	16
Posiedzenie Rady do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych	19
Święto Niepodległości	21
Koncert „Polska – Zasłużonym dla Ojczyzny”	23
DR JERZY BUKOWSKI	
Okiem filozofa spod kopca Piłsudskiego	29
DR DARIUSZ MACIEJ GRABOWSKI	
O ekonomii i nie tylko... ..	33
ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI	
SB, milicja, wojsko, prokuratury, sądy, urzędy PRL kontra Andrzej Rozpłochowski	55
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Czy filozofia (polska) może wybić się na niepodległość?	79
„DROGA”	
Reprint miesięcznika nr 5/1935. Po śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego	113
MARIA WOŁOSZCZUK-CZERNIAK	
Wspomnienia	148
STANISŁAW LIKIERNIK	
Diabelne szczęście czy palec Boży? Cz. III	162
KATARZYNA ŚNIADECKA	
„Nie cierpię fanatyzmu” – rozmowa z Marią Moczulską	213

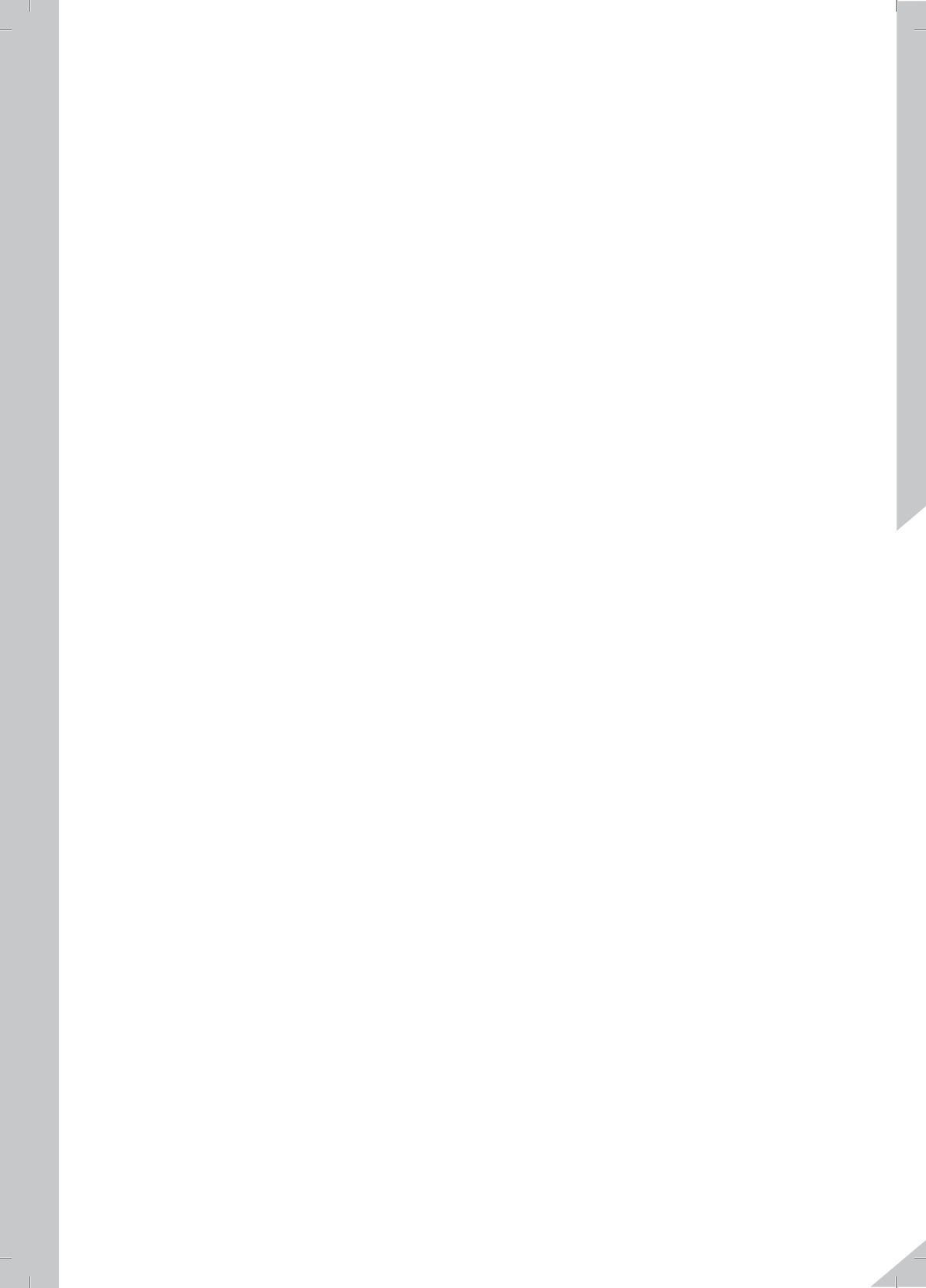
ŁUKASZ PERZYNA	
Dziecięca choroba Solidarności	227
MACIEJ SZUMOWSKI	
Rozmowa Macieja Szumowskiego z Romualdem Szeremietiewem z 1985 roku	237
DR ANDRZEJ ANUSZ	
W Polskim Londynie 1988 roku	285
DR ANDRZEJ ANUSZ	
„Żeby Polska była Polską” (1981–1989) – najmniejsze pismo drugiego obiegu (cz. 5) ...	314
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Rozmowy z wierszami	317
ŁUKASZ PERZYNA	
Polska w ruinie <i>printed in Czech Republic</i>	325
ELŻBIETA SŁOWIK	
Klucz do sprawy	331
WALDEMAR PERNACH	
Zygryd. Grzeszny urok życia. Dwa oblicza jednej gęby (cz. 3)	347

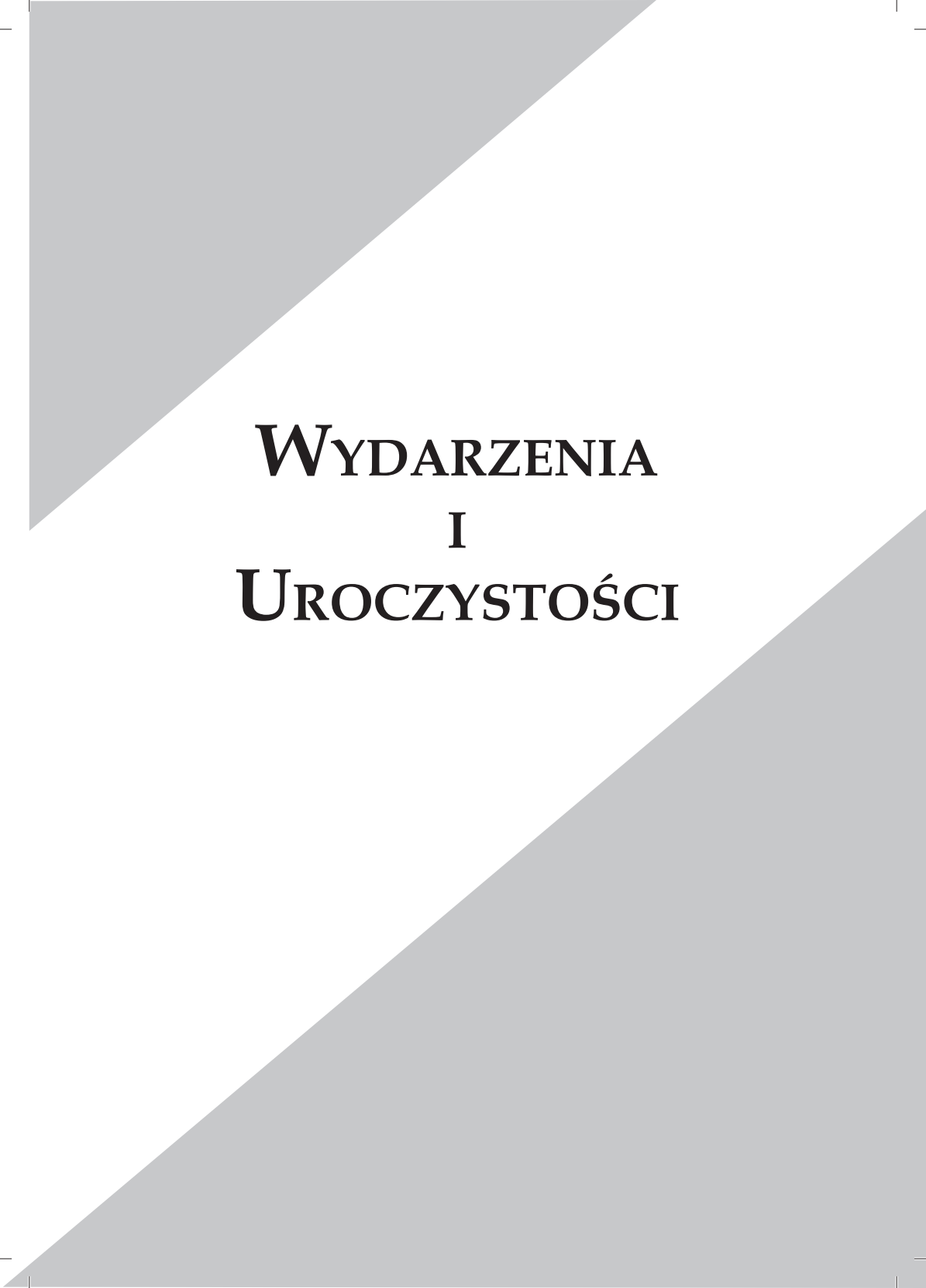


Wesołych Świąt

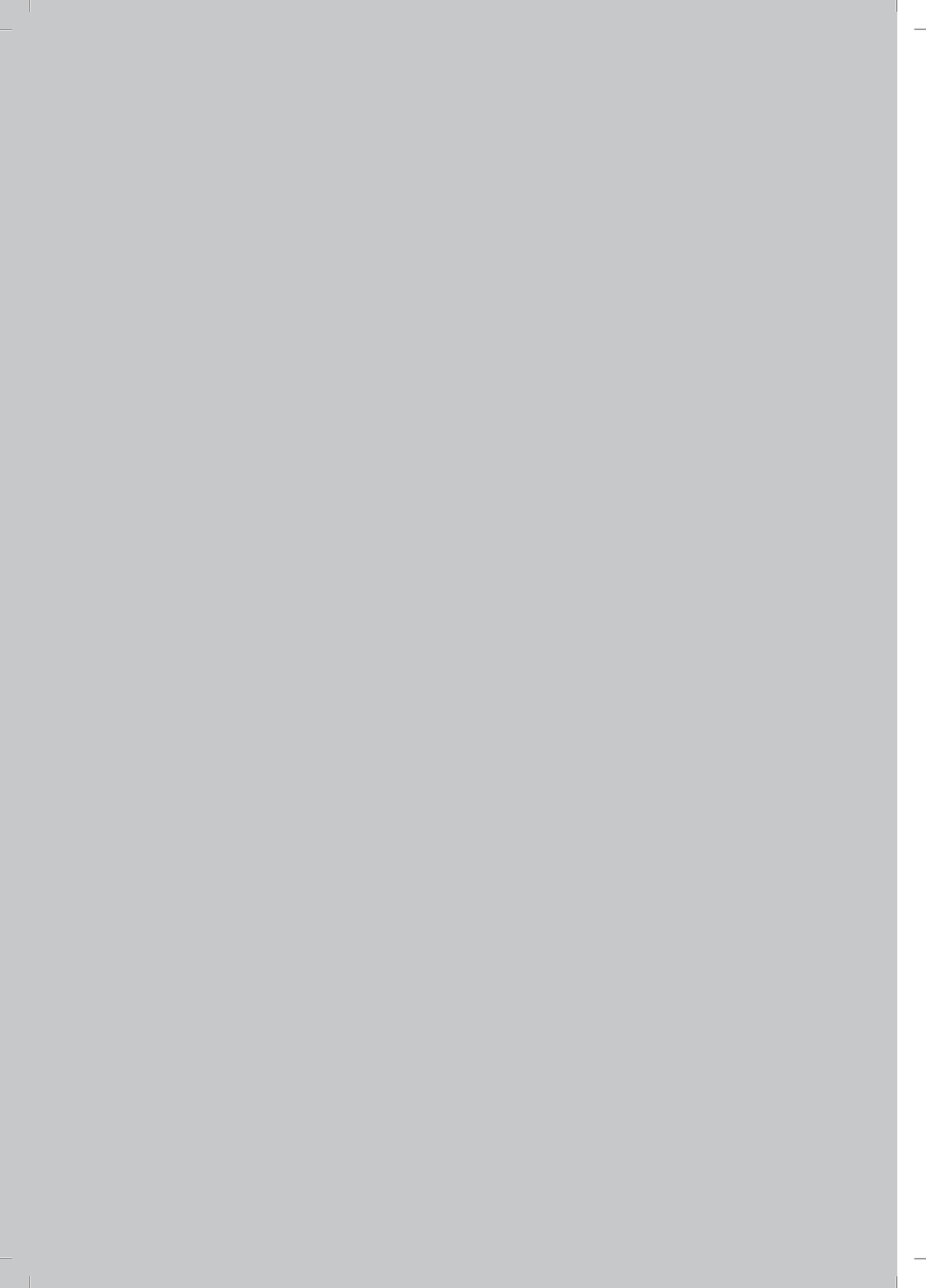
*Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia chcemy życzyć Państwu,
aby wszystkie chwile spędzone w rodzinnym gronie
były radosne i spokojne,
a każdy dzień Nowego Roku
był pełen szczęścia i nadziei.*

Redakcja





WYDARZENIA I UROCZYSTOŚCI



PODSUMOWANIE KONFERENCJI „NIEPODLEGŁA 4.0”

20 września 2018 roku w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej odbyła się *Niepodległa 4.0* – konferencja z okazji stulecia polskiej gospodarki. Spotkanie rozpoczęło wręczenie przez przedstawicieli władz Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – Mirosława Widlickiego, Grażynę Rudnik i Krzysztofa Lancmana, legitymacji członkowskiej związku prezesowi zarządu strefy Markowi Michalikowi.



Debatowano o stuleciu polskiej niepodległości, w tym osiągnięciach rodzimej gospodarki. Były wykłady i panele na temat przemian po 1918

roku, gospodarki sterowanej, współczesności i ekonomicznej przyszłości. Było przemówienie gościa specjalnego, działacza opozycji antykomunistycznej, Marszałka Seniora Sejmu VII kadencji Kornela Morawieckiego.



Była to też okazja spojrzenia w przyszłość, na przemysł 4.0, w kierunku internetu rzeczy, a nasza publiczność rzuciła startupom challenge.



PODSUMOWANIE KONFERENCJI NIEPODLEGŁA

Na sali byli nasi partnerzy biznesowi, przedstawiciele parlamentu, przedstawiciele Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoję Owsianego i innych organizacji oraz przede wszystkim młodzież z łódzkich liceów. Była też niepowtarzalna okazja obejrzenia prototypu bezzałogowego śmigłowca zaprojektowanego i zbudowanego w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 1 w Łodzi.

JOSEPH CONRAD LITERATURE AWARD DLA BOHDANA URBANKOWSKIEGO



Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku uhonorował dr **Bohdana Urbankowskiego**, odznaczając go medalem Joseph Conrad Literature Award.

Ceremonia wręczenia nagród odbyła się 12 października 2018 roku w Konsulacie Generalnym R.P w Nowym Jorku (w sercu Manhattanu, na słynnym Jan Karski Corner). Tegoroczna ceremonia wpisała się w 100-lecie odzyskania Niepodległości Polski. Instytut przyznał wyróżnienia osobom szczególnie zasłużonym dla polskiej kultury. I tak w gronie laureatów znaleźli się: kurator Alicja Winnicki (uhonorowana Marshal Józef Piłsudski

Leadership and Achievement Award), prof. Mariusz Wołos (Wacław Jędrzejewicz History Award), dr Bohdan Urbankowski (Joseph Conrad Literature Medal) oraz prof. Wacław Szybalski (Marie Skłodowska-Curie Science Medal). Ceremonię poprowadziła Iwona Korga, prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego, oraz Jolanta Szczepkowska, która przedstawiła sylwetki laureatów.



Rada Instytutu Piłsudskiego, doceniając pracę Bohdana Urbankowskiego, uhonorowała go za wybitne osiągnięcia w dziedzinie twórczości



literackiej i publicystycznej, szczególnie za prace poświęcone Marszałkowi. W gronie osób nagrodzonych Joseph Conrad Literature Award znaleźli się dotychczas pisarze: Ryszard Kapuściński (1997r.), Tad Szulc (1998r.), Andrzej Pomian (2000r.), Lynne Olson & Stanley Cloud (2009r.), a także redaktor naczelný kwartalnika historycznego „Karta” Zbigniew Gluza (2013r.) oraz dziennikarz i publicysta Tadeusz Płużański (2014r.). Bohdan Urbankowski nie mógł oso-



biście przylecieć do Nowego Jorku; w jego imieniu nagrodę odebrała córka, dr Hanna Urbankowska. Ceremonię rozdania nagród uświetnił występ tenora Piotra Buszewskiego, któremu akompaniował pianista Michał Biel. W programie znalazły się liryki lozańskie Adama Mickiewicza, wybór pieśni legionowych i utwory Jana Kiepury.

Instytut Józefa Piłsudskiego działa w Nowym Jorku od roku 1943. Wśród jego założycieli byli działacze polonijni:

Franciszek Januszewski, Maksymilian Węgrzynek i Lucjusz Kupferwaser oraz emigranci z Polski – ministrowie II Rzeczypospolitej: Wacław Jędrzejewicz (były minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego), Ignacy Matuszewski (były minister skarbu) i Henryk Floyar-Rajchman (były minister przemysłu i handlu). Od momentu powstania Instytut Józefa Piłsudskiego stanowi centrum badań nad polską kulturą i historią. Posiada ogromne zbiory archiwalne dotyczące Polski, bogatą bibliotekę, kolekcję rzeźb i obrazów artystów polskich, zbiorów pamiątkowych medali, mundurów, fotografii... Część z tych zbiorów została już zdigitalizowana i można je obejrzeć na internetowej stronie Instytutu: www.pilsudski.org.

Od dwóch lat siedziba Instytutu mieści się na Greenpoincie, w dzielnicy tradycyjnie zamieszkaniej przez nowojorską Polonię. Nie jest więc zaskoczeniem, że Instytut stanowi ważny ośrodek życia polonijnego. Organizowane są tu rozliczne spotkania, konferencje, promocje książek, projekcje filmów, lekcje historii dla młodzieży ze szkół polonijnych, warsztaty przedsięwzięte, imprezy dla dzieci.

W latach 90. Bohdan Urbankowski był stypendystą Instytutu Józefa Piłsudskiego. Dzięki studiom nad archiwami, mógł po powrocie do kraju rozwinąć wydaną wcześniej książkę o Piłsudskim z rozmiarów broszury do postaci grubego woluminu, później kilkakrotnie wznawianego. Swój pobyt w Ameryce Bohdan Urbankowski wspomniał w liście, odczytanym na Gali Nagród przez córkę dr Hannę Urbankowską:

„Kochani Rodacy!

– napisałem te dwa pierwsze słowa i pojąłem, że właściwie jest w nich już wszystko, co chciałem powiedzieć. Mieści się w nich i podziw dla Waszej pracy na obczyźnie i wdzięczność za udzieloną mi przed laty gościnę i pomoc.

Przed blisko trzydziestu laty byłem tu, w Nowym Jorku stypendystą Instytutu Józefa Piłsudskiego. Nie byłem kimś znanym, nawet w kraju – działałem przecież w podziemiu, miałem na swoim koncie trochę wierszy, artykułów i niezbyt grubą książkę o Józefie Piłsudskim wydaną w połowie w pierwszym, a w połowie w drugim obiegu. Dzięki Waszej pomocy, a zwłaszcza dzięki fachowej opiece profesora Wacława Jędrzejewicza, mogłem tę książkę przerobić i wzbogacić o nieznane mi wcześniej fakty.

Nie skłamię mówiąc, że ta książka jest naszym wspólnym dziełem, jest świadectwem podziwu dla Wielkiego Polaka, ale i świadectwem mojej wdzięczności dla Was.

Mówiąc: dziękuję za przyznaną mi nagrodę, mówię: dziękuję za pomoc przy mojej pracy, a w imieniu Polaków – za Waszą pracę tutaj”.

POKAZ FILMU *MARSZE NIEPODLEGŁOŚCI*

Kino „Moskwa” było pełne (ponad 400 osób!).



W dniu 18 października odbył się w Kielcach pokaz filmu Macieja Gawlikowskiego *Marsze Niepodległości*, zrealizowanego przez nasz Instytut. Przed projekcją odbyła się krótka dyskusja z udziałem Kielczan związanych z Marszami Szlakiem I Kompanii Kadrowej w latach 80. lub obecnie.

Wspominano okoliczności, w jakich w 1981 r. narodził się pomysł organizacji Marszu, opisywano atmosferę Marszów lat 80., nękanie

POKAZ FILMU „MARSZE NIEPODLEGŁOŚCI”



uczestników przez Służbę Bezpieczeństwa, pokreślono rolę sztafety pokoleń (od Legionistów przez żołnierzy AK – przy tej okazji szczególnie ciepło wspomniano Antoniego Hedę, „Szarego” – aż po lata 80. ub. wieku) i nawiązano do dzisiejszych Marszów (ich komendantami w XXI wieku są nieprzerwanie Kielczanie: Jan Kasprzyk – który niestety nie



POKAZ FILMU „MARSZE NIEPODLEGŁOŚCI”

mógł uczestniczyć w imprezie – oraz Dionizy Krawczyński – obecny na sali).

Wyrażona została nadzieja, że lokalna historia, związana m.in. z Kadrowką, znajdzie swoje odzwierciedlenie w programach edukacyjnych szkół na terenie województwa świętokrzyskiego. W spotkaniu udział wzięli przedstawiciele Instytutu Historycznego nn: Michał Janiszewski, Kazimierz Wilk i Krzysztof Lancman. Przypomnijmy, że film *Marsze Niepodległości* był współfinansowany przez: Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Miasto Kraków oraz Fundację PKO.

Fot. Łukasz Zarzycki

POSIEDZENIE RADY DO SPRAW DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ ORAZ OSÓB REPRESJONOWANYCH Z POWODÓW POLITYCZNYCH



Podczas posiedzenia Rada do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych przy Szefie Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w dniu 23 października 2018 roku, podjęła uchwałę w związku z 30. rocznicą obalenia komunizmu w Polsce.



Zgodnie z postanowieniami Uchwały, w drugiej połowie 2019 roku odbędzie się Zjazd Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych i zostanie połączony z obchodami Dnia Weterana. Będzie to doskonała okazja, by na uroczystościach spotkały się dwa pokolenia osób walczących o wolność i niepodległość Polski – Weterani Walk o Niepodległość RP i Działacze Opozycji Antykomunistycznej.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI

11 listopada 2018 roku ulicami Warszawy przeszedł 250, tysięczny marsz - manifestując radość z setnej rocznicy odzyskania przez Polskę Niepodległości.



Pod biało-czerwonymi barwami jest miejsce dla każdego. To nasza flaga, nigdy nie biała i już nigdy nie czerwona – mówił prezydent Andrzej Duda, rozpoczynając Biało-Czerwony Marsz z okazji Odzyskania Niepodległości „Dla Ciebie Polsko”. Prezydent dziękował uczestnikom, którzy przybyli na marsz „ze wszystkich stron Polski”. Wśród świętujących była liczna grupa członków Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Instytutu Józefa Piłsudskiego i Formacji Niepodległościowej.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI



KONCERT „POLSKA – ZASŁUŻONYM DLA OJCZYZNY”

12 listopada 2018 r. w Filharmonii Narodowej w Warszawie odbył się uroczysty koncert „Polska – Zasłużonym dla Ojczyzny” dedykowany tym wszystkim, którzy na przestrzeni dziejów walczyli, cierpieli i ginęli za Polskę. Przed rozpoczęciem części artystycznej Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk uhonorował medalem „Pro Patria” kombatantkę p. Zofię Gordon, działaczkę społeczną p. Agnieszkę Dzięgielewską oraz prezesa Polskiej Grupy Energetycznej S.A. p. Henryka Baranowskiego za zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość Ojczyzny.



Dziękujemy Wam za to, że walcząc o wolną Polskę nie myśleliście tylko o sobie i o swoim pokoleniu, ale za to, że myśleliście o nas, czyli o tych co przyjdą w następnych pokoleniach. Wasz trud walki o suwerenność służyć miał temu, aby przyszłe pokolenia mogły przejść przez życie nie w kajdanach niewoli, ale wolne. Za to Szanowni Państwo jesteśmy Wam dozgonnie wdzięczni i zobowiązani – tymi słowami Szef UdSKIOR Jan Józef Kasprzyk dziękował Weteranom Walk o Niepodległość za ich walkę i poświęcenie dla Ojczyzny.

Minister Kasprzyk wspominał również osobę premiera Ignacego Jana Paderewskiego, którego utwory zabrzmiały podczas poniedziałkowego koncertu - *Usłyszmy dzisiaj utwory jednego z Ojców naszej Niepodległości, Ignacego Jana Paderewskiego. Wybraliśmy ten repertuar w sposób oczywisty, bo jest to jeden z tych, który był wirtuozem nie tylko fortepianu, ale też wirtuozem ducha i idei, który był tym człowiekiem i politykiem, który potrafił poświęcić własną karierę dla dobra ogółu. Znana jest jego wypowiedź ze stycznia 1919 roku kiedy po triumfalnym przyjeździe do Poznania, co skutkowało wybuchem powstania wielkopolskiego, powiedział, że dla Niego jest jedno tylko stronnictwo, które jest najważniejsze. To stronnictwo nazywa się Polska. Myślę, że te słowa każdy z nas powinien powtarzać każdego dnia.*

Na uroczystość przybyli licznie nie tylko Bohaterowie tego wieczoru – Weterani walk o Niepodległość RP, Osoby Represjonowane oraz Działacze Opozycji Antykomunistycznej z rodzinami, w tym przedstawiciele Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, ale również przedstawiciele polskich władz państwowych – w tym wicemarszałek Senatu Maria Koc, minister pracy, rodziny i polityki społecznej Elżbieta Rafalska, minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz i poseł na Sejm RP Anita Czerwińska – by złożyć hołd tym wszystkim, którym zawdzięczamy Wolność. Koncert zorganizowany przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Fundację Cultura Memoriae w partnerstwie z PGE, IPN, MKiDN i Światowym Związkiem Żołnierzy AK Okręg Warszawa był objęty Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w Stulecie Odzyskania Niepodległości.

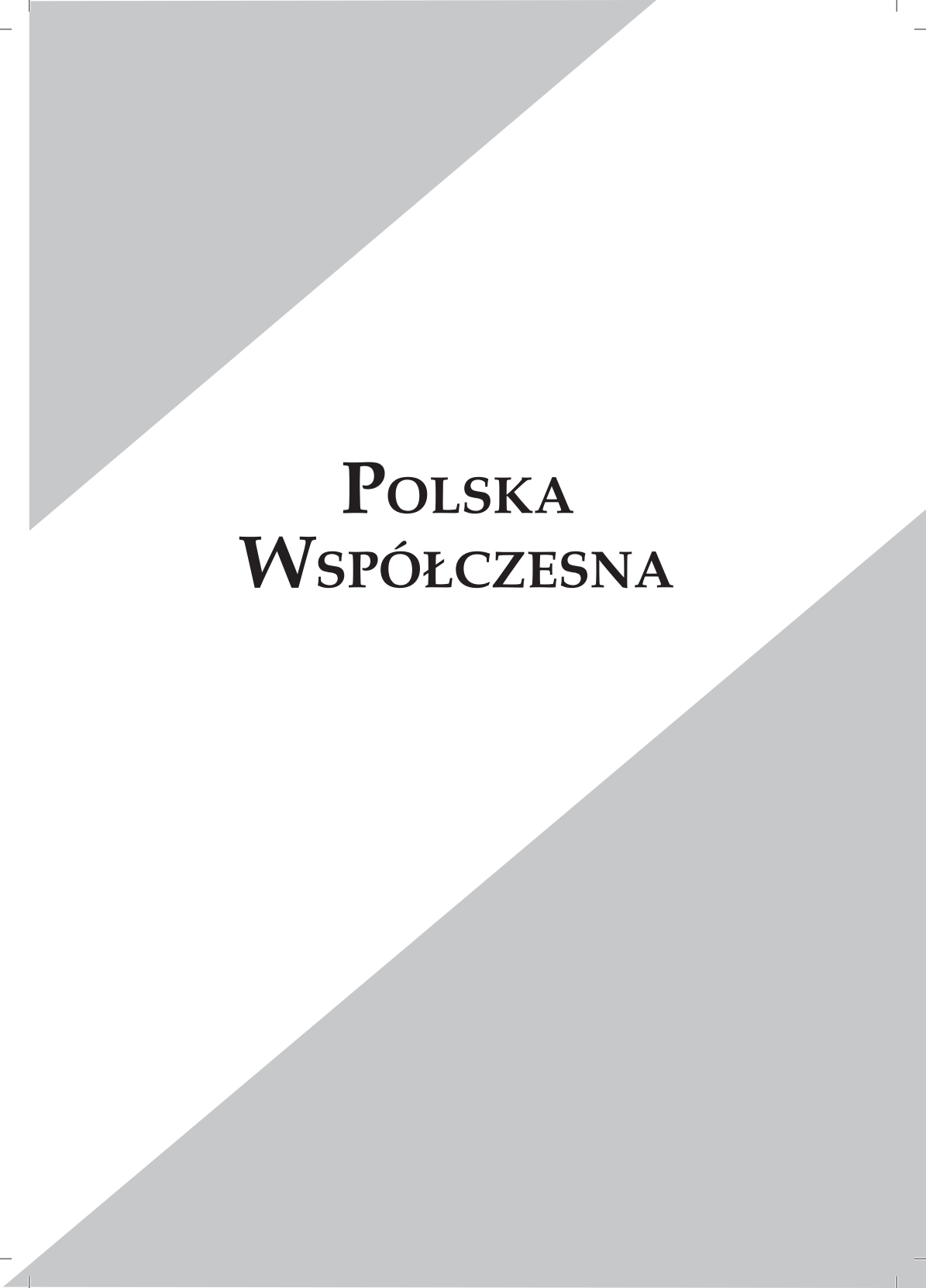
KONCERT „POLSKA – ZASŁUŻONYM DLA OJCZYZNY”



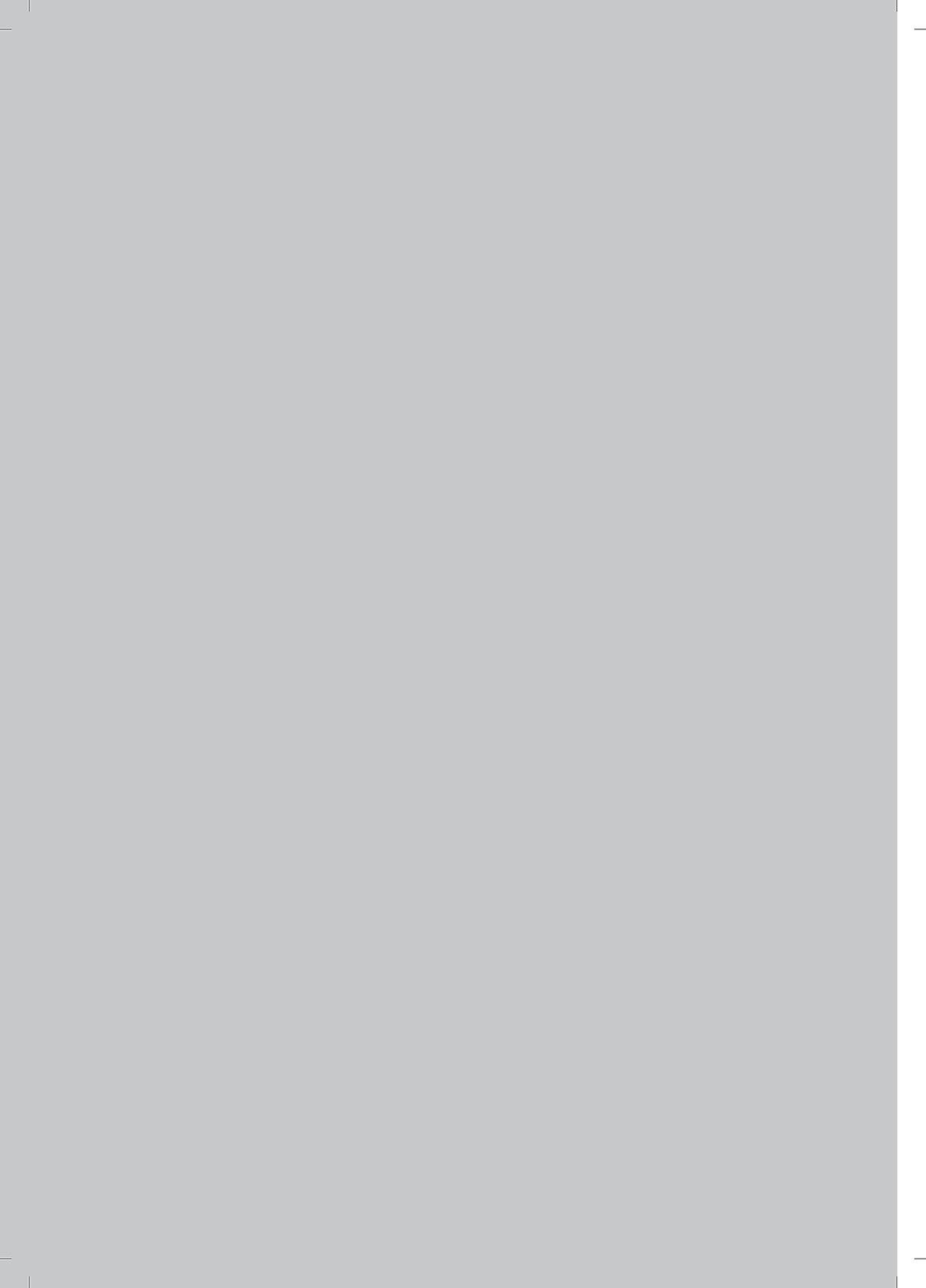
Koncert był również wyrazem szacunku dla Ignacego Paderewskiego, jako artysty i wybitnego człowieka, jednego z ojców naszej Niepodległości. Improwizacje na dwa fortepiany i wibrafon wykonał uznany pianista jazzowy i improwizator Artur Dutkiewicz, wirtuoz wibrafonu Karol Szymanowski i pianista klasyczny młodego pokolenia Michał Szymanowski. Podstawę do twórczej improwizacji stanowiły utwory Paderewskiego mające polski charakter, wykorzystujące ludowe korzenie, eksponujące śpiewność połączoną z rytmem ludowym.







POLSKA WSPÓŁCZESNA



OKIEM FILOZOFA SPOD KOPCA PIŁSUDSKIEGO

Zaśmiecanie stanu świeckiego

Ilekoć dowiaduję się, że jakiś kapłan został wydalony ze stanu duchownego za sprzeniewierzenie się swojemu powołaniu poprzez popełnienie niegodnych czynów, tylekoć przychodzi mi na myśl bon mot z czasów PRL.

Jego autor (niestety, nie pamiętam nazwiska) na wieść o wyrzuceniu kolejnego towarzysza z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w ramach oczyszczania jej z osób niepewnych ideowo zauważył z przekąsem:

– No i znowu zaśmiecono nam szeregi bezpartyjnych.

Ech, to wredne Podkarpacie

Bo paraliż postępowy

najzaczniejsze trafia głowy.

Ten dwuwiersz ze *Słówek* Tadeusza Boya-Żeleńskiego idealnie pasuje do pomysłu, z jakim wystąpił na swoim profilu facebookowym znany reżyser filmowy Andrzej Saramonowicz:

Czytam, że Podkarpacie straszy, że zostanie „strefą życia”, czyli wprowadzi całkowity zakaz aborcji, in vitro, zakaze mówienia o gender, mniejszościach seksualnych i jakiegokolwiek edukacji seksualnej. Tak zrobią, bo – jak twierdzą – mogą. I już. Jeżeli Podkarpacie rzeczywiście ma się stać „strefą życia”, to powinniśmy tam przestać jeździć na wakacje letnie i zimowe. Zostawiajmy kupę naszego szmalu poza „strefą życia” po prostu. Przestańmy kupować produkty pochodzące z Podkarpacia. Zobaczymy, komu pierwszemu rura zmięknie.

Twórca *Lejdis* i *Testorenu* nie po raz pierwszy dał wyraz swojej niepomowanej nienawiści do obecnego obozu rządzącego, który odniósł ogromny sukces w wyborach samorządowych w województwie podkarpackim i zaczyna tam realizować swoje zamierzenia. Czy naprawdę nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że obrażając w ten sposób wszystkich mieszkańców Podkarpacia (nie tylko głosujących na Zjednoczoną Prawicę) wystawia sobie fatalne świadectwo i potwierdza wszystkie negatywne opinie o samozwańczej elicie pogardzającej rodakami dokonującymi innych niż ona politycznych wyborów?

Ilekcroć słyszę i czytam takie wypowiedzi, tylekcroć zastanawiam się, czy nie ma żadnych granic w usiłowaniu okazania przez garstkę zadufanych w sobie kandydatów na rządców polskich dusz ich wyższości nad „motłochem”, „plebssem”, „ciemnogrodem”. Inteligentny człowiek powinien przecież wiedzieć, że stosując takie metody można bardzo łatwo osiągnąć cel dokładnie odwrotny niż zamierzony i z noszonego na rękach idola mas błyskawicznie stać się ich pośmiewiskiem.

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie na stronie internetowej Radia RMF FM.

Prosta prawda o bazach wojskowych USA

Każdy, kto kwestionuje sensowność stałego pobytu w Polsce chroniących nas przed oczywistym zagrożeniem rosyjskim oddziałów wojskowych Paktu Północnoatlantyckiego – a konkretnie amerykańskich – przyczynia się do obniżenia poziomu bezpieczeństwa naszego kraju.

Tylko tyle i aż tyle w sprawie, w której nader chętnie wypowiadają się nasi politycy i generałowie. Niestety, wielu z nich udowadnia, że są klasycznymi sierotami po PRL i mają naturę *homo sovieticus*, dla którego niepodległość Polski nie ma żadnego znaczenia.

Pijacy w Tatrach

Dawniej, jeżeli media informowały o udzielaniu pomocy turystom w górach, można było mieć pewność, że chodzi o dramatyczne zdarzenia na dużych wysokościach i w szczególnie niebezpiecznych miejscach.

Niestety, ostatnio coraz częściej członkowie Tatrzańskiego i Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego wzywani są do przypadków, którymi powinna zajmować się raczej policja.

Oto kilka przykładów z minionego tygodnia odnotowanych przez portal internetowy 24tp.pl.

W schronisku na Polanie Chochołowskiej doszło do nocnej bójki, w wyniku której jedna osoba odniosła wymagającą szycia ranę. Ratownicy medyczni po opatrzeniu poszkodowanego przetransportowali go do szpitala, a o sprawie zawiadomili TOPR i policję.

„27 września leśniczy zadzwonił do ratowników, że na szlaku z Palenicy Białczańskiej na Rusinową Polanę leży nieprzytomny mężczyzna, który najprawdopodobniej jest pod wpływem alkoholu i środków odurzających. Gdy na miejsce wyjechali ratownicy, okazało się, że turysta nagle oprzytomniał, stwierdził, iż nie potrzebuje pomocy i idzie do domu – podają ratownicy w kronice wypadków TOPR” – czytamy w portalu.

W sobotę na drodze do Morskiego Oka leżało dwóch nieprzytomnych „turystów” pod wpływem alkoholu.

Te wołające o pomstę do nieba zachowania ceprów najlepiej skomentowała na stronie www.24tp.pl internautka Vika.

Mój Boże kochany..... co za hołota teraz jeździ w Tatry...: Zero szacunku dla majestatu gór, dla przyrody i dla siebie. Świat schodzi na psy – a takie były nadzieje, że po czasach słusznie minionych, w wolnym katolickim kraju będzie wszystko inaczej. Lepiej, uczciwiej, przyzwoiciej. Niestety pod wieloma względami jest dużo gorzej. Niestety...

Inny komentator używający nicka Viking wystąpił natomiast z ciekawą propozycją:

A niedźwiedzia puścić szlakiem, albo niech się chociaż ktoś za niego przebierze... Drugi raz nie będzie leżał upojony na szlaku.

Nie zabrakło także sugestii o konieczności ponoszenia finansowej odpowie-

działności za te akcje ratunkowe w wysokich górach, które są efektem zwykłej głupoty.

Góralscy mistrzowie sauny

Sauna jest coraz bardziej popularna w Polsce, ale nadal kojarzy się raczej z krajami skandynawskimi. Tym większym zaskoczeniem jest mistrzostwo świata w ceremoniach saunowych zdobyte ostatnio w Niemczech przez Karolinę Jarząbek i Macieja Piczurę, pracujących na co dzień w Termach Chochołowskich.

Jak poinformował portal internetowy krakowskiego wydania „Gościa Niedzielnego”, w sześciodniowych zmaganiach pokonali oni 31 zespołów z całego globu, a wcześniej wygrali eliminacje krajowe, w których zwyciężyli blisko 80 par.

O zaproponowanym przez nich na mistrzostwach, przedstawiającym dramat dwojga ludzi seansie opowiedział portalowi Piczura:

– Na początku, jak to zwykle bywa, w związku jest idealnie. Jednak z czasem stajemy się bardzo zabiegani, zapracowani. Nagle zaczyna się źle dziać między nami. Pojawia się choroba. Mąż nie zauważa, że jego żona zaczyna po prostu ślepnąć. W końcu traci wzrok. Następuje załamanie. Trzeba zacząć żyć na nowo, poukładać sobie pewne rzeczy i walczyć o przyszłość już razem.

„Maciej Piczura nie tylko doskonale radzi sobie w saunowym duecie, ale ma także indywidualne sukcesy na swoim koncie, ponadto jako pierwszy w historii mistrzostw świata wygrał w obu kategoriach jednocześnie. Na mistrzostwach w Niemczech wcielił się w rolę Krzysztofa Kolumba” – czytamy na stronie „Gościa Niedzielnego”

Mistrzowie podkreślają, że seanse saunowe są dobrymi punktami w planie na zdrowy styl życia, a prowadzone w trakcie nich zabiegi często zastępują kontakt z morskim klimatem pozytywnie wpływając na górne drogi oddechowe.

WARSZAWIAK WARSZAWIAKOM 2018
Osobisty program dla stolicy i jej mieszkańców

Gdy jeszcze żyli rodzice i wspominali, opowiadali o ich Warszawie – okresu międzywojennego – idealizując ludzi, sceny, ulice i place, ja, rozglądając się wokół rozumiałem, że tamta Warszawa to było inne miasto i inni mieszkańcy.

Tak jak kocha się rodziców, jak chce się ofiarować im najwspanialszy prezent, tak ja marzyłem, by odtworzyć, urealnić Warszawę ich wspomnień, ich młodości, ale też ubogacić ją o pełną moich fantazji i pomysłów Warszawę współczesności i przyszłości.

Chciałbym przywrócić Warszawie i Warszawiakom duszę. A dusza to duma, godność, tożsamość, wyjątkowość; to nawiązanie do przeszłości i tradycji splecione z pomysłami i projektami dzieł i zdarzeń dobrych i pięknych.

O nowy ustrój Warszawy

Warszawa potrzebuje gospodarza. Każdy to przyzna. O tym, czy będzie to gospodarz dobry czy zły w decydującym stopniu rozstrzyga ustrój miasta. To, co jest dziś uważam za skrajnie złe. Za obecnym ustrojem miasta głosowało wielu dzisiejszych posłów PiS i PO. Podzielili oni stolicę na osiemnaście dzielnic, niczym król Bolesław Krzywousty Polskę. A jeden z głównych pretendentów do prezydentury zakrzyknął: „Utworzę dzielnicę dziewiętnastą”. Wiemy z lekcji historii, jak zgubny dla Polski był podział dzielnicowy. Czemu zatem powtarzamy stare błędy?

Odpowiedź jest prosta. Chodzi o taką formułę zarządzania miastem, która pozwala utworzyć ogromną liczbę stanowisk urzędniczych dla radnych, dy-

rektorów, podwładnych i „przyjaciół królika”. Chodzi też o to, by mieszkańcy miasta utracili rachubę ilu tych radnych jest – a jest ich 469 (9-krotnie więcej niż w prawie 9-milionowym Nowym Jorku). Jeśli do tego dodamy administrację wojewody i marszałka województwa, to jasne jest, że w tej płataninie kompetencji, zależności, układów nikt się nie może połapać. Na to nałożymy jeszcze upolitycznienie władz samorządowych każdego szczebla i bezwzględna walkę o stanowiska, pieniądze, przywileje i wpływy. Obraz Warszawy toczonoj biurokracją mamy kompletny. Tak wytworzony ustrój stolicy to szatański pomysł, mający na celu konfliktowanie wszystkich ze wszystkimi, niszczenie każdej mądrej inicjatywy, marnotrawstwo pieniędzy, uniemożliwianie działań wspólnotowych.

Wielu spośród radnych „chce dobrze”, „działają w dobrej wierze” – nie odmawiam im dobrych intencji. Ale mówię stanowczo i wprost – nie tędy droga.

Warszawa wzorem innych miast i stolic potrzebuje ustroju prostego, logicznego, z władzami o jasnych uprawnieniach decyzyjnych, kompetencjach, odpowiedzialności. Warszawa potrzebuje nielicznego zarządu z prezydentem na czele, wybieranym w wyborach powszechnych.

Stawiam wniosek adresowany do komitetów biorących udział w wyborach samorządowych 2018 – przedstawmy projekt reformy ustroju miasta likwidujący podział na dzielnice, gminy, scalający miasto w jedno. Niech będzie jeden budżet miasta. Pokażmy Warszawiakom, że potrafimy wznieść się ponad polityczne podziały i stworzyć ustrój godny wielkiej Warszawy, godny stolicy Polski.

Samorząd Warszawy powinien mieć odwagę – w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę – dokonać abolicji bądź umorzenia często zadawnionych drobnych mandatów, niewielkich zaległości podatkowych i innych opłat wszystkim Warszawiakom.

Program dla mieszkańców

Pisać program dla Warszawy, zaczynając po warszawsku, to przedstawić propozycje dla seniorów – najstarszych mieszkańców stolicy. To oni Warszawie darowali swoje najlepsze młode lata a później dojrzałe życie. Odbudowywali miasto, tu pracowali zarabiając grosze. Dzięki ich nisko wynagradzanej pracy mamy domy, ulice, place, infrastrukturę komunikacyjną – bez mała wszyst-

ko, co składa się na substancję miasta powstałą w latach komuny 1945–1990. Dzisiejsi emeryci cierpią największą biedę. Kiedyś zarabiali grosze, a wysokość emerytury zależy przecież od przeszłych zarobków. Co gorsza, większość młodych, „pięknych dwudziestoletnich” Warszawiaków nie uświadamia sobie, komu zawdzięczają odbudowaną i zbudowaną stolicę. Niestety, większość Warszawiaków nie dostrzega, że ma zobowiązania do opieki i troski o „pięknych seniorów Warszawy”.

W stolicy mieszka około 200 tysięcy osób powyżej 75. roku życia. **Proponuję obniżenie im czynszu o co najmniej 200-300 złotych miesięcznie. Rocznie będzie to kwota od 300 do 500 milionów złotych. Dla seniorów będzie to znaczący wzrost dochodów.**

Proponuję wprowadzenie „prawa żelaznego lokatora”. Wyjaśniam, że na jego mocy emerytom zamieszkałym w danym lokalu, czy to komunalnym, czy prywatnym nie wolno podnosić czynszu powyżej wskaźnika inflacji.

Problemem najstarszych warszawiaków jest, że są samotni i bardzo ubodzy. Potrzebują opieki na co dzień. A dodajmy, że starszych, samotnych, niesamodzielných Warszawiaków będzie przybywać. Dlatego proponuję, by fundusze ze zlikwidowanych urzędów pośrednictwa pracy oraz straży miejskiej (jej budżet roczny przekracza 130 mln złotych) przeznaczyć na dofinansowanie policji, instytucji, ośrodków zdrowia i osób zajmujących się emerytami i osobami niepełnosprawnymi.

Ponad milion mieszkańców Warszawy w wieku od 20 do 65 lat pracuje, wychowuje dzieci, po prostu żyje. Czego potrzebują? Ułatwień w wykonywaniu codziennych obowiązków, poczucia pewności, że osiągnięty poziom życia nie zostanie im odebrany, perspektywy na przyszłość.

Warszawa powinna pokazać, że potrafi być atrakcyjna dla młodych. Spójrzmy prawdzie w oczy – pomimo 500+ i socjalnej polityki rządu w tym roku wyemigrowało już z Polski za pracą ponad 120 tysięcy młodych ludzi. Temu należy przeciwdziałać. Oto moja propozycja. **Ponieważ młode małżeństwa tracą zdolność kredytową wraz z powiększeniem się rodziny o nowo narodzone dzieci, władze Warszawy powinny stworzyć program udzielania gwarancji kredytowych takim właśnie małżeństwom.**

Warto zastanowić się nad pomysłem, by miasto dla wszystkich warszawskich noworodków utworzyło fundusz systematycznego oszczędzania na mieszkanie, do którego dopłacałoby w zależności od dochodu na członka rodziny określoną kwotę aż do pełnoletności dziecka.

Wielu rodziców nie może posłać swoich dzieci do przedszkola. Publiczne są przepełnione, a niepubliczne często zbyt kosztowne. Miasto nigdy nie dogoni demografii oraz napływu ludności. Moim celem jest osiągnięcie 100% miejsc dla wszystkich dzieci. **Samorząd powinien wesprzeć finansowo rodziców dziecka, które nie dostało się do przedszkola publicznego. Zarejestrowany w systemie rodzic wybiera placówkę niepubliczną, która spełnia wymogi miasta (czesne nie wyższe niż np. 600 zł.) Dziecko w takim przedszkolu otrzymuje dodatkową dotację w wysokości 300 złotych (poza ustawową wynoszącą nie mniej niż 75% kosztów utrzymania dziecka w placówce publicznej).**

Oto dane: w tym roku banki udzieliły ponad 200 tysiącom rodzin kredytów hipotecznych na zakup mieszkań, na łączną kwotę ponad 50 mld złotych. W sumie około 2 miliony polskich rodzin zaciągnęły kredyty hipoteczne i przez najbliższe 20-30 lat będą je spłacać. To jest pętla zaciągnięta na szyi, to jest życie w poczuciu zagrożenia utraty pracy i zarobków. Dlatego tak ważne jest tworzenie poczucia bezpieczeństwa i pewności, że w Warszawie o pracę jest i będzie łatwo. Potrzebny jest też program przyciągania inwestorów przede wszystkim krajowych, ale też zagranicznych.

Poczucie pewności i bezpieczeństwa z osiągniętego poziomu życia połączone z poczuciem perspektywy dać może tylko miasto, które się rozrasta i powstają nowe miejsca pracy. **Powinna powstać „warszawska Dolina Krzemowa”, dzielnica położona przykładowo na praskim brzegu (co słyhać w FSO?), w której wizjonerzy i pomysłodawcy nowych technik i technologii rozpoczynaliby działalność. Twierdzę, że Polska nie może przetrwać bez nowoczesnego przemysłu. Może on zrodzić się tu, gdzie jest potencjał intelektualny, czyli gdzie są uczelnie i środowiska naukowe.**

Nie przez przypadek przywołałem FSO. Dziś Polacy kupują ponad pół miliona nowych samochodów rocznie, importują około miliona sztuk złomu

(samochodów używanych) z Europy Zachodniej. Tak wielki popyt w dominującym stopniu powinien być zaspokajany rodzimą produkcją. Byłaby praca, byłby zarobek, byłaby polska marka. Polscy wynalazcy mogliby proponować swoje rozwiązania i pomysły, a nie marzyć o ich realizacji za granicą.

Komunikacja miejska jest za droga. Zwyczajny bilet kosztuje 4,40 zł. Powinien być może nawet o połowę tańszy. Miasto zarabia na biletach ponad 800 mln złotych rocznie. **Metro, tramwaj i autobus w dni szczególnego natężenia ruchu, na pewno w poniedziałki i piątki powinny być bezpłatne. Trzeba stopniowo iść w stronę całkowicie bezpłatnej komunikacji miejskiej.** Uczynienie komunikacji bezpłatną ograniczy liczbę samochodów w mieście, zmniejszy korki i zanieczyszczenie powietrza, a miasto zaoszczędzi na wydatkach na bileterów, kontrolerów itd. Autobusy zamawiane przez miasto powinny być elektryczne, czyli ekologicznie czyste.

Należy zabronić wjazdu do Śródmieścia po obu stronach Wisły samochodów z silnikiem diesla i starszych niż 15 lat.

Trzeba „odkorkować” Warszawę. Nie przyjmuję do wiadomości, że nie można zbudować szybko alternatywnego wyjazdu i wjazdu do Warszawy od północy, od strony Łomianek. Podobnie z wylotem na południe, gdzie ponad dwa lata ślimaczy się budowa zwykłego wiaduktu nad torami w Jeziorkach.

Warszawa wzorem miast europejskich musi stworzyć sieć szybkich kolejek podmiejskich przywożących do pracy w stolicy mieszkańców Radomia, Siedlec, Ciechanowa, Żyrardowa i innych. Mój program to utworzenie Szybkiej Kolei Metropolitalnej. Mieszkańcy miast i miejscowości wokół Warszawy powinni mieć możliwość dojazdu do stolicy w czasie nie dłuższym niż jedna godzina. Pozwoliłoby to zmniejszyć liczbę samochodów „najeżdżających” miasto w dni robocze. W konsekwencji zmniejszyłoby smog, liczbę kolizji i wypadków. Modernizacja kolei dojazdowej nie może być, jak dziś, obojętna miastu. Priorytet dla kolei podmiejskiej powinien, moim zdaniem, być czołowym hasłem również warszawskich ekologów.

Kolej metropolitalna to znakomity pomysł pomagający rozwiązać... problemy mieszkaniowe młodych małżeństw i ożywić gospodarczo miejscowości wokół Warszawy. Mieszkania na prowincji są tańsze, życie też.

Dobrym rozwiązaniem dla płynności ruchu ulicznego byłyby zegary sekundowe powieszone na skrzyżowaniach, informujące, ile czasu będzie trwało zielone bądź czerwone światło.

Należy pozwolić, by motocykle i skutery poruszały się buspasem. To oddzieli ruch jednośladów od samochodów, będzie bezpieczniej.

W Warszawie brakuje miejsc parkingowych. **Głoszę hasło – precz ze słupkami, wykarczować większość słupków ustawionych w ostatnich latach.** Przykładem niech będzie ulica Marii Konopnickiej. Na odcinku 150 metrów zgrabnie parkowały samochody. Jest to chodnik, po którym nikt nie chodzi. W maju wbito tam 70 słupków-pachołków. Po drugiej stronie dołożono ponad 30 pachołków. Podobno jeden pachołek kosztuje kilkaset złotych. Zapytałem przejeżdżający patrol straży miejskiej, co o tym myślą. Odpowiedź była prosta: „Panie, nas to nie obchodzi”. Według mnie, to przykład dowodzący, że na kilka miesięcy przed wyborami samorządowymi w magistracie triumfuje łajdactwo, korupcja i głupota. Zleceniodawca takich wydatków powinien zostać zwolniony dyscyplinarnie z pracy, a decyzja o tym – rozpowszechniona wśród pracowników. Słupki są też stawiane tak, by utrudnić dojazd do małych i średnich sklepów prowadzonych przez warszawskich kupców. Korzystają na tym sklepy wielkopowierzchniowe, zagraniczne sieci handlowe. Słupki, jak i ścieżki rowerowe są zmorą dla niepełnosprawnych ruchowo i dla niewidomych. Czy o nich ktoś w mieście zacznie myśleć?

Twierdzę, że jest bardzo dużo złej woli u urzędników miasta, chęci konfliktowania, skłócania, dzielenia warszawiaków na tych, którzy korzystają z komunikacji miejskiej, jeżdżących samochodami, rowerami i pieszych. Przykład – ulica Oboźna, stroma i jednokierunkowa. Ścieżka rowerowa biegnie pod prąd w dół. Sam widziałem, jak wspinająca się pod górę na rowerze kobieta wyjeżdżała na środek jezdni, poza ścieżkę rowerową. Za nią jechał samochód. Nagle z góry wypadł rowerzysta jadący w dół. Musiał przemknąć między rowerzystką a samochodem. Horror! Jemu się udało. Czy tak powinno być?

By było jasne – **jestem za budową ścieżek rowerowych, ale niech będą to oddzielone od ruchu samochodów i pieszych drogi biegnące wzdłuż arterii miejskich.**

Obserwując ewolucję, postęp w transporcie miejskim nie zawaham się

postawić tezy, że za 5–10 lat indywidualne wózki, hulajnogi elektryczne wypożyczane niczym dziś rowery na kilka godzin, staną się powszechnym środkiem transportu indywidualnego. Czy nie warto już dziś, budując ścieżki rowerowe, uwzględnić tę perspektywę?

Patrzę na plan miasta i widzę na odcinku od placu Zbawiciela do placu Wilsona, że linia metra dubluje się z linią tramwajową. Pytam, czy tak być musi? Czy likwidując linię tramwajową nie powstałaby szansa na wydzielenie specjalnych dróg dla przyszłych jednoosobowych pojazdów elektrycznych i rowerów, dając tym samym wygodę ich użytkownikom i nadając koloryt miastu.

Miasto powinno szukać darczyńców, stworzyć szuflady, w których deponowane byłyby pieniądze przedsiębiorców, instytucji publicznych, osób prywatnych przeznaczone na konkretne cele, takie jak: rozbudowa Centrum Nauki Kopernik, stypendia dla dzieci ubogich i uzdolnionych, ośrodki sportu i zdrowia, i wiele, wiele innych. Wykaz tych szuflad powinien znajdować się na stronie internetowej miasta i być rozbudowywany przez wpłacających. Darczyńcy powinni mieć prawo odpisania od podatku od nieruchomości bądź innych danin lokalnych części poniesionych nakładów. Miasto ze swojej strony powinno corocznie ogłaszać listę darczyńców, którzy w sposób szczególny zasłużyli na wyróżnienie.

Uważam, że to, czego potrzebuje mały i młody Warszawiak, to profilaktyka zdrowia. Warszawskie dzieci... potrzebują dentystów. Miasto powinno zdobyć się na program „lekarz stomatolog w każdej szkole”. Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że zdrowe zęby u dziecka, to najlepsza profilaktyka zdrowia całego organizmu. Warszawa powinna być pionierem i wzorem dla innych polskich miast.

Jestem fanatykiem sportu szkolnego i kontaktu bezpośredniego nauczycieli wychowania fizycznego z trenerami klubów sportowych. **Miasto powinno nie tylko budować boiska przyszkolne i sale sportowe, ale przede wszystkim utworzyć system dofinansowania i nagradzania tych nauczycieli, tych szkół, które potrafią „rozkrećć” sport na własnym terenie i co więcej, wskazać klubom utalentowaną młodzież.**

Program dla przedsiębiorców

Miasta współczesne i miasta przyszłości rozwijać się będą szybko i wszechstronnie, pod warunkiem że będą przyciągać przedsiębiorców i tworzyć warunki do inwestowania. Miasta współczesne potrzebują struktury ludności, w której dominują jednostki i grupy niespokojne, pełne inwencji, pomysłów, żądne kariery. Dlatego Warszawa musi przyciągać jednostki kreatywne. W przeciwnym wypadku stanie się, tak jak miało to miejsce przez wiele dziesięcioleci XIX wieku, „prowincjonalnym miastem gubernialnym”.

Władze Warszawy powinny uznać, że przedsiębiorcy, w tym przede wszystkim mali i średni gwarantują dobrobyt w mieście. **Należy uznać za partnera warszawski samorząd gospodarczy złożony ze wszystkich przedsiębiorców tu pracujących, zarabiających i płacących podatki. Reprezentacja samorządu gospodarczego powinna współtworzyć plany rozwoju miasta, budżet miasta i ponosić odpowiedzialność za ich realizację.**

Wzorem ustawy z marca 1933 roku (zwanej ustawą Wedla) trzeba uchwalić ulgi i zwolnienia podatkowe na kilka bądź kilkanaście lat dla przedsiębiorców inwestujących w mieście. Ulgi te mogą dotyczyć podatku od nieruchomości, podatków i opłat lokalnych.

Opłaty za wynajmowane od miasta powierzchnie i lokale użytkowe są wysokie. Sięgają stawek maksymalnych. To m.in. powoduje, że życie w Warszawie jest drogie. **Dlatego wnioskuję o obniżenie opłaty lokalnej dla wszystkich małych i średnich obiektów handlowych, gastronomicznych, produkcyjnych i usługowych. Moim zdaniem, stawka powinna wynosić 10 złotych za metr kwadratowy.**

Warszawa potrzebuje ulicznych targowisk otwartych dla małych i średnich firm w wybrane dni tygodnia w godzinach od 6 do 13. Małe targowiska to dla jednych okazja do zarobku, dla drugich do zrobienia tanich zakupów, a dla wszystkich do spotkania, wymiany kilku zdań, czyli poznania się i poczucia, że są wspólnotą. Niech podwarszawscy rolnicy przyjadą do stolicy ze świeżymi produktami i mogą je sprzedać bezpośrednio Warszawiakom.

Warszawa, jeśli chce być atrakcyjna dla przedsiębiorców musi zadbać, by ceny: energii, wody, usług komunalnych były niskie. Tak może się stać tylko pod warunkiem, że miasto przejmie większościowe udziały w tych

spółkach odsprzedając jednocześnie część przedsiębiorcom. Stołeczne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej (obecnie Veolia Energia Polska) powinno wrócić w polskie ręce, stać się własnością miasta i polskich przedsiębiorców.

Miasto powinno na terenie dawnego stadionu Skry i wokół stworzyć międzynarodowe centrum wystawiennicze i targowe, gdzie warszawscy przedsiębiorcy i kupcy będą mieli swoją stałą ekspozycję.

Szczególną troską miasto powinno otoczyć kawiarnie, restauracje, bary na Trakcie Królewskim, Starym Mieście. Trzeba zrobić wszystko, by odrodziło się współzawodnictwo między warszawskimi kucharzami. Przypomnę tylko, że u schyłku I Rzeczypospolitej kucharz ostatniego króla Stanisława Augusta Piotr Paweł Tremo miał sławę sięgającą kresów Europy. Czemu nie zorganizować corocznego konkursu dla najlepszej restauracji, najlepszego kucharza i najlepszego nowego dania imienia właśnie Piotra Pawła Tremo.

Warunkiem koniecznym, choć niedostatecznym, by Warszawa stała się przyjazna przedsiębiorcom jest, by wszystkie decyzje: o inwestycjach, o przetargach, o remontach, o wynajmach i inne podejmowane przez urząd miasta były jawne, a zainteresowani mieli w nie wgląd i kontrolę.

To nie przypadek, że tak niewiele zrobiono, by zinwentaryzować majątek miasta. Skoncentrujmy się tylko na jednym elemencie – nieruchomościach. Są to tereny, budynki, infrastruktura, mieszkania, powierzchnie użytkowe i Bóg wie, co jeszcze.

Warszawa ma idące w tysiące mieszkania pustostany, często położone w Śródmieściu, z którymi miasto nie robi nic, które niszczej¹ bądź są wynajmowane dziwnym osobom i instytucjom za bezcen, a pretekstem dla tej niegospodarności są podobno roszczenia reprywatyzacyjne. Tak być nie powinno. To trzeba natychmiast zinwentaryzować i podjąć decyzje o sprzedaży bądź remoncie w celu wynajmu zgodnie z cenami, jakie obowiązują na wolnym rynku.

Pod pretekstem reprywatyzacji i zobowiązań stąd wynikających całkowicie zablokowano w Warszawie sprzedaż mieszkań ich wieloletnim użytkownikom. W efekcie miasto nie mając pieniędzy na remonty i konserwację dopuszcza do dekapitalizacji ogromnego majątku. Lokatorzy zaś nie będąc właścicielami nie dbają o stan budynków. To trzeba natychmiast przerwać. **Należy umożliwić**

sprzedaż lokatorom zajmowanych przez nich mieszkań. Dokonać wyceny i jednocześnie w zależności od liczby lat zajmowania mieszkania udzielić zniżek i bonifikat. Tą drogą miasto otrzyma pokaźne środki finansowe, a jednocześnie będzie mogło uzyskiwać rokrocznie wyższe wpływy podatkowe. Nowi właściciele zaś zaczną dbać realnie o substancję budynków.

Z całą mocą podkreślam rolę urbanistyki i architektury w tworzeniu nowej Warszawy.

Wszak urbaniści to organizatorzy i twórcy przestrzeni, w której chce się być, przestrzeni wypełnionej elementami, które służą swą funkcjonalnością w wygodnym przeżywaniu codzienności. Urbaniści to ci, którzy łączą ludzi pozwalając i ułatwiając im komunikowanie się, wymianę myśli a też zachęcając, by nie powiedzieć wymuszając, grzebanie we własnej wyobraźni i fantazji.

Architektura zaś to dziś w dobie dominacji cywilizacji wzrokowców zajęcie nie do przecenienia odpowiedzialne. Architektura urasta do rangi sztuki, której dzieła trwają latami, gdy bez mała wszystko wokół nas pojawia się i znika. To dzięki architekturze jako sztuce przedstawionej, jedynej sztuce spotykanej na każdym kroku i na każdym rogu możemy i powinniśmy doświadczać piękna, dobra. Patrząc na otaczające nas budynki miejmy świadomość, że będą trwały z reguły dłużej niż nasze życie. Powinny zatem być zbudowane tak, by gdy nas zabraknie, ci co będą je oglądać nie krzywili się z niesmakiem. Przeciwnie. Niech cieszą się, że je widzą, niech to co widzą ich inspiruje i niech mają ochotę powiedzieć – „dziękujemy ojcom, dziadkom, że je stworzyliście”.

Dlatego urbanistyka i architektura to wielki obowiązek nas samych wobec siebie i przyszłych pokoleń. To świadectwo o głębi bądź płyčynie przeżywania czasu nam danego. To wreszcie prawda o bogactwie lub ubóstwie naszych myśli i zdolności do czynu. A tak naprawdę we współczesnym, bezwzględny i skonfliktowanym świecie to ważny argument w rozgrywce o prawo do trwania, przetrwania i kształtowania kultury świata.

Niech powstaną projekty urbanistyczne określające proporcje między terenami pod zabudowę, terenami zielonymi, obiektami infrastrukturalnymi itd. A później niech miasto wystawi te tereny na przetarg. Gwa-

rantuję, że znajdą się nabywcy i inwestorzy. Tą drogą Warszawa do swego budżetu uzyska dodatkowe środki i stałe pokaźne wpływy, wynikające z corocznie płaconych podatków.

Z powyższej argumentacji, ale też biorąc przykład z wielkiego prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego wyciągam wniosek, że **Warszawa potrzebuje konkursu i sporu – publicznego i nagłośnionego o tym, jaka powinna być jej wizja na miarę XXII wieku. Uważam, że taki konkurs i taka debata powinna być ogłoszona bezzwłocznie.**

O tożsamość miasta

Rację ma Muniek Staszczuk śpiewając, że „Hitler i Stalin zrobili co swoje...” w Warszawie, z Warszawą. Ale ja twierdzę, że po 1989 roku nowe czasy i nowi ludzie dołożyli... co nie ich. Co mam na myśli?

Warszawa była po wojnie miastem nawet jeśli w pierwszym pokoleniu, to robotników i inteligencji. Miałem i mam zaszczyt znać robotniczych przywódców, jak: Andrzej Kierzkowski z Ursusa, Franek Piotrowski z FSO, Tadzio Kucharski z PKS-u, a także Maciek Jankowski i Andrzej Wieczorek – szefowie Solidarności Region Mazowsze. To byli robotnicy z krwi i kości, z wielotyśięcznych zakładów pracy. Mieli honor, godność, poczucie odpowiedzialności i obowiązku za swoich kolegów, za zakład pracy i właśnie za miasto. Dziś ich zakłady na terenie Warszawy nie istnieją. Nie ma wielkich skupisk robotniczych, które dawały Warszawie charakter i autentyczność a także przywództwo w całym kraju. To przecież robotnik z FSO – Lechosław Goździk był sztandarową postacią polskiego Października 1956 roku.

Wydarzenia marcowe 1968 roku ukazały z kolei, jak warszawska inteligencja i studenci spragnieni są wolności i możliwości tworzenia.

Po roku 1989 wszystkie wielkie fabryki zostały zlikwidowane, a Warszawa coraz bardziej stawiała się miastem urzędników, biurokracji. Przyjęty system uzależnił służbę zdrowia, nauczycieli, ludzi kultury i Bóg wie kogo jeszcze właśnie od urzędników. To oni dominują w mieście. Szanuję urzędników, ale wiem, że to nie oni dadzą miastu nowej energii. Dla mnie ważne jest, by Warszawa i Warszawiaczy odzyskali swój temperament, humor, mowę, gest i fason.

Chcę, by Warszawa stała się miastem ludzi pracujących twórczo, mądrze, „dla siebie, u siebie i z przyjezdnymi”. Niech to będą wizjonerzy i ludzie odważni, niech ich pomysły i autorytet „rozkręca” miasto.

Czy chcemy, czy nie chcemy, czy nam się to podoba, czy nie – prawo do trwania, rozwoju, ekspansji we współczesnym świecie wobec globalnych uzależnień państw, narodów, kultur mają tylko ci, którzy zdobędą się, wybiją na własny dorobek w nauce, sztuce i kulturze.

Bądźmy realistami i przyznajmy, że nasze osiągnięcia w kulturze materialnej, w podstawowych badaniach naukowych, będąc funkcją poziomu zamożności i rozwoju gospodarczego długo jeszcze nie pozwolą nam zaliczać się do światowej czołówki. Gdzie zatem powinniśmy szukać przewagi i szans?

Twierdzę, że polem, które jest naszą szansą, miejscem, którego rola w światowej rywalizacji będzie rosła to kultura, a w niej sztuka oraz nauki, które nazwę abstrakcyjnymi. Zaliczam do nich matematykę, informatykę, filozofię oraz dziedziny związane z wiedzą o człowieku, jak biologia, psychologia, medycyna, farmacja. Powinniśmy postawić na rozwój tych nauk, gdyż nie wymagają ogromnych nakładów finansowych, a ich rola i miejsce będą rosły, kto wie, czy nie staną się naukami wiodącymi.

Jeśli mamy wspaniałych profesorów informatyki z prof. Janem Ryszardem Madeym, prof. Łukaszem Turskim i ich zespołami, jeśli mamy dziesiątki, a może setki polskich matematyków rozsianych po świecie, wykładających na najlepszych uczelniach, to czemu nie skrzyknąć ich, zaprosić do Warszawy. **Mamy Centrum Nauki Kopernik, wspaniały pomysł prof. Turskiego. Utwórzmy tu Centrum Matematyczno-Informatyczne, miejsce spotkań i dyskusji, uwzględniając uzdolnione matematycznie dzieci.**

Jeśli mieliśmy wybitnych filozofów i logików, to idąc ich przykładem czemu nie zorganizować spotkań, sporów, debat międzynarodowych i uczynić z Warszawy ważnej placówki. Jestem przekonany, że za jedno, może dwa pokolenia ludzkość stanie wobec problemów etycznych, moralno-religijnych, filozoficzno-prawnych, których rozwiązania poszukiwać będzie właśnie na gruncie filozofii. A przecież już dziś mamy wspaniałe wydawnictwa filozoficzne, jak Kronos z prof. Piotrem Nowakiem na czele.

Warszawa powinna szukać swego miejsca w sztuce. Pamiętam, jak na dwor-

cu w Paryżu spotkałem znajomego malarza Polaka. Rozmawialiśmy, spadł deszcz, wiatr rozpędził chmury, zaświeciło słońce. A on skonstatował: Zobacz, jak w zmiennej pogodzie, gdy pyłki deszczu unoszą się jeszcze w powietrzu, pada na nie słońce, a światło jest takie, że tylko tu mógł zrodzić się impresjonizm pełen plam, barw, kontrastów i jasności. I wtedy zrozumiałem, że tworzenie i sztuka to po części zdolność do wykorzystywania darów natury. I trzeba być na to przygotowanym. Dlatego pytam, jakie dziedziny sztuki są nam bliskie? Pytam, także pamiętając, że to my przez setki lat przyciągaliśmy swą kulturą inne narody, a sami czerpaliśmy pełnymi garściami z kultur Wschodu i Zachodu. Wielki pisarz Jan Parandowski ujął to krótko i dobitnie – „Polska leży nad Morzem Śródziemnym”.

Sztuka przepleciona historią powinna być widoczna na ulicach i placach Warszawy. Przykład? Plac Powstańców Warszawy – nazwa zobowiązuje. A tymczasem na placu płaski pawilon NBP z czarną, mroczną ścianą. Jeśli już ten płaski pawilon musi stać, to dlaczego nie ogłosić konkursu na płaskorzeźbę bądź mozaikę nawiązującą do Powstania Warszawskiego, a pokrywającą czarną ścianę banku.

Warszawa potrzebuje odtworzenia jej niepowtarzalnego dorobku kulturalnego zawartego w humorze Franza Fischera (kto wie, kto to był i czemu nie ma ulicy jego imienia?), piosenkach Stanisława Grzesiuka, dialogach i tekstach Stefana Wiecheckiego „Wiecha” czy fantazji Jasia Himilsbacha i melancholii Zdzisia Maklakiewicza. Czemu nie zorganizować spotkań, przeglądów, konkursów imienia tych wspańiałych patronów?

Jest mi wstyd, po ludzku wstyd, że Warszawa i Warszawiacy do dziś nie upamiętnili i nie pochylili z szacunkiem głowy przed wielkimi prezydentami miasta: Stefanem Starzyńskim, Julianem Kulskim i Janem Pohoskim. A też przed żołnierzem obrońcą miasta – gen. Walerianem Czumą. Ich pomniki powinny stać przed Ratuszem. My je zbudujemy.

Warszawa potrzebuje kultury w wymiarze międzynarodowym, ale też kultury na każdym kroku. A to oznacza wspieranie wszelkich inicjatyw zwykłych ludzi, którzy gotowi są sami bądź wspólnie z innymi podjąć próbę udaną bądź nieudaną uzewnętrznienia swej twórczości.

Warszawa by była wielka musi być atrakcyjna dla przyjezdnych – turystów.

Dokonajmy zatem na początek bilansu otwarcia Warszawy jako miasta atrakcyjnego dla turystów. Pójdźmy śladami przyjeźdnego i turysty.

Lotnisko Okęcie imienia Fryderyka Chopina. Pierwsze wyobrażenie i skojarzenie turysty – piękna, romantyczna, wirtuozowska muzyka i z pewnością takie będzie lotnisko. Tymczasem co widzi? Szara, płaska bryła hangarów przypominająca najbrzydsze obiekty przemysłowe. Gdzie tu „chopinowska fraza”? A przecież to lotnisko zostało zaprojektowane i zbudowane już w wolnej Polsce, w ostatnich trzydziestu latach.

Są organizowane na świecie konkursy na najpiękniejsze lotniska. Od lat wygrywa lotnisko Changi w Singapurze. Jest skąpane w zieleni, przytulne i cudownie skomunikowane z miastem. Projektantem całego układu urbanistycznego miasta Singapur i lotniska był polski architekt Krystyn Olszewski. Pytam – i co? Polak potrafi.

Wszyscy wiemy, że jeszcze przez wiele lat Okęcie będzie najważniejszym lotniskiem w Polsce. Położenie Okęcia w granicach miasta czyni Warszawę atrakcyjną i wygodną komunikacyjnie. Uważam, że należy zrobić wszystko, by rozbudować i skomunikować z centrum miasta lotnisko w Modlinie. Tak nakazuje ekonomiczna kalkulacja – oszczędność pieniędzy i czasu.

A teraz nasz turysta pyta, co jest godne zwiedzenia, obejrzenia w Warszawie. Rzucamy natychmiast: Stare Miasto, Trakt Królewski, Łazienki, Wilanów. No tak, ale to zbudowali nasi przodkowie, a on pyta, co nowego, atrakcyjnego powstało po 1989 roku? I tu konsternacja. Przecież nasze wieżowce z reguły niższe niż na Zachodzie są ubogą kopią zbudowanych w miastach Europy i Azji. Co gorsza, nie mają nic z kolorytu dawnej Warszawy, czyli miasta kamienic o elewacjach z jasnego piaskowca. Wieżowce Warszawy są w kolorze... spranej bielizny. Na dodatek „naciupane” bez ładu i składu jeden przy drugim. A przecież już w latach 70. za Edwarda Gierka, gdy Szwedzi budowali pierwszy hotel widmo na Rondzie Dmowskiego architektki Warszawy o jego kształcie i kolorze (wtedy był brązowy) wydali opinie – „g... na baczność”.

Ale pytanie wraca – co oryginalnego pokazać turyście? Może Złote Tarasy? Jest to konstrukcja tak dziwna, kopulasta (od rzeczownika kopuła, a nie od czasownika), woda po niej spływa, a gdy burza większa, to zdarza się, że do środka.

Chcemy zatem pokazać Stadion Narodowy. Tylko jak wytłumaczyć, że gdy jest mecz, Śródmieście od Ronda de Gaulla do Ronda Waszyngtona, czyli z Mostem Poniatowskiego, to strefa wyłączona z ruchu miejskiego. Trzeba iść piechotą w tę i we w tę. To przypomina mi, gdy z kochanym ojcem siedłem na Stadion Dziesięciolecia (miał pojemność 100 tysięcy widzów, a nie 55 jak Narodowy), by obejrzeć mecz lekkoatletyczny Polska–USA w 1958 roku. Gdzie tu postęp?

Przyszło mi do głowy, by pokazać turyście kompleks sejmowy. Dzieło wybitnego polskiego architekta Bohdana Pniewskiego, dzieło polskiego modernizmu międzywojennego, gdzie owalna bryła parlamentu koresponduje z sąsiednimi budynkami i pomnikiem Armii Krajowej symbolizującym wypełniony wiatrem żagiel. I oto natknęliśmy się na budowlę kanciastą, betonową, z oknami jak szparki, budowlę, która swą bryłą skojarzyła mi się z... więziennym spacerniakiem. To nowy budynek wzniesiony na zlecenie Kancelarii Sejmu. Dla mnie to dowód, że decyzje o najważniejszych budowlach w państwie podejmowane są przez dyletantów, którym obojętne jest bądź nieznane pojęcie architektonicznej harmonii. W tym momencie przypomniał mi się stary warszawski żart o kobiecie, która wyszła „...Piękną i Hożą, a wróciła... Wspólną i Niecałą”.

A teraz chwila prawdy – dowód, jak skarleliśmy. Przez 30 lat wolnej Polski, przy współczesnej technologii nasyconej komputerami i automatami nie zbudowaliśmy żadnego, powtórzę – żadnego budynku – muzeum, które dokumentowałoby naszą historię tak przecież skomplikowaną, wymagającą zatem „odtworzenia i wytłumaczenia” przysłowiowemu Polakowi, i co z całą mocą podkreślam – cudzoziemcowi. Oni dziś i jutro dostawać będą wersję historii o nas – pisaną i tłumaczoną przez tych, którzy, nie mający wątpliwości, życzą nam jak najgorzej, dbają wyłącznie o własny interes naszym kosztem i zrobią wszystko, by ukazać naszych przodków i nasze dzieje w jak najgorszym świetle.

Czyż nie jest jakimś chichotem szatana, że Muzeum Historii Polski i Muzeum Wojska Polskiego decyzją, tak przecież pełnej patriotycznych frazesów „najlepszej zmiany”, mają powstać na terenie twierdzy Cytadela. Przypomnijmy – twierdzy zbudowanej rozkazem cara Mikołaja I po upadku Powstania Listopadowego. Miała ona grozić Warszawie zburzeniem swymi działami w przy-

padku mrzonek o wolności. Przypomnijmy, że na stokach Cytadeli stracono Romualda Traugutta – dyktatora Powstania Styczniowego i wielu patriotów. Czyż może mówić o wolności i wielkości naród, który nie potrafi zdobyć się na budowę najważniejszych muzeów dokumentujących jego wielkość i historię, a który przeciwnie, miejsce kaźni swych bohaterów, budowlę wzniesioną przez zaborcę adaptuje na muzeum. Jak coś takiego wytłumaczyć polskiemu dziecku, wytłumaczyć zagranicznemu turyście? Gdzie godność, gdzie duma? Czyż nie przywodzi to na pamięć słów francuskiego ministra Horacego Sebastianiego, który pytany w parlamencie po upadku Powstania Listopadowego, co dzieje się w Warszawie odpowiedział: „L'ordre reigné a Varsovie” – „Porządek panuje w Warszawie”. Wypada zapytać, czyj porządek?

Pytam, co było pierwszym obowiązkiem władz Warszawy po odzyskaniu wolności w 1989 roku? Dla mnie nie ulega wątpliwości – odbudowa Osi Saskiej. Przypomnę, że nawet komuniści dojrzeli i zrozumieli, że ich powinnością było odbudowanie Zamku Królewskiego. A my co? Oś Saska, kompleks budowli wokół Grobu Nieznanego Żołnierza – budowli kluczowych dla historii miasta wykreślano z planów inwestycyjnych decyzjami kolejnych prezydentów. Oś Saska została wysadzona w powietrze w grudniu 1944 przez Niemców. To była realizacja planu Stalina i rozkazu Hitlera – wymazania Warszawy z mapy Europy. My nie możemy być wykonawcami tego planu. **Stawiam wniosek – miasto powinno bezzwłocznie przystąpić do odbudowy Osi Saskiej i Pałacu Brühla.**

Pytam, czy mógł powstać po 1989 roku obiekt, z którego nie tylko Warszawiacy, ale i cała Polska byłaby dumna? **Obiekt potrzebny, piękny i atrakcyjny dla turystów. Odpowiadam – tak. Taką budowlą mogło być i powinno być Muzeum Historii Polski nad Trasą Łazienkowską. Zrealizujmy ten projekt.** Zlokalizowane wspaniale, w sąsiedztwie budynków rządowych, Sejmu, Łazienek, na Trakcie Królewskim, wiszące nad trasą szybkiego ruchu. I cóż? Jak zwykle pretekstem okazał się brak pieniędzy. To ja dla porównania i przypomnienia podaję, że w latach 1928–1932, gdy szalał najcięższy kryzys gospodarczy, gdy materiały wożono furmankami, a głównym narzędziem była kielnia i młotek zbudowano Muzeum Narodowe, które służy nam do dziś.

Pytam, a pytanie to uznaję za szczególnie ważne dla tożsamości Warsza-

wy i Warszawiaków oraz dla wiedzy cudzoziemców o naszej historii. Dlaczego Warszawa do chwili obecnej nie upamiętniła wydarzenia, które odmieniło losy Europy, a może nawet świata. Co mam na myśli? Wystąpienie, homilię Jana Pawła II na placu przed Grobem Nieznanego Żołnierza w czerwcu 1979 roku. To wtedy wypowiedziane słowa „Niech zstąpi Duch Twój...” dały początek, zrodziły ruch Solidarności, który doprowadził do upadku komunizmu, wyzwolenia wielu narodów i państw. **Uważam, że powstać powinien pomnik bądź budowla-symbol, z której każdy mógłby wyczytać myśli i nauki Jana Pawła II. Bo każdy Polak powinien pamiętać, że jak mówił papież „wolność nie jest nam dana, a zadana”, a także, że „solidarność oznacza brzemiona noście”.**

Co ważne – zagranicznym turystom należy tym monumentem przypomnieć, że zryw wolności, obalenie komunizmu w Europie rozpoczęło się w roku 1979 w Warszawie i w Polsce, a nie od obalenia muru berlińskiego w 1989 roku, co próbują sugerować niektórzy zachodni historycy.

Moje propozycje ekonomiczne

Zewsząd słyszę białolenia, że brakuje pieniędzy. Brakuje dlatego, że nie potrafi się ich zarobić i dlatego, że wydaje się je rozrzutnie. Dlatego przedstawiam radykalny program naprawy finansów stolicy oraz listę wymarzonych przeze mnie inwestycji.

Władze Warszawy mają corocznie do dyspozycji budżet wynoszący ponad 16 mld złotych. To wielka kwota pieniędzy rodząca dwa pytania: jak sprawić, by została ona wydatkowana racjonalnie, z pożytkiem dla mieszkańców, i po drugie – jak sprawić, by kwota ta corocznie rosła w wysokim tempie nie obciążając dochodów mieszkańców i przedsiębiorców.

Jeśli przyjąć, że największe wpływy podatkowe Warszawa otrzymuje od przedsiębiorców i mieszkańców z tytułu podatku dochodowego, to potrzebna jest polityka wspierania dochodów jednych i drugich oraz takich zmian w systemie podatkowym, by suma wpływów rosła przy jednoczesnym zmniejszaniu obciążeń dla mieszkańców i przedsiębiorstw dających pracę. Takie rozwiązanie jest możliwe tylko w wypadku, gdy zatrudnienie w Warszawie oraz dochody w Warszawie rosną szybciej od przychodów podatkowych.

Za szczególnie ważne uważam, by władze Warszawy podjęły program wykupu udziałów i przejęcia kontroli nad firmami zasilającymi miasto w energię elektryczną, wodę, inne urządzenia infrastrukturalne. Podkreślam, że nie chodzi o przejęcie ich na własność, a przeciwnie – o taką kontrolę i współudział w podejmowaniu decyzji, by stawki cenowe ustalane przez powyższe firmy były dla dostawców godziwe, ale jednocześnie możliwe i niskie i atrakcyjne dla mieszkańców i przedsiębiorców. Przypomnę, że dziś w Polsce energia elektryczna jest droższa niż w Niemczech – w co wielu moich rodaków pewnie nie uwierzy. Tak jednak jest, bo samorząd terytorialny i gospodarczy w Niemczech mając udziały w firmach zaopatrujących miasta w media, kontroluje i decyduje o poziomie cen dla konsumentów.

Jest swoistym kuriozum, że magistrat Warszawy swoje biura i urzędy ma rozrzucone po całym mieście. Trzeba zrobić wszystko, by znalazły się one w jednym budynku. Nie mam nic przeciwko temu, by w odbudowanej Osi Saskiej miały swoją siedzibę tak skomasowane biura i urzędy stolicy. To uczyniłoby tę dzielnicę tętniącą życiem i wplotło historię we współczesność.

Jednocześnie postawmy sprawę jasno – wiele urzędów i biur powinno zostać zlikwidowanych jako kosztowne i zbędne. Pierwszy z brzegu przykład to „pośredniaki”, czyli urzędy pracy. Przecież bezrobotnych tak naprawdę w Warszawie nie ma. Drugi – to straż miejska, która w obecnej postaci jako drużyna tropicieli i ściągaczy mandatów parkingowych działa w interesie własnym a nie mieszkańców. Jest potrzebna naczelnym władzom miasta, bo daje im poczucie władzy a jednocześnie stwarza okazję do zatrudniania protegowanych. Jednocześnie zaoszczędzone tą drogą środki powinny być przekazane na dofinansowanie policji i dofinansowanie bonifikat dla seniorów.

Miasto powinno mieć możliwość emitowania obligacji zarówno krótkookresowych, jak i wieloletnich, a uzyskane tą drogą fundusze inwestować w infrastrukturę i najpotrzebniejsze obiekty. Obligacje mogłyby służyć do rozliczania podatków i wszelkich zobowiązań zarówno przedsiębiorców, jak i osób prywatnych.

Warszawa ma różne źródła wpływu pieniędzy: z tytułu posiadanego majątku, z tytułu podatków, opłat, świadczonych usług itd. Dziwi mnie, że wpływy

z powyższych tytułów, które przecież w skali roku przekraczają 16 mld złotych wpływają do różnych banków na różne konta. Co proponuję? **Bezwzględnie utworzyć Bank Komunalny Warszawy i Mazowsza, gdzie znalazłyby swe miejsce wszystkie konta instytucji miasta. Tym sposobem stolica mogłaby jako udziałowiec banku prowadzić własną, czyli najbardziej opłacalną politykę finansowania i kredytowania wydatków i inwestycji.** Mówiąc wprost: miasto mogłoby zarabiać, tak jak czyni to każdy bank, a jednocześnie miasto obniżyłoby koszty obsługi swoich rozliczeń dokonywanych poprzez banki. Dlaczego w nazwie mówię o Mazowszu? Bo setki tysięcy mieszkańców wiosek, miasteczek i miast z Mazowsza dojeżdża, pracuje, wydaje swoje pieniądze w Warszawie.

Nasz, czyli Warszawiaków Bank Komunalny emitować powinien warszawski pieniądz – nazwijmy go wars. Utwórzmy stołeczną a następnie mazowiecką strefę monetarną wprowadzając pieniądz lokalny. Relacja zło tego do warsa powinna być jak jeden do jeden. Wymiany dokonywałby nasz bank komunalny. On też ustalałby opłatę z tytułu wymiany pieniądza. Pozwólmy małym sklepom, gabinetom usługowym, restauracjom, instytucjom turystycznym i innym rozliczać się w lokalnym pieniądzu. Niech służą one do płacenia podatków. Tak funkcjonuje szereg miast na świecie, przykładem Bristol. Pieniądz lokalny daje pracę, przyspiesza obrót pieniądza, pozwala zarobić mieszkańcom, przedsiębiorcom i miastu. Pieniądz lokalny rozluźnia pętlę zadłużenia na lichwiarski procent, jaki dziś płacony jest bankom. Co więcej, może stworzyć osobne źródło zasilania budżetu miasta z tytułu udzielonych kredytów i spłat.

Przedmiotem sporów jest tzw. Janosikowe, czyli podatek płacony przez bogatą stolicę na rzecz biedniejszych regionów. Rozumiem ideę tego podatku. Uważam jednak, że Warszawa powinna mieć wpływ na rozdział tej kwoty: kto, kiedy, na co ją otrzyma. Warszawa powinna dzięki temu poniekąd inwestować tam, gdzie jest to także dla niej korzystne. Przykładem niech będzie utworzenie kolei metropolitalnej z miast województwa mazowieckiego biegnących do Warszawy.

Moje propozycje inwestycji

Środek Europy – Pępek Europy

Jest na Placu Teatralnym, ogrodzony żeliwnym parkanem kamienny postument – dziś zaniedbany. Jest tak zniszczony, że nie sposób odczytać umieszczonego na nim napisu. Otóż kilkadziesiąt lat temu geografowie odnotowali, że Warszawa leży na przecięciu równoleżnika i południka tak, że można ją uznać za położoną w samym środku kontynentu. Postument na Placu Teatralnym fakt ten właśnie odwzorowywał. Po latach uznano, że teza jest dyskusyjna. Ja jednak patrząc na mapę Europy będę upierał się, że Warszawa jeśli nie leży w samym jej środku, to z pewnością najbliżej spośród wszystkich stolic europejskich. I dlatego rzucam hasło – **rozpiszmy konkurs i zrealizujmy najlepszy projekt, bądź syntezę kilku projektów urbanistyczno-architektonicznych, który nazwiemy Centrum Europy XXI wieku, a ja nieco frywolnie nazwę go „Pępkiem Europy”**. Powinien on być zlokalizowany między ulicami Marszałkowską i Emilii Plater, Świętokrzyską i Alejami Jerozolimskimi. A zatem oplatać Pałac Kultury. Niech będzie to wizjonerska synteza cywilizacji europejskiej i przyszłości Europy. Niech będzie to najbardziej fascynujące wyzwanie dla architektów w Europie w XXI wieku.

Stadion Skry i tereny wokół

Dopinguję i szanuję Anitę Włodarczyk. Uważam jednak, że wykorzystywanie jej przez kilku cwaniaków do forsowania pomysłu odbudowy Stadionu Skry jako obiektu lekkoatletycznego jest głupotą. Stadion Skry jest tak zniszczony, że można go tylko zburzyć. Tereny zaś wokół stadionu są tak atrakcyjnie położone, że rozgrywanie na nich raz czy dwa razy na rok zawodów lekkoatletycznych wzbudza chichot. **Moim zdaniem, na terenie Stadionu Skry i wokół powinien powstać wielki kompleks wystawienniczo-targowy**. Przecież to jest w prostej linii blisko lotniska. Proszę wyobrazić sobie, jakże dogodne byłoby to miejsce dla wystawców, biznesmenów, przyjeżdżających obejrzeć, pokazać i robić tu interesy. Warszawa powinna szukać swego miejsca jako centrum międzynarodowego handlu i interesów.

Tereny wokół Stadionu Narodowego

Na błoniach Stadionu Narodowego powinna zostać zbudowana hala widowiskowa na kilkanaście bądź więcej tysięcy widzów, hotele i centra rozrywki. Jednocześnie powinno powstać ogromne zaplecze parkingowe,

podziemne, umożliwiające sprawne przemieszczanie się do i z tego kompleksu sportowo-rekreacyjnego.

Praski brzeg Warszawy

Marzy mi się, by na praskim brzegu, szczególnie między mostami Śląsko-Dąbrowskim i Poniatowskiego, przy porcie, powstała dzielnica kaskadowo opadających do rzeki budynków, pełna zieleni, niczym wiszące ogrody Semiramidy. Oglądana w słońcu z drugiego brzegu Wisły byłaby pięknym, istic warszawskim przejawem zwrócenia się ku rzece.

Dzielnica uniwersytecka

Między ulicami Tamka i Nowy Zjazd jest wiele terenów znakomicie nadających się na budowlę akademickie. **Skoro już przy ul. Dobrej jest Biblioteka Uniwersytecka, niech powstanie cała dzielnica akademicka przylegająca do rzeki.**

Tereny nad torami kolejowymi

Przez 30 lat wolnej Polski władze miasta nie zrobiły nic, by przejąć od PKP ziemię nad torami na odcinku od Dworca Centralnego do Dworca Zachodniego. Przecież jest to najwspanialej położona nieruchomość w stolicy. Gdyby przykryć ten odcinek torów tunelem, to nad nim można zbudować wspaniały kompleks architektoniczno-urbanistyczny. Co mogłoby zrobić miasto? Otóż rozpisać konkurs na dzielnicę teatrów, kin, hoteli, biur i Bóg wie czego o wysokości sięgającej chmur. Mógłby powstać oryginalny architektonicznie fragment miasta, nawet z własnym, wewnętrznym systemem transportu i komunikacji. A miasto za ogromne pieniądze uzyskane ze sprzedaży działek mogłoby sfinansować budowę wielopoziomowych skrzyżowań na Placu Zawiszy, Dworcu Południowym, podziemne parkingi i wiele innych inwestycji. **W moim programie stawiam sprawę jasno – PKP musi zgodzić się na przykrycie torów od Dworca Centralnego do Zachodniego tunelem tak, by można było nad nim budować. PKP może jedynie negocjować współudział w dochodach ze sprzedaży gruntów.** Proszę pamiętać, że wpływy podatkowe z tytułu funkcjonujących na tym terenie obiektów miasto uzyskiwać będzie corocznie.

Łącznik Osi Saskiej z „Pępkiem Europy”

Wyobrażam sobie, że w wyniku wielkiego konkursu urbanistyczno-architektonicznego powstałoby centrum Europy między Alejami Jerozolimskimi

a Świętokrzyską i Marszałkowską a Emilii Plater. A **może byłoby cudownym** łącznikiem między tym centrum a Osią Saską i Ogrodem Saskim zbudowanie wzdłuż ulicy Marszałkowskiej od ulicy Królewskiej do Świętokrzyskiej łącznika pełnego zieleni i kilku wkomponowanych w nią budynków. Tak oto stara Warszawa łączyłaby się i przenikała z tą XXI-wieczną.

ZAKOŃCZENIE

Porównując temperament i fantazję warszawiaków okresu międzywojennego i dzisiejszych zadają sobie pytanie – skąd nasi przodkowie czerpali w epoce liczydeł i furmanek inspirację do swych projektów i wizji. Boć przecie projekty urbanistyczne i architektoniczne zachwycają rozmachem, funkcjonalnością i wielkością. Domyślam się, że płynęło to z miłości do miasta, radości z odzyskanej niepodległości i potrzeby utrwalenia w pamięci przyszłych pokoleń, że chcieć to móc. Wskrześmy tamtą duchowość.

Nie wyobrażam sobie, by można coś zrobić naprawdę dla Warszawiaków i dla Warszawy bez Warszawiaków. Dlatego prezydentura powinna być pracą z Warszawiakami i wśród Warszawiaków. Potrzebne są ich pomysły, energia, humor i krytyka. Budżet obywatelski powinien otrzymać zwielokrotnione środki.

Mam pewność, że głęboki przełom dokonuje się w świadomości całego narodu. Polega on na poszukiwaniu nowych autorytetów i wyrwaniu się z prostackiej negacji i krytyki kreowanej przez media. Niech Warszawiacy będą tymi, którzy... „z szacunkiem i fasonem” jako pierwsi pokażą, że nowe, wspólnotowe, pozytywne myślenie i działanie jest możliwe.

ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI

SB, MILICJA, WOJSKO, PROKURATURY, SĄDY, URZĘDY PRL KONTRA ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI

Przedstawiam publicznie personalia zbrodniarzy stanu wojennego różnego sortu. Wszyscy oni, mniejsi i więksi uczestniczyli w działaniach, których celem było prześladowanie mojej osoby i moich bliskich. Podaję ich nazwiska, instytucje represji, stanowiska i funkcje, a czasem i zarys tego, w czym maczali palce, na podstawie tylko częściowo przeczytanych przeze mnie esbeckich i innych zgromadzonych w IPN na mój temat dokumentów. Każda z tych osób ma na sumieniu moją i mojej rodziny krzywdę, a czasem nie tylko naszą. Mają mniej lub więcej draństw, popełnionych w imię obrony zbrodniczego socjalizmu na polskiej ziemi. Są wśród nich tacy, którzy bronią go do dzisiaj, choć już inne są warunki. Oni i ich następcy, resortowe dzieci i wnuki oraz wychowankowie, bronią dziś byłego bolszewizmu i chcą eurokomunizmu, choć wołają, że chodzi im o demokrację, konstytucję i państwo prawa. Wojna z nimi i ich poplecznikami w kraju i zagranicą stale trwa. Właśnie mamy jej kolejną odsłonę w walce o Sąd Najwyższy i resztę sądownictwa. Tymczasem wolne sądy, to sądy wolne również od liberalno-lewicowej ideologii. Zabierzmy się do pracy i zbadajmy, kto z tych ludzi jeszcze żyje i jak żyje. Kto z nich uczciwie może dokonał skruchy i nawrócił się na drogę wolności, a kto nigdy tego nie zrobił i dalej dobrze egzystuje albo na sówitej emeryturze lub rencie, albo na dobrej posadzie w policji, wojsku, prokuraturach, sądach i urzędach, a także w mediach i gospodarce oraz w polityce naszego dzisiejszego państwa. Szukajmy ich i sprawdźmy.

Sprawę Operacyjnego Rozpoznania „Lider” przeciwko mnie wszczęto już 30 grudnia 1980 r., tuż po podpisaniu Porozumień Sierpniowo-Wrześniowych.

PZPR.

1. **M. Atlas** – **Wydział Administracyjny KC PZPR**, 10.08.1982, kiedy jeszcze trwało internowanie, na polecenie **M. Milewskiego** wysłał przygotowaną tajną notatkę do **Cz. Kiszcza** i **B. Stachury** dotyczącą możliwości postawienia w stan oskarżenia z art. 123 KK niektórych członków kierownictwa NSZZ „Solidarność” i KSS-KOR. Wśród 7 wymienionych osób jest moje nazwisko, ale nie ma np. Adama Michnika. Notatka zawiera oceny zbieżne z propozycjami Biura Śledczego MSW.
2. **Stefan Olszowski** – w maju 1984 sporządził on tajną notatkę i przekazał ją **W. Jaruzelskiemu**, **Cz. Kiszcza** i **W. Pożodze**. Notatka dotyczy jego rozmowy 2 maja 1984 z Dyrektorem Gabinetu Sekretarza Generalnego ONZ, Emilio Olivarezem, o przebiegu jego rozmów ze mną i pozostałymi członkami jedenastki czołowych więźniów politycznych PRL w Areszcie Śledczym na Mokotowie, abyśmy przyjęli jego ofertę wyjazdu na Zachód. Ta mało znana próba wywabienia nas z więzienia została jednak odrzucona.

WARSZAWA – RZĄD I Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

1. **gen. armii Wojciech Jaruzelski** – **Prezes Rady Ministrów**,
2. **gen. broni Czesław Kiszcza** – **Minister Spraw Wewnętrznych Kiszcza**, 8 kwietnia 1982 przedkłada tajną notatkę **Jaruzelskiemu**, a także **M. Milewskiemu**, dot. koncepcji ścigania karnego ekstremistycznych działaczy „S” oraz innych ugrupowań. Proponuje, aby z jej treścią zapoznać **prok. gen. PRL Franciszka Ruska** i **Naczelnego Prokuratora Wojskowego gen. bryg. Józefa Szewczyka**, a następnie odbyć w **KC PZPR** spotkanie dla omówienia realizacji koncepcji.
8 czerwca 1984 przedkłada **W. Jaruzelskiemu** opracowaną przez **Biuro Śl. MSW** tajną notatkę, dot.

„propozycji częściowego rozwiązania problemu aresztowanych działaczy b. KSS KOR i ekstremistycznego kierownictwa b. NSZZ „Solidarność”.

3. **gen. dyw. Wł. Ciasłoń – Wiceminister Spraw Wewnętrznych** (1982), w roku 1986 jako **Szef SB** podzielał zdanie **Biura Śl.** o celowości wszczęcia ponownego postępowania przygotowawczego wobec mojej osoby, ale – od 1984 zalecał nie stosowanie póki co wobec mnie ponownie tymczasowego aresztowania, ani żadnych innych oficjalnych karnych szykan. Nie wiem w którym momencie Biuro Śl. MSW uznało, że można przedstawić mi zarzut z art. 282 „A” par. 1 KK.
4. **gen. Bogusław Stachura – Wiceminister Spraw Wewnętrznych**, 1982
5. **gen. dyw. W. Pożoga – Wiceminister Spraw Wewnętrznych**, 1984
6. **E. Noworyta – Ministerstwo Spraw Zagranicznych**, w grudniu 1983 r. okłamał **ambasadora Francji**, że ja i inni aresztowani przywódcy „Solidarności” oraz KOR-u „*mają zapewnioną odpowiednią opiekę lekarską*”.
7. **gen. bryg. Z. Sarewicz – Dyrektor departamentu II MSW**, uczestniczy w realizacji koncepcji ścigania mnie i 6 innych czołowych przywódców „S”.
8. **gen. bryg. H. Dankowski – Dyr. Dept. III MSW**, 1984
9. **płk Józef Sasin – Dyr. Dept. V**, stał za decyzją kierownictwa MSW, w myśl której Biuro Śledcze MSW zostało zobligowane do wszczęcia śledztwa przeciwko mnie w grudniu 1982, dot. rzekomo mojej spiskowej antypaństwowej i antypartyjnej działalności.
10. **płk Czesław Wiejak – Z-ca Szefa SB**, 1986
11. **płk Z. Bilski – Nacz. Wydz. II biura „C” MSW**, 1984
12. **płk Hipolit Starszak – Dyr. Biura Śl. MSW**, 1982, uczestniczy w koncepcji ścigania mnie i 6 innych czołowych przywódców „S”.
13. **płk Zbigniew Pudysz – Dyr. Biura Śl. MSW**, 1983
14. **płk Z. Rajewski – Nacz. Wydz. I Biura Śl. MSW**, 1982
15. **płk Józef Pechal (?) – z-ca dyr. gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych**, 1985
16. **płk Zenon Płatek – dyr. dept. IV MSW**, od początku uczestniczy w opracowywaniu koncepcji ścigania mnie i 6 innych czołowych przywódców „S”.
17. **płk M. Greszta – Nacz. Wydz. V**

18. **płk Fabian Dmowski – Dyr. Dept. I MSW (wywiad)**, uczestniczy w koncepcji ścigania mnie i 6 innych czołowych przywódców „S”.
19. **płk Cz. Jackowski – Nacz. Wydz. Dept. I MSW**, 1982
20. **płk. Władysław Kuca – Dyr. Biura Studiów SB** 1984, od początku lat 80. nadzorował z ramienia MSW plan działań wobec mnie, wydając polecenia jeszcze KWMO w Katowicach.
21. **płk Stanisław Stępień – Z-ca Dyr. Biura Studiów SB**, 1986
22. **płk Zygmunt Jędryś – Nacz. Wydz. I Biura Studiów SB**, w czerwcu 1981 wydawał dyspozycje KWMO w Katowicach jak mnie zwalczać, w 1982 **Z-ca Nacz. Wydz. III Dept. V**.
23. **płk W. Ułanowski – Biuro Studiów SB**, 1984 prowadził wówczas **KO” Edward”**, czyli mojego śp. ojca.
24. **płk Adam Malik – Z-ca Dyr. Biura Studiów SB**
25. **płk Jerzy Piątkowski – Nacz. Wydz. III Biura Paszportów MSW**, 1983
26. **ppłk J. Karpacz – Dyr. Biura Śl. MSW**, 1986
27. **ppłk J. Strzelichowski – St. Insp. Wydz. III Dept. IIIA**, a potem **płk. Biura Studiów SB**. 15 lipca 1981 wraz z mjr L. Janusem Z-cą Nacz. Wydz. III A KWMO w Katowicach przyjęli plan szczegółowych i nikczemnych działań operacyjnych przeciwko mojej osobie. Strzelichowski był odpowiedzialny za jego koordynację, a Janus za realizację. 27 sierpnia 1981 plan ten został uaktualniony.
W roku 2013 Instytut Pamięci Narodowej odmówił mi ujawnienia 13 na 16 podanych w planie dla jego realizacji pseudonimów agentów bezpieczeństwa w szeregach śląskiej „Solidarności”, choć plan mówi, że na terenie woj. katowickiego wytyczne jak mnie zwalczać otrzyma ok. 170 różnie współpracujących z SB osób.
28. **ppłk St. Piega – Z-ca Nacz. Wydz. III Biura C**
29. **ppłk A. Makowski – Nacz. Wydz. XI Dept. I**, w 1987 nadzorował plan wymierzonych we mnie działań SB po moim powrocie w maju 1987 z półrocznego pobytu w USA.
30. **ppłk J. Zyglar – Nacz. Wydz. I Dept. V**, 1984
31. **ppłk Witold Stoklas – St. Insp. Wydz. I Biura Śledczego MSW**, 1982

32. **kpt. Grzegorz Piotrowski** – Nacz. Wydz. Dept. IV MSW, 1983, być może to ten sam, który należy do zabójców bł. ks. Jerzego Popiełuszki.
33. **kpt. A. Janus** – Biuro Śl. MSW, 1982
34. **kpt. Wiktor Fonfara** – Biuro Śl. MSW, 1982, potem chyba major
35. **kpt. Grudniewski** – Biuro Studiów SB, 1984
36. **kpt. Stepczyński** – Wydz. I Biura Studiów SB
37. **kpt. S. Baczyński** – Insp. Biura Śl. MSW
38. **ppor. J. Komakowski** – Insp. Biura Śl. MSW
39. **ppor. A. Kucza** – Insp. Wydz. III Dept. IIIA
40. **ppor. A. Breitkopf** – Insp. Wydz. V Biura Śl. MSW, pamiętam go z pobytu w Areszcie Śl. na Rakowieckiej.
41. **Fr. Armatys** – Nacz. Wydz. Skarg i Wniosków w Gabinetie Ministra Spraw Wewnętrznych, 1985.

STOŁECZNY URZĄD SPRAW WEWNĘTRZNYCH.

1. **ppłk J. Czeredys** – Nacz. Wydz. V
2. (?) **Kwiatkowski** – Z-ca Nacz. Wydz. IV, 1986
3. **por. W. Dziedzic** – Kier. Sekcji V Wydz. V-1, 1986

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – KATOWICE.

1. **gen. bryg. R. Szuster** – WUSW, Szef Urzęd. 1985
2. **płk Władysław Leś** – KWMO, Z-ca Komendanta Woj. d/s SB, 1981
3. **płk Z. Baranowski** – KWMO, Z-ca Komendanta Woj. d/s SB 1982
4. **płk H. Sikora** – KWMO, Z-ca Komend. d/s SB
5. **płk E. Kasperski** – WUSW, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB? sierpień 1984
6. **płk Edmund Maty** – WUSW, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB, w maju 1987 zwrócił się do Szefa Ewidencji i Techniki Operacyjnej Zarządu Zwiadu WOP w Warszawie, aby mnie dobrze skontrolować po przylocie z USA.
7. **płk Bronisław Piacko** – MUSW, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB, 1985 dysponował donosami TW „Tomek”, ale może nie był to **Józef Bał**, tylko ktoś inny o takim samym pseudonimie ze mną internowany. Dysponował także

- donosami TW „Korycki”, czyli **Zbigniew Malinowski**, przew. KZ NSZZ „Solidarność” Huty „Baildon” do 13 grudnia 1981.
8. **ppłk Kuchta (?)** – WUSW, Nacz. Wyd. „T”.
 9. **ppłk K. Janoszek** – KWMO, Nacz. Wyd. Śl. 1982
 10. **ppłk W. Janoszek** – KWMO, Z-ca Nacz. Wyd. Śledczego, od 1985 **Naczelnik** (czyżby było dwóch różnych lub dwóch braci Janoszek, albo są błędy w dokumentach?).
 11. **ppłk Zbigniew Chmielewski** – WUSW, Nacz. Wyd. V 1986
 12. **ppłk J. Wieniewski** – WUSW, Nacz. Wyd. III, 1984
 13. **ppłk H. Marchwicki** – KWMO, Nacz. Wyd. II, 1984 pracował z donosami TW „Józef Piszczek”, czyli **Józef Grajkowski** kierownik Klubu Sportowego Huty „Baildon” w Katowicach.
 14. **ppłk Wł. Fabian** – KWMO, Nacz. Wyd. IIIA – prowadził TW „**Dąbrowski**”, czyli **Zbigniewa Siczka**, sztygara z Kopalni „Dymitrow” w Bytomiu, a także nieodtajnionego mi przez IPN TW „**Szymański**”.
 15. **ppłk E. Perek** – WUSW, Z-ca Nacz. Wyd. IV, 1987 do niego wpływały donosy od TW „**Skorpion**”.
 16. **ppłk Jan Nowak** – WUSW, Wyd. „B”
 17. **ppłk S. Kuchta** – WUSW, Wyd. „PP”, w 1986 Nacz. Wyd. „T”
 18. **ppłk W. Wiechno** – WUSW Nacz. Wyd. IV 1986
 19. **ppłk Piotr Kościelniak** – WUSW, Nacz. Wyd. V 1986
 20. **mjr** od grudnia 1982 **ppłk. L. Janus** – KWMO, jako **mjr Z-ca Nacz. Wyd. III A**, a jako **ppłk. Nacz. Wyd. V-1** (główny macher działań przeciwko mnie na szczęblu województwa katowickiego).
 21. **mjr Birnbach** – KWMO, Nacz. Wyd. IV
 22. **mjr K. Goraj** – KWMO, Z-ca Nacz. Wyd. IIIA uczestnik planu działań oper. przeciwko mnie już w styczniu 1981 razem z mjr L. Janusem.
 23. **mjr W. Debudaj** – KWMO, Z-ca Nacz. Wyd. IIIA grupa oper. Rybnik
 24. **mjr A. Maciejewski** – KWMO, Z-ca Nacz. Wyd. ? 1982
 25. **mjr E. Jakubas** – WUSW, Wyd. II
 26. **mjr J. Walocha** – WUSW, Nacz. Wyd. „W” 1986
 27. **mjr L. Gaj** – WUSW, Z-ca Nacz. Wyd. „W” 1987

28. **mjr Z. Polczyk** – **KWMO**, uczestnik planu działań operacyjnych przeciwko mnie w styczniu 1981.
29. **mjr T. Wiekier** – **KWMO**, w czerwcu 1981 sporządził analizę i ocenę mojej działalności na podstawie której sformułował wnioski w jaki sposób prowadzić zwalczanie mnie; w tym aby doprowadzić do mojego załamania psychicznego, a w propagandzie w pierwszym rządzie oddziaływać na emocje odbiorców rozpowszechniając na mój temat różne kłamstwa i oszczerstwa.
30. **mjr E. Cichopek (?)** – **WUSW, Z-ca Nacz. Wydz. ?** 1986
31. **mjr Z. Drębkowski** – **KWMO, Z-ca Nacz. Wydz. Paszportów**, 1981 ma donosy od **KO „Marek”**.
32. **mjr Z. Magdziarz** – **WUSW, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB**, 1987, w jego zainteresowaniu był **TW „Mateusz”**.
33. **mjr Adam Faron** – **WUSW, Z-ca Nacz. Wydz. V**, 1987
34. **(?) Nowak** – **WUSW, Nacz. Wydz. „B”** (śledzili mnie) 1984
35. **kpt. A. Nowak** – **WUSW** 1987
36. **kpt. Henryk Fortuna** – **WUSW**, a w 1985 **st. insp. Sekcji III Wydz. V-1 RUSW K-ce**. 1 maja 1985 o godz. 9.00 rano on wraz z **por. Januszem Marszałkiem** i **R. Bagińskim** zatrzymali mnie na ulicy i na terenie **RUSW w DG** przesłuchiwali, uniemożliwiając mi dotarcie na niezależne tego dnia zgromadzenie; prowadził bardzo oddanego **TW „Mateusz”**, czyli **Pawła Sprychę**, mojego sąsiada i działacza podziemia Huty „Katowice”.
37. **kpt. M. Fortuna** – **WUSW, czł. Grupy Oper. w Gliwicach**, 1981 prowadził **TW „Max”**, czyli **Marek Suchoszek**, st. ref. w KUM „Bumar-Łabędy” w Gliwicach oraz **TW „Trojka”** czyli **Bogusława Cabana** referenta inwestycji w KUM „Bumar-Łabędy” w Gliwicach; nie wiem, czy w/w **kpt. Henryk Fortuna** to ta sama osoba.
38. **kpt. Z. Kuczera** – **KWMO, kier. grupy oper. w więzieniu w Grodkowie i Uhercach** w okresie internowania. 05.08.1982 w więzieniu w Grodkowie sporządził tajną notatkę z przeszukania mnie w Zabrze-Zaborzu przed transportem do Grodkowa. 13.08.1982 przesłuchał mnie w Grodkowie. Ponownie usiłował mnie przesłuchać 07.09.1982 w więzieniu w Uhercach, ale odmówiłem stawienia się.

39. **kpt. J. Pasek** – KWMO, Z-ca Nacz. Wydz. IIIA
40. **kpt. S. Samek** – WUSW, Nacz. Wydz. III-1 1986
41. **kpt. R. Migas** – KWMO, współwykonawca planu operac. działań przeciwko mnie już od stycznia 1981.
42. **kpt. L. Tarnowski** – KWMO, St. Insp. Sekcji III Wydz. II, prowadził TW „Maciej”.
43. **kpt. Zygmunt Kłaptocz** – MUSW, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB 1986
44. **kpt. Z. Rutkowski** – WUSW lub MUSW, 1984 pracował z donosami TW „Józef Piszczek”.
45. **kpt. Sł. Rejdak** – WUSW, Z-ca Nacz. Wydz. V-1, 1987
46. **kpt. Al. Rejdak** – WUSW, Nacz. Wydz. V 1986
47. **kpt. W. Lech** – Grupa Operacyjna KWMO w więzieniu w Uhercach (listopad 1982) gdzie byłem internowany.
48. **Kpt. J. Wach** – KWMO lub KMMO, prowadził TW „Dąbrowski”, czyli księdza Wiktora Skworca, sekretarza Biskupa Ordynariusza Diecezji Katowickiej śp. Herberta Bednorza.
49. **por. G. Owczarek** – KWMO, 1981
50. **por. J. Opitek** – WUSW, Z-ca Nacz. Wydz. V-1 1985
51. **por. Włodzimierz Ciupa** – KWMO, robił rewizję mojego mieszkania stycznia 1982
52. **por. J. Ryszkiewicz** – KWMO, Z-ca Nacz. Wydz. IIIA grupa oper. Gliwice, w październiku 1982 jest już kapitanem.
53. **por. W. Woliński** – WUSW, 1984 prowadził KO „Anna” oraz odbywał spotkania z TW „Adam”, czyli **Eugeniusz Maksymowicz** mechanik w Hucie „Katowice” i działacz „Solidarności”.
54. **por. K. Żak** – KWMO, Wydz. V prowadził TW „Marta”.
55. **por. B. Kwieciński** – WUSW, 1984
56. **por. Zenon Wnuk** – WUSW, 1984
57. **por. W. Kasperczyk** – WUSW, 1984
58. **por. Kłaptocz** – WUSW, Nacz. Wydz. III-1 rozpracowywał śp. **Grażynę Zarembę**.
59. **por. Z. Bałaziński** – WUSW
60. **por. W. Fotek** – WUSW, Z-ca Nacz. Wydz. III-1 1985

61. **por. M. Wiśniewski** – WUSW lub MUSW 1986 pracował z donosami TW „Korycki”.
62. **por. E. Gałązka** – WUSW lub MUSW, 1986 pracował z donosami TW „Jan Kowalski”.
63. **por. J. Szlachcic** – WUSW, 1987
64. **por. A. Zach** – WUSW, St. Insp. Sekcji III Wydz. V-1, 1987 razem z **kpt. Henrykiem Fortuną** obrabiał TW „Mateusz”, prowadził TW „Szmer”, czyli **Andrzej Nowak** rencista.
65. **ppor.** w grudniu 1984 **kpt. Janusz Marszałek** – KWMO, jako ppor. jest **insp. sekcji III wydz. V**, jako **por.** jest **kierownikiem sekcji III wydz. V-1** (był przy mnie przez cały czas lat 80), prowadził też TW „Rafał”.
66. **ppor. Z. Wnuk** – KWMO, 1981
67. **ppor. J. Kopczyński** – KWMO, 1981
68. **towarzysz Nowak** – WUSW, Nacz. Wydz. B
69. **ppor. M. Olesiński** – KWMO, Insp. Sekcji V Wydz. III – był w Inowrocławiu we wrześniu 1980 wraz z **red. Mirosławem Słomczyńskim z ośrodka TV K-ce i pracownikiem Wydz. B** u mojej pierwszej żony, przed którą wystąpili jako rzekoma ekipa reporterska TV K-ce chcąc ją naciągnąć na jakieś niepoehlebne o mnie komentarze. Ona im jednak odmówiła.
70. **ppor. Wiesław Flak** – KWMO, 1981, przesłuchiwał mnie 17.12.1981 r. w areszcie komendy jako internowanego.
71. **ppor. Wiesław Flak** – KWMO wydz. śledczy, w 1985 jest **por. MUSW**, nie wiem czy to ta sama osoba, co powyżej **ppor. Wiesław Flak**.
72. **ppor. R. Czupryna** – KWMO, 1981 prowadził TW „Janka”, czyli **Jan Odor**, trener odnowy biologicznej sekcji zapaśniczej GKS Katowice.
73. **insp. Z. Musiał** – Komisariat V MO, 1987
74. **chor. Ryszard Lupa** – WUSW, wydz. W (?)
75. **chor. Cz. Stanosz** – WUSW lub MUSW, w październiku 1985 prowadził m. in. TW „Jan Kowalski”.
76. **chor. W. Musiał** – WUSW lub MUSW, w 1986 prowadził TW „Bohdan”, który chodził na niezależne wykłady w ośrodku Duszp. Akad. Przy ul. Wita Stwosza 16 w Katowicach.
77. **mł. chor. Andrzej Żurawski** – WUSW, Insp. Sekcji VI Wydz. V-1. syn

Mariana ur. 05.12.1957 w Zawierciu, leg. sł. 542455, śledził „Solidarność” jeszcze przed stanem wojennym. Chyba w 1985 on wraz z **insp. SB Markiem Grzembką** i **insp. SB Janem Kamińskim** robili za świadków przed kolegium, gdzie sądzić mnie chcieli za udział w zgromadzeniu 16 grudnia pod Kopalnią „Wujek”, ale nie pamiętam dalszych szczegółów.

78. **mł. chor. Tadeusz Piotrowski** – WUSW 1984
79. **mł. chor. A. Kwieć** – WUSW, **Insp. wydz. V-1**
80. **st. sierż. A. Kokoszka** – WUSW albo MUSW, w 1985 prowadził TW „Ola”, czyli **Beatę Cichosz** z miejsca pracy mojej żony w przychodni lekarskiej przy ul. Mickiewicza w Katowicach.
81. **sierż. sztab. Marian Włodarczyk** – WUSW lub MUSW, 1987
82. **st. sierż. L. Wojewoda** – MUSW (?) **Insp. Sekcji III SB**, prowadził TW „Tomek”, ale nie wiem, czy chodzi o **Józefa Bala**, współpracownika **K. Świtonia** w Komitecie WZZ przed sierpniem 1980, chodzi o osobę, która razem ze mną była internowana.
83. **plut. W. Jurkowski** – KWMO, prowadzi TW „Antoni”.
84. **st. szer. Arkadiusz Góral** – WUSW, **Insp. Wydż. V-1**
85. **st.szer. K. Różański** – MUSW, **Insp. Sekcji III SB**, też prowadził TW „Tomek”, czyli **Józefa Bala**, współpracownika **K. Świtonia** z Kom. WZZ przed sierpniem 1980.
86. **Henryk Śladowski** – WUSW, **Insp. SB**, 1985
87. **Wiesław Dobrzański** – WUSW, **Insp. SB**, 1985
88. **Marek Grzembka** – WUSW, **Insp. SB**, 1985, s. **Józefa**, ur. 18.08.1959 w Chorzowie, leg. sł. 542706
89. **Jan Kamiński** – WUSW, **Insp. SB**, 1985, s. **Jana**, ur. 09.04.1946 w Aleksandrowie Kujawskim, leg. sł. 534284, w 1985 16 grudnia robił zdjęcia mnie i innym osobom na trasie przemarszu i pod Kopalnią „Wujek”.
90. **M. Kwaśny** – WUSW, **Wydż. III**, prowadził SOR na KPN.
91. **E. Kubień** – WUSW, **Wydż. III**
92. **B. Sieroń** – WUSW, **Wydż. T**
93. **chor. J. Smorąg** – MUSW, **Z-ca Nacz. Wydż. V SB**, prowadził TW „Korycki”, czyli **Zbigniew Malinowski** do 13.12.1981 przew. KZ NSZZ „S” w Hucie „Baildon” w Katowicach.

94. **Ossowski** – WUSW, Wydz. V
95. **Mieczysław Mokros** – WUSW, Z-ca Nacz. Wydz. V (?) 1986
96. **st. szer. K. Różański** – MUSW, insp. Sekcji III SB, 1986 uczestniczył w prowadzeniu TW „Tomek”, ale może nie chodzi o **Józefa Bala**, lecz o osobę o takim samym pseudonimie, która była razem ze mną w internowaniu.
97. **Łysik** – KWMO, szyfrant 1981
98. **Nocoń** – KWMO, szyfrant 1981
99. **Adamczyk** – KWMO, szyfrantka 1981
100. **Wójcik** – KWMO, szyfrant 1981

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – DĄBROWA GÓRNICZA

1. **ppłk J. Biedermann** – Komendant KMMO w październiku 1981, w 1984 Szef RUSW
2. **mjr J. Pasek** – Z-ca Szefa RUSW d/s SB, 1984 przysyłał wyżej donosy od TW „Artur”, czyli **Andrzeja Grajewskiego** prac. Huty „Katowice” i mojego sąsiada.
3. **mjr Wł. Gnatowski** – RUSW, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB 1986 przysyłał wyżej donosy od TW „Artur”, czyli **Andrzeja Grajewskiego** prac. Huty „Katowice” i mojego sąsiada oraz od TW „Roman”, czyli **Jana Długosza** prawnika, który też uczestniczył w intrygach SB wokół choroby mojej żony i TW „Bogdan”, czyli **Janusza Porca** st. mistrza w Hucie „Katowice”.
4. **kpt. Kagan** – MUSW, 1987 prowadził wówczas TW „Anna”.
5. **kpt. Józef Pańczyk** – RUSW, 1985 prowadził wówczas TW „Kmicic”.
6. **kpt. Jan Chojowski** – RUSW, Wydz. Kryminalny, w listopadzie 1985 zaangażowany do działań przeciwko mojej osobie, 12.11.1985 referuje kłamstwa na mój temat.
7. **por. Cz. Adamczyk** – RUSW, 1985, prowadził KO „Fa” oraz TW „Leszek”, czyli **Wiktor Jankowski**, spawacz w „Piecoexport” w Dąbrowie Górniczej, TW „Szczepan”, czyli **Stanisław Niedziela** brygadzysta w Hucie „Katowice”.
8. **por. K. Barański** – RUSW, 1985 prowadził TW „Zbyszek”, czyli Ry-

szarda Kucharskiego dyżurnego ruchu przewozów kolejowych w Hucie „Katowice” oraz dysponował donosami od **TW „Artur”**.

9. **por. Z. Gajos** – **KMMO**
10. **por. Lisowski** – **RUSW**, 1985
11. **por. Łuszczewski** – **RUSW**, 1985
12. **ppor. Zbigniew Kostka** – **RUSW**, 1985 prowadził **TW „Bogdan”**, czyli **Janusza Porca**, st. mistrza w Hucie „Katowice”.
13. **st. sierż. Leszek Kizlich (?)** – **KMO II**, 1985
14. **sierż. Bogdan Kosno** – **RUSW**, 1985
15. **sierż. Marian Flak** – **KMO II**, 1985 doniósł, że w moim bloku na 8 piętrze wywieszono z balkonu duży transparent „Solidarność” – ja go wywiesiłem na moim balkonie.
16. **mł. chor. Henryk Koch** – **KMO II**, 1985 też z powyższej paczki.
17. **sierż. sztab. Stanisław Sobań** – **RUSW**, 1985
18. **st. sierż. A. Trzcionka** – **RUSW**, 1985
19. **sierż. Krzysztof Tomzik** – **RUSW**, 1986 prowadził **KO „K”**.
20. **sierż. Krzysztof Tomzik** – **RUSW**
21. **plut. Andrzej Bocianowski** – **RUSW**, firmuje tzw. wywiad środowiskowy z 26.01.1983 o mojej osobie będący stekiem kłamstw.
22. **plut. Jarosław Kasprzyk** – **IV KMO**, dzielnicowy
23. **kpr. Jacek Podsiadło** – **RUSW**, 1985

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – SOSNOWIEC

1. **kpt. St. Paczyński** – **MUSW**, **Z-ca Szefa Urzędu d/s SB** 1985
2. **por. Kazimierz Hąc** – **MUSW**, **Insp. SB** 1985
3. **por. Jerzy Flak** – **MUSW**, 1986

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – CHORZÓW

1. **ppłk A. Polak** – **MUSW**, **Z-ca Szefa Urzędu d/s SB** 1986
2. **st. chor. Z. Śpiewak** – **MUSW**, **Kierownik Grupy Oper. Wýdz. IIIA** –

SB, MILICJA, WOJSKO, PROKURATURY, SĄDY, URZĘDY PRL KONTRA...

w 1984 pod tym samym imieniem i nazwiskiem, ale jako **st. chor.** jest także **Kier. Sekcji V SB.**

3. **mł. chor. J. Daniec** – MUSW, **insp. SB**, prowadził TW „012”
4. **chor. M. Fabisiak** – MUSW, 1986 pracował z donosami TW „012”, czyli **Janusz Czerny** nauczyciel Szkoły Podst. nr 21 w Chorzowie.
5. **kpr. Jerzy Chmielewski** – MUSW, 1985 opracowywał informacje TW „012”.

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – RUDA ŚLĄSKA

1. **mjr Henryk Kołodziejski** – MUSW, **Z-ca Szefa Urzędu d/s SB** 1986
2. **kpt. Mucha** – **Kierownik Komisariatu I MO** 1980, prowadził TW „Delta”.
3. **por. W. Szczepański** – Insp. Wyd. II, 1980 prowadził KO „Delta”.

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – BĘDZIN

1. **mł. chor. Janusz Wites** – sekcja „W” 1984
2. **plut. Leszek Biedak** – sekcja „W” 1984

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – ZAWIERCIE

1. **por. W. Sikorski** – RUSW, **Z-ca Szefa Urzędu d/s SB.**
2. **chor. Romuald Radosz** – RUSW
3. **chor. Leszek Łyczak** – RUSW, 28.11.1985 W. Sikorski i L. Łyczak **w Sądzie Rejonowym w Zawierciu** „zabezpieczali” proces polityczny **Zbigniewa Jarosa i Jana Płazy**. Oskarżał wiceprokurator Prokuratury Rejonowej w Zawierciu **Czesław Sikorski**.

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – GLIWICE

1. **ppłk K. Goraj** – RUSW, **Z-ca Szefa Urzędu d/s SB** 1986 pracował z donosami TW „A.G.”

2. **kpt. J. Rzesutek** – RUSW, w 1985 prowadził **SOR krypt. „Balon”** związaną ze śp. **Markiem Gabrysiem**.
3. **kpt. M. Wesołowska** – RUSW, **seksbomba**, oskarżyciel w sprawach politycznych, 1987
4. **kpt. Jan Sulima** – RUSW 1986
5. **kpt. Zbigniew Przytocki** – RUSW 1986
6. **por. M. Łaba** – RUSW 1985
7. **por. Zbigniew Stachowiak** – RUSW 1986 pracował z donosami **TW „A.G.”**, który spotykał się z ukrywającym się przew. RKW i członkiem **TKK Janem Andrzejem Górnym** prawdopodobnie też agentem służb.
8. **chor. Jerzy Oparczyk** – RUSW 1986

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – ZABRZE

1. **ppłk S. Mączko** – MUSW, **Z-ca Szefa Urzędu d/s SB**
2. **Pilch** – MUSW, ostro zwalczał podziemie niepodległościowe w Zabrzu.

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – ŚWIĘTOCHŁOWICE

1. **mjr Z. Jasik** – MUSW, **Z-ca Szefa Urzędu d/s SB**, 1986

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – ŻORY

1. **por. M. Kryszak** – RUSW, **Z-ca Szefa Urzędu**, 1986

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – JASTRZĘBIE-ZDRÓJ

1. **Podsiadło** – MUSW, **Z-ca Szefa Urzędu**

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI WOJ. ŚL. Z NIEROZPOZNANEJ
MIEJSCOWOŚCI W JAKIEJ DZIAŁALI

1. **płk Wacław Ułanowski** – **Z-ca Nacz. Wydz. I**
2. **płk Pechal**
3. **ppłk St. Opoczyński** – 1980 Sosnowiec?
4. **mjr L. Wójcik** – Zabrze?
5. **kpt. K. Goraj** – **Z-ca Nacz. Wydz. IV**

6. **kpt. J. Oblutowicz** – **St. Insp. Wydz. III Grupy Oper. Gliwice** 1986
7. **kpt. Fafara** – w lutym 1985 ma spotkanie z nieodtajnionym mi przez IPN TW „Lew”, na którym ten referuje esbekowi szczegóły prawnej sytuacji mojego mieszkania, którego chciano mnie pozbawić.
8. **kpt. Z. Kuczma** (?)
9. **por. G. Owczarek** – prowadził TW „Karol”, czyli **Jana Jaśniaka**, referenta w Domu Górnika Kopalni „Rozbark” w Bytomiu.
10. **por. W. Harasymowicz** – **Wydz. IV, Kierownik Grupy Oper. Tychy**
11. **por. W. Muszyński**
12. **por. Roman Czabański** – Katowice lub Gliwice, **Wydz. V-2**,
13. **por. E. Szwaczek** – prowadził nieodtajnionego mi TW „Skorpion”, który był może z Gliwic.
14. **por. W. Szczepański** – **Insp. Wydz. II** być może z Rudy Śląskiej też prowadził nieodtajnionego mi przez IPN **KO „Delta”**.
15. **por. Waldemar Pięta** – prowadził TW „Ambroży”, czyli **Edwarda Gwareckiego** z Olkusza, kier. biblioteki KGH „Bolesław” w Bukownie.
16. **por. Janusz Świeca** – z Katowic lub Dąbrowy Górniczej, wymieniony w planie zajęcia siedziby MKK NSZZ „Solidarność” w Dąbrowie Górniczej po wprowadzeniu stanu wojennego.
17. **ppor. Tadeusz Mokrzycki** – Z Chorzowa? też prowadził nieodtajnionego mi przez IPN **KO „Delta”**.
18. **R. Bagiński** – oficer SB
19. **mł. chor. M. Fabisiak** – prowadził TW „012”, 1985
20. **sierż. sztab. Marek Kołodziejczyk** – 1986
21. **plut. W. Jurkowski** – prowadził TW „Antoni”, czyli **Zbigniewa Olszewskiego**, kierowcę w Wojewódzkim Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług w Katowicach.

FUNKCJONARIUSZE SB I MILICJI – INNE REJONY KRAJU

1. **płk Bańgosz** – **WUSW Wrocław, Nacz. Wydz. Śledczego**
2. **kpt. Nawalski** – **WUSW Wrocław**
3. **ppłk J. Maćkowiak** – **WUSW Leszno, Nacz. Wydz. III** 1985
4. **mjr Sławomir Sokołowski** – **KWMO Szczecin, Nacz. Wydz. V**

5. mjr C. Piechowiak – RUSW Inowrocław, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB 1985
6. mł. chor. J. Stec – RUSW Inowrocław (?) Insp. SB
7. ppłk Zbigniew Pawlicki – WUSW Gdańsk, Inspektorat II 1986
8. kpt. Andrzej Seniuc – WUSW Gdańsk, Z-ca Kier. Inspektoratu 2 SB 1984
9. kpt. Leszek Wojtarowicz – WUSW Nowy Sącz, Nacz. Wydz. III 1986
10. Chmielowski – WUSW Nowy Sącz, Nacz. Wydz. V
11. kpt. R. Włodarczyk – WUSW Nowy Sącz, Z-ca Nacz. Wydz. V
12. J. Jasiński – WUSW Nowy Sącz, Z-ca Nacz. Wydz. III
13. Funk -WUSW Nowy Sącz, St. Insp. Wydz. III
14. kpt. R. Durczyński – WUSW Łódź, Z-ca Nacz. Wydz. III
15. por. J. Kasprzak – RUSW Głogów, Z-ca Szefa Urzędu d/s SB
16. ppor. Ryglicki – WUSW Legnica, Z-ca Nacz. Wydz. V
17. por. W. Rudolph – RUSW Rabka-Zdrój, Szef Urzędu 1984
18. ppor. Krzysztof Rybiński – RUSW Rabka-Zdrój, 1984
19. st. kpr Gergont – RUSW Rabka-Zdrój, 1984
20. Gancarczyk – RUSW Rabka-Zdrój, szyfrant Urzędu, 1984
21. mjr Zdzisław Gorczyca – KWMO Krosno, Nacz. Wydz. Śl. 1982

PROKURATURY I PROKURATORZY.

1. **Prokuratura Wojewódzka w Katowicach** 20 marca 1981 wszczęła wobec mnie śledztwo NR II DS 38/81 o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości i szkalowanie organizacji politycznej – PZPR, tj. o przestępstwo z art. 237 KK i 271 par. 1 w zw. z art. 273 par. 1 KK.
2. **Prokuratura Wojewódzka w Katowicach** 14 lipca 1981 wszczęła wobec mnie drugie śledztwo NR II DS 89/81 w sprawie rozpowszechniania w okresie od jesieni 1980 do lipca 1981 na terenie województwa katowickiego przy pomocy druków, ulotek i innych pism fałszywych wiadomości mogących wyrządzić poważną szkodę interesom PRL, tj. o przestępstwo z art. 271 par. 1 w zw. z art. 273 par. 1 KK. Prokuratura śledztwo zleciła w całości Wydz. Śl. KWMO Katowice.

1. **gen. bryg. Józef Szewczyk – Naczelnny Prokurator Wojskowy, Z-ca Prokuratora Generalnego PRL 1982.**
2. **Leszek Pietrański – Sekretariat Z-cy Prokuratora Generalnego, 1982**
3. **E. Nakonieczny – Prokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach, 1986, był głównym prowadzącym śledztwo na Śląsku przeciwko mojej osobie.**
4. **Kupiec – wysoki rangą prokurator w woj. katowickim**
5. **Kołodziejczyk**
6. **Czesław Sikorski – Wiceprokurator Prokuratury Rejonowej w Zawierciu, 28.11.1985 w Sądzie Rejonowym w Zawierciu również oskarżał w procesie politycznym Zbigniewa Jarosa i Jana Płazę.**
7. **płk. Ryszard Szczęśny – Prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, był moim bezpośrednim głównym prześladowcą ze strony NPW od chwili aresztowania mnie przez niego 22 grudnia 1982 do ostatniego dnia mojego pobytu w Areszcie Śl. przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie, do 8 sierpnia 1984.**
8. **płk Adam Suski – Z-ca Naczelnego Prokuratora Wojskowego** decyzją z dnia 07.02.1983 r. nieuwzględnił on mojego zażalenia na postanowienie prokuratora NPW z dn. 05.01.1983 r. o nieuwzględnieniu mojego wniosku o uchylenie wobec mnie tymczasowego aresztowania.
9. **płk Z. Szawłowski – Wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, 1984**
10. **płk Zdzisław Gaździk – Wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, 1984**
11. **R. Gockiewicz – Prokurator Rejonowy Prokuratury Rejonowej w Dąbrowie Górniczej, 18.04.1985 r. włączył się w próby odebrania mi mieszkania.**
12. **płk Bolesław Kliś – Szef Oddziału V Naczelnej Prokuratury Wojskowej, postanowieniem z 21 marca 1983 r. przedłużył śledztwo i tymczasowe aresztowanie o następne 3 m-ce dla mnie i sześciu innych przywódców „Solidarności”, więźniów tzw. jedenastki.**
13. **R. Cockiewicz – Prokurator Rejonowy Prokuratury Rejonowej w Dąbrowie Górniczej, w marcu 1985 r. oddalił moją skargę na utrudnianie zameldowania w moim mieszkaniu mojej żony z dzieckiem i odmówił wszczęcia prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa.**

WOJSKO

1. **ppłk Tadeusz Smoszna – Z-ca Szefa Wydz. WSW 1 Brygady Radio-Technicznej** – służba ta współpracowała z SB – śledzili mojego brata Romana pełniącego zasadniczą służbę wojskową.
2. **ppłk J. Rybkowski – Szef Wydz. Ewidencji i Techniki Operacyjnej Zarządu Zwiadu WOP** w Warszawie, w maju 1987 przyjął zlecenie płk. SB z WUSW w Katowicach, aby mnie dobrze zrewidować po przylocie z USA na lotnisku Okęcie. Zrealizowano je z wielką gorliwością, w wyniku czego nie było wiadomo, czy lub kiedy mnie puszczą, a czekająca na mnie w hali żona z dzieckiem dostała rozstroju nerwowego.
3. **Garnizonowy Sąd Wojskowy Okręgu Śląskiego** 28.03.1983 na sesji wyjazdowej w Katowicach skazał za działalność na rzecz niepodległości działaczy środowiska Huty „Katowice”: **Pawła Sprychę (został TW), Stanisława Kukiełkę, Mirosława Flaczyńskiego, Józefa Stolarczyka, Marka Linczowskiego, Emila Wołowca i Eugeniusza Kowalskiego.**

SŁUŻBA WIĘZIENNA I ARESZTY.

1. **lek. med. Jan Kaczorowski (?) – Dyr. szpitala Ar. Śl. w W-wie Mokotowie**, 1983, bagatelizował stan mojego zdrowia w areszcie, jak i pozostali lekarze aresztu.
2. **lek. med. Z. Wroński – specj. chorób wew. ordynator oddz. wew. szpitala AŚ Warszawa Mokotów**, 1983
3. **dr med. M. Ryłski – konsultant kardiologiczny AŚ Warszawa Mokotów**, 1983
4. **lek. med. Jerzy Passart – specj. chirurg, ordynator oddz. chirurgicz. szpitala AŚ Warszawa Mokotów.** 5. **Arkadiusz Leszczyna – lekarz w więzieniu Zabrze-Zaborze w okresie internowania.**

SĄDY.

Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Katowicach w składzie:

1. **Wieczorek** – Prezes Sądu
2. **Bolesław Rogalski** – sędzia
3. **Karol Szostek** – ławnik
4. **Ryszard Szandar** – ławnik
5. **Krystyna Oleś** – **protokolant** na rozprawie w dniu 28.01.1985 r. na życzenie SB wydał wyrok uniemożliwiający mi powrót do pracy w Hucie „Katowice” po warunkowym zwolnieniu mnie z więzienia w sierpniu 1984 r., skazując tym samym mnie i moją rodzinę na kilka lat życia bez środków do życia. W moją sprawę zaangażowany był również –
1. **T. Szweda** – **sędzia**, który prowadził wówczas również manipulowaną przez SB sprawę R. Świtonia.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie przy udziale prok. wojskowego NPW **plk. Ryszarda Szczęsnego**, dnia 14 stycznia 1983 r. nie uwzględnił mojego zażalenia na tymczasowe aresztowanie i utrzymał je w mocy. Sąd ten orzekał w składzie:

1. **ppłk Władysław Monarcha** – przewodniczący
2. **kpt. Krzysztof Plichtowicz** – sędzia
3. **ppor. Bogdan Górski** – sędzia
4. **sekr. sąd. Ewa Wańkiewicz** – protokolant

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie w składzie:

1. **ppłk Władysław Monarcha** – przewodniczący
2. **kpt. Krzysztof Plichtowicz** – sędzia
3. **kpt. Lech Lindecki** – sędzia
4. **plut. pchor. Grzegorz Górski** – **protokolant** na posiedzeniu w dniu 12.04.1983 r. nie uwzględnił zażalenia mojego obrońcy i utrzymał w mocy tymczasowe aresztowanie mnie.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie w składzie:

1. **ppłk Władysław Monarcha** – przewodniczący
2. **ppłk. Jerzy Przygodzki** – sędzia
3. **ppłk. Henryk Urbanowicz** – sędzia 4. **sekretarz Maria Kubicka** – **protokolant** na posiedzeniu w dniu 17 czerwca 1983 r. postanowił przedłużyć tymczasowe aresztowanie o dalsze 3 m-ce wobec mnie i sześciu innych przywódców „Solidarności”.

Sąd Najwyższy – Izba Wojskowa w składzie:

1. **płk Czesław Bakalarski** – przewodniczący (spraw.) – sędzia SN
2. **płk Edward Olczak** – sędzia SN
3. **kpt. Wojciech Oziębło** – sędzia SN na posiedzeniu w dniu 25.08.1983 r. nie uwzględnił zażalenia mojego obrońcy i utrzymał w mocy tymczasowe aresztowanie mnie.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie w składzie:

1. **ppłk Władysław Monarcha** – przewodniczący
2. **ppłk Jerzy Przygodzki** – sędzia
3. **kpt. Jerzy Jerzy Steckiewicz** – sędzia
4. **st. sekr. Zofia Kucharska** – **protokolant** na posiedzeniu w dniu 20.09.1983 r. postanowił przedłużyć tymczasowe aresztowanie o dalsze 3 m-ce wobec mnie i sześciu innych przywódców „Solidarności”.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie w składzie:

1. **płk Władysław Monarcha** – przewodniczący
2. **mjr Jerzy Steckiewicz** – sędzia
3. **por. Jan Malinowski** – sędzia
4. **plut. pchor. Andrzej Copija** – **protokolant** na posiedzeniu w dniu 14.12.1983 r. postanowił przedłużyć tymczasowe aresztowanie o dalsze 3 m-ce wobec mnie i sześciu innych przywódców „Solidarności”.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie w składzie:

1. **płk Władysław Monarcha – przewodniczący**
2. **płk Henryk Urbanowicz – sędzia**
3. **por. Jan Malinowski – sędzia**
4. **sekr. Lucyna Przygódzka – protokolant** na posiedzeniu w dniu 19.03.1984 r. postanowił przedłużyć tymczasowe aresztowanie o dalsze 3 m-ce wobec mnie i sześciu innych przywódców „Solidarności”.

Sąd Najwyższy – Izba Wojskowa w składzie:

1. **płk Czesław Bakalarski – przewodniczący sędzia SN**
2. **płk Edward Olczak – sędzia SN**
3. **kpt. Wojciech Oziębło – sędzia SN**, sprawozdawca na posiedzeniu w dniu 24 kwietnia 1984 r. nie uwzględnił mojego i zażeń sześciu innych przywódców „Solidarności” na decyzję o przedłużeniu tymczasowego aresztowania nas i utrzymał ją w mocy.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie w składzie:

1. **płk Władysław Monarcha – przewodniczący**
2. **por. Remigiusz Chmielewski – sędzia**
3. **por. Jan Malinowski – sędzia**
4. **sekr. Lucyna Przygódzka – protokolant** na posiedzeniu w dniu 15.06.1984 postanowił przedłużyć tymczasowe aresztowanie o dalsze 3 m-ce wobec mnie i sześciu innych przywódców „Solidarności”.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie w składzie:

1. **płk Władysław Monarcha – przewodniczący**
2. **mjr Zbigniew Steckiewicz – sędzia**
3. **kpt. Lech Lindecki – sędzia (referent)**
4. **sekr. sąd. Alicja Jałowiecka – protokolant** na posiedzeniu w dniu 21.01.1985 postanowił orzec cyt. *„przepadek i zniszczenie dokumentów, nielegalnej literatury i innych przedmiotów, których posiadanie jest zakazane lub wymaga zezwolenia, zakwestionowanych...”* u **mnie, Andrzeja Gwiazdy i Karola Modzelewskiego**, ponieważ *„na podstawie Ustawy z dn.*

21.07.1984 r. śledztwo wobec tych podejrzanych zostało umorzone, a prokurator złożył stosowny uzasadniony wniosek, należało postanowić jak na wstępie”.

Grodzki – sędzia Sądu Wojewódzkiego w Katowicach, w 1987 zajmował się sprawami „Solidarności”.

Jankowiak – Prezes Sądu Rejonowego w Katowicach, 1987

Sikta (Siuta?) – sędzina Sądu Rejonowego w Katowicach, 1987

ADMINISTRACJA I INNI

1. **Zbigniew Prześlica – Dyr. Wydziału Urzędu Woj. w Katowicach**, decyzją z 21.10.1986 pod rygorem natychmiastowej wykonalności zakazuje mi i innym osobom założenia i prowadzenia jawnej działalności Regionalnej Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego.
2. **Jerzy Kańtoch – Gł. Specjal. Kadr i Szkolenia Huty „Katowice”**, 1984, wykonywał polecenie SB, aby odmówić mi ponownego przyjęcia do pracy w Hucie po moim wyjściu z więzienia.
3. **Jacek Jamroz – Dyr. ds. Pracy Huty „Katowice”**, 15.02.1985 żądał, abym oddał Hucie moje mieszkanie w Dąbrowie Górniczej, działając na polecenie kierownictwa WUSW w Katowicach.
4. **Tadeusz Jara – Gł. Specj. ds. Socjalno-Bytowych w Hucie „Katowice”**, w końcu roku 1984 odmówił zameldowania mojej żony i dziecka w moim mieszkaniu w Dąbrowie Górniczej.
5. **Kazimierz Trepka – Kierownik Wydz. Społeczno-Administracyjnego Urzędu Miejskiego w Dąbrowie Górniczej**, w roku 1985 uczestniczył w szykanowaniu mnie i mojej najbliższej rodziny związanym z niemożliwością jej zameldowania na pobyt stały w moim mieszkaniu.
6. **Jerzy Stepanik – Kierownik Działu Gosp. Mieszkaniowo-Hotelowej Huty „Katowice”**, decyzją z 28.11.1984 odmawiał zameldowania w moim mieszkaniu mojej żony z dzieckiem.
7. **Grażyna Czechowska – St. Administrator Spółdzielni Mieszkaniowej „Metalurg” w Dąbrowie Górniczej**, w roku 1985 również uczestnicząca w w/w szykanowaniu mnie i mojej rodziny.

8. **Ryszard Ryza – Dyr. Pracy Huty „Katowice”**, 14.01.1983 wystawił mi złą opinię jako pracownikowi Huty dla **Oddziału V Naczelnej Prokuratury Wojskowej** w Warszawie.
9. **Mariusz Molęda – Gł. Specjalista Gospodarki Kadrowej Huty „Katowice”**, 1983, firmował szykany wobec mnie jako byłego pracownika Huty.
10. **Janusz W. – Z-ca Kier. Wydz. Spraw Lokalowych Urzędu Miejskiego w Katowicach**, 1985, współpracował z SB, aby mnie z rodziną eksmitować z Dąbrowy Górniczej do Katowic na Dąbrówce Małej, gdzie moja żona miała nigdy nie wykorzystany z uwagi na potrzebę remontu, kwaterunkowy przydział na kawalerkę zanim zawarliśmy związek małżeński.
11. **Zbigniew Nowosielski – Dyrektor Urzędu Pocztaowo-Telekomunikacyjnego w Sosnowcu**, 1983, uczestniczył w szachrajstwach bezpieki, polegających na niedoręczeniu mi wysłanego listu poleconego do Aresztu Śledczego, przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie.
12. **dr Stępień – Kierownik Oddziału Terenowego ZOZ w Szopienicach**, 1985 uczestniczył w matactwach SB przeciwko mojej żonie związanych z jej chorobą, niezdolnością do pracy i rentą.
13. **Grzegorz Straszewski – Czł. Placówki ORMO przy Kopalni „Wieczorek” w Katowicach** zaangażowany w prześladowanie rodziny mojej żony.
14. **Kazimierz Barbel – Kierownik Zarządu Nieruchomości Kopalni „Wieczorek”**, 1986 wraz z TW „**Wiktorem**” uczestniczył w knowaniach związanych z mieszkaniem mojej teściowej.
15. **dr Z. Pajewski – Kier. Przychodni Lekarskiej przy ul. Mickiewicza w Katowicach**, był przełożonym pracującej tam mojej żony jako jego pomoc administracyjna, sądzę, że **SB pozyskała go jako KO** przeciwko niej we wrześniu 1985, albo wcześniej.
16. **lek. med. Wacław Boliński** – w roku 1985 pracował dla ambulatorium KMMO w Dąbrowie Górniczej.

Terenowa Komisja Odwoławcza do Spraw Pracy w Dąbrowie Górniczej

w składzie:

1. **A. Nowak** – przewodniczący
2. **C. Swoboda** – członek
3. **W. Zommer** – członek
4. **M. Sarzalska** – protokolant w dniu 28.11.1984 swoim postanowieniem oddaliła moje odwołanie się od decyzji Huty „Katowice” odmawiającej ponownego przyjęcia mnie do pracy w Hucie.

CZY FILOZOFIA (POLSKA) MOŻE WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ?

W dniach 20–21 września 2018 roku, dla uczczenia setnej rocznicy odzyskania niepodległości na Uniwersytecie Warszawskim odbyło się X seminarium Historyków Filozofii Polskiej. Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego reprezentował dr Bohdan Urbankowski, który podczas sesji plenarnej wygłosił wykład *Czy filozofia (polska) może wybrać się na niepodległość?*

Panie, Panowie

Cieszę się z zaproszenia – w tej uczelni spędziłem najpiękniejsze lata – 10 lat młodości. W tym budynku spędziłem wiele godzin, też pięknych, bo zamiast lektur czytałem przeważnie prohibita. Wokół tego budynku ganiailiśmy w Marcu '68 bijąc się z „aktywem” i gołędziniakami... Należę do pokolenia, dla którego używanie imienia Patrona naszej uczelni było trudną deklaracją polityczną. Więc cieszę się dodatkowo z tego, że w świętowaniu 100 rocznicy odzyskania Niepodległości nie brak akademickiej wspólnoty Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

Tytuł mojego wystąpienia Czy filozofia (polska) może wybrać się na niepodległość zawiera ukryte założenie, a nawet dwa: że niepodległość jest czymś wartym wysiłku, i że dziś jej nie posiadamy. Nie jest to sytuacja taka jak pod zaborami, ani nawet taka jak w PRL, najbardziej przypomina sytuację Akademii Krakowskiej z roku 1810, kiedy otrzymaliśmy Księstwo Warszawskie i należało zaczynać wszystko od początku – znów żyjemy w epoce wstępu. Stąd nawiązanie do znanej rozprawy Feliksa Jarońskiego *Jakiej filozofii Polacy potrzebują?*¹, ale i do książki *Czy Polacy mogą wybrać się na niepodległość* (1800)

¹ Pełny tytuł: *Jakiej filozofii Polacy potrzebują? Rozprawa na publicznym posiedzeniu Akademii Krakowskiej, dla obchodu pamiętki traktatu w Wiedniu 1809 zawartego i upamiętnienia wolności handlowej miasta Krakowa, dnia 15 października r. 1810 zebrany czytana, Kraków*

Józefa Pawlikowskiego, sekretarza Kościuszki. (Zmarł niedaleko stąd, w więzieniu w 1829 roku).

Do tych nazwisk powinno zostać dopisane nazwisko Adama Zubelewicza, ale także nazwiska twórcy Mazurka Dąbrowskiego, czy twórcy Śpiewów historycznych². To prace komplementarne, żagle tego samego okrętu. Cel wyprawy wskazał w 1797 Józef Wybicki. Warto przypomnieć dwie pominięte przez historię strofy;

Marsz, marsz Dąbrowski! Z ziemi włoskiej do polskiej, / Naród na cię czeka! / Przyjdź z prawem człowieka. // Choć sąsiady nas zniszczyli / I broń nam zabrali / Sparty murem piersi byli / I te nam zostały. // Marsz, marsz Dąbrowski ...

Hasłami legionistów są tu bliskie nam wszystkim idee, które były hasłami Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i utrwalone zostały na medalu „Solidarności” *Za walkę o niepodległość i prawa człowieka*. Przekonanie, że wartości ukryte w piersiach mogą zastąpić broń i mur obronny – przekonanie rodem z rycerskiego sarmatyzmu, można znaleźć u Andrzeja Fredry. To światła oddalone od siebie, ale, jakby powiedział Herbert, światła które nawzajem sobie dają znaki.

1. Wiemy czym jest filozofia.

Padły tu słowa filozofia i niepodległość.

Co do pierwszego z pojęć zakładam, że wszyscy wiemy o co chodzi – inaczej by nas tu nie było, nie odbyłaby się żadna konferencja filozofów. To jakby powiedział Piłsudski „wyznawanie idei czynem” – maksyma ta jest ważna również i w sprawach drobnych: uczestnictwem w spotkaniu wyznajemy, że jesteśmy filozofami – w domyśle: my wiemy co to jest filozofia.

Nie chcę w tym miejscu kwestionować trudu pokoleń nad **zdefiniowaniem filozofii**, wielowiekowe prace dowodzą jednak tego, że dobrej definicji widocznie być nie może, każda definicja jest w mniejszym czy większym stopniu metaforą (człowiek to zwierzę układające wiersze) każda przywołuje

1810. Jaroński prywatnie cenił Kanta, lecz uważał że jest to filozofia zbyt oderwana, dziś powiedzielibyśmy za Victorem Cousinem: „sztuka dla sztuki.”

² Wydane w 1816, ale pisane w latach 1808 – 1810 na zamówienie Towarzystwa Przyjaciół Nauk

pewien – nie zawsze uświadamiany – wycinek skojarzeń, emocji, inspiracji, ostrzeżeń – intymny kod kulturowy. Czym innym jest las dla malarza, czym innym dla kupca drzewnego – zwracał na to uwagę już Brzozowski.

Żadna jednak z wymyślanych definicji nie znosi poprzednich, okazują się komplementarne jak teoria falowa i korpuskularna w fizyce, czy Trójcy Świętej w zupełnie innej dziedzinie. Rozumienie zjawiska filozofii oparte jest nie o jakiś magiczny wgląd ejdetyczny a po prostu o tradycję. To co uważał za filozofię Platon, co uporządkował Arystoteles, ba: to co namalował Gauguin – *D'où venons nous? Que sommes nous? Où allons nous?*, wciąż wracające, jakby przekłète pytania połączone nadzieją odpowiedzi. To właśnie te problemy stanowią istotę filozofii, jej jawny i ukryty kod. Forma jest sprawą drugorzędną, można mówić o filozoficznym przesłaniu wierszy, dramatów czy obrazów. Precedensy znamy od czasów małoobsadowych dramatów Platona i poematu *De rerum natura*, Lukrecjusza, tak, to naprawdę był poemat podzielony na księgi jak *Pan Tadeusz*.

Reasumując: filozofia jest najpierw ambicją, później techniką, może używać różnych form w zależności od potrzeb. Chce oglądać swój przedmiot w podczerwieni i nadfiolecie, co przydaje się zwłaszcza przy budowie metafizyki. Ambicje ograniczenia filozofii do formy naukowego wykładu to dewiacja: dewiant dokonuje autokastracji, zachowuje jednak w tym miejscu poczucie wyższości.

2. Wiemy czym jest niepodległość.

Niepodległość to synonim wolności, tyle, że częściej używany w odniesieniu do zbiorowości niż do jednostki. Pytanie czy warto ją mieć jest pochodną pytania o to czy warto być wolnym. Poznajemy ją **doświadczeniem wewnętrznym** – albo ktoś ją odczuwa, albo nie, niejeden ma więcej, drugi mniej i w gorszym gatunku – trochę jak ze słuchem muzycznym, ktoś ma go więcej, ktoś mniej. Na pociechę tych, którzy mają za mało dodam, iż jest sposób na jej zwiększenie, o czym powiem na końcu.

2.1 Wolność i niepodległość są **stopniowalne**, jedynym w pełni wolnym układem jest wszechświat, choć można spotkać opinie, iż on także ma nad sobą Pana. Jest jednak określenie robocze, które ma postać dyrektywy: **być niepodległym** to znaczy tak sterować sobą, by nie być sterowanym przez innych, czy

bardziej opisowo: niepodległy jest układ, który nie jest zdominowany przez układy sąsiednie, układ który ma własną dynamikę prowadzącą z przeszłości w przyszłość – w kulturze mówimy czasem o tradycji i misji.

2.2. Nasuwa się tu jeszcze pytanie czy filozofia jest niepodległa można więc odpowiedzieć pytaniem: **a jakiej niepodległości oczekujemy?** Totalnej, która oznacza brak uzależnień, ale i brak wpływu na rzeczywistość czy ograniczonej, która jest powiązana z rzeczywistością i tym samym może ją przekształcać. W tym miejscu należy przywołać szkolne rozróżnienie wolności **od czegoś i do czegoś**. **Miernikiem** niepodległości jest jej zasięg: czy przysługuje jednostce, sekcji, czy sięga do poziomu kultury narodowej a może nawet cywilizacji. Niepodległość oznacza także niepodległość od własnego środowiska, wybicie się z poziomu narodowej kultury do poziomu cywilizacji i wyżej. Włodkowic nie tylko jest krakowskim uczonym, on reformuje prawa chrześcijańskiej Europy, Sarbiewski jest Horacym całej cywilizacji chrześcijańskiej, Kopernik zmienia sposób myślenia o człowieku i wszechświecie w skali globu. W późniejszych czasach zasięg globalny uzyska muzyka Szopena, twórczość Sienkiewicza i apostołstwo Jana Pawła II. Jako polskie dzieła wpływające na historię postrzegane też były Wiktoria Wiedeńska, Bitwa Warszawska i ruch „Solidarności”. Wróćmy jednak do głównego tematu.

3. Filozofia jako strumień osobliwej siły.

Stwierdzenie, iż filozofia polska nie jest w stu procentach niepodległa, nie może być punktem wyjścia do narzekania, to po prostu stwierdzenie, że jest częścią kultury pośród innych części, że jest siłą wśród innych sił.

Od czasów **Josepha Nye’a** (1991) modne jest określenie *soft power*,³.

jak kto woli *miękkiej siły* – podają terminy w tych językach bo w USA i w Rosji prace nad stosowaniem „miękkiej siły” do podboju kulturowego sąsiadów i narodów, są najbardziej zaawansowane. Cóż: jak już powiedział Clauzewitz zwycięstwo nie polega na pobiciu przeciwnika, tylko na narzuceniu mu

³ Wprowadzona przez Josepha Nye’a w 1991 roku w książce *Bound to Lead: The Changing Nature of American Power*. Według jego definicji: *miękką siłą to zdolność narodu czy państwa do zyskiwania sojuszników i zdobywania wpływów dzięki atrakcyjności własnej kultury, ideałów politycznych i praw*. Próbowano tę koncepcję wzbogacić o rozważania na temat inteligentnej siły (*smart power* Richarda Armitage’a, co w tym momencie nie musi nas obchodzić).

swoich poglądów. *Miękka siła* stanowi dopełnienie siły twardej *hard power* to znaczy militarnej i ekonomicznej. Zalicza się do niej nie tylko politykę ale całą kulturę, zwłaszcza popularną, także religię, także filozofię – wszystkie dziedziny, które w czasach PRL określano mianem „frontu ideologicznego”. Oddziaływanie miękkiej siły można porównać do promieniowania, uważam nawet, że to określenie byłoby lepsze: jest niewidzialna, choć widzimy jej skutki, działa czasem leczniczo, czasem powoduje chorobliwe mutacje, czasem śmierć.

Z tego co powiedziałem wynika, że nadrzędną rolę we współczesnej kulturze odgrywa polityka. Z punktu widzenia polityki, filozofia jest zdegenerowaną formą propagandy – „miękką”, przeważnie nazbyt miękką. Cechuje ją niska skuteczność, powodowana elitaryzmem. Bywała w dziejach wzmacniana modą (Oświecenie), autorytetem religii, presją polityczną (marksizm). Te wątki także muszą wejść do definicji filozofii.

3.1. Próba racjonalizacji emocji

Dla opisu a przy okazji dla zwiększenia autorytetu „miękkiej siły” **Ray Cline** ukuł wzór: na potęgę państwa: suma tzw. masy krytycznej (C = liczebność populacji i obszar) + potęgi ekonomicznej (E) + i zdolności militarnych (M), pomnożoną przez sumę celów strategicznych (S) i woli narodowej (W). Więc:

$$P = (C + M + E) \times (S \text{ (strategiczne cele) } + W \text{ (wola narodu)}).$$

Wzór ten nie całkiem dobrze definiuje potęgę państwa, dla nas ważne jest, co pomija. A pomija całą kulturę. Skorygowało to dwóch politologów: **Robert Łoś** z Uniwersytetu Łódzkiego dodając do $C + E + M$ jeszcze K . – właśnie kulturę. **Leszek Moczułski** odszedł od pierwowzoru Cline’a i dał wzór prostszy w formie iloczynu czynników materialnych, intelektualnych i duchowych. $P = (M) \times (I) \times (D)$. **Dopowiadając** należałoby uszczegółowić czynnik K (**kultura**) rozbijając go na sferę **polityki, religii, sztuki i filozofii**, które mogą się nawzajem wzmacniać lub wygaszać. Warto także uwzględnić nie zawsze jawne kody kulturowe stanowiące rodzaj zbiorowej podświadomości. Wzór unaocznia miejsce filozofii wśród dziedzin kultury i jej zależność od struktur, które mogą ją wzmacniać bądź osłabiać.

Obydwa wzory zgodnie nie uwzględniają kodu kulturowego, który w sposób dyskretny zabezpiecza tożsamość kultur, a tym samym narodu.

4. Kod. Początek dygresji.

1.1. Pewne wybory człowieka, zachowania lub zaniechania można rozumieć gdy należy się do danej kultury, albo też gdy poznało się ją równie dobrze jak jej mieszkańcy. Kulturę bowiem formują treści dyskursywne, lecz dopełniają niedyskursywne *kody*, wywodzące się z tradycji i czasem tak oczywiste, że przesunięte do sfery działań nieświadomych, odruchowych. Kod to „droga na skróty”: nazwisko twórcy zastępuje przesłanie dzieła, rzeźba przywołuje mit. A ukrytym przesłaniem jest niepodległość. Kod nie tylko dostarcza emocji i niejawnych informacji, nie tylko przekazuje pewien imperatyw, ale manifestuje także przynależność do konkretnej wspólnoty, ba, w dużym stopniu ją tworzy i dyscyplinuje. Oczywiście nie należy tego pojęcia demonizować, nie jakaś tajemna siła tworzy wspólnotę, tylko zgodnie z zasadą, że kreacja jest autokreacją. Wspólnota tworzy, informuje, inspiruje i dyscyplinuje samą siebie – także na poziomie kodów. Nie sposób nie przywołać w tym miejscu wiersza *17 IX* o chłopcach przysięgających na ptaka i dwa kolory.

Nim przerwiemy dygresję trzeba dodać, że oprócz kodów cywilizacyjnych czy kulturowych istnieją regionalne, zawodowe czy rytualne np. sekty hydraulików czy wyznawców „filozofii” gender. Nieumiejętność posługiwania się językiem zrozumiałym poza sektą uniemożliwia rozpowszechnianie filozofii na wyższe poziomy kultury, czyni ją nieszkodliwą. Dlatego propagandiści PRL nie zwalczali specjalnie polskich naśladowców Husserla – zwalczali za to Elzenberga, Dąbrowskiego i filozofów katolickich. Z przykrością trzeba dodać, że brak klarowności jest także wstydliwą chorobą naszej współczesnej filozofii – dlatego nikt jej nie zwalcza.

5. Szermierze i szkoły myśli niepodległej:

Na pytanie czy polska myśl może być niepodległa należy odpowiedzieć pytaniem: czy i kiedy myśl polska była postrzegana jako niepodległa. Oczywiście tak – i nie raz – poczynając od dwóch Wielkich Samotników – Witelona i Kopernika.

5.1. Wielcy Samotnicy?

Witellon, syn Turyngii i Polski⁴ musi i powinien pozostać postacią nieco tajemniczą. Był specjalistą od demonów, których istnienie matematycznie udowodnił – ale nie tylko. Na pewno musiał być kimś wielkim, skoro trafił do podrzymskiego Witerbo, na pewno musiał być odważnym – skoro badając światło chciał poznać tajemnice Boga, był bowiem wyznawcą filozofii światła, jego „późnym wnukiem” okaże się po wiekach ksiądz Włodzimierz Sedlak.

Na ogół pisze się o Koperniku jako o samotnym geniuszu, którego nauka zawierała *in nuce* nową koncepcję człowieka i wszechświata. To myląca opinia, nie był samotny i może dlatego był genialny. Do jego wykładowców należeli **Maciej z Miechowa** (lekarz króla Zygmunta!), **Michał z Wrocławia** reprezentant scytyzmu, **Jan z Głogowa** – czołowy szermierz albertynizmu i wybitny astronom. Domowych lekcji udzielał Kopernikowi i jego kolegom jeszcze wybitniejszy astronom **Wojciech z Brudzewa**. Wpływ tego ostatniego jest o tyle ważny, że nie był on wprawdzie wyznawcą heliocentryzmu, ale miał już mnóstwo zastrzeżeń do systemu Ptolemeusza. A kolegami Kopernika na roku byli **Bernard Wapowski** – przyszły ojciec kartografii polskiej i **Marcin Król** – astrolog, astronom i lekarz, który potem zdobędzie taką sławę na Węgrzech, że Oleśnicki i Długosz będą stawiać na głowach, by go znów do Krakowa ściągnąć.

Warto już przy tej okazji zwrócić uwagę na istnienie szkół i na ciągłość ich prac, która stała u podstawy sukcesu – to znaczy dostrzec fakt, że filozofia jest wysiłkiem pracy zbiorowej często rozproszonej na pokolenia, często przyćmionej przez autorytet najwybitniejszego z twórców danej szkoły. **Rola wybitnej jednostki** jest rzeczywiście wielka, lecz nieco inna niż sądzą entuzjaści wolności. Najlepiej określił ją zresztą czołowy nasz Romantyk, Bronisław **Trentowski** w zawsze wartej przypomnienia anegdocie o wianku. Pasterz przynosi pasterce wianek, ta wydziwia, że kwiaty są z łąki, że stworzył je Bóg czy Natura.

- Tak, odpowiedział pasterz, ale ja je dobrałem.

⁴ Od okładki: *Vitellonis Thuringopoloni opticae libri decem* (Bazylea 1572).

5.2. Polska Szkoła Filozofii Prawa

Zbiorowy sukces odniosła Krakowska Szkoła Filozofii Prawa (mówię to także dużymi literami), która odniosła triumf na Soborze w Konstancji. Jej ojcem chrzestnym był Stanisław ze Skarbimierza, pierwszy rektor Akademii Krakowskiej który w 1413 w łacińskim kazaniu *De bellis iustis (O wojnach sprawiedliwych)* zajął się takimi kwestiami jak: dopuszczalność zawierania przymierzy z państwami pogańskimi, dozwolone sposoby walki i brania łupów. Kwestie te były podówczas dyskutowane i przez uczonych i przez polityków. Rolę pasterza, który nie tylko wybrał z tego wianek, ale zawiózł go za granicę i zyskał powszechny podziw odegrał Paweł Włodkowic. W rozprawie *Tractatus de potestate papae et imperatoris respectu infidelium (O władzy papieża i cesarza w stosunku do niewiernych)*, przedstawił na Soborze 5 lipca 1415 roku. Była to w istocie koncepcja wyższości etyki, czytaj chrześcijańskiej etyki miłości, nad dogmatami prawa czy nawet religii, stwierdził, iż narody zwane pogańskimi mają prawo kultywowania swych wierzeń, a nikomu nie wolno ich napadać, zwłaszcza pod pretekstem szerzenia wiary. Ten pogląd dopiero przebiegał się przez kulturę Europy. Rzeczpospolita objawiała się światu jako państwo tolerancji i obywatelskich wolności – potwierdzą to uciekinierzy z Europy, którzy w niej znajdą wolność i dom.

Polska filozofia prawa była częścią większego projektu: kultury Rzeczpospolitej Obojga Narodów, harmonizowała z jej dynamiką, w pewnym sensie wytyczała jej drogę.

5.3. Rzewuski

Szkołę tworzą wykonawcy tej samej pracy, nawet oddzieleni od siebie czasem i przestrzenią. Kumulacja wiedzy łączy się z opisaną przez Krzywickiego wędrówką idei. Spadkobiercami polskiej szkoły filozofii prawa byli tak wybitni myśliciele jak szermierz równości wobec prawa Andrzej Piotr Modrzewski z przydomkiem „Frycz” – a „późnym uczniem”, powiedzmy zaocznym – Andrzej Fredro, twórca europejskiego przeboju myśli poważnej *Monita politico – moralia*. Wnukiem tak późnym, że prawie zapomnianym był „ostatni z Sarmatów” – **Adam Rzewuski**. Przypomnę, że był on przeciwnikiem Konstytucji 3 Maja, lecz nie był targowiczanielem, że głosił **wyższość „obyczaju” (także etyki**

stosowanej) nad prawem, że był za zachowaniem, lecz i ograniczeniem władzy królewskiej (elekcyjna monarchia republikańska), że wierzył w ucłowieczającą moc edukacji, że uznawał dobroczynną moc wolności a także prawa weta i że – jako filozof polityki – lansował czwórpodział władzy: rząd ma się składać z władzy *prawodawczej* (jednoizbowy Sejm), *wykonującej* (różne „magistratury” narodowe – komisje skarbu, wojska, policji i interesów zagranicznych) *sądowniczej* (trybunały i sądy) i *dozierającej*. Ta ostatnia jest domeną króla, który niczego stanowić, wykonywać ani sądzić nie może, ma jednak wszystko kontrolować i „szalę wszystkich władz utrzymywać”⁵. Poglądy Rzewuskiego popularne były w końcowych latach Rzeczypospolitej, myśliciel ten przekonywał, że można być konserwatystą nie będąc ani nieukiem ani zdrajcą, co dzisiejsi politycy winni wziąć pod uwagę. Książka Rzewuskiego ukazała się drukiem po polsku w roku 1789. Był to czas schyłku Sarmatyzmu. Wspominane już *Monita* Fredry doczekały się dwudziestu wydań w ciągu stu lat – po łacinie. Potem zostały przełożone na niemiecki, francuski, angielski a nawet rosyjski. W 1781 ksiądz Jan Ignacy Jankowski przetłumaczył je na polski. I ta data może służyć za symbol: tłumaczenie na polski oznaczało koniec sarmackiego modelu kultury – opartego na filozofii, prawie i literaturze antycznej, religii chrześcijańskiej i łacinie jako języku Europy.

Rzewuskiego można jednakże uznać za prawodawcę nowego Sarmatyzmu, za jego sojuszników, spóźnionych za to wybitniejszych – Mickiewicza i Słowackiego. Pan Tadeusz jest dziełem nie tylko o patriotyzmie, także dziełem o wyższości obyczaju nad prawem, tradycji nad przelotnymi modami i misji nad koniunkturalizmem. Dramaty Słowackiego, mimo niezgody wielkich autorów – zgodne są w sprawie filozofii wolności, obydwaj próbują też połączyć chrześcijaństwo z wędrówką dusz. Zapisane w różnej formie programy Słowackiego i Rzewuskiego łączyła wspólna intencja: miały charakter praktyczny. To znaczy nastawione były na przyszłość, przynajmniej tę bliższą. To zamieniało marzenia w plany i pozwalało uniknąć alienacji, która jest genetyczną chorobą filozofii.

⁵ Różni to Rzewuskiego od Monteskiusza, dla którego władza wykonawcza to przede wszystkim sam władca.

5.4. Pawlikowski i Jaroński

Czas na zapowiedziane uwagi o pracy Pawlikowskiego.

W wydanej w 1800 w Paryżu książce *Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość* mówił on o zadaniu historycznym jakie stoi przed 16 – milionowym wówczas narodem – ta praca polega na odtworzeniu państwowości, jej celem i szczęściem jest „szczęście narodu” – stąd wniosek, iż nie jest ono możliwe bez wolności jednostki i zbiorowości. Pawlikowski odwołuje do *prawideł wolności i równości*, co jest echem tyleż Rewolucji Francuskiej i wojen Napoleona, co po prostu polskich praw i obyczaju, których wolność była fundamentem. Warunków jej odzyskania wylicza Pawlikowski kilka: zapał (entuzjazm), stateczność⁶, czyli wytrwałość ducha, i co ważne zaufanie we własne siły. Ostatni czynnik jest niezwykle ważny.

Naród żądający niepodległości – pisze Pawlikowski – potrzeba koniecznie, aby ufał w swoje siły. Jeżeli nie ma tego czucia, jeżeli do utrzymania bytu swego nie idzie przez własne usiłowania, ale przez obce wsparcie lub łaskę, można śmiało przepowiedzieć, iż nie dojdzie ani szczęścia, ani cnoty, ani sławy [...]. Naród szesnastomilionowy, kwitnący przedtem, nikomu w Europie nie ustępujący w żwałości i męstwie, z najobfitszą ziemią w znanym świecie, nie miałby być wolnym, skoroby zechciał?

Wola, wytrwałość ale i siła; entuzjazm dający intensywność, ale jest mowa o ekstensywności, o rozszerzeniu niepodległościowej ideologii na włościan. Udział naszych żołnierzy, także włościan w poprzednich walkach, mówiąc prościej: jakość tych żołnierzy także zwiększa szanse zwycięstwa. *Włościanie nasi mają cokolwiek doświadczenia, już bywali w ogniu, a w prowincjach, które nie powstały, wiedzą, że bracia ich bili się i odpierali armaty kosami. Już duch wolności rozszedł się w Polsce między ludem.*

W tych słowach narodowość i duch wolności to prawie synonimy. Prawie – bo trzeba dodać walkę o niepodległość.

Tę aksjologię należało przekuć na praktykę. Czynnikiem pośredniczącym miała być edukacja. Ważną rolę miał odegrać Kraków, ale...

⁶ Polacy nie cierpią jarzma, mają entuzjazm do wolności i cnoty, ale wadą ich jest, iż jak są żywymi w zaczęciu śmiałych czynów, tak niestałymi w dokonaniu i słabiejcy w przeciwnościach.

Po III rozbiorze miasto dostało się Austrii, uczelni odebrano sporą część majątku, jako język wykładów wprowadzono łacinę, a w praktyce często niemiecki. Pałac wawelski przerobiono na koszary, wyburzono mury obronne; wraz z dawną stolicą Korony uczelnia schodziła na psy. Sytuacja zmieniła się 15 lipca 1809 roku – tego dnia do Krakowa wkroczyły oddziały polskie pod dowództwem generała Aleksandra Roźnieckiego a wkrótce potem do miasta przybył książę Józef Poniatowski. Także w lipcu pojawił się na uczelni Hugo Kołłątaj, który zaczął reformy uczelni – od jej repolonizacji. Uniwersytet Krakowski⁷ miał być uczelnią polską i świecką. 14 października 1809 Francja i Austria zawarły pokój w Schoenbrunn na mocy którego Kraków i ziemie III rozbioru Polski, które włączono do Księstwa Warszawskiego, Kraków został stolicą departamentu. Na Uniwersytecie rok po tamtych wydarzeniach wystąpił Feliks Jaroński.

Już na początku mówca uzasadnił zarówno konieczność nauczania filozofii, jak i wykładania jej po polsku. Filozofia łączy wiedzę i cnotę stanowi – mówiąc bliższym nam językiem – podwójny fundament: poznawczy i aksjologiczny. Bez filozofii grozi „zdziczałość i barbarzyństwo”. Jaroński opowiada się przy okazji przeciw Kantowi – nie chodzi mu jednak o konkretne twierdzenia a raczej o oderwany od życia sposób filozofowania. Filozofia powinna być praktyczna. *Nie zaczynamy od Kanta, tylko od naszej potrzeby* – powie Jaroński. Poza tym można i trzeba czerpać z różnych źródeł, a to znaczy, że polska filozofia powinna syntetyzować (Jaroński nie używa tego określenia) nie tylko różne teorie filozoficzne i naukowe, ale także z praktyką⁸. Jego filozofię można porównać do ... wyciskacza soku. Jaroński opowiada się za definiowaniem filozofii w porządku pytań do jednostki: ***Czym jestem? Co mogę wiedzieć? Czego mam się spodziewać? Co mi czynić wypada?*** Filozofia ma na te pytania odpowiadać, po to jest. Odpowiedzi powinna szukać wszędzie. Filozofia

⁷ Nazwa Uniwersytet Jagielloński” funkcjonuje od roku 1817. Wcześniej używano nazw: „Szkola Główna Krakowska” albo „Uniwersytet Krakowski”.

⁸ Dodajmy, że syntetyczność jest cechą całej kultury związaną a jej genezą państwa „spóźnionego” w Europie. Każdy tu skądś przyszedł, włączył się we wspólną walkę i musiał jej bronić – broniąc zarazem Europy. Na tym polegało bycie Przedmurzem. Przełożyło się to także na etos wolnościowy i heroiczny.

ze wszystkich wiadomości matematycznych, fizycznych, moralnych, i historycznych sok niejako wyciska i one do użyteczności zastosiwa.

5.5. Zubelewicz

Mamy tu więc dwa hasła: syntezy i praktyczności. Tą drogą pójdzie

Ignacy Zubelewicz (tak podpisywał się po 1823 roku). W *Rozprawie o filozofii* trafiamy na ważny podział tej dziedziny na realizm, idealizm i syntetyzm. Realizm jest ułomny – nie potrafi wytłumaczyć *jak idealność z realności wypływa; idealizm gdy bytność ludzi poznawających i przedmiotów poznawanych za-przeczy, koniecznie w nihilizm zamienić się musi*. Nie dość na tym: realizm cały świat uznaje za mechanizm, naturalizuje bóstwo i obala moralność, idealizm z kolei zmienia się w autoteizm. Dlatego należy połączyć realność i idealność, z czego powstaje syntetyzm. Po latach coś podobnego będzie głosił Struve – *genius loci*? Syntetyzm i praktycyzm to dwa filary polskiej myśli, trzecim jest wolność – przy czym Zubelewicz odróżnia wolność instynktowną, przyrodniczą czyli dowolność (arbitrium) od wyższej posłusznej wyższym prawom i celom, którą określa jako wolę (voluntas). Romantyzm rozwinie zarówno filozofię praktyki (czynu) jak i wolności (twórczości), jakimś pogłosem filozofii syntetycznej będzie Trentowskiego projekt petrozofii. Nie wyprzedzajmy jednak toku wykładu i wróćmy jeszcze do refleksji nad tytułem.

6. Dwie ucieczki do przodu.

Mówiąc o niepodległości filozofii najwięcej nazwisk przywołujemy z XIX stulecia. Jest to nieco paradoksalne, bo prawie każdy z przywoływanych filozofów, deklarował się jako czyjś uczeń a przynajmniej krytyczny kontynuator.

6.1. Bieg Romantyków w stronę niepodległości.

Tak było już z wynalazcą i filozofem Józefem Marią Hoëne Wrońskim, który głosił się być twórcą mesjanizmu a nawiązywał do racjonalizmu Hegla. Mesjaszem miała być jednak filozofia, człowiek – gdy Bóg siódmego dnia odpoczął – musiał kontynuować dzieło stwarzania świata. Dzieła jak i wynalazki Wrońskiego wywarły niewielki wpływ na współczesnych, choć prawa kreacji (i autokreacji) warte są i naszej refleksji.

Cieszkowski postawił wybór Hegel czy dialektyka, wybrał dialektykę, doprowadził ją do filozofii praktyki i filozofii przyszłości by skończyć wizją sanktospirytualizmu, pięknie napisany utwór *Ojciec Nasz* to Pan Tadeusz naszej filozofii. Cieszkowski to także twórca polskiego przewidyźmu (bez używania tego słowa). Przewidywać przyszłość można uczuciem, myślą albo wolą, uczuciem przewidują prorocy, myślą filozofowie (np. stosując zasadę rozwoju po spirali samego w przypadku tych ostatnich plan jest przewidywaniem, realizacja – wcielaniem). Cieszkowski to program pełnej niepodległościowej pracy, sięgającej w zaświaty – pozytywizm to Cieszkowski bez niepodległości i bez metafizyki dlatego się nie przyjął.

W orbicie myśli Hegla znalazł się także Karol Libelt – i od razu zbuntował się przeciw samowładztwu rozumu. Racjonalizmowi Hegla przeciwstawił filozofię wyobraźni – umnictwo. Była to filozofia nie tylko teoretyczna, lecz także nakierowana na życie praktyczne. Konsekwencją przyswojenia sobie filozofii Libelta miało być idealizowanie natury, ale także i idealizowanie człowieka a także całej jego społeczności. Wyobraźnia brała się za bary z rzeczywistością, nie po to, by ją pokonać, ale by zmienić jej bieg. **Hasło „władza dla wyobraźni” było obecne implicite u wszystkich naszych Romantyków – w roku 1968 my wypisywaliśmy je na murach.**

Niedocenionym filozofem pozostaje wciąż Bronisław Trentowski. A był to jedyny nowożytny myśliciel, któremu postawiono łuk triumfalny, postulował edukację tak doskonałą, że będącą wychowaniem Boga, wymyślił cybernetykę i petrozofię (filozofia filozofii) i jak mawiali wielbiciiele ubrał europejską filozofię w polski kontusz.

6.2. Polscy marksiści uciekają marksistom.

Interesującym zjawiskiem jest tak zwany polski socjalizm nawiązujący do marksizmu w ten sposób, że robi w nim mnóstwo dziur – i łatwiej oddychać. Np. Ludwik Krzywicki przyjął, że baza ekonomiczna kształtuje nadbudowę, ale zwrócił uwagę na to, że niektóre odrywają się od baz macierzystych („wędrownka idei”) i lądują nie nad tymi bazami, co trzeba, co gorsza – to idee kształtują bazy. Można więc sztucznie przyspieszać lub spowalniać bieg historii. Krzywicki podkreślał także możliwość autokreacji – czemu dał wyraz w napi-

sanej w 1907 roku pracy *Sic itur ad virtutem*. Jedno zdanie warto przepisać: *Miej ambicję, bądź dumny, miej imię, pamiętaj coś winien godności swej ludzkiej, ćwicz serce, w czynów stal uderzaj*. Raczej po polsku, niż po marksistowsku.

Edward Abramowski z kolei zwraca uwagę na rolę osobowości, rewolucja nie osiągnie więcej, niż było w sercach ludzi „Pierwiastki indywidualne w socjologii” „Etyka a rewolucja” to zapowiedź nowego etapu myśli o społeczeństwie. Do dyskusji jest „Socjalizm a państwo”, do kontynuacji – kooperatywizm. Stąd waga kształcenia charakterów. Jednostka nie jest może w stu procentach wolna z pewnych dynamizmów nie zdaje sobie sprawy (Abramowski rozwijał niezależnie ainteresowania sferą nieświadomego) ale jednostka jest transformatorem działających na nie sił. Do podjęcia jest kooperatywizm – jako model życia małych wspólnot.

Nie można nie wymienić nazwiska Stanisława Brzozowskiego – autora arcydziełnie napisanych tekstów krytycznych i literackich. Brzozowski zmienił język, zmienił jakość marksizmu tak, że przestał być marksizmem. Wprowadził koncepcję człowieka opartą na założeniu wolności, idei pracy i heroicznej postawie. Na antypodach sytuowała się Róża Luksemburg krytykowana za materialistyczny fatalizm. To ona stwierdziła iż walczyć o nadejście socjalizmu to to samo, co walczyć o zaćmienie księżyca. Dlatego uważała, że walka o niepodległość Polski nie ma sensu, skoro jej dawne ziemie zostały włączone do nowych organizmów gospodarczych. Jako ciekawostkę odnotujmy, iż pewien renesans przeżyła w czasach PRL, jednak nie tylko jako filozofka, co jako piękna kobieta. Argument nie do odparcia dał Julian Kornhauser pisząc o jej ustach całowanych przez Lenina. A Lenin przecież mylić się nie mógł.

Podobnie jak romantyczni mesjaniści również socjaliści nastawieni są przyszłościowo, a może nawet bardziej praktycznie. Cieszkowski i Norwid uczyli przewidywania przyszłości, Biegański stworzył program przewidywizmu, socjaliści planowali nowe, oparte na humanizmie państwo – Piłsudski, którego nie ma powodów z socjalizmu wykreślać – wcielił te plany w życie – korygując w trakcie walki. Dekrety z 14 i 23 listopada 1918 były realizacją filozofii socjalistów – rewolucją bez rewolucji.

Warunkiem sensowności działań, także praktycznych, więc nastawionych na przyszłość było założenie, że niepodległość jest osiągalna, nic nie jest raz

na zawsze zdeterminowane, ergo walka ma sens. **To imperatyw kategoriowy myśli polskiej.**

7. Wiek XX czyli nowoczesna tożsamość

W czasach I Rzeczypospolitej problem Polski był podwójny: w wersji defensywnej obrona przedmurza chrześcijaństwa, w wersji ofensywnej – humanizacja symbolicznych „Dzikich Pól”. W czasach niewoli myśl polska skierowuje się ku samej sobie, jej troską jest utrzymanie tożsamości i niepodległości – przynajmniej tej kulturowej. W II Rzeczypospolitej tendencja ta nie zniknie, choć może wygasną w niej argumenty mistyczne, mesjaniczne i osłabnie podpieranie się tradycją. Rozwój jednak polskiej filozofii zostanie zakłócony na pół wieku – Polska wpadnie w niewolę polityczną, ekonomiczną i duchową sowieckiego – jednak nie do końca.

7.1. Siłacze

Nawet w niesuwerennej Polsce Ludowej możemy wskazać kilku filozofów suwerennych. Jedni odnieśli sukces – inni nie, co jeszcze spróbujemy wyjaśnić. Do wielkich, których myśl odkrywana jest dopiero teraz, niejako na nowo należy Feliks Koneczny, godna większego nagłośnienia jest też prakseologia Tadeusza Kotarbińskiego. Sukcesy międzynarodowe odnieśli jednak Bronisław Malinowski i Florian **Znaniecki** przed wojną a Kazimierz Dąbrowski po wojnie. Pewną uwagę zwrócili na siebie Roman Ingarden teorią dzieła literackiego, Tadeusz **Kotarbiński** swoją prakseologią oraz Włodzimierz **Sedlak**, badacz ukrytych stanów materii. Największy sukces odniósł jednak Karol **Wojtyła**. Najpierw na terenie krajowym i dla elity – mam na myśli dzieło *Osoba i czyn*, potem jako twórca adresowanej do młodych filozofii miłości i solidarności (*Miłość i odpowiedzialność*) na końcu światowy sukces odniosła nauka społeczna Jana Pawła II. W tym ostatnim przypadku ważnym wehikułem filozofii okazały się encykliki i listy apostolskie – pisane po łacinie, lecz błyskawicznie tłumaczone. Zapisanie treści w języku innym niż polski nie niszczyło filozoficznego przesłania a ułatwiało komunikację, ułatwiało rozszerzenie polskiej myśli na układy sąsiednich filozofii.

8. Filozofia na kółkach

Z pewnością w przypadku Znanieckiego i **Malinowskiego** czynnikiem pomocniczym był język angielski. Malinowskiemu pomógł także nieco skandalizujący tytuł dzieła, którym przebił się do nauki światowej. Również dzięki anglojęzycznym publikacjom nazwisko Dąbrowskiego znalazło się w książce prezentującej uczonych którzy wywarli największy wpływ na rozwój psychologii – było to jedyne polskie nazwisko.

Nauka społeczna Jana Pawła II miała wpływ na świat i na Polskę lecz czy miałyby ten wpływ bez wsparcia jego urzędu? Myślę, że raczej ograniczony by został do grona specjalistów.

Uznanie prestiżu filozofii łączyło się z prestiżem kultury, z siłą państwa a przynajmniej z jego niepodległością polityczną. Dokładała się też do tego jego potęga ekonomiczna i militarna. Stąd największe sukcesy odnosiła myśl I Rzeczypospolitej, mniejsze – w II RP. W czasach PRL uznanie urzędowe odnosili najemni ideologowie w rodzaju Schaffa, Baumana, czy – do czasu – Kołakowskiego. Spoza tej grupy – filozofia człowieka Kazimierza Dąbrowskiego i nauka społeczna Karola Wojtyły. Jego związki z filozofią czynu, odwołanie do Norwida i Brzozowskiego czytelne były tylko dla pojedynczych badaczy.

Filozofia, może z wyjątkiem greckiej opartej na autorytecie lokalnych nauczycieli nie rozpowszechniała się dzięki własnej mądrości, ta przekonywała tylko twórcę i czasem jego uczniów. By wpłynąć na otoczenie korzystała z siły, korzystała z wehikułów i różnego rodzaju podpórki.

Wehikułem był prestiż państwa – wielkość i bogactwo uczelni a przede wszystkim wiedza wypracowywana na uczelniach – im wyższa była jej fala – dalej niosła. Początkowo polska filozofia pozbawiona była samoświadomości, była nadbudową nauk szczegółowych takich jak fizyka (optyka), astronomia, prawo, nauki historyczne, psychologia czy wciąż raczkująca socjologia. Nauka na której bazie daną filozofię tworzone stanowiła nie tylko siłę nośną, była też arsenałem metod i inspirujących hipotez – działających na korzyść całej już filozofii. Wehikułem bywała moda na jakąś kulturę ale wehikułem był też skandal. Bo o antropologii Kopernika można powiedzieć, że była także skandalem, tak samo teoria Darwina zrywająca z religijną wizją rozwoju. Skandalizującym reżyserem życia był Witkacy – wpłynęło to na rozpowszechnienie jego dzieł

literackich, filozofia Witkacego jednakże pozostaje znana tylko jednostkom. Zabrakło wehikułu jakim jest język, tylko jeden Cornelius chciał się uczyć polskiego.

Język z którym złączony jest kod kulturowy to jeden z najważniejszych wehikułów, walka z językiem to program każdej okupacji. Sam język zresztą nie samodzielny, jego wehikułem jest potęga militarna lub handlowa. Nośnikiem „ochrzczonej” myśli greckiej stał się język Kościoła – łacina, filozofie Anglii czy Francji rozpowszechniały się wraz z ich językami, które były językami tych mocarstw. Mocarstwowe aspiracje bolszewików utorowały drogę marksizmowi nie tylko w Rosji ale nawet na Zachodzie, nie tak odległy jest czas gdy filozofia Mao Tse Tungą ogłaszana była za największą, oryginalną i przodującą a jej rozpowszechnianiu służyły miliony „czerwonych książeczek”. Od razu dodajmy: drukowanych po angielsku. Dzieła takich myślicieli jak Wroński, Cieszkowski, Libelt, Trentowski czy Gumpłowicz były postrzegane jako oryginalne, jako polskie – zwłaszcza gdy zostały napisane po francusku czy po niemiecku. Znani niecki, Malinowski i Dąbrowski zdobywali sławę po angielsku zaś tacy tytani myśli jak Staszic czy Koneczny ... nie zdobyli jej wcale. Siła filozofii Staszica wpłynęła na polską kulturę ba, nawet na polską gospodarkę i ustrój społeczny – na Zachodzie nie została dostrzeżona. Jednym z czynników torujących bądź blokujących drogę był język. łacina była językiem całej cywilizacji, dziś tę rolę zaczyna pełnić język angielski. Sam jednak język nie decydował o uznaniu. Pozostawiając go z boku, jako *constans* odpowiedzmy jakie czynniki zwiększały niepodległość filozofii a jakie ją umniejszały.

9. Co zwiększało niepodległość kultury i filozofii.

9.1. Syntetyzm, transfer informacji i metod.

Pożyczanie, kumulacja dynamizmów.

Przywoływany wzór Cline’a nie wyjaśnia do końca niczego, ale parę ważnych rzeczy sugeruje: na niepodległość filozofii może wpływać przede wszystkim jej włączenie w dynamizm wyższego układu, jaki stanowi kultura. Potęgę filozofii mogą zwiększać takie czynniki jak uczestnictwo w sile państwa, sojusz z polityką, udział w pracach i w eksporcie całej kultury, zwłaszcza poprzez me-

dia. Kultura (więc i filozofia) może być nawet dodawana w pakiecie do wymiany turystycznej i studenckiej a gdyby jeszcze do olimpiad... Tym, którzy uważają pomysł za absurdalny przypomnę, że największą sławę z polskich poetów zdobył złoty medalista z Amsterdamu, Kazimierz Wierzyński, co **poprawiło nawet nasze notowania na giełdach. Wiadomością z ostatniej chwili jest uruchomienie akcji 100 x 100 i mianowanie zwycięzcy formuły 1, Miki Hakkinena. Myślę, że dalsze nominacje potwierdzą, iż ktoś w naszym rządzie przyswoił sobie wiedzę na temat miękkiej siły.**

9.2. Oryginalność i wynalazczość.

Oryginalność filozofii jako teorii wywodziła się z **unikalnych doświadczeń** praktycznych, np. polskie doświadczenia walki z pogaństwem czy budowanie wielonarodowego państwa. Przypadki indywidualne to wyprawa Malinowskiego i praktyka psychologiczna Dąbrowskiego. Ta „wyjściowa” oryginalność bywała uszlachetniana przy pomocy syntez, transferów, co pozwalało zmienić opis doświadczenia w dzieło sztuki. Można mówić o nowatorstwie w obrębie jakiegoś nurtu („ucieczka do przodu”) w wymiarze własnej kultury (Witelo), bądź cywilizacji („Horacy chrześcijaństwa” Sarbiewski) a nawet w wymiarze globalnym (Kopernik). **Nasładownictwo** oznacza zanik tożsamości, czasem – syndrom Sztokholmski.

9.3. Ucieczka do przodu

Często oryginalność polegała na „ucieczce do przodu” która kończyła się swoistym buntem kwiatów przeciw korzeniom. Wymagało to i wiedzy i charakteru. Stąd podziw dla Libelta, Cieszkowskiego, Trentowskiego, którzy tak rozwijali myśl Hegla, aż przeszła w jego zaprzeczenie. Kremer, który też był zwolennikiem heglizmu podziwu nie wzbudził, gdyż utożsamiając Absolut z wszechmogącym Bogiem chrześcijaństwa raczej zwinął niż rozwinął Hegla.

9.4. Nonkonformizm i nowatorstwo.

Eksplokacja nie badanych dotąd obszarów *ubi leones*. Nowatorami polskiej i europejskiej myśli byli zarówno Kopernik i Sarbiewski, jak i polscy filozofowie prawa. Przecież Konstancja była propozycją zmiany chrześcijaństwa krucjat na chrześcijaństwo apostołów.

10. Co zmniejszało niepodległość

Filozofia jest produktem kultury, niepodległość filozofii umniejsza zatem wszystko, co umniejsza narodową kulturę – chyba, że własna filozofia ją zdradzi.

10.1. Agresja z zewnątrz, agentury wpływu.

Filozofia może stać się instrumentem **agresji obcej** kultury i stanowić zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa kulturowego. Dotyczy to zarówno świadomej agentury jak i tak zwanych **pożytecznych idiotów** – jedni i drudzy nie są filozofami ale mogą filozofię niszczyć. Przykładem był w czasach PRL marksizm – stalinizm – leninizm. Co gorsza jego szermierzom udało się „otorbić” fenomenologię a nawet wykorzystać ateizm egzystencjalistów. Przykładem niszczącego działania na nadrzędną, ogólnokulturową strukturę jest filozofia genderyzmu, w której wolność jednostki doprowadzona została do absurdu, włącznie z wyborem płci. Zagroza to takim strukturom jak rodzina i obyczaj a w konsekwencji może prowadzić do zapaści kulturowej i klęski demograficznej.

10.2. Autoagresja

Rolę destrukcyjną, podobną do działania agentury wpływu odgrywa także użycie formy nieadekwatnej do treści, rozziew między jawnym przesłaniem a dyskretnym kodem kulturowym – przypomina się w tym miejscu powiedzonko o dialektycznej jedności nogi z gangreną. Szczególnie złowrogim przejawem jest samo niszczenie środowiska filozoficznego.

Dariusz Ratajczak sąd go oczyścił z bzdurnych zarzutów jakoby złamał ustawę o IPN, znaleziono go zatrutego alkoholem – jak ks. Sylwestra Zycha.

Paweł Zyzak z Instytutu Pamięci Narodowej do supermarketu.

Krzysztof Jasiewicz usunięty z PAN.

Nagonka na prof. Piotra Nowaka przypomina czasy gdy Bauman Holland czy Kołakowski chodzili na zajęcia Tatarkiewicza czy Kotarbińskiego by wyłapywać nieprawomyślne słowa.

W celu promocji wykorzystywać należy książki, czasopisma i media elektroniczne, należy też się podłączyć pod język ogólnokulturowy, a nawet międzykulturowy – w obecnej chwili angielski. Żargony specjalistyczne

uniemożliwiają wymianę, blokują transfer inspiracji i metod, ograniczają znaczenie filozofii nawet we własnej kulturze.

10.3. Filozofowanie pod wiatr.

Filozofia zaczyna działać przeciw niepodległości własnej i całej swojej kultury gdy wejdzie **w konflikt z jej jawną dynamiką, bądź niejawnym kodem kulturowym**. Jawną dynamikę nadają czytelne wartości i cele, kod odwołuje się do tradycji, czasem stanowi szyfr dla wtajemniczonych.

Taka „przekorna” filozofia może ocalić **niepodległość marginalną** jeśli pozyska sojuszników innych sferach kultury, lub zgoła w innych kulturach. Sprzeczna z układem nadrzędnym filozofia, żeby nie mogła doprowadzić do rozbicia układu, w najlepszym razie zostanie **otorbiona**, ograniczona do niepodległości **sekty**, albo nawet pojedynczego **dziwaka**.

11. Wróćmy do dygresji: kod działa!

W cywilizacji Zachodu tożsamość konstituowały dwa systemy: chrześcijański i rzymski; kultura polska, przynajmniej pierwsza jej formacja, którą nazwiemy piastowską, była jej odwzorowaniem. Spoiwem ideowym było chrześcijaństwo, władza pochodząca od Boga (więc na wzór boski – absolutna władza, społeczność była zorganizowana feudalnie, to jest hierarchicznie. Z upływem wieków formacja piastowska zastąpiona została przez sarmacką. Nie wolno zapominać, że Polska powstawała jako kraj przedmurza Zachodu – z wszystkimi minusami i plusami tej sytuacji. Sytuacja narzucała więc etos rycerski, lecz i tolerancję dla „inności”⁹ – większość mieszkańców Przedmurza skądś przyszła, pod tym względem Polska „zapowiadała” późniejsze Stany Zjednoczone. Sytuacja była nieco dwuznaczna: Polska była więc w Europie – lecz nie całkiem, Europa jej broniła – lecz nie zawsze, prowadziła wymianę towarów i idei z tymi z jednej i z drugiej strony muru. Zjazd Gnieźnieński okazał się epizodem, wkrótce po nim nastąpił okres, gdy Polska musiała się zajmować samą sobą, rozpadła się i trzeba było ją sklejać. Pamięć o jedności i nadzie-

⁹ Dla pamięci; biorąc w nawias hipotetyczny Statut Kaliski Bolesława Pobożnego dla Żydów (1264), 1341 – zapewnienie swobód prawosławnym, 1356 – monofizyckim Ormianom. Polska stała się formalnie państwem wielowyznaniowym.

ja na ponowne zrośnięcie zakodowane zostały w micie o św. Stanisławie. Mit zwyciężył, ciało Polski się zrosło, ale już wkrótce przybrało nowy, kształt. Gdy każdy prawie kraj zmieniał się w absolutum dominium, Polska zmieniała się w nowożytną republikę, tak bardzo akcentującą odrębność, że doszukującą się sarmackich korzeni. Walka szlachty z władzą absolutną od Koszyc i statutów warckich po konstytucję *Nihil novi* zwiększyła obszar swobód, zaczęto mówić o Złotej Wolności. Ruch reformatorski nie został zakończony ani zwycięstwem jednej opcji, ani zasadą *cuius regio, eius religio* lecz Unią Lubelską i aktem Konfederacji Warszawskiej – pierwszej ustawy o tolerancji w Europie. Rodzący się sarmatyzm był po części już nową lecz logiczną formacją: wolność oznaczała tolerancję dla wolności innych, zabezpieczeniem była nieco paradoksalna demokracja z obieralnym władcą, ale i z instytucją rokoszu. Jawny system i ukryty kod właściwie się pokrywały. Rozszczepienie nastąpi dopiero pod zaborami – można je nazwać polską schizofrenią. Polacy oficjalnie deklarowali lojalizm i kult władcy – zakodowanym przesłaniem dzieł sztuki, literatury, filozofii była niepodległość, demokracja i tolerancja.

Nakaz walki o niepodległość przekazywany jest w wersji legionowej i powstańczej – dlatego Legiony Dąbrowskiego odrodzą się jako Legion Mickiewicza a potem Legiony Piłsudskiego i Armia Andersa i dlatego Konfederacja Barska powtórzy się jako Powstanie Listopadowe, Styczniowe i Warszawskie. Powstanie II RP to zwycięstwo zakodowanych wartości, drugie zmartwychwstanie św. Stanisława. Podczas niemieckiej i sowieckiej okupacji powtarza się sytuacja zaborów – najcenniejsze wartości kultury narodowej zostają znów zakodowane, funkcjonują w kulturze podziemnej, konspiracyjnej. To samo zjawisko obserwujemy w czasach PRL. Wyznawany oficjalnie marksizm był oparty na masie krytycznej ZSRR, na dominacji ekonomicznej, terrorze propagandowym, najmniej na samej filozofii. Co gorsze była to filozofia z podwójnym dnem (dno tu pasuje!) utopia socjalistyczna maskowała deterministyczny materializm, ten krył w sobie nihilizm i kult brutalnej siły.

Analogicznie do rozważań na temat oddziaływania twardej i miękkiej siły również **zagrożenia** dla kultury powinny być podzielone na **twarde i miękkie**. Twarde to oczywiście **agresja** militarna, połączona z nią grabież, dewastacja, eksterminacja ludzi kultury a także podbój ekonomiczny, miękkie to moda

(presja postępowości, presja politpoprawności), komercjalizacja (urynkowanie, podporządkowanie regułom rzeczy do kupna – sprzedaży) niesymetryczna wymiana ludzi i idei (staże, stypendia, turystyka itp.). Bezpieczeństwo kultury oznacza wymóg stabilnych warunków kultywowania i rozwijania kultury (w tym filozofii); rozwijanie kultury (w tym filozofii) oznacza zdolność do adaptacji – bez rezygnacji z tożsamości.

Szczególną uwagę należy poświęcić obronie kulturowego kodu – jego zniszczenie oznacza zniszczenie tożsamości. Gdyby zaborcy zniszczyli polski kod kulturowy – zniknęłyby dążenia niepodległościowe, zostałyby deklaracje lojalności.

Od wczoraj przez dziś do jutra.

Filozofia jak cała kultura musi mieć napęd podwójny: tylny i przedni, tradycję i misję. Trzeba zatem dokonać audytu przeszłości, opisać stan dzisiejszy i próbować przewidzieć jutrzejszy. Patrząc na drogę przebytą możemy wywnioskować jej przyszły kierunek i sens własnej wędrówki.

1. Audyt przeszłości.

Konieczny jest zatem swego rodzaju **audyt**. Ważne, by rozpoznać swój potencjał i nie marnować wysiłku tam, gdzie to po prostu nie ma sensu. Trzeba przywołać zapomniane nazwiska, raz jeszcze przejrzeć zarzucone kiedyś koncepcje. Wciąż czekają na wykonanie dwie potężne prace – i kilkadziesiąt nie dokończonych.

1.1. Tak jak ważnym zadaniem po odzyskaniu wolności w 1918 było scalenie zaborów, tak teraz wciąż pozostaje do wykonania scalenie filozofii krajowej z emigracyjną. To praca ciężka – dotyczy całej grupy myślicieli, ułatwia ją nieco fakt, że prawie wszyscy udzielali się na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) i prawie wszystkie prace napisali po polsku. Ważne znaczenie mają prace Józefa Bocheńskiego z dziedziny filozofii polityki, zwłaszcza analizy socjetyzmu które w kraju były niemożliwe. Inspirujące są i wciąż mało znane – wolnego od agresywnego egoizmu, opartego o kulturowe a nie rasowe pojmowanie narodu, rozważania Józefa Guli na temat swoistości polskiego nacjonalizmu – Państwo Putina i Dugina wymaga podobnych analiz. Znaczenie dla

unowocześnienia estetyki mają prace Haliny Taborskiej o sztuce przestrzeni publicznej, już dawno powinny zastąpić pokrzykiwania naszych publicystów na temat „street artu”. Na dyskusję i kontynuację czekają rozważania Ireny Szumilewicz – Lachman na temat kondycji i odpowiedzialności moralnej uczonego, zwłaszcza próby skodyfikowania ich w sześciu punktach.

1.2. Filozofię polską czekają niebezpieczne wyprawy w przeszłość. Trzeba przywrócić łączność między dniem dzisiejszym a kulturą wieków dawnych, dawnych projektów, obaw i ostrzeżeń zapisanych w języku łacińskim. Kilku-wiekowy dorobek polskich myślicieli czeka na powtórne odkrycie i upowszechnienie.

1.3. Do podjęcia jest przede wszystkim sięgająca romantyzmu filozofia wolności, wyobraźni i czynu, nie znalazł kontynuatorów **Dąbrowski**, nie są kontynuowane badania **Malinowskiego** i **Kołąkowskiego** nad obecnością mitu. Znani są trochę, bo pogłaskani przez Zachód, logicy szkoły Lwowsko – Warszawskiej. Do podjęcia są sięgające metafizyki dyskusje na temat prawdy i czasu; romantyczna ongiś **prakseologia** utraciła skrzydła i czołga się po ziemi. W dobie zupełnie nonsensownych sporów między „władzami” różnego szczebla – upowszechnienie zasady **pomocniczości** Jana Pawła II¹⁰ może warto by ją jednak wzbogacić o zasadę **przeszkadzalności**. Niestety! Nikt nie czuje się dość silny, by kontynuować niedokończone prace naszych wielkich poprzedników a przecież łatwiej rozwijać prace już zaczęte, posługiwać się metodami już sprawdzonymi, niż ciągle rozpoczynać od zera. Bez zajrzenia do arsenału jakim jest przeszłość jesteśmy w sytuacji żołnierza, który idzie na wojnę bez broni albo – mówiąc mniej patetycznie – w sytuacji człowieka, który zapominając, że ma pełną spiżarnię idzie do sklepu i staje na końcu długiej kolejki.

¹⁰ W nauczaniu Kościoła pojawiła się ona już w 1931 roku w encyklice Piusa XI *Quadragesimo Anno* (Czterdziestego roku), ale to Jan Paweł II uczynił z niej jeden z fundamentów nauki społecznej Kościoła. W encyklice *Centesimus annus* (Setna rocznica, 1991), czytamy: *niesprawności i niedostatki w państwie opiekuńczym wynikają z nieodpowiedniego rozumienia właściwych państwu zadań. Także w tej dziedzinie winna być przestrzegana zasada pomocniczości, która głosi, że społeczność wyższego rzędu nie powinna ingerować w wewnętrzne sprawy społeczności niższego rzędu, pozbawiając jej kompetencji, lecz raczej winna wspierać ją w razie konieczności i pomóc w koordynacji jej działań z działaniami. Pamiętać o kodach kulturowych są silniejsze, bo dłużej powstawały, do tego działają z ukrycia. innych grup społecznych, dla dobra wspólnego.*

2. OPIS TERAŹNIEJSZOŚCI

Zaszły wydarzenia godne uwagi filozofów.

Rozpad znanego świata.

Najpoważniejszym jest rozpad ludzkiej rzeczywistości. Jeśli można powiedzieć, że człowiek jest gościem dwóch światów a w dwa sąsiednie zagląda¹¹, to trzeba stwierdzić, że ta ludzka rzeczywistość zaczyna się rozpadać. Narasta dysharmonia między sztucznym środowiskiem duchowym, a sztucznym środowiskiem materialnym, sztucznym materialnym i naturalnym, które przypomina o swoim istnieniu i naturalnym środowiskiem materialnym – pojawiają się problemy sensu dalszego podboju, humanizacji nowych obszarów – także w kosmosie i w rzeczywistości wirtualnej.

2.1. Nowa rzeczywistość.

Przyjmuje się podział na wirtualna i realna. Realną opisuje świat fizyki, do opisu wirtualnej nadawałaby się poetyka snów. Nie działa łąją tu ani prawa fizyki, ani logiki. Naruszana jest zasada tożsamości i wyłączonego środka, ulegają destrukcji kategorie prawdy, dobra i piękna. Potrzebna jest filozofia tej rzeczywistości – od podstaw: teoria poznania – uwzględniająca problemy poznawania narzędziowego, przymiarki do nowych ontologii, etyka uwzględniająca nowoczesną medycynę, ale i zabiegi transplantacyjne. Na temat transhumanizmu napisano po Fiodorowie tysiące prac, niektóre świadczą o dalekowzroczności autorów. Refleksji wymaga choćby teoria Stephena Hawkinga, wedle której fakt, iż jednych będzie stać na przeróżne transplantacje i modyfikacje, nawet genetyczne doprowadzi do rozbicia ludzkości i powstania nowego niewolnictwa. Na dzisiaj coraz bardziej palące stają się problemy adaptacji do zmieniającego się świata. Tu prywatne terapie psychoanalityków nie wystarczą, konieczne są rozwiązania systemowe – te wymagają refleksji filozofów.

¹¹ Odwołuję się tu do własnego artykułu, w którym rzeczywistość człowieka podzieliłem na sztuczne środowisko duchowe i sztuczne środowisko materialne (SSD, SSM) do których przylega naturalne środowisko materialne (NSM) – obszar badań i hipotez. W obręb SSD wchodzi też Sztuczne Środowisko Sakralne (SSS), natomiast istnienie NSD pozostaje hipotezą. Różnorodność jego modeli nie dowodzi fałszywości, mogą okazać się komplementarne.

2.2. W skali globu widzimy upadek optymistycznych mitów.

Najpierw **komunizm** okazał się oszustwem i zbrodnią, potem powstał i rozpadł się mit globalizacji, powstał i rozpadł się mit multi kultu, Organizacja Narodów Zjednoczonych nie zdała egzaminu, rozpada się cywilizacja Zachodu a próby jej ratowania są przykładem tego, co Dąbrowski nazywał integracją wsteczną. Z **globalizmu** pozostał już tylko globalny **konsumpcjonizm**, najlepiej rozchodzą się reklamy czyli kłamstwa. Wszyscy stajemy się ich ofiarami, bo **wszyscy jesteśmy** nie ludźmi a konsumentami. **I tyle o globalizacji.** Świat konsumpcji to świat dehumanizacji, preferowania tego, **co w człowieku zwierzęce**: seks, żarcie, dominacja w stadzie.

2.3. W skali Europy.

Zamiast ubogających się kultur – terroryzm, import nienawiści, lenistwa, zbrodni. A wszystko w atmosferze obłudy, szantażu moralnego i niespotykanego dotąd w dziejach Europy cynizmu. Upolitycznienie kultury zachodniej przez podporządkowanie jej rządzącym w kostiumach socjalistów aferzystom, rozpustnikom i karierowiczom, próba stworzenia neoniewolnictwa przez import pracowitych dzikusów, które podjęli ci chytry pseudosocjaliści wspólnie z pazernymi kapitalistami i głupimi ekologami doprowadził do rozbicia kultury zachodniej na obumierającą elitarną i rządzącą – masową – co oznacza pogardę dla kultury wyższej i jej pracowników. Ta filozofia masowa objawia się polityczną **poprawnością**, którą Jonah **Goldberg** trafnie określił jako **tyranie komunalów**. Są to **pseudowartości**, imitacje, nie kwestionowane porzekadła – demokracja, równość, młodość i inne takie. Cywilizacja Zachodu, której jesteśmy częścią staje się cywilizacją pozoru i obłudy – tym wszystkim musi się zająć filozofia.

Równie groźny jest **nihilizm** odrzucający nawet komunały, pchający w stronę konsumpcjonizmu, to znaczy zawracający ewolucję na drzewa. W skali kultury zachodu objawia się on niszczeniem sfery sacrum i w ogóle sfer ponadzwierzęcych w człowieku, **niszczeniem trzech fundamentalnych wartości** jakimi są prawda, dobro i piękno. Następuje zrównanie prawdy i kłamstwa, poprawności politycznej i faktycznej, tolerancja zła jako tolerancja „inności”, „spontaniczności” itp.

2.4. W skali kultury polskiej.

Oprócz agresji neobarbarzyństwa niszczącego wielowiekową pracę humanizacji, kulturze Polski grozi autodestrukcja. Jawny terror z czasów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Urzędu Bezpieczeństwa zastąpił terror struktur, które dopiero ostatnio zostały zauważone i nazwane: **deep state**. To „głębokie państwo” tworzą zarówno beneficjenci dawnej władzy (zwłaszcza ci, którzy przeniknęli do nowych struktur), jak ich potomkowie – w skrócie można powiedzieć II pokolenie UB. Opozycja parlamentarna próbowała dokonać puczu – było to nawet zabawne, ujawniało rzeczywisty stosunek zwolenników różnych opcji ideowych, a przede wszystkim było jawne. *Deep state* walczy w sposób niejawny, poprzez sabotaż i niszczenie wspólnych prac, posługuje się też zalegalizowanymi nadbudówkami takimi jak Fundacja Batorego, Collegium invisibile czy dziesiątki rzekomo „pozarządowych a w istocie antyustrojowych organizacji. Obrona przed agresją tych tajnych struktur wymaga wnikliwych analiz filozofów społeczeństwa, filozofów polityki, sztuki a przede wszystkim prawa.

Z aktywnością „głębokiego państwa” łączy się w Polsce: bunt marginesu, który niszczy wypracowane kody kulturowe. Daje się dostrzec nawet sojusz marginesów kulturowych. Takie działania jak pedagogika wstydu, jak niszczenie sacrum pod pozorem uprawiania sztuki to przejawy nowej, „hybrydowej” wojny z kulturą narodową. Niski poziom wiedzy historycznej, znajomości kultury, filozofii i zwykłej logiki czyni nas bezradnymi. Filozofowie muszą wybrać, czy są za kontynuacją wielowiekowej pracy, czy za modą i poklaskiem idąc na służbę nowych barbarzyńców.

3. RECEPTY NA PRZYSZŁOŚĆ.

Skoro już przywołałem wzory **Cline’a, Łosia i Moczulskiego** warto je na koniec spożytkować. O ich wadach mówiłem, mają też i zalety: często przekraczając intencje swych twórców unaoczniają związek filozofii z innymi siłami działającymi w ludzkim świecie. Dlatego można adoptować je na nasz użytek pod warunkiem, że nie będzie się ich traktować jak alchemicznej recepty. Odwołując się do wzoru;

3.1. Masa krytyczna – obszar i potencjał ludnościowy sytuują Polskę wśród państw średnich – ale siła kultury nie zależy od całej masy, tylko od elit. Przypominam, że w I RP szlachta stanowiła do 10 % – w innych państwach 1 – 4%. Rosja zajmuje nadal – 1/6 świata i nie wie co z tym fantem zrobić.

3.2. Potencjał militarny – przeżyliśmy okres gdy czołową filozofię narzucano biciem po głowie i wrywaniem paznokci, po stronie oprawców stało kilku filozofów. Teraz jednak mówimy nie o twardej, lecz o miękkiej sile. Rolę pocisków obronnych bądź ofensywnych – odgrywają teorie. Problem ze środkami ich przenoszenia, z mediami. Owszem organizowane są pokazy i spotkania celebrytów lecz do walki kultur nie wchodzimy. Armia polskich naukowców niedożywiona, brak oparcia w ludności tubylczej, kwaterymistrzostwo nieudolne – takie analogie można mnożyć i nie będą coraz weselsze. Owszem są media lecz zamienione w zamtuzy.

3.3. Potencjał ekonomiczny.

Bez nakładów finansowych, bez pomocy spływającej ze struktur nadrzędnych – filozofia skazana jest na wegetację, dobrze, że jeszcze daje znaki życia. Zamiast iść w przyszłość – chodzi po prośbie. Pisanie, choćby i arcydzieł, nie wystarczy – decydenci ich po prostu nie czytają. Jedyne z czym się liczą macherzy od kultury to słupki popularności. Trzeba zmienić promocję, filozof musi być lobbystą. Ale nie wolno marnować sił. Widziałem kilkoro filozofów, podskakujących w demonstracji żądającej dostępu do aborcji, inni żądali absolutnej wolności, lecz nie dla filozofów a dla pederastów, co mogło okazać się ryzykowne. Ale wyobrażam sobie manifestację filozofów przed ministerstwem kultury podskakujących w imię godziwych pensji, przykuwających się pod pomnikiem Mickiewicza w obronie filozofii polskiej. To nie utopia. Nasze pokolenie zrobiło w obronie Mickiewicza Marzec – teraz kolej na młodszych. Jeśli filozofowie nie wystąpią jako poważne, opiniodawcze środowisko – jego twarzami będą samozwańcy. W tej chwili za wybitnych myślicieli uchodzą ci najbardziej krzykliwi celebryci: Hartman, Środzina, a nawet – nie zgadnienie państwo – Gretkowska. Mądrzejsi konkurenci są zastraszani, albo zagłuszani. Przykładem – nagonka na środowisko „Kronosu” a przy okazji na Fundację

Augusta Cieszkowskiego. W jej obronie też warto zrobić marsz przez Warszawę – miałby więcej sensu, niż marsze kodowców w obronie esbeków i odwrotnie.

Jeśli ktoś przerwie czytanie w tym momencie, mówiąc, że manifestacja filozofów to teatralny show – już odpowiadam: tak. Żyjemy w społeczeństwie spektaklu i musimy grać i to na pierwszym planie. Ktoś, kto mówi, że można być za kulisami, że filozofowie są ekspertami, doradcami, że kształtują opinię – okłamuje sam siebie. Współcześni filozofowie nie grają na scenie, ani za kulisami, są w magazynie na stosie zużytych dekoracji i znoszonych kostiumów. Miejsce ekspertów, miejsce filozofów, miejsce autorytetów moralnych zajmują za nich celebryci.

3.4. Cele strategiczne to punkt mówiący o ambicjach i o celach.

Ważne by nie brać nieważnych, nie strzelać kulą w płot. To co mówiłem o niebezpieczeństwach wiszących nad cywilizacją, której częścią jesteśmy to zarazem spis wyzwań dla naszej filozofii. Wybije się na niepodległość i światowe znaczenie, gdy podejmie problemy kryzysu globalizacji, włączy się w próby ratowania kultury Zachodu i zacznie dostrzegać problemy kultury własnego narodu.

Cały czas musimy też pamiętać, że wraz z innymi krajami **postkomunistycznymi** stoimy przed zadaniem odbudowy filozofii po spustoszeniach marksizmu. (Już to choćby łączy nas we wspólnotę Międzymorza). Ukrytym kodem marksizmu był deterministyczny materializm, kodem materializmu – nihilizm. Reszta to były frazesy. Logiczną konsekwencją marksistowskiego materializmu był nihilizm, lęk stanowił doskonałe dopełnienie terroru. Filozofia stawała się miękką siłą czasami skuteczniejszą od twardej. Po okresie zatrucia marksizmem – leninizmem filozofia dochodzi do siebie, jak człowiek po udarze mózgu, który musi się od nowa uczyć i rozumieć pojęcia.

I tu niezbędny dodatek: wiele z tych pojęć wymaga oczyszczenia – tak jak zbrudzone narzędzia. Marksizm wprowadził etykietowanie kierunków i postaci – to Schaffa narzucił interpretację Brzozowskiego jako prekursora faszyzmu a abramowskiego jako agenta bogatego ziemiaństwa. Wbrew logice zaczęto przeciwstawiać dobry patriotyzm złemu nacjonalizmowi – choć pierwszy dotyczył miejsca a drugi zbiorowego podmiotu prac Polaków. Podstawowym

problemem pozostaje alienacja – gdy filozofia rozrasta się na podobieństwo raka, zaczyna pożerać organizm całej kultury a w końcu samą siebie. Tak właśnie było z marksizmem, który zniszczył politykę, literaturę, nawet ekonomię a w końcu zaczął z rozpaczą pożerać ... sam marksizm. Enigmatycznie nazywało się to rewizjonizmem.

4.5. Konieczna jest filozofia ludzkiego środowiska w wymiarze kulturowym, globalnym a nawet metafizycznym – zwłaszcza, że obszar, którym zajmowała się metafizyka uległ niebezpiecznej ewolucji.

Jest to niezbędne jak drogowskazy przy drogach a nawet bezdrożach. Im prędzej zostaną postawione przez filozofów – tym większe szanse, że ludzkość przestanie się błąkać, że uniknie przepaści, którą sama wybudowała najnowocześniejszą technologią, tym większe szanse mają (coraz rządsi) politycy by opanować szalejące miotły czarnoksiężników. Minęły czasy chałupniczej produkcji zaświatów przez skrybów i poetów. **Od Gutenberga** zaczęliśmy tracić władzę nad własnymi wytworami. Alienację napędza rozwój elektroniki, mediów społecznościowych, – wszędzie tam ... brakuje filozofów, wszędzie tam powinni się znaleźć. Tymczasem filozofia ulega alienacji, zajmuje się sama sobą tworząc konstrukty pojęciowe i schematy formalne do niczego w praktyce nieprzydatne. Tymczasem następuje rozpad ludzkiego świata **społeczna degradacja kultury wyższej – postępuje erozja sacrum. Znikają zatem wartości stricte ludzkie – pozostają nam wartości łączące ze światem zwierząt. Konieczna jest więc także powtórna humanizacja rzeczywistości** już raz opanowanej przez człowieka i przez człowieka podminowanej pułapkami.

Globalizacja ma też dodatkowe aspekty wymagające troski filozofów. Jednoczenie Ziemi to kontakty cywilizacji, walka cywilizacji ale przecież i wymiana turystyczna, wymiana doświadczeń radość jaką dają odkrywcom wyprawy na nieznane lądy. Tu mamy dużo do nadrobienia, zachodnia kultura masowa wylansowała już masową „filozofię slow travel” (transfer koncepcji slow life) a nawet filozofię i socjologię slow food. To nie żart, przodujący w turystyce Włosi mają rozpracowane upodobania ale i tajne już kody kulinarne potencjalnych podróżników. Może u nas przydałaby się filozofia flaczków i męskiego schabowego.

5. Wola. Filozofia a charakter.

5.1. Problem podmiotowości – problem heterodoksji.

Sukces filozofii łączy się – jak i w innych dziedzinach twórczości – z jej odwagą. Wywody ortodoksyjne, nawet pogłębione myślowo i emocjonalnie nadawały się tylko i aż do nadania spójności kulturowej, czy jak kto woli – narodowej. Działając w wymiarze całej cywilizacji, **Włodkowic** musi przewyciężyć opór wielu autorytetów chrześcijaństwa, ortodoksję reprezentuje Jan Falkenberg. **Kopernik** mimo maskujących zabiegów postrzegany jest jako Wielki Heretyk, jego dzieło jest prawie trzy wieki na indeksie, **Sarbiewskiego** koncepcja iż człowiek jest twórcą *instar Dei* – traktowana jest jak bezczelność, nietakt którego nie wypada nagłaśniać, bo należałoby potępić. O tym jak postrzegany i krytykowany był **Witkacy** mówić tu nie wypada. A jednak – gdy ortodoksja jedynie popularyzowała wiedzę, utrzymywała stan posiadania – heterodoksja zdobywała nowe obszary, rzucała wyzwanie tajemnicy. Charakter polskiej filozofii, jej – użyjmy raz jeszcze modnego określenia: kod – wspierał się na zdolności do syntezy, aktywności – manifestacji wolności twórczej i na związku z praktyką więc także z planowaniem przyszłości. Hasłowo rzecz ujmując:

1/ syntetyzm

2/ aktywizm

3/ praktycyzm.

Bez tych cech filozofia polska traci swój charakter, co gorsza: traci przydatność dla kultury, przestaje być jej sercem i sumieniem.

5.2. Indywidualizm, wyobraźnia.

Jednym słowem odwaga twórcy to dopiero połowa charakteru. Filozofia musi udowodnić swoją przydatność, przebyć drogę od książki do ludzi – otwartość na sprawy wspólnoty to druga połowa. Filozof powinien wrócić na agorę, wrócić do roli **opiekuna społecznego**, mądrego mistrza, doradcy – jak było w czasach sokratejskich. Jako przerywnik wspomnę, iż w jedną z takich prób podjęliśmy wraz ze słowackimi przyjaciółmi w uzdrowisku Pieszczyce – do naszego stolika przysiadło się wielu ludzi potrzebujących rozmowy. Powtórzenie eksperymentu w Bratysławie nie spotkało się z takim zainteresowaniem

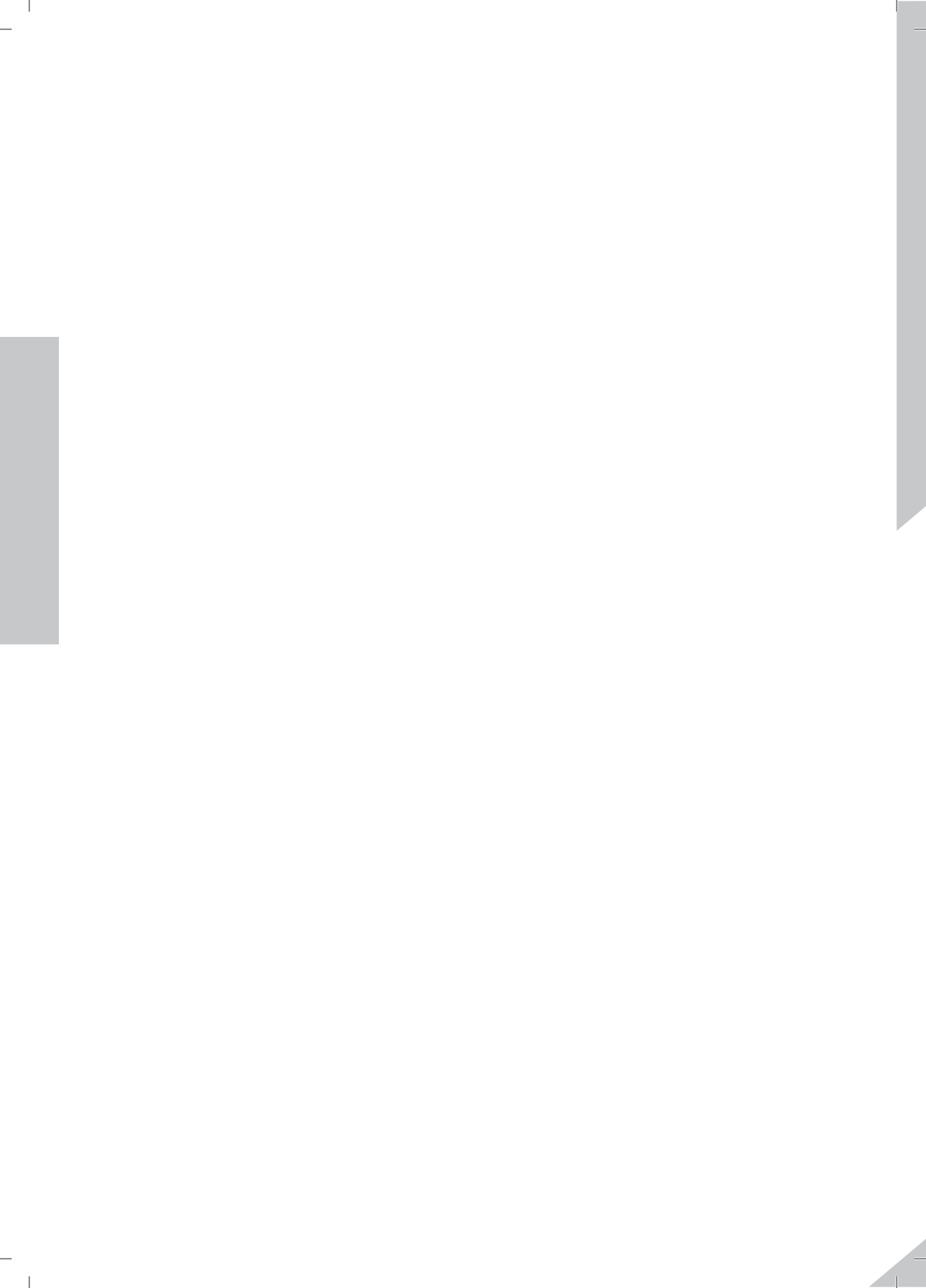
– może dlatego, że rozmówcy w sanatorium potrzebowali poważnych rozmów, zdrowi mieszkańcy stolicy po prostu nie tracili na nie czasu.

Oczekiwane są **etyki zawodowe**, ale i filozofia czasu wolnego, jak niedorozwinięta sierota traktowana jest etyka **biznesu**, wciąż nowe problemy stają przede etyką **medycyny** a co najbardziej niebezpieczne: mamy kompromitujące zaległości w tworzeniu filozofii **polityki**. A przecież nie można dłużej ukrywać faktu, że **wojna cywilizacji już trwa**, że Zachód poddany jest zarówno *miękkiej sile* islamu, (atrakcje turystyczne – namiastka elitaryzmu, „pokojowa twarz” Allaha) jak i niszczony bombami podkładanymi przez bojowników dżihadu. Malowanie kwiatków na chodniku jest działaniem mało skutecznym – ale to społeczeństwu muszą uświadomić filozofowie. Rozwijać trzeba zatem i filozofię wojny i teorię cywilizacji, trzeba przypomnieć światu dzieła Koniecznego ale i unowocześnić Clausewitza. Filozofia musi stać się prognostyką, i tworzyć prognozy ostrzegawcze, rzadziej pocieszające.

5.3. Filozofia musi zająć się prognozowaniem (por. **prewidyzm** Władysława Biegańskiego).

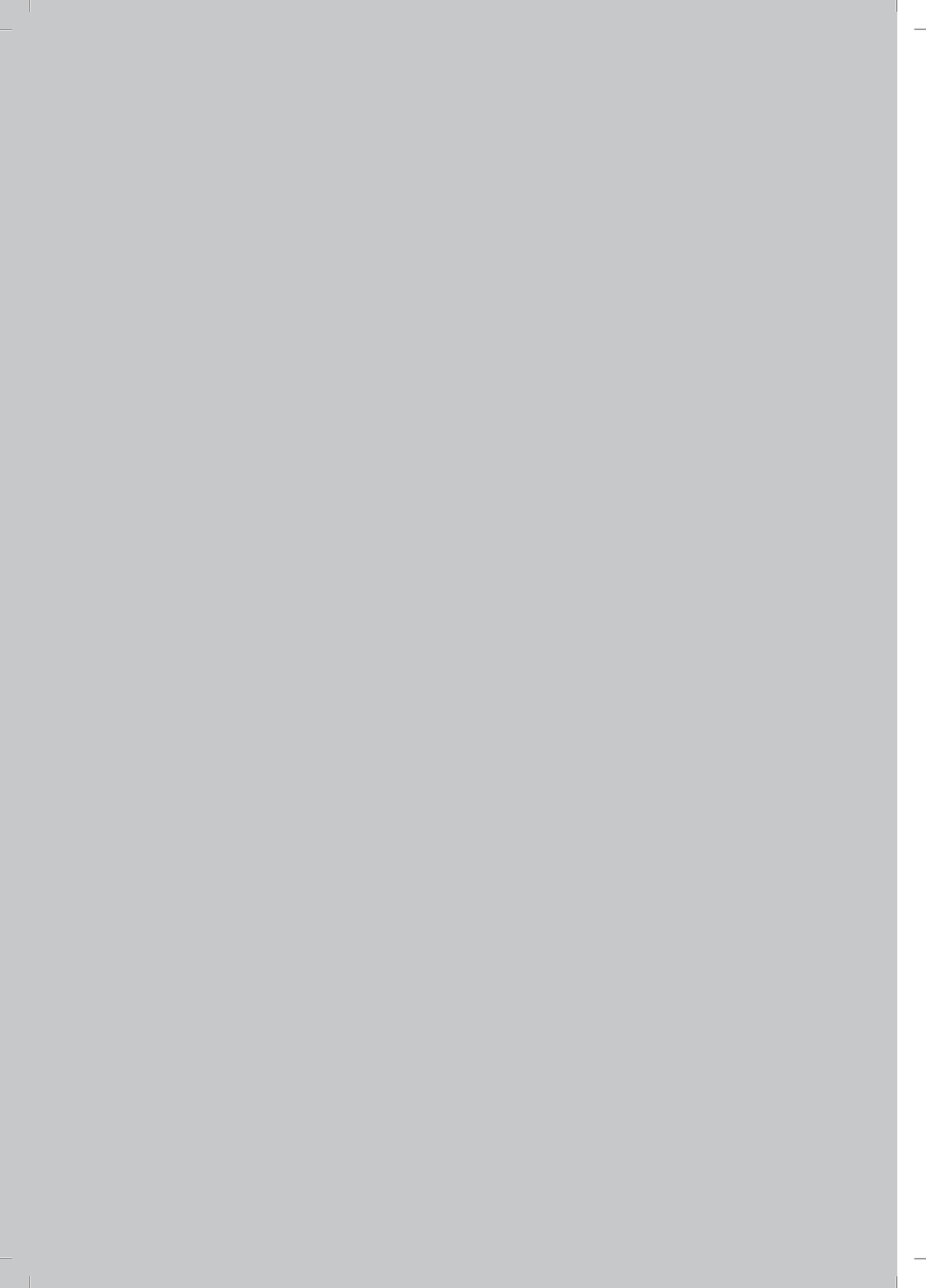
Prognozy najczęściej są mechaniczną ekstrapolacją – celował w takich **Jules Verne**, który przewidywał paraliż Paryża zawałonego dorożkami i odchodami. Od takich „neutralnych” prognoz cenniejsze jednak są prognozy ostrzegawcze i normatywne – lecz same prognozy nie wystarczą. August **Cieszkowski** wylizował trzy sposoby: przewidywanie uczuciem jak czynili to dawni prorocy, myślą – jak filozofowie a w końcu wolą – jak myśliciele nowej generacji, filozofowie czynu do których sam się zaliczał. To znaczy, że nie wystarczy marzyć, trzeba marzenia traktować poważnie, zamieniać w plany działań. To miał na myśli Józef Piłsudski patron naszej uczelni, gdy mówił o wyznawaniu filozofii czynem.

PS. To wymaga silnej woli ale jak zapowiadałem a wstępie: od ponad 200 lat istnieje recepta. Receptę jak być silnym dał Wroński, to prawo kreacji i autokreacji im więcej tworzę tym bardziej jestem.





HISTORIA



D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

ROK 1935

ROK XIV

Nr. 5

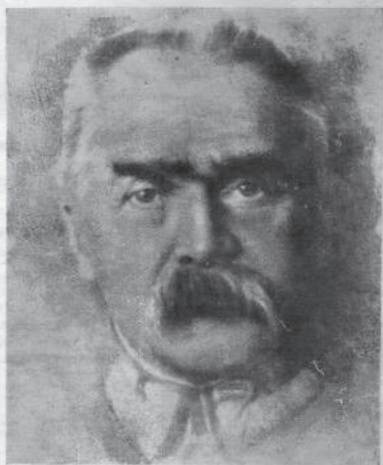
T R E Ś Ć

Jan Starzewski: In memoriam	393
Tadeusz Szpotkański: Na szlakach historii	395
Henryk Domiński: Piłsudski	399
Wilam Horzyca: Żywa obecność Piłsudskiego	401
Kazimierz Kosłowski: Wizja Józefa Piłsudskiego	405
Antoni Anusz: Wymowa śmierci	413
Roman Koloniewicz: Śmiertelna ballada	417

Andrzej Jąlowiecki: Kryzys gospodarczy w świetle ostat- niego stulecia	426
Ludwik Fryde: „Noce i dnie”	448
Władysław Malinowski: Fetyszyzm prawniczy w doktry- nach konstytucyjnych (III)	467
SZTUKA. Wystawa Polskiej Sztuki Gotyckiej w I. P. S. (Leokadja Bielska)	482
KSIAŻKI. Dr. Stefan Truchim: Pierwsza bateria haubic Legionów Polskich (Aleks. Wojtecki). — Henryk Wereszycki: Anglja a Polska w latach 1860—1865. Albert Gottlieb: Polen (Marjan Tyrowicz)	485

C E N A N U M E R U Z Ł . 2 . -

„DROGA”



12 M A J A 1935

DROGA Nr. 5

I N M E M O R I A M

Choć czysa w duszach palący wyrzut, że opór bezwładności, kruchość dusz lub zła wola kradły bezcenne miesiące, udaremniły może najwyższy zasięg bezpośredniego czynu Marszałka — nie bądźmy jako ludzie w goryczy klęski, zbądźmy się niewczesnych żalów.

Nie traćmy z oczu prawdy, że On był w ostatnich latach zadowolony z Polski. Pogodniata twarz Jego wobec nieomylnych znaków twardej, rzetelnej pracy. A serce — najwrażliwsze i najsilniejsze z serc — czuło poleżną, wzbiierającą jałę postuszeństwa i miłości, oddania i gotowości, bijącą ku Niemu z głębi wielomiljonowego Narodu.

Jak biblijny spózniony pracownik stanęła Polska przy Marszałku — lecz stanęła z prostotą szczerości, w ośnieniu dojrzałej woli, wiodącej ku wierności na lata. On widział to — i uznał pewno w swej mądrości, że niejedno współczesnym wolno darować. A może, — oby tak było naprawdę, — daliśmy Mu nawet przeblyski ufnej radości. Może uczuł się czasem — Wódz Duchowy — nie tylko siewcą, lecz i żniwiarzem.

Znagła — odcięte ciosem topora — wałą się w nurt dziejów minionych, jak kłody drzewa, wspaniałe, tętniące, nabrzmiałe treścią lata władztwa Marszałka. Dwadzieścia ich było zaledwie — niewiarygodnie mało. Bo dały Odrodzenie Państwa i Narodu, stawy Jego i mocy.

Raz już przeszła Polska podobny przebieg wspaniałego dźwignięcia się. Jednak hart Łokietka, mazały Kazimierza Wielkiego, oddane kształtowaniu zasobów, surmy zwycięstwa, grające Jagielle, zamknęły się w ogniowach stuletniego czasokresu. Przed zdumionym zaś naszym wzrokiem przesunął trzy podobne karty historii sam jeden Józef Piłsudski, nadając im kształty skończone i ostateczne — o ile tylko dzieło ludzkie kształty takie posiadać jest zdolne.

Bo cóż mu siłę trwałości zapewnić zdota? Jedyne wychowanie zespola i opatrzenie go w drogowaskazy tradycji. Niema innej tajemnicy stałości. Zostawić za sobą dojrzałą elitę i dać jej ideę — siłę oraz metodę działania, — to gwarancja utrzymania dokonanych dzieł, to uposażenie narodu w obie energie: utajoną i czynną, to triumf nad czasem i nad własną doczesnością.

Elita współczesna ze społeczeństwa jest, z niego się uzupełnia, ku niemu zwrócone ma oblicze, przez nie musi być rozumiana. Wytyczne jej są zatem

wytłaczniemi Narodu. Z żywota Marszałka i z Jego słów Polska czerpie i czerpać będzie coraz świadomiej i szerzej bytu swego żywotne przykazania. A trzy z nich może najważniejsze.

Pierwsze — to hasło pracy, działania i odwagi działania.

Nie będzie już u nas zastoju — gnuśnego, czy pokrytego strzępami marzenia. Nie będzie niedołęstwa i fałszywego pracy mianowania. Kult jej rozciągniemy na wszystko, co żywe i celowe, na wszystko, co na prawdzie oparte i do urzeczywistnień zdrowych dąży. Formy — spójne lub luźne, organizacją wyrażone lub na samotnym oparte dorobku. Treść przyziemne i najbardziej duchowe ogarnie poziom. Rytm tylko zwiąże pracę polską w jedno: rytm ustawicznej, dodawanej, wzajemnie przekazywanej ciągłości.

Drugi zew — to wiara w Polskę: istotna wśród losów twardości kotwica. Marszałek uleczył Naród z choroby niewiary w siebie — samem swem pojawieniem się wśród nas. Tylko bowiem wielkie narody wydają w zwrotnych historii momentach wielkich ludzi. Wielkość Piłsudskiego, zwłaszcza Jego wielkość moralna, jest rękojmią mocy utajonych w Polsce. Dowodzi potężnych napięć duszy narodowej, dowodzi zwłaszcza wartości spoidel kulturalnych, tych owoców pracy pokoleń. Polska władna jest przypiąć synom swoim na drogę żywota nieskazitelne, ciągnące ku sobie, twórcze skrzydła. Jakżeż w Nią tedy nie wierzyć?

Trzecia wskazówka — to apel do zgody. Najwyżej chyba ze wszystkich cnót społecznych postawił Marszałek owo pojęcie. Lecz zgoda nie nakazuje bynajmniej triumfu gorszych ludzi — dlatego, że są liczniejsi. Nie nakazuje także oportunistycznych dostosowywań wzajemnych poglądów. Jakże ma zatem wykrystalizowywać się w swej pożądaney postaci?

Istnieje oto miara wspólna dla całego życia publicznego. Nazwać ją można racją stanu. Zawiera zaś całość dążeń i potrzeb narodu, pojmowanego jako szereg idących po sobie pokoleń, a nie jako jedno żyjące pokolenie, tembardziej nie jako jedna ze społecznych warstw. Widzącem spojrzeniem odczytać można na owej skali decyzje właściwe, decyzje nadrzędne. A potem — stoczyć już tylko trzeba walkę z własnem sercem i stłumić podszepty młodoszności, zaśłepienie egoizmu czy lęku. Jest to jedyna droga, by pomólc do życia zgodę — w czystem, istotnem słowa tego znaczeniu, używanem przez Piłsudskiego.

Gołowi do czynów, wierzący w Polskę, zaczerpnij u trumny Marszałka siły, by zgodę taką między sobą budować. Niech Wielkiego Męża zastąpi zgodny zastęp — gromada, wielki człowiek.

Niech zgoda, tak pojęta, będzie mianem wspólnej naszej wielkości.

JAN STARZEWSKI

TADEUSZ SZPOTAŃSKI

NA SZLAKACH HISTORJI

O tem, co się stało, nie można nie pisać, jeśli słowo drukowane w Polsce nie ma stracić swej wagi — jednocześnie zaś nie można pisać w sposób swobodny. Na liryzowanie nie każdego stać, na spokojną analizę zawczasu. Wiemy tylko, iż stanęliśmy w historii naszej wobec zdarzenia o wielkich wymiarach, czujemy, że w Polsce wszystko się zmieniło, że śmierć w chwili zgonu Józefa Piłsudskiego nie ominęła żadnego domu naszego, żadnej rodziny. Chwila ta stała się wspólnym przeżyciem wszystkich i każdego z nas z osobna.

Historja się nie powtarza. Nie powtarza się, jak nie powtarzają się ludzie, którzy kładą na niej swe dłonie. Jeśli jednak pokolenie nasze posiada związek z przeszłością narodu, to wśród bicia pogrzebowych dzwonów, huku dział, wśród tłumów skrytych żałobą powinno było usłyszeć jakby dalekie echo wielkiego żalu i smutku, który już raz Polskę przed laty nawiedził.

Wiemy, jak przekazały nam tradycje i kroniki pamięć pierwszego Bolesława. „Z pana małej dzielniczycy ojczystej, — mówi Szajnocha, — dobił się on całego państwa. Z władcy małego państwa przyszło mu natchnienie zostać wielkim mocarzem...”. Jakiś niezwykle zjawiskiem wydaje się dziś postać potężnego jak żywioł i zarazem obdarzonego rozumem geniusza Chrobrego, który samotnie górował nad całym krajem, nad całą epoką, który, wiedziony intuicją i instynktem władzy, granice Polski wzdłuż Dniepru i Łaby wyznaczał, o Tatry i Bałtyk usiłował je oprzeć. Władca nieznanego i barbarzyńskiego jeszcze narodu przewyższył wszystkich współczesnych monarchów. Jako wódz nie miał sobie równego, jako polityk zaciążył na losach Czech i Rusi, cesarstwa i Węgier, w ogromnej pracy nad umocnieniem państwa sięgał wpływami swemi do Konstantynopola, do Anglii i Danji. „Lisem chytrym“ i „Iwem ryczącym“ nazywa

go Thietmar. Koronę pod koniec swego życia, jako znak niezależności państwa, na głowę swą włożył, nie z niej więc, lecz z umysłu swego i serca siły potężne czerpał. W kraju rządy jego były jedynowładcze, przyczem z tą samą przebiegłością i bystrością, jaką w stosunkach zagranicznych okazywał, organizował naród i podwaliny życia społecznego zakładał. Dbając o rozszerzenie cywilizacji i o podniesienie poziomu kultury, jednocześnie żelazną ręką trzymał na wodzy indywidualne odruchy i wybryki, podobno osobiście, w sposób patriarchalny, w łaźni chłostę przestępcom wymierzał. A choć srogi był bardzo, śmierć jego spotkała Polskę jak nie-szczęście. Gallus opowiada, że gdy umierającego króla pytano, jak długo ma trwać po nim żaloba, odpowiedział słusznie: „Nie naznaczam wam miesięcy ani lat, jako kresu boleści; lecz każdy, kto mnie znał i doświadczył mej łaski, pamiętając mnie długo, codziennie będzie mnie oplakiwał”. I opowiada dalej kronikarz, że dźwięk lutni w jęki, tańce w smutek, wesołość w westchnienie się zamieniły. Przez cały rok w Polsce nie wyprawiano uctw publicznych, nie ubierano się w szaty odświętne, w gospodach nie było słychać tańców i grania. „...nigdzie śpiewka dziewczyny, nigdzie nuta wesoła nie zabrzmiała na drodze”. Wszyscy przez rok cały zachowywali żalobę.

Trudno dziś w perspektywie wieków odtworzyć rzeczywisty obraz, jaki kraj przynębiony śmiercią króla przedstawiał. Bezwątpienia jednak z nastroju pozostawionej nam opowieści przemawia poczucie osieroce-nia. Bezwątpienia poczucie to zapanowało nad Polską również obecnie, poczucie — bardzo rzadkie w dziejach narodów. I choć może kiedyś biografowie i historycy będą widzieli grę przypadku w podobieństwie pewnych cech i rysów charakteru dwóch wielkich ludzi, z których jeden państwo zbudował, drugi — odbudował, z których każdy stanął w zaraniu nowej historii życia państwowego narodu, to w każdym razie nie jest rzeczą przypadku podobieństwo ich roli, zblżone znaczenie ich w dziejach, oraz jednakowy stosunek społeczeństwa do ich pamięci.

Jeśli się komuś to porównanie może dziwnem wydać, to dlatego, że w biegu zdarzeń, jako świadkowie szybko mijających wypadków, jako bezpośredni uczestnicy dokonywujących się zmian — nie jesteśmy w stanie zdać sobie sprawy z doniosłości pewnych chwil zwrotnych, nie możemy ocenić wielkości dziejowej okresu, w którym żyje obecne pokolenie. Niezależnie jednak od naszej wrażliwości, od naszego odczucia, które zresztą często staje i stanęło na poziomie całkowitej prawdy, fakty nam mówią, że odszedł od nas ktoś z chrobrych i wielkich.

Na szlaku historii naszej ostatnich dziesiątków lat każdy, kto stawał się żołnierzem sprawy polskiej, musiał spotkać się z Piłsudskim, musiał

się znaleźć w zasięgu jego myśli, jego pracy i czynów. Dla wielu spotkanie to miało zasadnicze, nieraz przełomowe znaczenie. Porywom nadawał Piłsudski kierunek, krystalizował świadomą cel wole; koordynując indywidualne odruchy, wkładał w nie wartość realną. Rewolucjonista polski w spotkaniu z Nim przechodził z luźnej gromady wolontariuszy na określoną pozycję w toczącej się walce. Nie jeden tylko Raczyński, który w ucieczce w syberyjskiej tajdze z mrozu stracił obie ręce, dzięki Piłsudskiemu ginął bohatersko, zamiast ginąć powoli w ucieczce od nudy i życia w atmosferze kawiarni, w gorączce sztucznego podniecenia i nastrojów. Nie jeden, lecz jeden za drugim robotnik i chłop stawał się, placąc swem życiem dręczonego niewolnika, człowiekiem wolnym i rycerzem wolności. Pod naciskiem woli, uczucia i logiki Piłsudskiego marzenia zbliżały się do rzeczywistości, nabierały teźyzny i praktycznego znaczenia. „... trzeba było, — mówił później o tych czasach, — aby co było szaleństwem stało się także i rozumem polskim”. To też pod Jego wodzą bunt przestawał być tylko protestem, lecz osiągał wagę czynu, dyktowanego przez rozum stanu. Pod Jego wpływem kierunki ideowe nabrzmiewały coraz bardziej jednolitą i zwartą treścią, a coraz liczniejsze jednostki i grupy przestawały być „marjonetkami dziejów”, zamieniając się w twórcze siły w dążeniu do wskrzeszenia państwa, przedewszystkiem zawiązując skupienia i ośrodki, z których stopniowo wykwiatała zbrojna siła narodu. „...musimy walczyć, — nauczał. — I to nie na języki, nie zapomocą bibuły zadrukowanej, lecz z bronią w rękę”. „W ciężkich chwilach więziennych, — wspominał, — widziałem Polskę przygnębiłą, zduszoną na wiele lat. Śnił mi się obraz siły, czynu zbrojnego. Projekt wydawał mi się samemu nad siły, jednak zacząć musiałem, bom ja w sobie nosił, wolną i w pełni chwały żyjącą”.

W pracy, którą podjął dla zrealizowania postawionego sobie celu, musiał przejść osobiście wielką drogę, która biegnie od układania artykułów i odezw w latach niewoli — do pozycji, jaką zajął w belwederskim pałacu; od instruowania bojowca, by mu ręka w chwili stanowczej nie zadrżała — do stanowiska Wodza Naczelnego i Pierwszego Marszałka; od włóczęgo po rosyjskich etapach więźnia — do tego wysokiego punktu, który przez nazwisko Piłsudskiego został oznaczony. W zjawisku tem mieści się odpowiedź na wszystkie próby określeń, definicji i porównań, które się czyni koło Jego postaci, a które w najmniejszym stopniu nie odpowiadają i nie mogą odpowiadać rzeczywistości. Nazywany romantykiem, okazał się najbardziej wytrawnym i realnym politykiem, gdy umiał w najtrudniejszych warunkach odszukać, zorganizować i używać stosownie do sytuacji nieziszczalne, jak się okazało, elementy czynu, zachowane w narodzie. Skupiając w sobie potęgę genjusza, wydobyl z życia polskiego

nowe siły duchowe, stworzył z nich oporę wartości moralnych społeczeństwa i uczynił ośrodkami dalszego rozwoju. Nietylko wywołał bohaterów, ale zapewnił im owoce ich ofiary. Stworzył armję, wyznaczając jej poziom i określając charakter ideowy. Zorganizował i przywrócił narodowi warsztaty pracy umysłowej i kulturalnej, dając im techniczne nowych czasów. „Dla obrony granic państwa społeczeństwo, — powtarzał nieraz, — winno dać przedewszystkiem to, co w języku wojennym nazywa się *morale*. Naród, który owej *morale* nie ma dość mocno wyrobioną, ma w każdej wojnie zgóry olbrzymie szanse przegranej”. „W wielkim chaosie i rozprężeniu, które ogarnęło po wojnie całą środkową i wschodnią Europę, — zaznaczał, — chciałem właśnie z Polski uczynić ośrodek kultury...”. Uniwersytet wileński, sprowadzenie prochów Słowackiego na Wawel, Fundusz Kultury Narodowej — znaczą szlak usiłowań Piłsudskiego w tej dziedzinie.

W gruncie więc rzeczy stanowisko, jakie zajmował za życia w narodzie, było rzeczą naturalną. Można być niezadowolonym z porządków, które w domu panują, można czuć się w nim niewygodnie i być w niezgodzie ze wszystkim i ze wszystkimi. Nie można jednak nie czuć radości, że się po latach bezdomności ten dom posiadało, nie można nie czuć wdzięczności i przywiązania względem Tego, kto go z rumowisk podniósł i wroga od niego odpędził. Piłsudski, jako człowiek, na całym świecie i po wszystkie czasy będzie dumą rodzaju ludzkiego, będzie świadectwem niezmiernych możliwości rozwoju ludzkiego genjuszu; jako Polak — będzie wyrazem niepożytości i bogactwa polskiego ducha. Poza tem jednak w wewnętrznym naszym życiu był postacią bliską i swoją. Walka o niepodległość, odbudowa państwa polskiego i życie w tem państwie wiązały z Nim każdego, kto posiadał jakąkolwiek więź z życiem publicznym kraju. Był tym, kto młodość naszą kształtował, kto kładł kres nędzy i bezprawia, i jego poniewierce, kto dał punkt oparcia dla walki z hańbą, kto zdobył znowu miejsce dla polskiego honoru i polskiej dumy. Był Tym, który nieustępliwie organizował nasze siły, by stoczyć walkę z najazdem, Tym, który wydarł wrogom zrabowane nam prawo wolności, który to prawo zabezpieczył i kazał je szanować. Nic więc dziwnego, że stał się wśród nas poza prawem pisanem i uchwałami, że nie sięgały Go przepisy regulujące nasze stosunki wewnętrzne. Od szeregu lat łączyło się z Nim wszystkie myśli o sprawach ogólnych. Rozmowa dwóch ludzi o rzeczach Polski stawała się rozmową o Piłsudskim. Był jak potężny filar, o który wsparło się istnienie i życie ojczyzny. Tworzył podstawę i gwarancję jej bytu. Więc śmierć Jego uderzyła w domy całej Polski. I gdy odchodził na Wawel, spełniał jeszcze jedno dzieło: porwania i zbliżenia narodu do swej wielkości.

HENRYK DOMIŃSKI

P I Ł S U D S K I

Wykołysane szumem litewskiego dworu poszło serce na spotkanie sybirskiej
burzy.

Matka wierszami nauczyła ojczyznę stawieć, białą dłoń podawała miecz.

Czerwono jak zorza na zamarzłych obszarach kwitł kraj, który z tamtych lat
się wynurzył,

w domu na wichry otwartym nie wiadomo jaką popłynię rzeką, na jakiej
stanie krze.

Panno Ostrobramska pływająca świętych dłoni modlitwą!

Panno otoczona błękitną koroną gwiazd,

ścieląca na utęsknione oczy poety

swój boski złocisty płaszcz —

pobłogosław uliczkom krętym
wędrującym krzyżami do wzgórz zielonych.

Opasane Wilją błękitną

całowało brzegi Jej szat

Wilno

Nie było później nocy, czarna ściana runęła gruzami,

huktem armat powstawał nieśmiertelny wschód.

Pożary kroili niebo krwawymi wstęgami,

porzucił żałobne-cotuny północny gród.

Zalazwały się serca dzwonów, krew jeziorami stygła u ołtarzy.

Zapomniano o śmierci szemrzącą kołysanką kul spadającą na rzeszę
żołnierzem.

Gdy w ojczyźnie otwierał ogień i ziemię pod bruiami ważył
wiedziano, że tylko te oczy przed progami Jej leżą.

400

*Pochylasz głowę gdy wspomnienia jak płaki nagle obniżą lot.
Miasto wielkie gwiazdami, światłami bije o kolumnami wsparty dom,
a tu wiosna zielonym strumieniem otoczyła ceglasty płot
aleją kwieciami i zmierzchem wystaną Litwa idzie naprzeciw snom.*

*Pod tarczą tego zmierzchu gasną stalowe oczy.
W orderach i sztandarach Rzeczpospolita ruszyła pochodem,
wieczór górą kiru pod biały dom się potoczył,
księżyc jak srebrny orzeł opadł na czarną wodę.*

Ciszej...

*gdy serce nie bije nie plugawcie go grotami żalu
Panno Ostrobramska Panno z willeńskich wzgórz
w ogniu woskowych świec rozbiłyś w belwederskiej sali
na wiecznych zniczach serce To złóż*

Biją żałośnie werble, padają stuleci glazy!

Ciszej...

na ostatni już szaniec zawitał

RZECZPOSPOLITO

WILAM HORZYCA

ŻYWA OBECNOŚĆ PIŁSUDSKIEGO

W bolesnych tych godzinach, które dziś przeżywamy w cieniu śmierci Wielkiego, górująca, choć może głęboko ukryta w nas jest świadomość, że tracimy — raczej nie! że utracić możemy ten skarb i cud, jakim jest to, co nazwaćby można żywą obecnością Piłsudskiego. Ta obecność — to coś innego, niż wieczysta historyczna przytomność Wielkiego Budowniczego w całym przyszłym życiu narodu, państwa, świata. Wiemy przecież: dzieło Jego żyć będzie przez wieki. Wiemy: czyny Jego trwać będą przez pokolenia. Ale stać się może, — bo takie jest ciążenie fatalnej siły dziejów, — że poza potężnymi konturami tych właśnie wiekopomyńskich dzieł, zbudowanych w męce i cierpieniu, poza spiżowym kształtem tworu dziejowego, który urodził się tam kiedyś z straszliwego wysiłku ducha, ukryje się właśnie ów żywy człowiek, ów żywy duch, będący przecież sprawcą tego wszystkiego, co teraz spoczywa chłodne i niezachwiane, a kiedyś było lawą i twórczą niepewnością. Tak to wielkie dzieło przysłania często żywą obecność jego twórcy, jakgdyby był on nie istotą ludzką, ale jakąś siłą natury, bezosobową i bezimienną. I przeciw temu bezosobowemu widzeniu osobowości dziejowej instynkt zakłada protest, dalej mierząc, niż nawet dzieło samo, a sięgając ku owej żywej obecności, mającej moc rodzenia wszystkiego i kształtowania wszystkiego z tworzywa cierpień i płomieni.

Stałoby się więc coś niecodzielnego, gdybyśmy, oddzieliwszy dzieło Piłsudskiego od Jego utrudzonego i natchnionego żywota, z którego był tu na ziemi prawdziwy „poemat dla Boga“, przyzwolili na wyrzeczenie się Jego żywej obecności. Bo dzieło Jego mocne jest nas utrzymać w twardej sferze zmagania, ale tylko obecność Jego wspaniałego człowieczeństwa, w którym bez reszty przecież mieści się i dzieło Piłsudskiego, posiada

moc wychowawczą, kształtującą dusze ludzkie na podobieństwo tej duszy i tego życia, nad które na przestrzeni wieków nie masz większego ni świetniejszego. Oto dlaczego nie tylko pamięć czynów Komendanta, nie tylko zapamiętanie prowadzenie dalej Jego prac jest nieodzownie potrzebne, ale także, a może przede wszystkim, nieustające obcowanie z Jego żywą obecnością, z Jego cudownym, nieporównanym, przebogatem człowieczeństwem, bez czego łatwo możnaby zapomnieć, czym były i są dzieło i twórczość Józefa Piłsudskiego.

Dzień dzisiejszy ma skłonność do ujmowania wszystkiego w proste i surowe linie, obce wszelkiej miękkości i półtonom. Życie dnia dzisiejszego, publiczne i prywatne, posługuje się poczyną pojęciem jakiejś straszliwej celowości, w której obliczu milknąć musi głos ludzkiego serca. Wydawać się czasem mogło, że nie w skłóconej, wyczerpanej Europie żyjemy, ale w Sparcie nowoczesnej, w jakiejś starorzymskiej Rzeczypospolitej, w wiek dzisiejszy przerzuconej, tak twardymi mówimy słowami. Lecz jeśli ktoś wśród współczesnych miał prawo rzymskie czuć w sobie serce, jeśli w kim żyła starożytna *virtus* żołnierska i obywatelska, to właśnie w Józefie Piłsudskim. A jednak równocześnie nikt nie był dalszy temu, by w imię heroicznej surowości miażdżyć wszystko, co tą miarą być mierzone nie może, jak właśnie On — Józef Piłsudski. On, sprawca dziejów, budujący twory historyczne o wiekowych perspektywach, miał rozumiejące i łaskawe spojrzenie i dla tego, co jest tylko chwilą, tylko wzruszeniem, tylko jednym skurczem serca. To, co drobne i łatwo przemijające, nie było dla Niego drobnem i przemijającym, bo chociaż posłannictwem Jego nadludzkiego żywota było budowanie potężnych kształtów dziejowych, znał On wagę i doniosłość spraw areludzkich, jakoby niehistorycznych, a jednak historję tworzących, wielokrotnie o niej rozstrzygających. Dlatego tak dziwnie brzmiała odpowiedź, dana Zgromadzeniu Narodowemu po wyborze Jego na Prezydenta Rzeczypospolitej, odpowiedź, która nie znaczyła bynajmniej, że sprawy publiczne chce On mierzyć miarą uczuć czysto osobistych, ale że o historycznej wartości i zdolności narodu rozstrzyga to, czem jest on w swej codzienności, w swem najbardziej osobistym istnieniu; jeśli bowiem tu, w powszednim życiu Polaków, rządzić będzie nikczemność i zło, historia narodu nie będzie niczem innym, jak złem i upodleniem.

Polska dla Piłsudskiego, to nie tylko wielki warsztat pracy dziejowej; to przede wszystkim najwewnętrzniejsza, najosobistsza sprawa zarówno Jego samego, jak i każdego Polaka. I w obliczu spodziewanej śmierci, w przededniu Bezdany, w liście, który jest jednym z najstraszliwszych, ale jeszcze przez nas nie odcyfrowanych dokumentów w historii polskiej —

to tylko stwierdza, nie innego. I jeśli by po Józefie Piłsudskim nie pozostało nic więcej, tylko te dwa listy, o których mowa, wystarczyłyby one same, by objawić niesłychaną głębię tego człowieka, który dla mających „oczy ku patrzeniu” w tych dwóch niepozornych listach zostawił najpełniejszy testament swego potężnego ducha, sam odsłaniając się w nich najpełniej i najwspanialej.

Z pewnością życie będzie usiłowało zmarmurzyć Komendanta, ustawić go na pomnikowym cokole, aby nie chodził wśród żywych, aby przeszedłszy „w historii oklasku”, zaczął tronować w pustce uwielbienia. Takie jednak rozstanie się z żywą obecnością Piłsudskiego byłoby zaparciem się Jego trudu, Jego prawdy, Jego myśli i nie może być większego grzechu przeciwko duchowi Jego, jak ukazanie Jego postaci w chłodnym kształcie pomnika. Trzeba — i to jest nakazem naszego sumienia — zachować Go w naszej pamięci i w życiu naszym zawsze takim, jakim był, gdy bawił jeszcze pośród nas: surowym i twardym, a zarazem czującym i delikatnym. W nikogo też nie wcieliło się tak doskonale słowo francuskiego poety o „synu królewskim”, jak w Józefa Piłsudskiego. Prometeiczny charakter, zdolny do najtragiczniejszych wysiłków woli, wraz z umysłem o jasnowidzącej wnikliwości i subtelności, w połączeniu z uczuciowością prawdziwego poety, tworzącego w natchnieniach, które nigdy jednak nie stały w sprzeczności z surowym zmysłem rzeczywistości — oto najpełniejsza synteza człowieczeństwa, na jaką stać było naród polski na przestrzeni wieków. Wszystko, co było najlepszego, związało się w tej duszy w jedną przebogatą całość, i fałszuje prawdę serca Piłsudskiego ten, kto tylko jedno w Nim dostrzega, drugiego nie widząc, usuwając je w cień. Kto pamiętać chce, że był to Człowiek wielkiego czynu żołnierskiego i tragicznych postanowień z tem związanych, ten zapominać nie powinien, że był On również wielkim marzycielem i wielbicielem poezji, a nikt inny, tylko On, żołnierz, wprowadził prochy swego umiłowanego Słowackiego na Wawel. Kto widzi w Piłsudskim żyjącego zdala od tłumu samotnika z Belwederu, ten musi w Nim zobaczyć również i tego, który znał wysoką cenę humoru, umiał wywoływać uśmiech na ludzkich twarzach i darzyć swoim uśmiechem choćby owe dzieci, które nie tak dawno jeszcze zbierały się w Parku Ujazdowskim dokoła siwego pana, zawsze mającego cukierki w kieszeni. Kto czei Go jako płomiennego patryotę, ten pamiętać też musi, iż może najbardziej gorzkie słowa, jakie kiedykolwiek Polsce w twarz rzucono, rzucił je właśnie On, Wielki Polski Budowniczy — choćby w owym liście z przed bezdańskiej potrzeby. Wszystko bowiem, co ludzkie, mieściło się w tej nieogarnionej duszy, w tem najpełniejszym, najwspanialszym człowieczeństwie, któremu na imię: Józef Piłsudski.

Żywa obecność tej potężnej osobowości, ciągle z nią przestawanie, nieustanne mierzenie swego życia miarą Wielkiego — to konieczność, to nieodzowny warunek i podstawa rozwoju Polski i Polaków. Odziedziczywszy dzieło Piłsudskiego bez testamentu Jego duchowości, łatwo moglibyśmy dzieło to zmarnować. Jedynie żyjąc w promieniu Jego żywej obecności człowieczej, jedynie budując prawdę duszy Komendanta w naszych własnych duszach, podolać możemy Jego wielkiemu dziedzictwu. A podolać musimy.

KAZIMIERZ KOSIŃSKI

WIZJA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Przebrzmiały echa ostatnie pogrzebu Józefa Piłsudskiego.

Uciszyły się rozkołysane dzwony, które brzmiały nad Polską i zmiłły, jak człowiek bolejący, który zamilka, gdy mu zabraknie słów dla wypowiedzenia bólu.

Przesunęły się przed oczyma duszy obrazy niezapomniane, do których naród wróci, jak do ożywczej krynicy wspomnień o głębokim bólu i wielkości.

Mimowoli ciśnie się na usta litanja imion, którą pragnęlibyśmy uczcić Go w narodzie, gdy słowo każde pozostaje bezsilne wobec śmierci.

Cóż dopiero mówić o śmierci człowieka, w którym naród ujrzał się cały w jestestwie swoim i został po nim w głuchej żałobie!

Stajemy wtedy wobec zagadnień, które szukają dla siebie wyrazu w pełni doznanych uczuć.

*

Pisał swojego czasu Stanisław Witkiewicz w monografii o Matejce, że wielki twórca mylił się, doznając jednostronnej wizji Polski niepodległej z minioną wielkością narodu. Dowodził Witkiewicz, że narodu nie stanowią ani jedno ani dwa pokolenia, tylko ich niezliczone szeregi i przyszłość polska „może jeszcze ukazać zdumionemu światu Polaków nie gorszych od tych, których malował Matejko, zdolnych wziąć znowu na swoje barki ciężar historii i odpowiedzialność za własne losy”. Jakoż istotnie, wielkość narodu nie da się ograniczyć do czasu przeszłego i byliśmy świadkami, jak Polska po odzyskaniu niepodległości nawiązała bezpośrednio kontakt z dawną swoją wielkością dziejową. I oto w rezultacie do owych trumien wawelskich, przed którymi korzył się, jak przed wielkością umarłą,

skończoną Matejko — przybyła już nowa, którą tam zaniósł Polska odrodzona, na stwierdzenie prawdy, że niema przerw w wielkości narodu, że mogą się zjawiać jego ludzie wielcy w każdej epoce dziejów.

Jednostronność wizji Matejki można wytłumaczyć łatwo ówczesnym położeniem politycznem Polski, które dawało odpowiednie nastawienie uczuć w kierunku kontemplacji przeszłości; ta świeciła gwiazdami imion wielkich śród czarnej nocy niewoli. Była w tem jednak głęboka prawda psychologiczna, że wielkość minionych epok skupia się w szeregu faktów dziejowych i ludzi, których wizję potężną w duszy miał wielki twórca. Daną epokę dziejów oglądamy zawsze oczyma duszy poprzez ludzi wielkich. Jakoż i twórczość Matejki dawała narodowi wizję jego przeszłości, w której widzimy królów i mężów stanu w momentach ważkich historii.

Z drugiej jednakże strony — musiała się ta przeszłość w sztuce plastycznej Matejki przejawiać zapomocą cech zewnętrznych, archeologicznych; jakoż ta archeologia przeszłości jawiła się wizją w duszach, aż doszło do tego, że zaczęto ją utożsamiać z jej istotą dziejową. Słowem, zaczęto ją pojmować emblematycznie i znamiona zewnętrzne przeszłości nabrały dla narodu treści uczuciowej, co przejawiało się w szeregu rocznic, na które wydobywano z lamusa dawne stroje szlacheckie, pasy słuckie i karabele, nie widząc całej śmieszności tej patryjotycznej maskarady. Zresztą, jeżeli o co idzie, to archeologiczną wizję przeszłości miał już Krasinski w *Przedświcie*. Widzi tam poeta cmentarz przeszłości polskiej, jak

...zimowy ścieg ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy...

I nagle, pod siłą wzroku duszy, ów cmentarz się ożywia i daje wizję Polski dawnej; widzi tu poeta przede wszystkim wymienioną archeologję polską: szyszaki rycerskie, korony królewskie, kołpaki, przyłbice i zbroje, szable, miecze, buzdygany, buławy hetmańskie, i t. p. Kiedy w następny obrazie widzi Krasinski pochód tej przeszłości umarłej do nowej epoki dziejów, znowu dostrzega przede wszystkim te same korony, buńczuki, sztandary, śnieżne pióra. „katolicki krzyż wzniesiony“, herby, tarcze, tłum szabel i Matkę Boską Częstochowską na przedzie, jakby wyjętą z rzyngrafu. Mamy tu wyraźną i typową wizję, jak idą

W dawnych polskich bitew stroju,
Przebóstwieni — rozzłoceni
Przesuwają się w przestrzeni,
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła, w zbroję wtknięte,
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą;

Turkusami zbroje spięte,
Z żywej stali rękawice,
Strusie pióra wyżej głowy
I dobyte do połowy
Damasceńskie ich szablíce...

Tak więc umarła przeszłość stawiała tu przed oczyma nie w swojej treści dziejowej, ale w swych szatach, które pomagały oczom do widzenia, do wizji plastycznej ale czysto malarskiej. W rezultacie, zwłaszcza od czasów Matejki, naród począł po malarsku oglądać przeszłość, zapominając o tem, że Matejko dawał ponadto głęboką tragedję dusz, której nie umiano się niejednokrotnie dopatrzeć, o czem świadczy chociażby polemika z powodu Rejtana.

Pomnikiem bezpośrednim tej przeszłości umarłej był dla narodu Wawel. Tam pogłębiało się jeszcze znaczenie archeologii narodowej. Przemawiała tam przeszłość bezpośrednio obecnością grobów wybitnych mężów stanu z epoki złotych dziejów i późniejszych, grobami królów i biskupów. Z tablic grobowych przemawiała przeszłość urokiem i majestatem łaciny, widniała spiżowymi postaciami w infułach i zbrojach, w sarkofagach królewskich można się było domyślać insygnjów grobowych. Słowem, mówiło tu wszystko śmiercią i jawiło się wizją w duszy, ukochaną w dobie upadku, a jednocześnie ogromnie smutną, który to smutek przemówił też bezpośrednio w sztuce Matejki. Stało się też, że kiedy na Wawelu złożono prochy Mickiewicza, to i poeta nabrał dla współczesnych wawelskiej treści trumiennej i złączył się w wyobraźni i uczuciach narodu z całą tą przeszłością umarłą i archeologiczną wawelską, aż musiał go Wyspiański w *Wyzwoleniu*, nie Mickiewicza, ale to jego wawelskie widmo zegnać z narodowej sceny. Z drugiej strony, jak mówiłem — dana epoka dziejowa uwidacznia się w duszach poprzez ludzi wielkich na tle odnośnych zdarzeń, które stają się legendą w duszy narodu.

W ten sposób doszliśmy do zagadnienia. Tak niedawno przebrzmiały dzwony pogrzebowe Józefa Piłsudskiego, tak niedawno złożono Go na Wawelu i zachodzi teraz obawa, aby nie nabrał treści widmowej, trumiennej, wawelskiej, *aby nie stał się wizją grobową*, któraby nam odebrała wiarę w możliwość dalszej wielkości polskiej i ewolucji ducha polskiego. Zachodzi obawa, aby ten wielki człowiek naszej współczesności dziejowej, w wyobrażeniu o Nim narodu, po złożeniu Jego zwłok na Wawelu, nie zespolił się z archeologją przeszłości i nie stał się sam emblematem, który jak stygmat omartwiałby dusze.

Kiedy Józef Piłsudski umarł, przeszła nad Polską potężna Jego wizja Króla - Ducha. Widzieli Go oczyma duszy wszyscy, skupieni w sobie i cisi, jak zaległ chmura nad tłumami. W mowach o Nim ludzi, w artykułach w prasie jawił się nieustannie, jako Król - Duch, który opuścił swój naród. Samo pojęcie Króla - Ducha zawdzięczamy Słowackiemu, którego poemat jest najmniej może czytany. Ideologia poematu zapadła jednak w duszę narodu, który wierzy w jednostkową moc genjuszu i jego misję w historii. Stało się tak w epoce porzobiorowej, gdy wielkie postacie twórców odegrały potężną rolę dziejową w historii duszy polskiej. Przez Króla - Ducha rozumie naród jednostkę wielką, która mu służy i posiada rząd nad duszami. Kiedy Król - Duch do wieczności przechodzi, żegnamy Go z żalem i bliscy jesteśmy wiary w metempsychozę ducha, który wraca w następnych swoich wcieleniach. Zrazu Król-Duch odchodzi z mocą i oślepia dusze wielkością w osieroceniu narodu. I taką wizję Króla - Ducha przesunął się niedawno przed całą Polską Józef Piłsudski.

Dalej. Kiedy Józef Piłsudski umarł, rozległo się nad nim echo pozgonne, począwszy od orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej, poprzez kazanie pogrzebowe ks. biskupa Gawliny, mowę Prezydenta nad Jego trumną na Wawelu, liczne artykuły w prasie, komunikaty radiowe, film, rozkazy do wojska etc. Echo pozgonne Józefa Piłsudskiego przekroczyło granice Polski i odezwowało się głośno w całej Europie, w parlamentach, w zagranicznej prasie i w Lidze Narodów. Wizja tego człowieka obiegła świat i wywołała wszędzie zgodny chór uwielbienia dla Jego potęgi ducha i mocy charakteru, w uznaniu zasług dla pokoju. Widziano w Nim obraz pełni człowieka poza bohaterem ściśle narodowym. Nie było dotychczas wypadku w dziejach, aby który Polak wielki stanowił tak uznaną i docenioną w Europie pozycję moralną. Polska sama uczyła się w tym fakte śmierci Wodza wydzwigniętą na szczyty i przekonała się, jak daleko już zaszła, idąc za Nim. Pogłębiało to Jego wizję Króla-Ducha, lecz, z drugiej strony, potęgowało żal i wzmagало niepokój o dalsze losy państwa. Wizja pozgonna Piłsudskiego stała się więc czynnikiem konsolidacji narodu, wzmacniała jego spójnię wewnętrzną i gruntowała więźbę dusz. Pogłębiała też poczucie odpowiedzialności za własny los i własną dolę. Wszystkie te elementy dźwięczą od samego początku w echu Jego pozgonnem, które nie przebrzmiało dotychczas. I tak: we wspomnianem już *Orędziu* Prezydenta Rzeczypospolitej, które podało narodowi wieść, że „Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył”, widzimy błysk syntetycznej wizyjnej myśli, która jednostkę wielką umie wyrazić w kilku słowach: „Ten największy na przestrzeni całej naszej historii Człowiek z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał, nadludzkiem wyteżeniem myśli drogi przyszłe odgadywał”. W tej minimalnej ilości wyrazów zamknięty jest cały Józef Piłsudski — z swoją wiel-

kością ducha, ze stosunkiem do przeszłości polskiej i potężnym rzutem myśli w przyszłość. Naród ma tu wypełnić Jego testament i nie uронić niczego z przekazanego sobie dziedzictwa Jego myśli. Toż samo w przemówieniu Prezydenta nad Jego trumną w Krakowie, doznajemy syntetycznej wizji Genjuszu, wizji, zawartej znów w minimalnej ilości wyrazów. Mówił tu Prezydent Rzeczypospolitej tak: „Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu. Skroni Jego nie okala korona, a dłoń nie dźmierzy berła, a królem był serce i władca woli naszej. Półwiekowym trudem swego życia brał we władanie serce po sercu, duszę po duszy, aż pod purpurę królestwa swego Ducha zagarnął niepodzielnie całą Polskę“. A to jest właśnie Król-Duch, który posiadał rząd dusz w narodzie. Poza tem wszystko inne w mowie jest uświadomieniem sobie nowego stanu rzeczy i obowiązków narodu. „U bram domostw naszych postawmy warty, byśmy bezcennego kruszcu enót przez Niego pozostawionych nie uszczuplili, niczego z wielkiego po Nim dziedzictwa nie uронili i byśmy Duchowi Jego, troską za życia o losy Polski umęczonemu, spokój w wieczności dali“.

Jego królewskość z ducha przejawiała się przedewszystkiem atoli w kazaniu pogrzebowem ks. Gawliny, które sięgnęło szczytów naszej wymowy kaznodziejskiej, gdzie można je umieścić obok pogrzebowych kazań Skargi, Samuela Maciejowskiego, Fabjana Birkowskiego i Woronicza. Mamy tu zaraz na wstępie wizyjną, syntetyczną, w kilku wyrazach zawartą, charakterystykę bohatera: „Idzie na odpoczynek wieczny, na adorację wieczną Wielki Wódz i Wielki Samotnik“. Za Jego trumną zdąża majestat Polski i „miłość Matki Kościoła“. Dalej mówca przesuwając przed nami obraz zbolełej Polski, pogrążonej w żalobie: „Odzywa się z góry Lecha dzwon Wojciech szpizowem sercem swoim. Jęczy i płacze na Wawelu Zygmunt i razem z nim rozdzwoniły się i zagrały żalonną melodją dzwony we wszystkich świątyniach polskich. Grają na Polskę całą uroczyste *Requiem*, a wołają imię, pamięć, myśli i czyny Zmarłego, który stanął dziś przed ołtarzem Katedry św. Jana, aby po raz ostatni zasałutować przed Panem życia i śmierci“. Dalej wydobył mówca linję historyczną Jego żywota, aż doszedł do właściwego zagadnienia misji, która to misja stanowi, jak wiemy, podstawę ideologii Króla Ducha. To zagadnienie misji genjuszu w narodzie stanowi też podstawę mistyczno - religijną kultu polskiego dla ludzi wielkich. Mówił tu ks. biskup Gawlina tak: „I stała się nad Nim ręka Pańska i upodobał Go sobie Bóg i naznaczył czoło Jego stygmatem wielkości i kazał Mu spełnić posłannictwo w narodzie naszym“. A to jest właśnie idea Króla - Ducha, która, jak wieniec z lauru, owinęła się około Jego trumny...

Tę samą królewskość z ducha Józefa Piłsudskiego podkreślił rozkaz gen. Rydza - Śmigłego do koła 1 p.p. Legionów, gdzie obecny Generalny Inspektor

Armji stwierdził, że „niema takiej trumny, któraby miała moc uwieźć Jego Królewskiego Ducha. Ten Duch zostaje między nami“, bezkompromisowy i wielki, choć „przeznaczenie narodu polskiego przegrało bitwę ze śmiercią i życiem Komendanta“.

Pomijamy tu całą mnogość artykułów w prasie, niekiedy szczerych, niekiedy pełnych frazeologii, gdyż niepodobna ich na tem miejscu omawiać, ale była w tem wszystkim wizja Króla - Ducha, który przesunął się przed narodem. Tę Jego królewskość z ducha widzieli natenczas wszyscy. W imię tej królewkości z ducha złożono Go na Wawelu, jako wartość żywą i nieśmiertelną, która nie może stać się wartością trumienną, sarkofagową, nieżywą, świętą, w imię której zabijałby naród następnych wodzów, następnych Królów - Duchów i rzucał im kamienie pod nogi i odmawiał im zasług i pomniejszał ich przed narodem i zdierał z nich chwałę, jak to czyniono z Józefem Piłsudskim, w odróżnieniu Go od innych wielkich, którzy byli, którzy walczyli, którzy odeszli, tak samo utracani za życia.

*

Ale Marszałek Józef Piłsudski miał również własną wizję wielostronną narodu i człowieka. Jego wizyjność przejawiała się bezpośrednio w stylu Jego przemówień i pism. Piłsudski myślał obrazami, które rzucał na ekran dusz. Dopóki dany obraz stał Mu przed oczyma, nasilał go wyrazami, co nazewnątrz czyniło wrażenie powtarzania myśli w tych samych często wyrazach i zwrotach. Teraz, kiedy Go brakło mówiącego i piszącego, Jego język staje się sam wizją: czytając Jego pisma, oglądamy Jego samego w charakterystycznym stylu i języku, które wymagają osobnego studjum.

Ponadto Piłsudski *widział* i tem swoim *widzeniem* sięgał do samej głębi duszy polskiej i ludzkiej. Widział oczyma wspomnień dzieciństwo i matkę na tle atmosfery postępczniczej, widział od zarania niedolę społeczną w Polsce, widział niepodległość Polski, do której szedł w przeczuciu. Widział pojednanie narodu i widział potęgę przyszłą Polski. Widział potem rozdarcie, nad którym po odzyskaniu państwa płakał „gorzkimi łzami“, jak mówił, na myśl, „że pierwsze dni wolności Polski wyglądają mogą jak potwierdzenie przez Polaków samych aktów niewoli i przemocy wrogów, potwierdzenie podziału Polski. Widział dysproporcję wewnętrzne sił narodu, jego zachłanność w utracaniu zasług i zawiść w stosunku do wielkości czynów. Widział wartość bojową żołnierza Legionów, widział potęgę i znaczenie zwycięstw i widział małość, która je pomniejszała. Widział Boga, twórcę światy, kiedy nad dziełem swem się trudził, widział Go, jak człowieka - twórcę, doznającego chwil zmęczenia. Widział misję człowieka, która jest skutkiem wyroków boskich, skazujących ludzi „na mozół i trud wielki, by z ubogiej gleby, jak ta sosna,

życie wydobywali, by byli w trwałości pracy niezmienni, jak zieleń wieczna koron drzewnych, a na straż swej ziemicy wysyłali silnych, co w burzy się nie zegną". Widział burzę dziejową „gdy palec Boży ziemi dotyka” i widział wysięg pracy ludzkości. Widział siebie i swoją rolę dziejową, widział swoją linię wodza od pierwszych bojów do przeglądu wojsk w Warszawie, co było dlań bajką rzeczywistości polskiej, widział państwo, w którym nie może być za dużo nieprawości, widział naród, jak pełzał do jego zasług, i widział nieodłączny cień, który szedł za Nim wszędzie, to Go wyprzedzał, to zostawał w tyle.

„Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieśczętach dziecka — cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapłuty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypływający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co szczedzić trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie — ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów — to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzykiwający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski...”. Mamy tu, jak widzimy, obraz stosunku doń społeczeństwa, przynajmniej tej jego części, którą spodliła niewola. Ci oskarżali Go, reprezentanta narodu, naczelnika państwa... o kradzież, czy też ukrycie znalezionych rzekomo przezeń insygnjów polskich koronnych: „Zbiera się komisja sejmowa, aby szukać skradzionych przez tego reprezentanta insygnjów królewskich. Komisja sejmowa, obradująca pod egidą czy pod kierownictwem marszałka sejmu, szuka, śledzi, bada, poszukuje skradzionych przez tego reprezentanta rzeczy” — widział to wszystko i nazywał potwornem, wstrętnem i oplutem! Ta Jego wizja Cienia była nieczem innem, jak wizją plotki polskiej, która pełzała Mu u nóg od początku do końca. Widział ją nieustannie oczyma duszy i od jej widoku uwolniła Go dopiero śmierć.

Dokonało się w dziejach Polski odrodzonej, że Józef Piłsudski umarł. Śmierć jego dla narodu była gromem i duch narodu stęzał w skupieniu i modlitwie. Stało się, że tym razem cień wizyjny nie odprowadzał Go do grobu w krypcie św. Leonarda. Ale też w tem miejscu nabiera właściwego znaczenia troska, aby Mu ów cień wizyjny nie nadał z czasem treści trumiennej, uświęcając Go sobą, własną małością ducha i czyniąc Go wartością martwą, która odeszła od życia.

Tak niedawno widzieliśmy Jego wizję Króla - Ducha. Stało się, że Jego królewskość z ducha wyszła i stanęła przed narodem widzialna. Naród po-

chylił przed nią czoło i odprowadził Go cichy na Wawel, przydając Mu insygnia królewskie duchem.

Był Józef Piłsudski, jak Mickiewicz, syntezą swojego czasu, był wyrazicielem swojej współczesności dziejowej najmocniejszym i bezpośrednim. Duchem swoim obejmował naród we wszystkich jego pokoleniach i jako taki nie da się zamknąć w trumnie. Brońmy Go przed wyobrażeniem o Nim narodu, jak o królewskim prochu. Szukajmy Go w Jego pismach i historii, niech będzie obecny między nami. Nie róbmy dlań urzędowo kultu, bo gdy to zrobimy miernoty, pomniejszą Jego pamięć w narodzie. Nie zasłaniajmy się Jego myślą wtedy, gdy przyjdzie nam samym czynić, bo każdy moment dziejów domaga się własnych decyzji i własnej odpowiedzialności.

Usłyszmy Go w rozgwarze wewnętrznym uczuć, zobaczmy Go w poezji, niech mówi o Nim praca pokoleń, niech Go dośpiewa w serecach rytm wewnętrzny mocnego, pulsującego potężnie polskiego życia.

Złożyliśmy Jego zwłoki w relikwiarzu narodu, ale tamten z Wawelu już nie żyje: ma dla nas potęgę wspomnień i siłę ukochania. W cytowanej na początku monografii o Matejce pisał Witkiewicz: „Przeszłość pozostanie wielkich ludzi prochem. Ale w tych prochach, w tem obcowaniu ze wspomnieniem tkwi dla dusz ludzkich moc ożywcza, tkwi potęga sugestyjna, siła fatalna, z pod uroku której nie można się uwolnić. Każdy wielki czyn w przeszłości, każde imię, związane z wielkim porywem narodu, bez względu na to, czy jest historją czy legendą, ma tę siłę promieniowania energii z pokolenia na pokolenie”.

Wielki człowiek zostawia swoją wizję w narodzie, ale ten człowiek wielki posiadał również własną wizję narodu. Musiało się tak stać po odjemnym do Niego stosunku mas. Wizja Jego pozgonna musi przestonoczyć ten stosunek i przekuć go na hart duszy polskiej, która nie załamie się w stosunku do zasług innych, która ich nie pomniejszy i nie będzie dla nich cieniem.

Jego wizja pozgonna pada się cała legendzie, a ta przekaże Go wiekom. Pomiędzy jedną i drugą niech będzie mostem poznanie Jego pism i wyrozumienie wielkości. Strzeżmy, aby doń nie podpełzła zapluta plotka polska, która równa wielkich z małymi, piękno z brzydotą i myśl z głupotą. Nie przegadajmy Go, myślimy o Nim i sami wróćmy do życia, bo On to życie, które jest poza śmiercią, które jest w nas. Życie ma w sobie wszystkie możliwości rozwoju, a to jest właśnie On, ten drugi, nieśmiertelny.

ANTONI ANUSZ

W Y M O W A Ś M I E R C I

Zgon Marszałka Józefa Piłsudskiego jest tym wielkim wstrząsem w życiu narodu, który wydobyl na wierzch ukryte w głębiach siły moralne i uświadomił nam nieznaną treść duchową masy narodowej. Do tego „serca zarytego głęboko, gdzieś pod czwartą głębłą skibą, — jak pisze Wyspiański, — że swego serca nie dostać“, do tego serca powszechności narodowej sięgnął Józef Piłsudski przez swoją śmierć.

Postawa duchowa masy narodu wobec śmierci Twórcy niepodległości państwowej jest zaprawdę wzruszająca, jest dla każdego, kto „ma serce i patrzy w serce“, źródłem otuchy i wiary w wielką misję dziejową Polski, która posiada tak patryjotycznie czujące masy obywateli.

Współczesna rzeczywistość nasza jest bezsprzecznie ciężka, nie można zalecać płytkiego, powierzchownego, zdawkowego optymizmu w ocenie tego, co stanowi dolę przeciętnego obywatela naszego państwa. I dlatego też imponująca jest ta mądrość mas ludowych, które umiały wyodrębnić z rzeczywistości polskiej wszystko dodatnie, co jest zasługą Józefa Piłsudskiego, od tych objawów ujemnych, które nasze życie państwowe cechują z winy nas, piłsudczyków, geniuszu, talentów i zdolności, właściwych indywidualności Józefa Piłsudskiego, lecz mają prawo żądać od nas powagi moralnej, uczciwości i solidności, mają prawo żądać, abyśmy sprawowanie władzy w państwie pojmowali jako trud i odpowiedzialność, a nie jako sposobność do mniej lub bardziej godziwych uciech życiowych. Niezwykle silne wzruszenie i głębokie przejęcie się mas ludowych śmiercią Marszałka Piłsudskiego odsłania przed nami istotę tego tajemniczego związku duchowego, jaki istniał pomiędzy Nim a ogółem, związku, który dla Niego samego był w pewnej mierze tajemnicą.

Miałem wrażenie, że Józef Piłsudski szukał podniet i wskazań dla swej działalności w nakazach przeszłości historycznej, w przejęciu się duchem dzieł narodu, a nie w odczuciu współczesności i tego, czym żył przeciętny człowiek naszego pokolenia. Przypomina mi się Jego znamienne powiedzenie: „A może mi się uda stworzyć Wielką Polskę, jeżeli potrafię oszukać Polaków”. Dzisiaj, w obliczu napięcia żałoby narodowej, jasnem jest, że Józef Piłsudski nie potrzebował oszukiwać ogółu Polaków przy tworzeniu Wielkiej Polski, lecz musiał oszukiwać politykujących Polaków, musiał ignorować tych menderów politycznych, którzy stali pomiędzy Nim a społeczeństwem, musiał ponad ich głowami sięgać do obecnego w duszy ludu instynktu wielkości, musiał „plwać na tę skorupę i sięgać do głębi”.

Dzisiaj masy swoją postawą wykazały, że były właściwie zawsze z Józefem Piłsudskim, gdy On stał przy warsztacie wielkich prac historycznych. To właśnie polityków, a nie masę narodową Józef Piłsudski musiał oszukiwać, gdy podejmował wyprawę wileńską, gdy szedł na Kijów, gdy wreszcie przygotował i organizował zwycięstwo w wojnie z Rosją. Oto dowody, stwierdzające tę prawdę:

Liderzy największego stronnictwa sejmowego z czasów, gdyśmy toczyli śmiertelne zapasy z Rosją o ustalenie naszych granic wschodnich, w ten sposób oceniali potrzebę i sens wielkiego wysiłku narodowego. Stanisław Głąbiński w lutym 1929 r. pisał w liście otwartym: „Stwierdzam następnie, że nie obrzucaliśmy błotem b. Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, lecz zwalczaaliśmy go w zasadniczych sprawach politycznych i domagaliśmy się przyjęcia ofert pokojowych, z jakimi Rosja Sowiecka za pośrednictwem ś. p. Aleksandra Więckowskiego zwracała się do Polski celem zapobieżenia wojnie i ustalenia dobrych stosunków z naszym wschodnim sąsiadem”. A Roman Dmowski jeszcze 21 marca 1931 r. zaryzykował wypowiedzenie następujących słów: „Właściwie od początku istnienia naszego odbudowanego państwa nie mieliśmy żadnych dowodów na to, żeby Sowiety na serio przedsięwzięły wyprawę na Polskę w celu jej zniszczenia. Jeżeliśmy widzieli bolszewików pod Warszawą w roku 1920, była to tylko konsekwencja wyprawy kijowskiej, mającej na celu oderwanie Ukrainy od Rosji”.

Gdyby Józef Piłsudski w imię świętej „zgody narodowej” uległ tym dziwnemu nabożeństwu argumentom wpływowych polityków, a nie poszedł za głosem ducha dzieł ojczystych, licząc na oddźwięk moralny, jaki wielka sprawa znajdzie w masach narodu, tęskniących do dni chwały i wielkości — czy dzisiaj czytaliśmyby te słowa zarządzenia ks. Prymasa Hłonda z 15 maja, słowa, które każdemu Polakowi muszą rozszerzyć pierś uczuciem służnej i wzniosłej dumy?! „W przyszłą sobotę nastąpi złożenie w Grobach Królew-

skich na Wawelu Zwłok Marszałka Piłsudskiego, który poza wielu innymi zasługami zapisał się w dziejach wskrzeszonej Polski, jako *pogromca zbrojnego bolszewizmu, co chciał podbić Polskę i wcielić ją we wszechświatową Republikę Sowiecką*. Zwycięstwami dnia 15-go i 16-go sierpnia 1920 roku stanął Marszałek Piłsudski w szeregu dziejowych obrońców wiary. Pod Jego dowództwem zwycięski czyn bohaterskiej armii polskiej zwany „Cudem nad Wisłą” osiągnął znaczenie Lepanta i Wiednia. Za to należy się Józefowi Piłsudskiemu wieczna wdzięczność nie tylko obywateli polskich, lecz całego chrześcijaństwa”.

Zmarły pogromca zbrojnego bolszewizmu miał za życia tysiące powodów, żeby być dumnym z samego siebie, żeby się nasycić własną sławą, lecz to Mu nie wystarczało. On chciał być dumnym ze swego narodu. Współcześni Polacy, zwłaszcza ta „zwierzchnia skorupa”, z którą się najczęściej spotykał, nie dawali słusznego powodu do dumy i to zapewne było źródłem tego rozdrażnienia, które cechowało Józefa Piłsudskiego pod koniec życia. Musimy zasłużyć sobie, aby był z poza grobu dumny z nas żyjących. Jaka droga prowadzi do tego? Droga przez trud i wytrwałość w pracy dla Ojczyzny.

Przypomina mi się w tem miejscu pewien szczegół. Latem 1924 r. miałem zaszczyt odwiedzić Marszałka Józefa Piłsudskiego w Druskenikach. Podczas wspólnego obiadu w miejscowym domu zdrojowym Józef Piłsudski wygłosił żartobliwy *toast*, w którym między innymi mówił o tem, jak On lubi się lenić i ile jest rozkoszy w lenistwie. Zdaje mi się, że ówczesne słowa Józefa Piłsudskiego zdezorientowały niejednego piłsudczyka.

Prawda jest zgoła inna. Józef Piłsudski był nie tylko genialnym, lecz wprost niezmordowanie wytrwałym pracownikiem. W pracę, z którą wiązał swoje imię, wkładał ogrom przejęcia się i wytrwałości. Świadczą o tem *Moje pierwsze boje*. Potwierdzają to uwagi o roli podoficera w wojsku, udzielone przez Marszałka Józefa Piłsudskiego 28 marca 1930 r. *Wiarusowi*, które pozwolę sobie tutaj przytoczyć: „Kiedy co rok napływa do koszar tysiące i tysiące młodych chłopców, co ani z bronią, ani z ruchami, ani z porządkiem wojskowym nigdy nie mieli do czynienia, a w krótkim czasie trzeba ich przerobić na zdatnego do pracy żołnierskiej człowieka — to nieraz w głowie się mąci, czy to się daje dobrze wykonać.

Rola wtedy podoficera olbrzymieje, rola jego w wojsku staje się duża i wielką. Wtedy każda minuta, jak w boju, jest droga i zda się, sił nie wystarczy, by wszystkiego dokonać. Mówię, jak w boju, gdyż sobie dnie bojów wspominam, *gdy dzień bojów mijał, nocy nie dosypiałem, by przemyśleć prace następne, i gdy nie znam wypadku, bym sobie nie wyrzucił, że wszystko, co należy, zrobiłem*”.

Jeżeli poczucie obowiązku było w Nim silniejsze od skłonności do wygody i wywczasów, tem większa Jego zasługa, a dla nas — nauka i przykład. Wielki Zmarły pozostanie dla nas zawsze żywą prawdą tych rozległych możliwości, jakie stają przed każdym z nas, jeżeli naszą myśl, serce i wolę oddamy bez reszty na służbę Ojczyźnie, nierozdzielnie łącząc własną godność osobistą i własną pomyślność z godnością i pomyślnością całego narodu.

Taka jest wymowa śmierci Tego, który pracą całego swego życia, a wreszcie przez zgon budował jedność narodu i jego wewnętrzną zwartość.

ROMAN KOŁONIECKI

ŚMIERTELNA BALLADA

I

Niemen o brzegi pluszcze,
Pyta Litwa-ojczyzna:
— Czemuś rzucił swe puszcze,
Synu — przyznaj się, przyznaj!

Szumią litewskie bory,
Pachnące grzybobraniem:
— Czemuś opuścił skory
Swoje umiłowanie?

Przywotują Cię z żalem
Wiatry i ludzie leśni:
— Czy nie kochasz już wcale
Naszych miodów i pieśni?

Tu przy Tobie, dla Ciebie
Wszystko było weselem;
Obłokami po niebie
Przepływały niedziele;

Lśnią okolice mile
W jeziornych lustrach śnych —
Spójrz: tu szczęścia przeżyłeś
Najrzeczniejsze godziny.

Tu zaznałeś miłości
Dworku bieluteńskiego,
Co blasku nie zazdrościł
Nawet najczystszy śnieg;

U okien miał dziewanny,
Maki, malwy, nagietki...
Tu dzień — jak uśmiech panny,
Tu noc — jak jedwab lekki.

Jakie wróżby zdradzieckie,
Jakie znaki, zaklęcia
Wywabiły Cię dzieckiem
Z matczynego objęcia?

Kto Ci oczy młodzieńcze
Błyskawicą zapalił,
Najpiękniejszych snów tęcze
Z rzecznej wywołał fali?

Może to jęk pułacza
Z malowniczego siola
Wywiódł Cię?... co oznaczał?
Poco wołał, gdzie wołał?

Nie widziały Cię więc
Ranki, mgłami zasnute,

Ani oczy dziecięce,
W których skarży się smutek,

Ani płowe polany,
Ani dom, co wciąż czeka:
— Gdzie gospodarz kochany?
Kiedy wróci zdaleka?

Nocą skrzypią drzwi miłe,
Pyta Litwa - ojczyzna:
— Czemu kraj swój zdradziłeś,
Synu — przyznaj się, przyznaj!

II

— Nie zdradziłem tej ziemi,
Prosty parobek Boży:
Bóg śladami jasnymi
Inny szlak mi otworzył.

Milowałem swe puszcze,
Wsi, co chatami kwitną,
Niemen, co cicho płuszcze,
Stu jezior toń błękitną,

Fioletowe moczary
I fioletowe wrzosy,
I wilki, i komary,
I chór żab wielogłosy!

Na zawsze mnie uwiodły
Melodje kołysanki,
Dziadów guślarskie modły,
Smutne ementalne wianki;

Och! i pamiętam jeszcze
Matczyne pocałunki,
Leśne echa złowieszcze,
Słodkie bajki piastunki,

Świtły, wschody, zachody,
Wodne, powietrzne dziwoty!
Tylko tam byłem młody,
Tylko wtedy szczęśliwy!

Porzuciłem swe włosci,
Cheąc je pojąć inaczej —
Porzuciłem z miłości,
Porzuciłem z rozpacz!

W każdą mą noc bezsenną
W cichym dworku z modrzewia
Księżyc tarczą wojenną
Na chmurach gnuśnie rdzewiał,

Z nad próchniejących gontów
Krwiały sny zawile plamił,
Gdyś śnił ojcowski kontusz
Z krasnemi wyłogami.

W ryku nocnego zwierza
W zielone ściany lite
Bożą pięścią uderzał
Głuchy turkot kibitek.

Trupy wstawaly z mogił,
Rany niosąc krwawiące,
I nie schodziły z drogi
Nawet gdy błysło słońce.

W dzwonów wileńskich wrzawie
Brzmiał głośny płacz niewieści...
Żołnierski sen o sławie
Chłopiące serce pieścił.

Gdy szum wichrów zwycięski
Rósł nad borem jak obłęd,
Zaczęłem nagle tęsknić
I już kochać nie mogłem.

Jątrzyły mą tęsknotę
Buki, dęby prastare,
Jak harfy szczerozłote
Perkunowych harfiarek;

Uczyły mnie słoneczną
Wiedzą ku szczytom sięgać,
Bym poznał, co jest Wieczność,
Bym czuł, co jest Potęgą!

Pod ksiąg i liści znałem,
Półbożyc i półdjabłę,
Poomacku sięgałem
Ślepą ręką po szablę.

Wiał mi nad szkolną ławą
Czad romantycznych wierszy,
Łącząc Wilno z Warszawą
Pierścieniem coraz szerszym.

Szły zamysty olbrzymie
I szły olbrzymie dzieła.
Litwa zmieniła imię,
Miano Polski przyjęła.

Ustyszałem — kość z kości
I krew z krwi swej ojczyzny,
Prośbę o deszcz wolności,
O deszcz wielki i żyzny!

Gaje, bugaje młode
O bujny wzrost prosiły,
Zróżdla — o chłodną wodę,
Gleba — o nowe siły.

Żądza orała ziemię,
Płynie ciszy i mroku...
Rozwielmożniał się we mnie
Cień Bożych wyroków —

To on iść mi rozkazał
Na bal nędzy i złości,
Bal ognia i żelaza,
Bal śmierci i ciemności!

On także mi polecił
Sprawiać żołnierskie rotę,
By wśród światów zamięci
Budzić szal mej tęsknoty.

Nie zna bólu ni głodu,
Nie wie, co trud i trwoga,
Kto raz popadł zamlodu
W ręce żywego Boga.

Pojąłem, co to praca —
Boży parobek prosty:
Umarłym życie wracać,
Tęcze rzucać jak mosty.

Przez przekleństwa i blizny,
Przez tułaczki i bitwy
Wróciłem do ojczyzny,
Do swojej Polski - Litwy,

Gdzie szumią dawne puszcze
Snom wiernych a zuchwałych,
Gdzie Wisła cicho pluszcze,
Gdzie śpi mój dworek biały...

III

Dawność wszystko odmienia —
Jak Cię dom Twój przywitał:
Pajęczyną uspienia?
Zapachem wieńców z żyta?

Tyś zmiłki, czy on oniemiał
W ptactwa dzikiego krzyku?
Nie — wszak tu inna ziemia,
Bez mału i słoneczników!

*Stała w drzwiach drewnianych
Straż Twych spojrzeń ostrożna:
Czas poprzesuwał ślany,
Ze ich poznać nie można!*

*Tamten dom z desek wonnych
Jaśniał zim dawnych śniegiem;
Tu inny dom — przestronny,
Ze szkła, wapna i cegieł.*

*Tam dom mały, lecz dumny,
Wszystkim wiotrom otwarty,
A tu — ciężkie kolumny,
Mury, kraty i warty.*

*Szumiące puszcze Twoje
Przerosła puszca ludzi.
Inne ganki, pokoje
Twardy krok Twój obudził.*

*Inny dom Cię tu zastał,
Nie tamten, w woniach mięty —
Betonowego miasta
Mocnym kregiem objęty.*

*To nie dom — to Cię wita
Wyspa na oceanach,
Ogradami zakryta,
Ogradami zalana!*

*Oddał Ci się Belweder,
Biała róża Warszawy:
W bryle święconej kredy
Pustelnia Twojej sławy.*

*Dom to mały — dom z czarów,
Dom z dziwnych opowieści,
Bo tyle w nim obszaru,
Ze pół Polski pomieści!*

*Kolumnami, powadą
Nie kołysz się w niebie —
Dziw, że Ci go nie mało,
Że go starcza dla Ciebie!*

*Pewnie mury te skrycie
Długo się sposobiły,
Żeby zawrzeć Twe życie —
Wulkan tajemnej siły.*

*Skoro dom się nie wzbraniał
Przyjąć w siebie Twoją duszę,
Rzeki Twego kochania, —
Skoro się nie rozkruszył!*

*Jego dłużniśmy siłę,
Jego hardej trwałości
Wszystkie bezpieczne chwile,
Wszystkie błogie radości,*

*Nasze szczęścia codzienne,
Spokój żreńce szeroki,
Myśli wysokopienne,
Odpoczynek głęboki!*

*Łaska nieopisana
Błogosławiła żniwom:
Żyłeś, czuwałeś — za nas
Obecnością gorliwą.*

*Żyłeś — nasz, żyłeś — człowiek,
Żyłeś — żywioł bez miary,
Nasza krew, nasze zdrowie,
Światowid naszej wiary!*

*Gdy ufni Twym zakonom
Szliśmy, bandosi prości,
Spać — Ty, krzepki ekonom,
Sam strzegłeś naszych włości;*

Czerstwy, jak sen potrzebny
Wiotkim roboczym siłom,
Żyłś — gospodarz zgrzebny, —
Twoje serce w nas biło.

IV

— Tak, sam stałem na straży,
Sam — pod słońcem w zenicie...
Kto choć myśleć się ważył,
Jakie tu miałem życie?

Oddał mi się Belweder —
Biała czaszka Warszawy,
Gdym brał ubogą schedę
W opiekunstwo swej sławy.

I szeptał próg do proga:
„Już tu zawsze zostanie,
Komu dane od Boga
Najdłuższe umieranie“.

Nie wiecie, jakie obok
Chichotały chimery,
Gdym rachował się z sobą
I darł nocą papiery!...

Lecz piersi mam stalowe,
Jak średniowieczni męże:
Kto powtórzyłby słowem,
Com ja pisał orzęmem?

Zawsze tkwił mi w pamięci
Szlak z najostrzejszych mieczy;
Lecz wielkoludów nęci
Zwykły żywot człowieczy.

Gdym chciał rozkwiecić majem
Odczłowieczone życie
I powrócić w kraj bajek —
Dumałem sobie skrycie

(Żądny dziecięcych twarzy
I różowych uśmiechów),
Ze mi się kiedyś zdarzy
Być... dziadkiem do orzechów!

A gdym wyszedł przypadkiem
Nie w gotyckiej swej cnocie,
Lecz dobrodusznym dziadkiem,
Co, rozdając takocie,

Wiośnie dziwi się wczesnej,
Kwiatnym pąkom, już sporym —
Dotykalny, cielesny,
Byłem dla was upiorem!

W belwederskich szpalerach
Grała sowa muzyka,
Gdym się uczył umierać
I od świata odwykać.

W parku, gdzie zieleń skąpa,
Krok mój ploszył słowiki:
Wśród drzew sam cień mój stapał,
Jak stąpają pomniki!

Kiedym sen wasz przemierzał,
Sen leniwy i długi —
Musiałem iść, jak wieża
Wiekopomnej zasługi!

Pierś, gwiazdami zakrytą,
Głowę swą w ciemnej chmurze
Widziałem stokroć rytą
W najpyszniejszym marmurze.

Gdym się w bólu zatracił,
W najzatwardziałym gniewie —
Tors mój stawał na placach,
Tors w brązowym odlewie.

422

Zarty mnie stone poty
Bożego okrucieństwa,
Żeby był Demon cnoty,
Żeby był Tyran męstwa:

Och! wykapałbym ciało
W weselu pospolitem,
Żeby tak nie bolało
To stawanie się mitem!

Na cokole niezłomnie
Trwałem — a jednym z wielu
Nie mogłem być... Kto o mnie
Śnił jak o przyjacielu?...

Więc czoło miałem groźne,
Całe we mgle milczenia,
I oczy skryte, mroźne —
Jak czary z kamienia!

Chroniłem się przed wami
Nieprzekraczalną ścianą,
Czuwając nad tłumami
Samotnością kością.

Żyłem dla tych, co żyją,
Lecz i dla tych, co będą,
Bezimienną, nieczyją
Urastając legendą;

Byłem skalistym polem,
Skąd rzeźwe wiatry wieją,
Rozkwitając symbolem,
Dojrzewając ideą!

Pragnęłam żyć brat braciom,
A musiałem żyć dumny,
By dorosnąć postacią
Do przyszłej wielkiej trumny,

Żeby choć pod jej wiekiem
Czuć zwyczajne wesele,
Czuć się tylko człowiekiem
Przez powszednich dni wiele.

Nim owionie ramiona
Płaszcz anielskiej opieki —
Długo potrzeba konać,
By żyć potem na wieki.

V

O, dorosteś postacią
Do wielkiej, ciężkiej trumny —
Słup ognisty swym braciom,
Taki jak nigdy dumny!

Belweder — domek z czarów,
Z dziecinnych opowieści:
Choć tyle w nim obszaru,
Śmierci Twej nie pomieści!

Czernią topoce w niebie,
Flagą czerwono - białą —
Dość go było dla Ciebie,
Lecz na śmierć Twą — za mało!

Nie sprosta tajemnicy,
Choć uniósł brzemień sławy!
Przekwitł różą stolicy,
Dziś łni czaszką Warszawę.

Znów głębie się rozwarły,
Znów nikt prawdy Twej nie zna,
Ty — ogromny Umarły,
Ty — pustka międzygwiezdna,

Ty — wrzaca otchłań duszy
Między ziemią i niebem!
Jeśli serca rozkruszysz
I zmiażdżysz swym pogrzebem —

*Kto z tej pustki uleczy?...
...Wynieśli — nieśli z trudem
Lichy zeułek człowieczy
Nad zgromadzonym ludem.*

*Dźwigali Cię przez miasto,
Osierocone dzieci.
Kometą ogoniastą
Trup Twój płonął i świecił.*

*Płynęła przez ulice
Trumna wielka i niema,
Szeptala tajemnicę:
Że już Ciebie tu niema...*

*Maju, zielony maju!
Zima trawy twe strzyże —
Czemu na dróg rozstajach
Zakwitły wszystkie krzyże?*

*Maju, tyś miesiąc biały!
Ziemia o zieleni pyta,
Śnieżne burze przewiały,
Blednie Rzeczpospolita.*

*Maju — maju czerwony,
Jak sztandar narodowy!
Pons trumiennej zastony
Ogniem owija głowy.*

*Maju, tyś miesiąc z czerni —
Krepowy i ponury!
Jak żalobny październik,
Żalobne młotasz chmury.*

*Maju, maju majowy,
Tyś czterobarwna wstęga,
Co z urny kryształowej
Do piersi naszych sięga!*

*Zima trawy twe strzyże,
Ziemia dziwnie uboga;
Zakwitły tylko krzyże
Przy wszystkich polnych drogach.*

*Kto je szczodrze podlewał
Nieutulonym płaczem,
By kwiat z martwego drzewa
Dostać w wianie żebraczem?*

*Kto czułością swych szlochów
Świeże wywabił pędy?
Czyj pogrzebowy pochód
Dzisiaj przechodził tędy?*

*To On szedł, cuda czyniąc,
Na wędrówkę nieznana —
Szedł ciężką srebrną skrzynią,
Samotnością kościaną.*

*Brzękł mu srebrnem wiekiem
Nad srebrną śpiącą głową.
Żył wśród nas, żył — człowiekiem,
Umarł — Polski połową.*

VI

*— Nie, nie — ja nie umarłem!
To kłamstwo: czy słyszyte?
O śmierć tylko się wsparłem,
By wreszcie zacząć żyć.*

*Nie mówcie, że mnie niema,
Uciszcie mroczne głosy:
Wciąż rękami obiera
Dzierzę Ojczyzny losy.*

*Umarłem dziś w Warszawie,
Samotnik z Belwederu,
Lecz na ojczyściej namie
Widmem stoję u steru;*

Umarłem — tylko człowiek
Z szablą i w maciejówce,
Lecz wciąż widzę z pod powiek
Swoje posłuszne hufce!

Spoczywam w trumnie ciałem
(Kiedyś i ciało wstanie);
Z wami krwią pakt pisałem
Na wieczne obcowanie!

Jany i Kazimierze
Dawno sen zmógł niehuman;
Ja z żywymi w przymierze
Wszedłem, żywy Piłsudski!

Miedzią mury rozsądzę,
Bronzem bruki rozbiję,
Wszystko wezmę we władzę,
Bo ja żyję, ja żyję!

Zyję — najtęższem słowem,
Co rozbrzmiewa aż w duszy
I co syki węzłowe
Tłumiąc — sumień nie głuszy;

Meteorami w nocy,
Posagami na placach,
Groźnym szeptem przemocy
W ministerkich połacach!

Mój gest z za grobu mroczy
Ławy poselskie w sejmie:
Stałą wciąż są me oczy,
Z których jutro kir zdejmie.

W bój — jak Nike — za włosy
Porywałem żołnierzy;
Teraz — prostuję kłosa
Bulgotem soków świeżych.

Idście, gdzie wieńce złote
Lśnią na pobojowiskach:
Wiosna moim żywotem
Brzozami z darni tryska!

Herb Ojczyzny widomy,
Bronię jej niewidzialnie.
To ja: — kamieniołomy,
Fabryki i kopalnie!

Gryzę polskie ugory,
Boży pług na pustyni.
To ja: — elewatory,
Gmachy i doki Gdyń!

Niby świątkowie chmurni,
Znalezieni na roli,
Jestem z górnikami górnik,
Z tkaczem tkacz, brat niedoli.

Choć nie huczy drogami
Moja czarna kwadryga,
Jestem przy was, nad wami,
Każdy w sobie mnie dźwiga!

Nie śpię w trumiennych wiórach —
Każdy w kabale miasta
Ma we mnie sobowtóra,
Co o śmierć go przerasta!

Rozmnożony w gromadę,
W niepokoju, w rozpacz
Dłoń na barkach wam kładę —
Wy wiecie, co to znaczy.

Życie swe w liczbę zmieniam
Nieodgadłą a ścisłą,
Która wiedzie z marzenia
Ku pracom i przemysłom.

*W każdym dziele najmłodszym
Żyje, przytomny wszędzie,
I gdybym od was odszedł —
Wiem, że Polski nie będzie!*

*Lecz nie — ja nie umarłem,
To kłamstwo: czy słyszycie?
Śmierć serdecznie odparłem,
Wszczepiony w wasze życie.*

VII

*Tyle z Ciebie, człowieka,
Zostało nam w spuściznie,
Że próchnem i po wiekach
Będziesz świecił ojczyźnie.*

*Wiernie u kolan matki
Sercem spocząłeś w Wilnie,
By po dziejów ostatki
Świadczyło nieomylnie.*

*Jakbyś nie chciał śnić we śnie —
Na śmiertelne wezglowie*

*Czaszkę pustą boleśnie
Położyłeś w Krakowie.*

*Tyle z Ciebie, człowieka,
Zostało między nami,
Że spoglądasz z pod wieka
Zamkniętymi oczami.*

VIII

*— O, nie każcie mi leżeć
W ciasnej wawelskiej krypcie:
Jam nad góry i wieże,
Włęcz mi górę usypcie!*

*Będę stał na niej codzień
I będę się z mogiły
Rozglądał po narodzie:
Ile w nim mojej sily.*

*Wiem, że mi nie zaprzeczy:
Na zawsze w nim zostanie
Mój wieczny trud człowieka —
Wieczne odpoczywanie.*

Urodziłam się 8 września 1930 roku w małym miasteczku, w Brzozowie położonym niedaleko Sanoku woj. Przemyśl. Ze swego rodzinnego miasta niewiele pamiętam, bo kiedy miałam 4 lata przeprowadziliśmy się do Drohobycza leżącego w południowo-wschodniej części Polski w woj. lwowskim.

Ojciec pracował w policji. Matka, ta dobra, kochająca, bogobojna i troskliwa opiekowała się rodziną składającą się z siedmiorga dzieci. Mieszkaliśmy przy ulicy św. Jana numer 30 w małym lecz miłym domku. Najstarsza siostra Janka wyszła za mąż za Przodownika Policji. Oni przed wojną mieli troje dzieci, mieszkali w Dzibułkach w powiecie żółkiewskim. Druga siostra Zuzanna też zamężna za Leona Korbeckiego, mieszkali w Drohobyczu. Siostra Halina pracowała w zawodzie fryzjerskim, młodsza od niej Stasia chodziła do szkoły handlowej a brat Józek do gimnazjum technicznego. Brat Leszek i ja do szkoły powszechnej. Bardzo lubiłam swoją szkołę im. królowej Jadwigi, przy ul. Mickiewicza, To tam uczyłam się pilnie z myślą zrobienia kariery zawodowej. Nie wiem co bym wtenczas wybrała, w jakim kierunku kształciłabym się, może w sztuce malarstwa bo bardzo lubiłam malować. Lubiłam sport, należałam do Sokołów gdzie w każdym tygodniu miałyśmy gimnastykę, ćwiczenia na trampolinie, skoki wzwyż, wzdłuż itp.

Zostały mi piękne wspomnienia ze zjazdu Sokołów we Lwowie w 1938 roku. Staliśmy wtenczas w parku Kilińskiego. Przy najbliższym stadionie był pokaz Sokołów z całej Polski. Było nas bardzo dużo mężczyźni, kobiety, dziewcz-

częta i chłopcy ubrani jednakowo pod kolor, spódniczki plisowane granatowe, bluzki czerwone z kołnierzykiem Słowackiego, białe skarpetki, czarne pantofle. Robiliśmy rytmiczne ćwiczenia przy dźwiękach orkiestry grającej marsz Sokółów – Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat – wszystkim znana melodia. W parku Kilińskiego znajdowała się Panorama Racławicka malowana przez naszego słynnego malarza Wojciecha Kossaka w 1857 roku, którą oglądałam z niezatartym wspomnieniem. Po raz drugi miałam okazję oglądać Panoramę Racławicką w 1992 roku na Zlocie Afrykanek we Wrocławiu.

Co za szmat czasu, po 52 latach.

Przenoszę się znowu do Drohobycza.

Pierwszego września 1939 roku wybuchła wojna z Niemcami. Zdawało się że nadszedł koniec świata. Strach niesamowity przed nalotami. Drohobycz był często bombardowany, bo Niemcy niszczyli rafinerię nafty POLMIN,

Chowaliśmy się w rowie, przy końcu dużego ogrodu u sąsiadów. Nie zapomnę dnia kiedy alarm zastał mamę i mnie jeszcze w domu. Aby dobiec do rowu trzeba było pokonać ulicę, ogród, łąkę, wtedy zobaczyliśmy, że samolot niemiecki leci nad naszymi głowami. Posypały się kule wokół nas, Opatrzność Boża czuwała nad nami, bo szczęśliwie dobiegaliśmy do tego rowu.

W całym mieście popłoch niesamowity. Jedni uciekają na wschód, inni na południe aby się przedrzeć przez granicę na Węgry. Mój Ojciec z grupą policyjną też uciekał, ale zawrócił, chciał jeszcze raz zobaczyć nas wszystkich i już było za późno aby uciekać, bo Niemcy oblegli południowe krańce Polski, więc z grupą policjantów uciekali na wschód. Tymczasem ze wschodu nadciągała armia rosyjska i wszyscy zostali uchwyceni w Dolinie i wtrąceni do więzienia. O uwięzieniu Ojca dowiedzieliśmy się od pewnego lotnika z Warszawy, który wpadł w ręce moskali w Dolinie. On wyszedł z więzienia cudem. Nie miał żadnych dokumentów przy sobie, podał się za chłopca z pobliskiej wioski i został wypuszczony. Ojciec prosił go aby zajechał do Drohobycza i podał wiadomość o Ojca zaaresztowaniu. Zaraz na drugi dzień Matka pojechała z odzieżą i prowiantem do Doliny.

Ja ogromnie kochałam Ojca. Byłam najmłodszą w rodzinie i najbardziej rozpieszczoną przez niego. Błagałam Mamę aby zabrała mnie ze sobą, gdy po raz drugi jechała z odzieżą i prowiantem. Ten moment spotkania z Ojcem wrył się głęboko w mojej pamięci. Pierwsze spotkanie z więźniami, gdy milicja prowadziła ich z wiadrami po wodę do studni, która znajdowała się na podwórku jakiegoś instytutu a może sierocińca bo tam pamiętam zatrzymaliśmy się z Mamą, a wzdłuż drogi było więzienie. Tym razem już Mamę nie wpuścili do środka, tylko mnie kazano dostarczyć paczkę Ojcu. Weszłam do długiego korytarza gdzie milicjant jeszcze raz sprawdził zawartość paczki i zaczął po kolei stukać do drzwi więziennych karabinem pytając czy jest tu Czerniak. Do trzecich drzwi doszedł i odezwał się głos Ojca. Z biciem serca oczekiwałam na ten moment gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich Ojciec. Chwycił mnie w ramiona, całował mnie i tulił i pytał gdzie jest Mama i czy chodzimy do szkoły. Szloch przerywał mu pytania. Nie trwało to długo, gdy milicjant krzyknął aby wrócił do celi, ale ja kurczowo trzymałam ojca za szyję i nie chciałam go puścić. Wówczas milicjant rozłączył nas siłą i pchnął Ojca do celi więziennej. Milicjantem był polski żyd.

To było ostatnie rozstanie się z Ojcem. Długo płakałam i co noc śniłam ten moment w Dolinie. Wkrótce wszystkich uwięzionych wywieźli do Rosji. W lutym w 1940 roku otrzymaliśmy jedną lub dwie pocztówki z Ostaszkowa. Ojciec wspomina, że wywożą ich gdzieś w nieznane, ale napisze z nowego miejsca. Niestety już nigdy nie otrzymaliśmy od Niego żadnej wiadomości. Dopiero po wielu latach dowiedzieliśmy się o strasznych morderstwach popełnionych na polskich oficerach, policji, polskiej inteligencji w Katyniu, Miednoje i innych kaźniach sowieckich. 15000 osób rozstrzelano w Katyniu, w Ostaszkowie ponad 8 tysięcy, a w Starobielsku ponad 6 tysięcy.

W 1940 roku Rosjanie zaczęli wywozić ludność cywilną do Rosji. 10 lutego wywożono osadników na Sybir a 13 kwietnia ludność z miast, rodziny oficerskie i policyjne, biurokrację.

Pamiętam, gdy wcześniej z rana około godziny 4-tej obudził nas szcęk żelastwa, walenie do bramy wjazdowej i krzyk żołdaków otwierajcia. Rozbili bramę

i zaczęli walić do drzwi. Mama ze starszym bratem otworzyli im drzwi. Weszło sześciu uzbrojonych żołdaków i komandir a sześciu innych okrążyło dom. Nie wiedzieliśmy co chcą od nas. Pytali czy mamy jakąś broń w domu, zrewidowali wszystko. Myśleliśmy że będą aresztować syna pana Zajsa dyrektora Banku a naszego sąsiada. Tadzik ukrywał się u nas bo chodziły pogłoski, że w tę noc mają aresztować wszystkich studentów. Tymczasem nie zwrócili uwagi na niego, pytali o Ojca, jeszcze raz przeszukali mieszkanie, spisali wszystko co mamy w domu i po chwili powiedzieli nam sobierajsia wy stąd ujeżdżacie. Powstał płacz i lament Matki. Jej praca i oszczędny dorobek całego życia miał prysnąć jak bańka mydlana na zawsze.

Okolo czwartej z rana zajechała lora i wladowali nas na nią i tylko mój Cibi patrzył i skomlał, prosił aby go zabrać ze sobą. Na próżno wylewaliśmy łzy, żołdacy zamknęli bramę, lora ruszyła a Cibi został na ulicy. Przywieźli nas na stację kolejową gdzie już czekał długi towarowy pociąg. Ładowano po pięćdziesiąt osób do jednego wagonu. Prycze dzieliły wagon, pośrodku bak czy duże wiadro które miało służyć na potrzeby fizjologiczne. W wagonie na górnej pryczy było małe okienko przez które przechodził strumyk światła i powietrza. Cały dzień i noc ładowali ludzi do tych bydłowych wagonów. Dopiero na drugi dzień pociąg ruszył. Żegnał nas siostry mąż. Żegnał swoją żonę i troje dzieci z daleka aby go sowievi nie zauważyli. On był w randze Przodownika Policji, musiał ukrywać się przed aresztowaniem. Siostra z trojgiem dzieci musiała uciekać z Dzibułek, bo Ukraińcy mordowali Polaków więc przyjechali do nas i z nami jechali do Rosji. Pociąg zatrzymał się we Lwowie na kilka godzin, bo doczepiali więcej wagonów z ludnością lwowską. Mój brat Leszek wykorzystał moment nieuwagi żołdaka, wymknął się z wagonu, bo chciał koniecznie dać znać cioci Korbeckiej, która mieszkała we Lwowie przy ulicy Gipsowej nr 2. Ciocia wiele nie myśląc zrobiła paczkę żywnościową i dała Leszkowi a on jak wicher pognął z powrotem i walił pięściami do drzwi wagonu aby go wpuścili, bo tam jest jego Matka i cała rodzina.

Niedługo pociąg ruszył. Jechaliśmy przez Wołyń, Polesie. Żegnali nas ludzie znakiem krzyża, wiedząc, że to następny transport wywózki na Sybir. Gdy

przejeżdżaliśmy granicę polsko-rosyjską wszyscy płakali, nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy i co nas tam czeka. Przez trzy tygodnie dzień i noc wagony stukały o szyny, Tylko od czasu do czasu pociąg zatrzymywał się gdzieś na ustroiniu. Wtenczas odsuwali drzwi wagonu aby wypróżnić zawartość baku. Smród i zaduch panował w wagonie okropny. Po długiej podróży w chłodzie i głodzie dotarliśmy do Kazachstanu. W Kustynaju czekały na nas lory i po kilka rodzin na jedną lorę ładowali. Wieźli nas przez pustynne stepy do posiołka zwanego Wesołyj Podol w urydzkim rejonie. Była to mała wioska na szczęście rosyjska, oddalona setkami kilometrów od najbliższej wioski lub miasta. Wyładowali nas pod kantorkę czyli urząd miejski gdzie znajdowała się kancelaria, sklep i chyba to wszystko. I odjechali. Spodziewaliśmy się że ktoś przyjdzie z urzędu, ktoś się nami zainteresuje, tymczasem nikt się nie zjawił i tylko kilka gapiów rosyjskich oglądało nas jak dziwolągów. Bylibyśmy stali chyba w nieskończoność gdyby nie rosyjskie chadziajki z którymi porozumieliśmy się znając trochę język rosyjski. Przyniosły nam chleb i mleko bo żal im było patrzeć na zgłodniałe dzieci, zmęczone i wyczerpane do ostatka tą długą podróżą. Prosiłiśmy o jakieś mieszkanie. Nasza rodzina składająca się z dziesięciu osób musiała pomieścić się w jednym pokoju z jednym łóżkiem i pryczą na piecu. Pieniądze się szybko wyczerpały i zaczęła się wymiana odzieży i biżuterii za chleb i prowiant. Wiele z naszego domu nie zabraliśmy, tylko rzeczy najbardziej potrzebne, więc na długo to nie starczyło na wymianę żeby jako tako żyć. Po miesiącu siostry i bracia z krzykiem rozpaczki żądali jakiejś pracy. Najpierw zatrudnili ich w małej cegielni. Moja siostra Stasia, dwudziestoletnia piękna dziewczyna dowoziła bykami wodę do cegielni. To był mały, dwukołowy wózek z beczką po środku. Gdy się ta praca skończyła pracowali przy wyrębie lasów. Każdy z pracujących mógł kupić 200 gramów chleba dziennie. Kto nie pracował nie miał tego przywileju. W lecie bracia dostali pracę u Kozaków, pasli konie na stepach. Potem było zapotrzebowanie na robotników przy budowie dróg kolejowych, ale tylko taka rodzina mogła być zakwalifikowana, gdzie jedna osoba była pracująca i jedna miała osobę niepracującą. Gdy w rodzinie jedna osoba pracowała na dwie osoby to nie mogła dostać tej pracy. Ponieważ w naszej rodzinie pięcioro pracowało, więc z chęcią wyjechaliliśmy z tego zapadłego posiołka, aby być bliżej jakiejś komunikacji. Nic nie wiedzieliśmy co się dzieje w świecie.

Było nas tam kilka rodzin polskich. Zamieszkaliśmy w drewnianych barakach, po sześć rodzin w jednym, tuż przy torze kolejowym. W jesieni 1941 roku dowiedzieliśmy się o amnestii. Przez naszą stację przejeżdżały transporty z byłymi więźniami dążącymi do polskiej armii powstającej w różnych miastach Rosji. Muszę opisać moment który wywarł niezatarte wspomnienie w duszy małej wtedy dziewczynki, która poszukuje swojego Ojca, bo był więźniem Ostaszkowa. Nie znalazłam Go ani w pierwszym, ani w drugim, ani w następnych transportach. Ślad po Nim zaginął.

Mieliśmy okazję rozmawiać i nieść pomoc tym wynędzniałym, zawszonym, wypuszczonym z katorgi biednych Polaków. Znajdował się między nimi starszy pan nazwiskiem Sikorski. Cierpiał na silny ból głowy, miał gorączkę. Transport miał się zatrzymać na kilka godzin więc siostry przyprowadziły go do naszego baraku. Podaliśmy mu miednicę z wodą dla odświeżenia. Mama miała jeszcze jakąś koszulę Ojca, więc przyodziała go, nakarmiła, podała aspirynę na ból głowy i zdrzemnął się. Gdy oczy otworzył widzieliśmy wielką ulgę na jego twarzy. Podziękował nam za tą troskliwość i przyrzekł że nigdy o nas nie zapomni i będzie się starał odwdziżyć w przyszłości.

Mój starszy osiemnastoletni brat Józek z kilkoma odważnymi chłopakami postanowili jechać też do wojska a my niedługo za nimi. My i jeszcze dwie inne rodziny, nazwisk nie pamiętam, wyruszyliśmy nocą aby nikt nas nie zauważył. Władowaliśmy się do pociągu bez biletów i bez pieniędzy. Pociąg ruszył, byliśmy szczęśliwi że nareszcie jesteśmy wolni i oddaliśmy się od miejsca zesłania. Po godzinie przyszła konduktorka sprawdzać bilety zaczęła wrzeszczeć że nas wyrzuci jeśli jej nie zapłacimy. Mama podsunęła jej Ojca zegarek a każdy przetrząsnął kieszenie do ostatniej kopiejki i o dziwo głębiej zamknęła, i tak dobrnęliśmy na południe niedaleko Taszkientu. Na każdej stacji, gdy pociąg się zatrzymuje spotykamy pełno Polaków. Są w rozpacz, nie wiedzą co mają robić bo w Taszkencie panuje epidemia tyfusu. Dowiadujemy się, że ludzie umierają z głodu i epidemii więc wiele się zastanawiając wysiadamy z pociągu. I znowu ta sama historia, nie mamy co jeść, nie mamy pieniędzy ale mamy nadzieję w Bogu, że nas nie opuści. Mama rozpacza, odmawia różaniec, siostry

chodzą po peronie. Nadjeżdża transport. Jadą polscy żołnierze do 5-tej Dywizji. Proponują aby jechać do Buzułuku dają nam pieniądze na bilety. Pakujemy się do wagonu na łeb na szyję, siostry kupują bilety i już w pośpiechu wskakują do ostatniego wagonu. Przyjechalśmy do Buzułuku i przez trzy dni siedzieliśmy na stacji kolejowej. Niedaleko stacji znajduje się polska kuchnia polowa, gdzie żołnierze rozdają gorącą zupę dla głodujących Polaków przybywających z różnych stron Rosji aby wstąpić lub być w pobliżu Wojska Polskiego. Siostry udają się do Głównego Sztabu Wojskowego aby prosić o pomoc dla całej rodziny. Czekają na korytarzu w kolejce. Obok przechodzi przystojny mężczyzna w mundurze oficerskim. Patrzy – patrzy i oczom nie wierzy rozpoznaje te dziewczęta co go odziały i nakarmiły kiedy wracał z więzienia jadąc do wojska. Zostałyśmy zakwaterowane w Buzułuku. Siostry Stasia i Halina wstąpiły do wojska. Brat Leszek i siostry syn Adam wstąpili do junaków.

Zostało nas pięcioro. Mama, siostra Janka z dwojgiem dzieci i ja. Otrzymaliśmy prowiant ze Sztabu oraz mieszkanie już jako rodzina wojskowa. Ponieważ wojsko miało wyjechać z Rosji więc starano się przesunąć wszystkich bliżej południowej granicy. I tak znaleźliśmy się w Guzarze w Uzbekistanie. Zamieszkaliśmy w niedużym baraku około 30 osób gdzie jeden przy drugim dzielił swój kącik na glinianej podłodze. Wszy łążyły po nas roznosząc epidemię tyfusu. Mama rozpaczała, dostawała histerii i ciągle ruszała w świat bo nie mogła pogodzić się z rzeczywistością. Ludzie pokotem umierali na ulicach spotykało się leżące trupy, na które już nikt nie zwracał uwagi. Ze szpitala wywozili po 30- 40 trupów dziennie. Pewnego razu będąc w mieście spotkałam pochód. Jechało 5 drewnianych wozów ciągniętych przez szkapy końskie czy krowy, już nie pamiętam. Za nimi szedł ksiądz i kilka osób i ja też dołączyłam. Na cmentarzu już były wykopane groby. Zaczęli wyciągać trupy zawinięte w białe prześcieradła. Dziesięć z każdego wozu i chowali ich do wspólnego grobu. Ksiądz wyczytywał nazwisko i modlił się. Pilnie nasłuchiwałam czy może usłyszę imię i nazwisko mojego Ojca. Ja również zachorowałam na tyfus. Mama nie chciała mnie oddać do szpitala więc musieliśmy wyprowadzić się z baraku. Siostra znalazła jeden mały pokój znowu z jednym łóżkiem u Rosjanki. Tylko na krótki czas, potem zamieszkaliśmy u Uzbeków. Była to ziemianka z jednym otworem

jako drzwi i aby się wdrapać do tego pokoju trzeba było iść po drabinie. Podłogę trzeba było smarować krowim łajnem bo inaczej zamieniała się w proch i nie można było oddychać. Warunki były okropne, brak pieniędzy i jedzenia. Siostra Janka zaczęła pracę w szpitalu.

Nadszedł rok 1942 kiedy Wojsko Polskie opuszcza Rosję i my też jako rodzina wojskowa jesteśmy na liście. Siostra Halina czuwa aby nas gdzieś nie zostawili, bo panował popłoch i zamieszanie wszędzie.

Siostra Janka zachorowała na tyfus i leży w szpitalu w tym czasie kiedy my wyjeżdżamy. Mama dała mi małą walizkę z jej bielizną i odzieżą abym zaniósła do szpitala. Widzę siostrę tylko przez okno bo do środka nikogo nie wpuszczają. Był to bardzo smutny moment pożegnania, kiedy siostra woła do mnie – nie zostawiajcie mnie tutaj Marysiu, błagam was – ze łzami w oczach pocieszałam ją, że wyzdrowieje i spotkamy się gdzieś na wolności. Jej dwie córki 8-letnia Irenka i 4-letnia Danusia jechały z nami do Krasnowocka gdzie czekał na nas okręt. Tam zachorowała Irenka na tyfus. Mama ukrywała jej chorobę bo inaczej zostawiliby nas w Rosji.

Przybyliśmy do Persji do Pahlewi. Część ludzi cywilnych umieszczono w hangarach, resztę ulokowano w namiotach nad morzem. Po prowiant chodziłam do obozowej kuchni oddalonej o 10 minut drogi. Wszystko byłoby dobrze gdyby nie ten nadmorski silny wiatr, który miotał piaskiem, że często nie widziałam dokąd idę i często moja menażka zawierała więcej piasku niż zupy. Tu w Pahlewi mieliśmy odbyć kwarantannę – odwszawienie. Brali nas do ogólnej łaźni pod prysznic, dezynfekowali i golili wszystkim głowy do gołej pałki. Potem ubierali w jednakowe sukienki, jednakowo uszyte, z jedną dziurą na głowę i dwie dziury na ręce. To był jeden fason dla kobiet i dziewczynek. Wyglądaliśmy dziwnie. Kto miał trochę humoru to śmiał się, inne żałowały swoich pięknych włosów. Myślę że ktoś musiał zareagować na ten okropny wygląd kobiet bez włosów, bo następne grupy wychodziły z łaźni odwszawione ale z włosami. Na szczęście my należałyśmy do tych ostatnich. Wszystkie ubrania, walizki i wszystko co przywieźliśmy z Rosji wrzucano do ognia i palono.

Zostałyśmy tylko w tych sukienkach i bieliźnie co miałyśmy na sobie. Byłyśmy czyste, nakarmione i wolne. Nigdy nie zapomnę jak Persowie przyjeżdżali z paczkami ciast i rzucali je do wyciągniętych rąk, wynędzniałych i łakomych na takie smakołyki.

Ta kwarantanna w Pahlewi nie trwała długo, może tydzień lub dwa i larami przetransportowano nas do Teheranu, stolicy Persji. Były tam cztery obozy wojskowe i cywilne. Mama, dwie córki siostry i ja znalazłyśmy się w pierwszym obozie, gdzie stacjonowała też siostra Halinka. Zaraz po przybyciu Irenka poszła do szpitala ciągle chora na tyfus. Nie wiem jak Mama mogła uniknąć tej choroby przecież opiekowała się dzień i noc Irenką i mną kiedy chorowałam w Rosji. Bóg czuwał nad Mamą.

W pierwszym obozie znajdowały się dwa duże budynki, a w nich ogromne sale, gdzie na podłogach poukładano sienniki, jeden obok drugiego, chyba 40 a może więcej. Mieliśmy umywalnie i prysznice ogólne, i prowizoryczne ustępy na zewnątrz, do których miałam okropne obrzydzenie. Były to wykopane rowy i dwie deski położone w poprzek, pełno kału i much, smród był nie do zniesienia. Ponieważ było dużo dzieci w wieku szkolnym więc utworzono szkołę powszechną. Przy każdym rogu budynku znajdowała się inna klasa. Ja poszłam do szóstej klasy. Siedzieliśmy na cegiełkach bez podręczników tylko z ołówkiem i i zeszytem a uczyliśmy się wszystkich przedmiotów. W Teheranie byliśmy cały rok i znowu wyszedł rozkaz, żeby matki z dziećmi ulokować gdzieś z dala od rozstrzygającej się w Europie i na świecie wojny. Dowiedzieliśmy się że część z nas pojedzie do Indii a część do Afryki. Była to znowu podróż w nieznane. Nie było radości i entuzjazmu bo odjeżdżałyśmy od naszych najbliższych, którzy już byli w szeregach Polskiej Armii w obozach w Teheranie. I tak rozłączyłyśmy się z ostatnią siostrą Halinką.

Droga do Afryki wiodła przez Achwaz, Karachi, Morze Arabskie, Ocean Indyjski do portu Dar es Salaam. Płynęliśmy okrętem przez dwa tygodnie. Był to czas niebezpieczny bo na wodach pojawiały się niemieckie łodzie torpedowe i cały czas trzeba było być w pogotowiu na ewentualne niebezpieczeństwo.

Dwa dni przed przybyciem do lądu afrykańskiego zachorowałam. Miałam bardzo wysoką gorączkę i biegunkę. Zabrano mnie do szpitala okrętowego. Gdy dotarliśmy do Dar es Salaam trzy osoby były bardzo ciężko chore więc postanowiono zabrać ich do głównego szpitala w porcie a rodziny miały dalej płynąć do Ugandy, gdzie przygotowano obóz dla uchodźców w Massindi. Moja Mama kategorycznie się uparła że nie rozłączy się ze swoim ostatnim dzieckiem, w rozpaczę groziła że prędzej skoczy do morza niż się ze mną rozłączy. Pozwolono jej, siostrzenicom i jeszcze dwóm innym matkom pozostać w Dar es Salaam.

Gdy ambulansem jechałam do szpitala czuwał nade mną sanitariusz Murzyn czarny jak smoła. Bałam się go bardzo a mając wysoką gorączkę zdawało mi się, że jestem już w piekle i krzyczałam – diabeł, diabeł odejdź ode mnie. Musiałam majaczyć bo często traciłam przytomność. W szpitalu byłam cały miesiąc, przesłam tyfus brzuszny albo szkarlatynę. Potem zrobiły mi się na nogach wrzody tropikalne, nie mogłam chodzić ale apetyt miałam świetny. Trzymali mnie na specjalnej diecie i byłam ciągle głodna. Pewnego razu zobaczyłam sanitariusza Murzyna niosącego pełną tacę talerzy z deserem. Przywołałam go i pozbierała ciasteczka z kremem z sześciu talerzy. Zjadłam. Murzyn wystraszony poleciał do doktora skarżyć. On dostał burę, a ja długi wykład i przestrożę od uśmiechniętego Doktora. Nie znałam angielskiego więc wiele mnie to nie zraziło, ale Murzyn przynosił już tylko jeden talerz. Ciągłe byłam głodna i prosiłam Mamę o kanapki. Murzyni mieli ze mnie ubaw gdy wyszłam ze szpitala do obozu przejściowego, do Mamy i siostrzenic. Gdy serwowali posiłki to ja musiałam dostać podwójne porcje. A deseru potrójne. Mama i i dziewczynki miały rajskie życie w Dar es Salaam, bo jedzenie miały fantastyczne. Anglicy starali się uprzyjemnić im czas rozrywkami. Jeździły nad morze kąpać się, do kina, zwiedzały okolice itp.

Wkrótce przyplłynął nowy transport z Polakami z Teheranu więc dołączyli nas do nich i pociągiem wyjechałyśmy do obozu Morogoro. Był to mały obóz położony u podnóża gór w dżungli afrykańskiej. Domki pokryte liśćmi bananowymi, okno z opuszczającą się drewnianą klapą. Było tam bardzo dużo

węży. Nocą spadały na siatki pod którymi spałyśmy. W nocy uciekałam często do łóżka Mamy bo krzyki i odgłosy bębnow murzyńskich napawały mnie strachem. W Morogoro byłyśmy kilka miesięcy, potem przenieśli nas do obozu Ifunda, położonego o kilkanaście mil od większego miasta Iringa w Tanganice dzisiejsza Tanzania.

Ifunda to obóz położony na równinie składający się z czterech bloków A, B, C i D przedzielonych drzwiami, ścieżkami i drogą. Każdy blok składa się z kilkunastu budynków po dwa pokoje w każdym. Między blokami znajdowały się większe budynki, które służyły jako kuchnia i jadalnia. Był też szpital, świetlica, szkoła i kościół oraz budynki administracyjne. Obóz miał 800 uchodźców. Proboszczem był ks. Jan Sajewicz ze Zgromadzenia Oblatów Niepokalanej. Tam ukończyłam szóstą klasę szkoły powszechnej. Do gimnazjum musiałam wyjechać do innego miasta Kidugala. Była to stara misja protestancka. Wybudowano szereg wygodnych domków i założono obóz dla uchodźców polskich. Wybudowano również internat dla dziewcząt i chłopców z Ifundy. Kilka dziewczynek dołączyło z obozu Aberncorn. Było nas w internacie około 100 dziewczynek i kilku chłopców – na okrasę. Był to najpiękniejszy okres w moim życiu. Byłyśmy ze sobą zżyte jak jedna rodzina. Kułyśmy łaćinę, grandziłyśmy na potęgę i obrywałyśmy od wychowawczyń. W szkole często kończyło się na obniżonych stopniach ze wszystkich przedmiotów ale i to nam nigdy humoru nie popsulo. Mam dużo pięknych wspomnień z Kidugali i tam ukończyłam gimnazjum. Nie chciałam iść do liceum, czego bardzo potem żałowałam.

Po wakacjach wyjechałam z kilkoma dziewczynkami do obozu do Tengere gdzie ukończyłam kurs buchalterii i rolniczy. Ten ostatni mnie wcale nie interesował, ale robiłam aby się czegośkolwiek uczyć. Obóz ten był pięknie położony u podnóża góry Meru, obok powulkanicznego jeziora Duluti i na tle okrytej zawsze śniegiem góry Kilimandżaro. Obóz Tengere był jednym z największych obozów bo liczył około 5000 ludności, w tym 3000 młodzieży. Były szkoły powszechne, gimnazjum, szkoły handlowe, krawieckie, rolnicze i szkoły mechaniczne dla chłopców. Prowadziły różne kursy na poziomie małej matury. Był kościół, dwaj księża ks. Rogiński i ks. dr J. Sliwowski. Sport był dobrze rozwinięty. Lubiłam grać w siatkówkę i ping-ponga. Były świetlice, kort teni-

sowy, kino w małym gaju gdzie wyświetlano romantyczne filmy. Marzyliśmy wtenczas o królewiczach z bajki. Oj, były to czasy niewinne, beztroskie czasy młodości. W każdą niedzielę odbywały się zabawy urządzone przez różne szkoły. Często organizowane wycieczki w dżunglę – afrykańskie safari lub zwiedzanie plantacji kawy, herbaty itp. W Tengeru spędziłam półtora roku w internacie, a pod koniec przyjechała Mama z siostrzenicami i zamieszkałyśmy razem w małym okrągłym domku w grupie piątej, bo tak ten obóz był podzielony.

Przyszedł rok 1948 wojna już była skończona i zaczęły się wyjazdy do Anglii. Wojsko Polskie zaczęło się rozjeżdżać po wszystkich kontynentach. Moi bracia i siostry przybyli do Anglii więc i na nas przyszła kolej połączyć się z rodziną. Żegnałam Tengeru i Nairobi a w Mombasie czekał na nas okręt MV GEORGIC na którym płynęli też żołnierze Anglicy, Szkoci i Duńczycy. Płynęliśmy trzy tygodnie przez Ocean Indyjski, Kanał Sueski, Morzem Śródziemnym poprzez smutny i tragiczny dla nas Polaków Gibraltar, gdzie zginął nasz wybawiciel z łagrów sowieckich gen. Władysław Sikorski.

Potem Oceanem Atlantyckim przybyliśmy do Southampton. Szary, dżdżysty dzień, niebo popielate, zupełnie inny obraz od słonecznej i gorącej Afryki. Przywieźli nas do obozu przejściowego Wheaton Aston koło Stafford. Nie mogłam się przyzwyczaić do tej zimnej, mokrej ciągle pogody choć to był już czerwiec. Tam też przeszłam ostatni atak malarii. Pogotowie zabrało mnie do szpitala i po miesiącu pobytu w tym obozie dostaliśmy pozwolenie, żeby połączyć się z siostrą Haliną, która mieszkała z mężem w polskim obozie w Devon. Siostrzenice odjechały do matki, do tej właśnie siostry Janki, którą zostawiłam w Guzarze w szpitalu chorą na tyfus. Ona wyzdrowiała, wstąpiła do Wojska i wyjechała z Rosji ostatnim transportem poprzez Persję, Włochy biorąc czynny udział w transportówce w walce o wolność. Po wojnie w 1946 roku przyjechała do Anglii. Po nas przyjechał siostry mąż Tadzio. Muszę opisać ten śmieszny incydent jaki się przydarzył gdy miałam spotkać Tadzia. Dorastałam w Afryce gdzie nie było wielu dorosłych mężczyzn więc byłam nieśmiała w takim towarzystwie. Mama wysłała mnie na spotkanie Tadzia i aby go przyprowadzić do baraku. Martwiłam się jak ja go przywitam, czy mam mu podać

rękę, czy mam go pocałować ale najgorsza rzecz o czym mam z nim rozmawiać. Układałam w głowie powitalne gadki, to znowu wszystko zmieniałam i – o rety – gdy autobus przyjechał, to ja ze strachu nogi w troki – uciekałam. Widział to Tadek i śmiał się do rozpuku. Gdy wszedł do baraku ja byłam pąsowa jak burak i udawałam, że musiałam się z nim minąć. Pojechaliśmy do Devon, do obozu dla Polish Refugee Stover Park niedaleko miasta Newton Abbot. Bardzo polubiłam tę część Anglii, chociaż życie w obozie nie było łatwe. Trzeba było rozejrzeć się za pracą, ale jaką? Brak języka angielskiego nie pozwalał na pracę w jakimkolwiek biurze, zresztą cudzoziemców potrzebowali tylko do prac fizycznych. Zabrali około dwadzieścia dziewcząt do pracy w przędzalni w Buckfastleigh. Było obojętne czy miałaś średnie czy wyższe wykształcenie, nikt się o to nie pytał. Zupełnie jak kiedyś w Rosji.

Po pewnym czasie miałam możliwość dostać pracę w pottery, gdzie byłam zatrudniona przy malowaniu różnych ozdóbek. W obozie zapoznałam mojego męża. Ślub odbył się dnia 22 października 1949 roku. Syn Andrzej urodził się dnia 8 lutego 1951 roku. Życie nadal było ciężkie, bo zarobki były skromne a wszystko potrzebne do skromnej gospodarki w życiu małżeńskim. Marzyłam o swoim własnym domku, który mogliśmy kupić dopiero gdy po sześciu latach opuściliśmy obóz i wyjechaliśmy do Coventry, Tu urodziła się nasza pierwsza córka Rysia w 1955 roku, a w 1956 urodziłam drugą córkę Izabellę. Po jedenastu latach przerwy w 1967 roku powiłam najmłodszą córkę Grażynkę. Mieliśmy dom z trzema sypialniami przy 6 Priorsfield Rd Coundou, którego bardzo nie lubiłam. Mieszkaliśmy tam przez jedenaście lat. Było nam ciasno czworo dzieci, mama, mąż i ja, więc znaleźliśmy dom z czterema sypialniami gdzie mieszkam do dnia dzisiejszego – kiedy piszę te wspomnienia.

Matka zmarła w 1982 a mój mąż zmarł w 1983 roku. Dzieci już dorosłe. Mój syn Andrzej ukończył architekturę na politechnice w Liverpool i pracuje jako architekt. Kupił bardzo ładny dom w Londynie ma swoją wybrankę życia Joannę i dwie śliczne córeczki a ja ukochane wnuczki. Rysia najstarsza z córek jest bardzo daleko ode mnie. Była ze swoim partnerem Lawrencem w Kuwejcie a teraz są w Dubaju. Iza mieszka w Leamington. Pracuje jako menedżer i ma

pod swoim dozorem dwa sklepy z meblami kuchennymi. Jest bardzo pracowita pomimo, że ciężko chorowała na Hodgkin disease – (**ziarnica złośliwa, odmiana raka**) miała operację i dwadzieścia zabiegów radioterapii. Wszyscy przeżyliśmy bardzo jej chorobę. Muszę też wspomnieć Lawrence'a, który dowiedział się o szpitalu w Bristol, gdzie pomagają ludziom chorym na raka i leczą metodą alternatywną. Wspaniałomyślnie zapłacił za pobyt Izy, a ja byłam z nią. Iza jest przekonana, że te trzy dni pobytu tam pomogły jej bardzo. Teraz kupiła sobie mieszkanie. Najmłodsza Grażyna piękna dziewczyna, a wszystkie moje córki są urocze. Każda z nich pracowała w swoim czasie jako modelka, Grażyna nadal stara się pracować w tym zawodzie.

...Od szesnastu lat mieszkam w Hiszpanii, mam własne mieszkanko i jestem bardzo szczęśliwa.

DIABELNE SZCZĘŚCIE CZY PALEC BOŻY? Cz. III

W ŚWIAT! PRZEZ CZECHOSŁOWACJĘ – DO FRANCJI

Do Pragi dojechaliśmy bez przeszkód. Czechosłowacja sprzed 1948 roku była – rządzonym jeszcze przez Benesza – względnie wolnym krajem. Na dworcu w Pradze policja często sprawdzała papiery. Szukano uciekinierów niemieckich lub innych nielegalnych podróżnych. Wacek miał przy sobie dokument deportowanego z Buchenwaldu (nie na swoje nazwisko, ale bez fotografii). Ja – zaświadczenie na kawałku papieru, że szukam rodziny (całkiem bez wartości). Gdy tylko na horyzoncie pojawiał się patrol, biegłem skryć się do ubikacji. Za piątym razem babcia klozetowa zaczęła mi mocno współczuć... Cierpiałem w milczeniu, powinienem był odpowiedzieć, ale „mój stan” tłumaczył małąmówność...

Wreszcie pociąg do Pilzna. Czesi na szczęście nie są tak gadatliwi jak Polacy. W przedziale nikt z nikim nie rozmawiał, milcząc, mogliśmy uchodzić za Czechów. W Pilźnie mieścił się nasz punkt kontaktowy – Polska Misja, uprzedzona w zasadzie, że mamy się zjawić. Udaliśmy się tam prosto z dworca. Niestety, oficer, którego szukaliśmy, wyjeżdżał... do Monachium. Wyruszał za pół godziny. Z powrotem na dworzec, pociąg jeszcze stał. Biegnąc od przedziału do przedziału, znaleźliśmy w końcu naszego „zbawiciela”. Pociąg miał na szczęście mało wagonów.

– Wracajcie do Misji, będę z powrotem za cztery–pięć dni i zajmę się wami.

Po krótkim namyśle decyzja: nie czekamy. Inny pociąg jechał w kierunku granicy Niemiec. Zobaczymy, co będzie. Około dziewiętnastej dojechaliśmy do ostatniego miasteczka przed linią graniczną – Folmowa. Na stacji spotkanie z pierwszą dla nas grupą żołnierzy amerykańskich. Mówiłem wtedy po angielsku lepiej od Wacka (później Wacek został profesorem Uniwersytetu w Lancaster). Zaproponowałem, że skoro nie ma już pociągu, możemy razem przejść granicę piechotą: z Amerykanami bylibyśmy bezpieczni.

– *What? It's twelve kilometres. Are you crazy?*

Dwanaście kilometrów na własnych nogach – propozycja szalona dla tych aliantów. Poszliśmy więc sami, wzdłuż torów. Po dwustu–trzystu metrach zatrzymuje nas czeski kolejarz.

– Co robicie? Granicy pilnuje przy torach strażnik niemiecki, postawiony tam przez Amerykanów. Nie lubi ani Czechów, ani Polaków. Wsadzi was na kilka dni do piwnicy, nie da jeść ani pić, potem, jak już będziecie „gotowi”, odda policji czeskiej, a ta znów milicji polskiej.

Wiadomość niewesoła, ale ważna. Ruszyliśmy na przełaj przez pola, ku migającym z daleka światłom. Błądząc nieco, dotarliśmy w końcu do miasteczka niemieckiego Furth im Wald. Było ciemno i zimno. Należało znaleźć nocleg. Powiedziano nam, że Amerykanie zwracają Czechom złapanych już w Niemczech uciekinierów, ale nie mogliśmy w to uwierzyć: wykluczone, by zrobili to nam, deportowanemu i powstańcowi z Warszawy. Skierowaliśmy się zatem wprost do koszar amerykańskich. Na próżno krzyczeliśmy *Hello* po wszystkich korytarzach: nie zjawił się nawet wartownik. Na szczęście, bo jednak by nas oddali. Musieliśmy szukać gdzie indziej. Zapukałem do drzwi pierwszego domu. Wacek odezwał się po niemiecku: – Otwórzcie, potrzebujemy noclegu.

– Drzwi się nie otworzyły. Usłyszeliśmy:

– Idźcie do budynku szkolnego, tam jest nocleg dla uchodźców.

Rzeczywiście, znaleźliśmy szkołę, gdzie sale klasowe ze słomą na podłogach służyły uciekinierom za sypialnie. Rankiem obudziliśmy się wśród Niemców, głównie z Czechosłowacji.

– Skąd jesteście? Folksdojcz?

– Jesteśmy Polakami.

– Was? Następnym razem powybijamy was wszystkich, co do jednego, was, Czechów i wszystkich Słowian! Wkrótce razem z Amerykanami uderzymy na ZSRR...

Młody chłopak, siedemnasto-, osiemnastolatek, dorzucił: – Jestem żołnierzem SS, Amerykanie uwolnili mnie z obozu jenieckiego. – Nie wytrzymałem. – Z wami można dogadać się tylko tak – tu zrobiłem gest, jakbym strzelał z pistoletu (bo powiedzieć tego po niemiecku nie umiałem).

Po tym incydencie wyciągnęliśmy z torby chleb i boczek i zaczęliśmy jeść śniadanie. To była nasza zemsta. Niemcy od dawna nie widzieli boczku. Chyba nie muszę dodawać, że ich nie poczęstowaliśmy.

Wyjeżdżając z Polski, wzięliśmy kilka tysięcy marek (które niemal „leżały na ulicy”), nie wiedząc, czy są jeszcze ważne... Na szczęście były w obiegu i mogliśmy kupić bilet do Monachium.

W Monachium znaleźliśmy znów Polską Misję rządu londyńskiego. Przy wejściu spotkałem młodą znajomą z Żoliborza. Jak się okazało, umiała swym towarzystwem pracę dowódcy Misji, kapitanowi X. Przyjął nas dobrze i dał skierowanie do Murnau, gdzie był obóz polski.

Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Pierwsza niespodzianka: w Murnau znajdował się w czasie wojny wielki obóz jeniecki dla oficerów polskich. Wielu z nich jeszcze ciągle było na miejscu.

– Nazwisko, data urodzenia, stopień wojskowy... – wszystkie niezbędne informacje...

– Ma pan łóżko w budynku A. Pan Koc w budynku C.

– Chcemy być razem.

– Niemożliwe: pan jest podporucznikiem, a pan Koc nie jest oficerem.

Mam do dziś papier z przydziałem lokum.

Po tym wstępie, na końcu długiego korytarza znaleźliśmy drzwi z tabliczkami: „pułkownik X, szef sztabu”, „pułkownik Y, zastępca...”. Należało się zameldować. Ten pułkownik był głodny wieści i kontaktów z ludźmi z kraju. Wypytywał nas o podróż, o sytuację w Polsce, o ruchy wojsk radzieckich (nic nie umieliśmy o tym ostatnim powiedzieć), a na koniec:

– Jakie macie plany?

– Chcemy jechać do Paryża i tam odnaleźć naszych ojców.

– Dobrze: napiszę zaraz do Paryża, żeby wystarano się wam o stypendia i wyrobiono, konieczne do Francji, wizy.

– Jak długo to potrwa, panie pułkowniku?

– Mam nadzieję, że nie więcej niż pół roku.

– Dziękujemy, panie pułkowniku.

Z powrotem na dworzec. Nie mieliśmy zamiaru tracić sześciu miesięcy. Droga do Monachium trwała bardzo długo (jakaś awaria). Dojechaliśmy zbyt późno, po zamknięciu biur Misji. Na szczęście znaleźliśmy adres domowy kapitana. Spanie na dworcu było niebezpieczne: patroli Military Police sprawdzały, czy ktoś nie ma amerykańskich towarów, na przykład papierosów. Jeszcze w Polsce zdobyliśmy kilka paczek (na wymianę, gdyby marki okazały się nieważne). Nie chciałem już spotykać żadnego Amerykanina.

Kapitan mieszkał w ogromnym domu w dużym parku. Przywitał nas gorzej niż chłodno:

– Czego chcecie? Myślałem, że jesteście w Murnau. – Nasze wyjaśnienia nie przypadły mu do gustu. Ani słowa o noclegu. Wydaje mi się, powiedział nawet:

– Nie możecie tu spać.

Jego ordynans, na baczność, odważył się:

– Panie kapitanie, a może tu? – otworzył drzwi. Na sali stało pięć pustych pościelonych łóżek.

Kapitan, wściekły, nie miał wyjścia...

Rano, chcąc się nas szybko pozbyć, pan kapitan wystawił nam dość dziwne zaświadczenie o zagubieniu dokumentów, sporządzone na jednym świstku papieru dla nas obu razem. Poradził nam:

– Jedźcie do zony francuskiej. W Ettlingen, na południe od Karlsruhe, jest obóz polski. Tam wam pomogą.

Jedziemy do Ettlingen. Na szczęście tamtejsi Polacy byli bardzo mili i uczynni. Dopisali francuską wersję naszego „dokumentu”, przystawili drugą pieczętkę – nasz papier zaczął wyglądać trochę poważniej. Dzięki nowym znajomym w Karlsruhe dostaliśmy przepustkę do Baden-Baden, stolicy zony francuskiej w Niemczech.

Tam, jak zwykle, ruszyliśmy najpierw do Polskiej Misji Wojskowej. Przyjął nas bardzo miło kapitan K. Nie bardzo miał czas dla nas, był zbyt zajęty: kawę

w Niemczech ceniono jak złoto, kilka kilo wystarczyło, by kupić samochód; we Francji zaś brakowało nie kawy a samochodów...

W Baden-Baden mieściła się jednocześnie Misja Wojskowa rządu warszawskiego. Poszliśmy i do niej, na wszelki wypadek. Przyjęła nas bardzo ładna pani (nie mówiąca po polsku); okazało się, Kanadyjka, żona kapitana Dunin-Żupańskiego. Događaliśmy się z nią po francusku. Jej mąż był właśnie w Paryżu i miał wrócić późnym wieczorem.

– Przyjdźcie jutro o dziewiątej.

Co z noclegiem? Na miejscu, na „komendzie placu” było biuro zajmujące się przydziałem żywności, pomieszczeń itp. Dyżurny porucznik, widząc nasz papier, powiedział głośno: – *Que faire avec ces types?* (Co zrobić z tymi facetami?)

Ponieważ byłem oficerem, dał nam po namyśle pokój w jednym z wielkich, XIX-wiecznych hoteli w Baden-Baden. Rano zmienił zdanie i przeniósł nas do mniej „wspaniałego” hotelu, dla osób przesiedlonych.

Ten pierwszy wieczór w olbrzymim pokoju z dwoma łóżami był nareszcie przyjęciem godnym wielkiego Zachodu.

Poranna wizyta u kapitana Żupańskiego wypadła znakomicie. Znał nazwisko Wacka, moje jeszcze lepiej.

– Spotkałem wczoraj w Paryżu kapitana Szczerbę-Likiernika. Czy to pana rodzina?

– Oczywiście, to brat mego ojca.

– Dobrze, pomogę wam. Ale do wieczora macie być w polskich mundurach wojskowych. Wystaram się dla was o przepustkę na urlop w Paryżu. (Mam ją, nosi datę 7 lutego 1946). Bądźcie gotowi przed osiemną; Sécurité Militaire musi dać pieczęć – o osiemnastej zamyka się biura.

Zaczął się szalony dzień. Najpierw udało się nam znaleźć polskiego krawca, pana Zawadzkiego. Mieszkał od czterdziestu lat w Niemczech, ale mówił jeszcze po polsku i bardzo chciał nam pomóc. Dzięki niemu zdobyłem *battledress* amerykańskiego żołnierza, mierzącego gdzieś metr dziewięćdziesiąt (ja mam dwadzieścia centymetrów mniej). Gdy się podwinęło bluzę, sięgającą bez tego do kolan, widać było, że mam spodnie (jasnozielone z letniego drellichu). Wszystko dwa razy za duże, więc pod mundurem byłem dalej cywilem

(w dwóch ubraniach, jednym na drugim, bardzo się potem pocilem w przegrzanym wagonie).

Wacek znalazł płaszcz wojskowy, który sam sobie przerobił (był majstrem od wszystkiego). Brakowało nam już tylko napisu „Poland” na lewym rękawie; tu pomogła nam Misja londyńska. Wieczorem, z rozkazem w kieszeni, kupiliśmy bilet do Paryża z siedemdziesięciopięcioprocentową zniżką (dla żołnierzy jadących na urlop).

W pociągu wielkie rozczarowanie. Myślałem, że umiem jako tako po francusku... Jakiś żołnierz z Marsylii perorował bez przerwy, a ja nie rozumiałem ani słowa. Mówił oczywiście z bardzo mocnym akcentem południowym, którego znać nie mogłem. Mógłby równie dobrze przemawiać po chińsku!

Szosta rano: Paryż – Gare de l’Est.

8 LUTEGO. W PARYŻU

W tym miejscu muszę powiedzieć parę słów o moim stryju, Kazimierzu Szczerbie-Likierniku. Dodatek „Szczerba” to jego pseudonim z Legionów Piłsudskiego, który zachował. Kazik, o dziesięć lat młodszy od mego ojca, wstąpił do Legionów, mając osiemnaście lat. Przed wojną 1939 roku był konsulem honorowym Peru w Polsce. W 1939 wyjechał w długą podróż do tego kraju. Wybuch wojny zastał go więc w Ameryce Południowej. W przeciwieństwie do wielu innych, chciał wracać do Polski, by dołączyć do wojska – jako kapitan rezerwy. Wtedy przez Atlantyk podróżowało się tylko statkiem. Gdy dopłynął do Europy – wojna w Polsce już się skończyła. Dostał się do Armii Polskiej tworzącej się właśnie we Francji pod dowództwem generała Sikorskiego. Walczył potem w Alzacji; ranny, dostał się do niewoli. Cztery lata spędził w Niemczech w obozie jenieckim. Po uwolnieniu przyjechał do Paryża i tu pracował w nowej polskiej ambasadzie. Dowiedziałem się później, że był zastępcą attaché wojskowego. Przed wojną Kazik przyjaźnił się z Władysławem Broniewskim, który – pomimo przeżyć w ZSRR – wrócił do komunistycznej Polski. Krótko mó-

wiąć, brat mego ojca miał przed wybuchem wojny sympatie lewicowe. Nie wiedział nic o moich losach. Prawdopodobnie od jego siostry, a mej ciotki – Aliny Wojeckiej – dowiedziałem się, że mieszka w Hôtel Lemoine, impasse Lemoine w Paryżu. Na Gare de l'Est wsiedliśmy w metro i o ósmej rano ósmego lutego 1946 roku zameldowaliśmy się u stryja. Portier – trochę zakłopotany – powiedział, że stryj nie jest sam i że pójdzie po niego. Kazik zdumiał się, widząc dwóch młodych, dwudziestodwuletnich panów. Przedstawiłem się. Nie wyglądało na to, by zachwyciło go moje raptowne przybycie. Miał dla mnie informację najważniejszą:

– Twój ojciec kieruje obozem dla uchodźców w Genillet, ale akurat teraz jest w Paryżu, w hotelu des Gobelins, metro Gobelins. Masz pięćset franków i jedź do niego.

Dowiedziałem się potem, że kapitan Żupański obiecał stryjowi samochód z Niemiec. Zamiast samochodu przysłał Wacka i mnie. Stąd rozczarowanie stryja. Żupański i jego piękna żona w trzy dni po naszej u nich wizycie „urwali się” do Kanady. Wiedział on, że niewiele ryzykuje dając nam przepustkę do Paryża – wkrótce mieli już być daleko od jego warszawskich władz.

SPOTKANIE Z OJCEM

Dojechaliśmy do hotelu des Gobelins około dziesiątej rano. Ojca nie było. Powiedziano mi w portierni: – Pana nie ma w domu, jest pani Likiernikowa. – Nie dziwiłem się zbytnio. Po pięciu latach niewoli natura domagała się swych praw. Kobieta – Polka, wdowa mieszkająca w obozie dla uchodźców w Genillet – była bardzo zmieszana, kiedy się jej przedstawiłem

– Pański ojciec ma spotkanie w mieście, w Café Régence, obok Comédie Française.

Ruszyliśmy więc pod ten nowy adres; dotarliśmy dość szybko. Wchodząc, od razu spostrzegłem ojca: był nader widoczny w polskim mundurze. W październiku 1939 roku, podczas aresztowania, miał pięćdziesiąt trzy lata. Teraz,

mając pięćdziesiąt dziewięć, wyglądał jak dawniej, jedynie trochę schudł. Ja zmieniłem się o wiele bardziej: między szesnasto- a dwudziestotrzylatką różnica jest ogromna. Kiedy więc zbliżyłem się do niego, nie poznał mnie.

– Dzień dobry.

– Kim pan jest?

– Nie poznajesz mnie?

– Nie...

Musieliśmy się przedstawić. Ojciec wiedział, że żyję i jestem w Gdańsku. Poczta jeszcze nie chodziła, ale dostał już jakąś wiadomość. Nie wyobrażał sobie, że zobaczymy się tak szybko w Paryżu. Zdziwienie i radość były ogromne.

Spotkanie w kawiarni miało na celu wybadanie możliwości powrotu do kraju. Człowiek, z którym siedział przy stoliku, pracował w ambasadzie polskiej i dyskutował z nim na ten temat. Zjawienie się syna, jego nielegalny przyjazd nie były atutami w dossier.

Zanim wyruszyliśmy do Genillet, ojciec załatwił dla nas obu dokumenty jeńców wojennych. Dostaliśmy w przydziale cywilne ubrania i podwójne karty żywnościowe. Po tych formalnościach pojechalśmy do obozu prowadzonego przez ojca.

Francja, Paryż – były dla nas czymś w rodzaju raju. Po Warszawie i Polsce miasto wydawało się nietknięte i wspaniałe. Francuska wieś nader piękna. W Tours poczulśmy się mniej obco. Nalot dywanowy Amerykanów obrócił centrum miasta w gruzy. Zналиśmy to. Byliśmy jak u siebie.

Pobyt w Genillet trwał kilka dni. Wieś zorganizowała akurat bal. Wacek, jak zwykle, bardzo się podobał córce gospodarzy ojca. Ja obtańcowywałem miejscową fryzjerkę.

W czasie tego krótkiego pobytu złożyliśmy wizytę hrabinie Branickiej, babce mojej przyjaciółki, Aty Branickiej-Rybińskiej. Mieszkała w zamku Montrésor, zbudowanym w średniowieczu i odrestaurowanym przez Branickich w 1850 roku. Wciąż do nich należał. Pani Branicka, bardzo już wiekowa, dostała przez nas pierwszą wiadomość o wnuczce i narodzinach prawnuka.

Trzeba było znów podjąć decyzję: co robimy dalej.

POBYT WE FRANCJI (PO LUTYM 1946 ROKU)

Zostałem w Paryżu z zamiarem doskonalenia języka. Powrót do Polski odsuwałem na później. Miałem mały pokój w hotelu des Gobelins, tym samym, w którym zatrzymał się ojciec.

Kazik z żoną mieszkali w Paryżu, ale widywałem ich rzadko. Nasze stosunki nie układały się najlepiej. Żywo zareagowałem, kiedy nazwał AK faszystami. Jego znajomość sytuacji polskiej, po latach obozu jenieckiego i pracy w ambasadzie, była bardzo jednostronna. Potem, po krótkim pobycie w Warszawie, zmienił zdanie. Ale stało się to dużo później.

Kuzyn mego ojca, Antoni Likiernik (syn Artura, o którym pisałem), pracował w Kompanii Wartowniczej, złożonej z Polaków z okolicy Reims. Pilnowali oni magazynów wojska amerykańskiego. Dzięki niemu dostałem dodatkowe odzienie (koszulę, spodnie wojskowe). Przerobiłem je na mundur polski i paradowałem po Paryżu w uniformie podporucznika.

Parę słów o Antku – skończył, jak jego ojciec, politechnikę w Zurychu i był doktorem inżynierem chemikiem. W 1939 roku miał około czterdziestu pięciu lat. W czasie okupacji AK korzystało z jego wykształcenia: w podziemnej fabryce produkował materiały wybuchowe, butelki zapalające itd. Przed wojną posiadał fabrykę chemiczną, która dobrze prosperowała.

Bardzo go lubiłem, łączyły nas niezwykle serdeczne stosunki. Już w 1946 roku namawiał mnie do spisania wspomnień; przygotowałem kilka stron podczas pobytu w jego obozie amerykańskim. Teraz byłby zadowolony – nareszcie go posłuchałem. Zmarł na atak serca w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat w Paryżu.

Zapisałem się na kurs języka i cywilizacji francuskiej na Sorbonie. Dzięki temu nie czułem się całkiem samotny i zagubiony. Na uniwersytecie spotkałem Jerzego Szewerdykowicza-Kowalewskiego z Żoliborza, który do dziś dnia jest moim przyjacielem. Wspólnie z Jurkiem zjadaliśmy się pomarańczami i daktylami. System był prosty: oddawałem kartki na papierosy, ser i mięso w pobliskim sklepiu, a ten w zamian zaopatrywał mnie w pomarańcze i daktyle.

Nie wiem, kto bardziej korzystał na wymianie, ale tych owoców nie jadłem od pięciu lat...

Przez przypadek odkryłem, że w Cité Universitaire istnieją pokoje dla studentów. Wypełniłem odpowiednie podanie i czekałem w długiej kolejce. Dokumenty odbierało z dziesięć pań. Wybrałem jedną z nich. Widząc mój mundur, zapytała:

– Jest pan Polakiem?

– Tak.

– Mój dziadek też był Polakiem.

Położyła me podanie na pierwszym miejscu, poza kolejką. Dzięki temu już po dziesięciu dniach dostałem przydział na pokój w pawilonie japońskim (wolnym wtedy od Japończyków). Szybko poznałem studentów Francuzów, Tunezyjczyków, bardzo miłego Żyda marokańskiego i – między nimi – Francuza z Barcelony, François Gaudillata. Ten ostatni uczył mnie francuskiego, bardzo mi też pomógł, ale o tym później.

Pierwszego dnia w Cité Universitaire – w kwietniu albo w maju 1946 roku – natknąłem się, przy wejściu do naszego pawilonu, na ożywioną dyskusję grupy studentów. Próbowałem uchwycić, o czym mowa; byłem pewny, że z taką pasją mówi się tylko o polityce, ale coś nie pasowało. Łapałem kilka zdań:

– ...co najmniej pół godziny...

– ...na małym ogniu...

W końcu zapytałem:

– O czym oni tak zażarcie dyskutują? O polityce?

– Ach, nie, nic nie zrozumiałeś. Chodzi o sztukę kulinarną: sposób przyrządzania królika w musztardzie.

Zrozumiałem, że jestem we Francji! Taka debata toczona przez dwudziestoletnich Polaków była czymś niewyobrażalnym!

Wiedziałem, że we Francji przebywali, po wyjściu z obozu jenieckiego w Niemczech, Roman Mularczyk i Zbyszek Stolarek. Roman wrócił do Polski, Zbyszek zatrzymał się gdzieś w Paryżu. Ale gdzie? Napisałem do Romana. Po dwóch miesiącach dowiedziałem się, że Zbyszek mieszkał... niemal naprzeciwko pawilonu japońskiego, w odległym o sto metrów pawilonie francusko-brytyj-

skim! Natychmiast z wielką radością go odnalazłem. Opowiedział mi, że jakieś dwa miesiące przed moją wizytą słyszał rozmowę po polsku i rozpoznał znajomy głos. Tego samego dnia pokazano mu zdjęcie sprzed kilku dni, na którym był sobowtór kolegi zabitego w Powstaniu. O mnie wiedział, że żyję i jestem w Polsce, więc nie poszedł sprawdzić. Zdecydował, że to już taki dzień przywidzeń.

Postanowiliśmy zamieszkać razem. W bardzo dobrej komitywie przemieszkaliśmy w pawilonie japońskim całe dwa lata.

Zbyszek, poeta i dziennikarz, zarabiał na życie pisząc krótkie i dowcipne „bileciki” satyryczne do gazety polskiej w Paryżu. Ja nie miałem żadnej pracy. Na początku mego pobytu można było jeszcze przysyłać pieniądze z Polski. Napisałem kilka artykułów-wspomnień wojennych do gazety w Polsce. Wysyłałem też buty, po jednym w paczce, by uniknąć kradzieży – Roman sprzedawał je w Polsce i przysyłał mi z powrotem pieniądze. Za wydane trzy tysiące franków tej epoki z powodu kursu dewiz dostawałem sześć tysięcy. Pokój kosztował trzy tysiące, więc zostawało jeszcze coś na jedzenie.

Skończyłem z kursem cywilizacji francuskiej na Sorbonie. Co dalej? François Gaudillat przedstawił mi kolegę de La Rocca Serra, Korsykanina, studiującego w Szkole Nauk Politycznych (dziś jest deputowanym z Korsyki). Ten miał dla mnie ważną radę:

– Jeśli w ambasadzie polskiej uzyskasz zaświadczenie, że jesteś oficerem ruchu oporu w Polsce, możesz próbować dostać się wprost na drugi rok szkoły (w skrócie Sc.Po.).

Dzięki stryjowi otrzymałem takie zaświadczenie. Po rozmowie z ówczesnym dyrektorem szkoły, panem Chapsalem, zostałem przyjęty.

Kazik powiedział wtedy: – Dobrze jest dostać się na studia, ale trzeba je jeszcze skończyć.

Nauki polityczne dały mi bardzo dużo. W czasie wojny starałem się działać, ile mogłem, by walczyć z nazizmem. Pojęcia komunizmu, faszyzmu, socjalizmu były dość niejasne w mej głowie. Teraz miałem wspaniałą okazję poukładania rozrzuconych kawałków puzzli.

Muszę trochę cofnąć się w czasie; raptem zdałem sobie sprawę, że dostałem się do Sc.Po. w październiku 1946 roku, a nie opisałem wydarzeń lata, które właśnie się skończyło.

LATO 1946

Ojciec przejął placówkę w Misji Polskiej w Baden-Baden, w tej samej, w której pan Żupański dał nam przepustkę do Paryża. Spędziłem tam z nim część lata, dalej paradyjąc w mundurze podporucznika.

Był to okres dość szczególny: w rządzie polskim nadal znajdował się Mikołajczyk, jeszcze nie wyeliminowany przez komunistów. W Czechosłowacji ciągle rządził Benesz. Oficerowie przysyłani do Misji z Polski mieli już coraz dziwniejszy styl: niektórzy słabo mówili po polsku (byli to komuniści pochodzenia żydowskiego). Inni na przykład pytali mnie, czy podczas Powstania zabijałem aelowców. Wściekałem się. Ojciec śmiał zauważyć, że w Szwecji demokracja współgzystuje z socjalizmem... zaczynał być źle widziany.

Nie miałem wiele do roboty oprócz nauki francuskiego i jazdy konnej. Wszyscy flirtowali z młodymi Niemkami, dla mnie wojna i jej wspomnienie były nazbyt żywe – z Niemcami nie utrzymywałem żadnego kontaktu.

Na początku 1947 roku dotarła do nas szczęśliwie matka. Przyjechała z siostrzenicą, sierotą (rodzice zginęli w Oświęcimiu), trzynastoletnią Krysią. W zdobyciu paszportów dopomógł im znajomy ojca, generał Komar (weteran wojny domowej w Hiszpanii), wkrótce potem zresztą aresztowany.

Nareszcie razem; przeżyliśmy wszyscy troje, teraz jeszcze z Krysią, ocaloną przez przyjaciela jej matki, pana Kozilkiewicza.

CIOTKA ALINA I JEJ DZIECI

Siostra mojego ojca, Alina Wojecka, straciła – zabita przez Niemców – swą córkę Marylkę w nieznanych okolicznościach, gdzieś na prowincji już na początku 1944 roku. Jej syn, Staś Wojecki, o mniej więcej dziesięć lat starszy ode mnie, studiował na szóstym roku medycyny. W czasie Powstania był lekarzem w szpitalu zorganizowanym w kościele na placu Krasińskich – trzysta

metrów od mego na Kilińskiego. Kościół został zbombardowany, Staś (pseudonim Doktor Piotr) wynosił rannych z płonącego gmachu do chwili, gdy strop przywalił jego i pozostałych jeszcze rannych. Tylko jedno z dzieci ciotki Aliny przeżyło wojnę: syn Piotr. Deportowany do ZSRR, do Kozielska, był jednym z czterystu, których – nie wiadomo czemu – nie zgładzono. Niedawno (1993) w reportażu o Katyniu opowiadał swe przeżycia. Udało mu się dostać do Drugiego Korpusu, w którym walczył (z bitwą o Monte Cassino włącznie) w pułku czołgów.

Nim opowiem me dalsze losy we Francji, muszę na chwilę wrócić do Gdańska. Pewnego dnia, w 1949 roku przypadkowo spotkałem w Paryżu pułkownika Pohowskiego, mojego byłego szefa z Biura Odbudowy Portów. Od niego dowiedziałem się, co wydarzyło się po tym, jak wyjechałem. Szefa kadr, byłego akowca, „zdemaskowano”. Należało wówczas zarejestrować przynależność do AK; wielu z nas tego nie zrobiło – z braku zaufania do nowej władzy. Całe biuro składało się z akowców ze Lwowa. Postanowili prysnąć do Szwecji. Zostali zatrzymani w porcie. U najmłodszego znaleziono w dodatku rewolwer. Wszystkich aresztowano. Nie wiem, jak udało się panu Pohowskiemu uniknąć więzienia (był przecież ich szefem, pułkownikiem AK). Wydawało mi się, że utrzymywał dobre stosunki z władzami. Tak więc przez wyjazd do Francji ustrzegłem się aresztowania.

Pan Pohowski jechał do Kairu (tam się urodził, w polskiej rodzinie), gdzie miał objąć funkcję attaché handlowego przy ambasadzie polskiej. Mówił świetnie po francusku i arabsku. Ten tajemniczy, niezwykle inteligentny człowiek wywarł na mnie pewien wpływ.

Któregoś dnia w Gdańsku zostałem przez niego zaproszony na obiad. Po dobrym posiłku piliśmy kawę, co wtedy było wielkim luksusem. Zapytał:

- Czy pijesz codziennie kawę?
- Oczywiście, że nie, wie pan, ile zarabiam.

On na to: – Nie mów tak. To tylko kwestia woli: jeśli postanowisz pić kawę codziennie i jeśli rzeczywiście będziesz tego chciał, uda ci się to na pewno. Trzeba tylko naprawdę chcieć.

Zrozumiałem. I często w rozmaitych okolicznościach pamiętałem o tej lekcji. Mogę zaświadczyć, że recepta działa (może z wyjątkiem zdobywania względów

pań). Dodałem do tego moją własną filozofię: tę silną wolę trzeba uzupełniać lenistwem. Na tym przymierz: wola + lenistwo, opiera się materialny postęp ludzkości.

PAŹDZIERNIK 1946 – SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH

Tak więc z początkiem października zostałem studentem Szkoły Nauk Politycznych. Moi koledzy byli przeważnie pięć lat młodszy. Mieli za sobą francuskie matury, pierwszy rok przygotowawczy zakończony egzaminem konkursowym. Ja startowałem z dużym życiowym doświadczeniem, ale całkiem nieprzygotowany do tych studiów. W dodatku mój francuski pozostawiał wiele do życzenia.

Oprócz wykładów zajęcia praktyczne w grupie dwudziestu studentów bardzo dały mi się we znaki. Z pierwszego wypracowania – o nacjonalizacjach we Francji – nie byłem niezadowolony. Pan prowadzący seminarium nie brał wcale pod uwagę mego specjalnego statusu: cudzoziemca i kombatanta; miałem mu to trochę za złe. Oddając tę pracę, zmieszał mnie z błotem. Ja mściłem się – żartując. Nasz wykładowca pełnił również funkcję – jak się dowiedziałem – prezesa syndykatu małych przedsiębiorstw. Mówiłem, że jest równie mały, jak jego przedsiębiorstwa.

Zrozumiałem po jakimś czasie powody naszego konfliktu. Od dzieciństwa uczą we Francji, że plan w wypracowaniu czy prelekcji stanowi najważniejszy element, ja nie byłem nim zbyt przejęty. W Sc.Po. to niemal religia. Wstęp, trzy części, eleganckie powiązanie między nimi, no i „konkluzja otwierająca szerokie perspektywy”. „Co się dobrze rozumie, łatwo jasno wyłożyć” – to aksjomat całego francuskiego nauczania. Forma jest równie ważna jak treść, tak myślą.

Po pierwszym roku odbywały się tylko egzaminy ustne, miałem jeszcze cały rok, by pracować nad francuskim. Na drugim roku było już łatwiej. Napisałem

pracę na temat „Polityka ekonomiczna a ekonomia polityczna” – bardzo aktualny do dziś – i to już według ścisłych reguł Sc.Po.

Dostałem wówczas „pożyczkę honorową” – trzy tysiące franków miesięcznie (do zwrotu po studiach), co pokrywało kosztą pokoju. Kazik i Antek, moi stryjowie, postanowili również pomóc i od nich dostawałem po pięć tysięcy franków. W ten sposób mogłem jakoś przeżyć. Położenie finansowe moich rodziców było wówczas krytyczne. W roku 1947 ojciec został wezwany do Berlina. Ja przebywałem akurat w Baden-Baden. Dowiedziałem się przypadkowo, że podczas nieobecności ojca (i bez uprzedzenia go), na miejsce przyjechała z Warszawy nowa ekipa. Sytuacja szybko i radykalnie się zmieniła: Mikołajczyk musiał uciekać za granicę, „zorganizowano” wybory, komuniści robili czystkę.

Niepokoił mnie los ojca, który w Berlinie zdany był na łaskę Sowietów. Udałem się więc do pułkownika Poignant, zwierzchnika wszystkich obcych misji wojskowych w strefie francuskiej. Przyjął mnie bardzo dobrze, wdzięczny za informację o nowej ekipie. W końcu jednak ojciec wrócił.

Zabierając ze sobą Krysię, rodzice opuścili Baden-Baden i udali się do Brukseli. Ojciec miał tam zajmować się zakupem koni dla rolników w Polsce (nie było jeszcze traktorów). Wynajęli małe mieszkanko na rue Ter Boss, w centrum Brukseli. Nie wchodząc w detale; sprawa koni nie wypaliła. Ojciec próbował zorganizować firmę eksport-import, ale i to nie wyszło. Tymczasem trzeba było zapłacić za mieszkanie i szkołę Krysi. Myśleliśmy nawet o wyjeździe do Polski, kiedy w Paryżu pojawił się znów stryj Kazik (odwołany, pojechał, wbrew woli żony, do Warszawy; udało mu się po kilku miesiącach stamtąd wydostać).

– Jeżeli Tadeusz wróci do Polski, trafi od razu do więzienia!

W momencie przekraczania polskiej granicy z ważnym paszportem Kazik został zatrzymany: on i jego żona musieli wysiąść z pociągu, stryja długo przesłuchiowano i wypytywano o ojca.

Nie było więc drogi powrotnej. Dzięki pułkownikowi Poignant, który tymczasem został szefem IRO (International Refugees Organisation) na strefie francuskiej, ojca mianowano szefem IRO w Haslach, w okolicy Offenburga. Miał się tam zajmować licznymi uchodźcami z krajów wschodnich, którzy nie chcieli wracać do ojczyzny w strefie sowieckiej.

LATO 1947 w BRUKSELI

Zanim do tego doszło, spędziłem jeszcze wakacje w Brukseli. Było to dla mnie ważne doświadczenie – wiele się nauczyłem. Kiedy przyjechałem do rodziców, ich oszczędności wynosiły pięćdziesiąt dolarów. Mniej niż nic. Ojciec wychodził do miasta z jednym frankiem w kieszeni, aby nie ulec pokusie zakupów. Później dowiedziałem się, że w tym czasie myślał nawet o samobójstwie. Przy pięknych i bogatych wystawach ojciec mówił mi: – Kiedy będę mógł, kupię ci ten motocykl, ten garnitur... – itd.

Bruksela, w przeciwieństwie do Paryża, zarzucona była wtedy wszelkimi dobrami: importowano je za dewizy pochodzące z rezerw zebranych ze sprzedaży miedzi z Konga Belgijskiego. Paryż pod tym względem zbliżał się do sytuacji w Polsce.

W tym samym domu co my mieszkała bardzo miła pani, Polka, która przeżyła Ravensbrück. Chorowała. By przeżyć, musiała pracować w małym przedsiębiorstwie, które zbierało makulaturę, sortowało ją i sprzedawało papierniom. Dzięki niej znalazłem pracę „na czarno”. Nasza sąsiadka sortowała makulaturę, moje zadanie polegało na jej zwożeniu ciężarówką z miasta wraz z dwoma robotnikami. Czasem worek ważył do stu kilogramów. Moi koledzy, Flamandowie, byli przyzwyczajeni do tego typu roboty; ja nie, ale swoje musiałem odrobić. W południe mieliśmy półgodzinną przerwę. Koledzy zjadali sandwiche z wielkimi kawałkami mięsa, ja – kanapki małe jak na piknik. Matka nie zdawała sobie sprawy, że ciężka fizyczna praca wymaga żarcia. Koledzy pytali:

– Jesteś studentem? Co będziesz robił po studiach?

Naprawdę nie umiałem odpowiedzieć i to wprowadzało mnie w niepokój. Do domu wracałem kompletnie wyczerpany i bardzo brudny. Nosilem wojskową koszulę amerykańską i na głowie siatkę, która podtrzymywała mi, bujne w owym czasie, włosy. Wracając do domu, patrzyłem na luksusowe samochody, eleganckie sklepy, a wszystko to w temperaturze czterdziestu stopni (lato 1947 roku było najgorętsze z tych, które przeżyłem). Nienawidziłem Brukseli, jej bogactwa i mieszkańców. Stawałem się proletariuszem. Moje poglądy wyraźnie zaczęły przesunąć się na lewo.

Dwie anegdoty. Pierwsza dzieje się w pięknym mieszczańskim mieszkaniu pewnego znanego chirurga (na drzwiach zauważyłem tabliczkę). Zabieraliśmy makulaturę ze strychu; tam znalazłem stare numery pisma „Art”, jeszcze sprzed wojny. Zacząłem przeglądać artykuł o architekturze romańskiej. Nagle stanął przy mnie właściciel... Zauważył, co czytam, i ojcowiskim, protekcjonalnym tonem zapytał:

– Interesuje się pan sztuką? To dobrze... – podtekst: dla robotnika.

Odpowiedziałem mu zatem:

– Jestem studentem, pracuję tymczasowo.

– Co pan studiuje?

– Jestem na drugim roku Szkoły Nauk Politycznych w Paryżu.

Zaskoczenie kompletne. Studenci w tym czasie na ogół przyjemniej spędzali wakacje...

Innym razem szef kazał mi zostać w fabryce. Miałem uporządkować sterty papieru już sprasowanego w bele. Byłem sam w wielkiej piwnicy. Myślałem, że chciał, bym sobie odpoczął. Raptem poczułem się odpowiedzialny. Zazwyczaj starałem się pracować jak najmniej, tym razem energicznie zabrałem się do układania. Wieczorem zdziwiony właściciel zapytał:

– Kto to wszystko zrobił?

– Ja.

– Sam jeden? To niemożliwe!

– Tak, ja sam...

Nauczyłem się wtedy rzeczy zasadniczej: ludzie dobrze pracują, gdy za to, co robią, są odpowiedzialni. Organizując później pracę w różnych zakładach Philipsa, zawsze o tym pamiętałem.

Ojciec, chcąc sprawić mi przyjemność, zorganizował mi jazdę konną wieczorami u któregoś ze znajomych, ale byłem zbyt wykończony, by móc z niej w pełni korzystać.

Pod koniec sierpnia miałem już dosyć. Przypadkowo usłyszałem, że jakiś belgijski hrabia organizuje w swym nadmorskim majątku międzynarodowy obóz pacyfistów. Było to chyba darmowe; dowiedziałem się o szczegóły i udało się: spędziłem dziesięć dni pod namiotem, w pięknej posiadłości, dwieście metrów od morza. Obóz był naprawdę międzynarodowy, uczestniczyło w nim – między

innymi – wielu Amerykanów, wśród nich jeden z Teksasu. Słabo rozumiałem jego amerykański, ale jakoś się dogadywaliśmy. Pewnego dnia zaproponował mi:

– Mam znajomą w Brugii, zaprosiła mnie, ale nie mogę jechać. Czy chcesz pojechać?

Dlaczego nie? Kiedy przyjechałem, znajomej akurat nie było. Po wyjaśnieniu, o co chodzi, jej rodzice poprosili, bym zjadł z nimi obiad. Ojciec sprawował niegdyś urząd burmistrza Brugii. Spędziłem uroczę popołudnie, pokazał mi całe przepiękne miasto, które znał dogłębnie i kochał.

Po powrocie podziękowałem koledze:

– Skąd ich znasz?

– Wracając z Brukseli, spotkałem w pociągu tę dziewczynę i dała mi swój adres. Nie widziałem jej od tej pory.

Przyjaźń była więc migawkowa, bo z Brukseli do Brugii jedzie się czterdzieści pięć minut.

JESIEŃ 1947 – STUDENT W PARYŻU

Wakacje się skończyły, wróciłem do Cité Universitaire. Jak co roku, należało przejść badania lekarskie. Szedłem tam z René Langlois, sąsiadem z pawilonu japońskiego.

– Nie lubię tego, zawsze mogą znaleźć jakąś chorobę. Kpiłem z niego:

– Co za pomysł, przecież czujemy się dobrze, jesteśmy młodzi. Uspokój się!

Lekarz zbadał nas i przy wyjściu poprosił:

– Niech pan zostanie, muszę z panem pomówić.

Byłem zaskoczony. Lekarz dorzucił:

– Trzeba zrobić dodatkowe badania, rentgen itd. Ma pan plamę pod prawym obojczykiem, prawdopodobnie z powodu gruźlicy.

Jakby grom we mnie uderzył. Akurat przechodził obok kolega, student drugiego roku medycyny. Zaczepiłem go:

– Słuchaj, jeden z moich kolegów ma plamę... itd. Co byś o tym myślał?

– Jeśli będzie się rozwijało, to może być groźne. Trzeba się szybko leczyć.

Wieczorem Zbyszek Stolarek zastał mnie leżącego na łóżku: czułem się potwornie znużony. Kolega medyk, którego zaczępiłem po wizycie u lekarza, zorganizował mi tomograf w szpitalu. Zaczynano wówczas stosować technikę krojenia pacjenta w plasterki za pomocą rentgena. Profesor stwierdził dużą jamę gruźliczą w płucach. Drugie zdjęcie wykazało jej zmniejszenie, na ostatnim zdjęciu okazała się kawałkiem blachy – resztką granatu z sierpnia 1944 roku. Jama była echem odłamka. Profesor opisał ten wypadek w naukowym miesięczniku lekarskim.

Sprawa mej gruźlicy zakończyła się dość szybko. Skierowano mnie do restauracji medico-sociale, gdzie było dobre jedzenie, nieporównywalne z tym w stołówce w Cité Universitaire. Posiłki dla chorujących studentów: dużo mleka, sera itp., przywróciły mi siły. Polak chory na gruźlicę – brakowało tylko gry na fortepianie: niemal drugi Szopen.

Nie miałem wielu znajomych na studiach. Różnica między mną a większością z nich wynosiła pięć–sześć lat. Choć nosiłem mundur, w porównaniu z Amerykanami czy Kanadyjczykami nie byłem atrakcyjnym aliantem (nie dostawałem bogatych przydziałów czekolady, papierosów itp.). Poza tym istniał jeszcze „styl Sc.Po.”: czarny kapelusz, koniecznie krawat, specjalny, snobistyczny sposób mówienia – słowem, takie towarzystwo nie odpowiadało „wiarusowi” po pięciu latach wojny. Ilustruje to dobra anegdota. Sc.Po. organizowało pierwszy bal po wojnie. Na zaproszeniach zaznaczono, że wymagany jest strój wieczorowy. Jakaś dziewczyna pyta mnie:

– Przyjdzie pan na bal?

– Nie. Mam, „oczywiście”, strój wieczorowy, ale przez solidarność z tymi, którzy go nie mają – nie przyjdę.

Nie zrozumiała, że kpię. Mój „gest” spodobał się jej:

– Jak to ładnie z pana strony.

SPOTKANIE Z ANNIE

Ponieważ polskie wychowanie jeszcze ze mnie nie wyparowało, w wypełnionych po brzegi salach wykładowych ustępowałem miejsca spóźniającym się studentkom. Tak poznałem Lizon Maury, młodą pannę z Gaskonii (z miasta Auch), nie najpiękniejszą, ale bardzo sympatyczną.

Często wychodziliśmy razem z zajęć. Ja do restauracji studenckiej „Saint Ginette”, na wzgórzu św. Genowefy, blisko Panteonu, Lizon zaś zawsze do tej samej kawiarni przy Saint-Germain-des-Prés. Doszedłem do wniosku, że należy po prostu do jej rodziny.

Na początku drugiego roku, po wakacjach brukselskich, spotkałem Lizon, która przywitała mnie serdecznie, gratulując dobrych ocen z egzaminów ustnych. Lubilem Lizon, ale nigdy z nią nie flirtowałem. Najczęściej rozmawialiśmy o wykładach. Któregoś dnia, jesienią 1947 roku, przechodziłem przez ulicę Gay-Lussac, kiedy zauważyłem idącą w przeciwnym kierunku Lizon. Była w towarzystwie bardzo ładnej koleżanki, która od razu wpadła mi w oko. Pobieglem za Lizon pod pierwszym lepszym pretekstem. Przedstawiła mi Annie Dupouy, swą przyjaciółkę, którą spotykała codziennie w kawiarni i z którą mieszkała w hotelu de l'Observatoire, na bulwarze Saint-Michel.

Koleżeńskie stosunki z Lizon nie były przeszkodą, bym mógł próbować zainteresować sobą jej przyjaciółkę. Annie słyszała już o mnie od Lizon (dowiedziałem się potem, że myślała, iż jestem dużo wyższy). Postanowiłem zaprosić obie dziewczyny na bal do Cité. Mieliśmy oboje z Annie po dwadzieścia cztery lata i przypadliśmy sobie do serca.

Pod nieobecność moich rodziców (przebywali w Haslach) Kazik postanowił, że musi poznać moją „narzeczoną”. Chciał się przekonać, czy sprawdzi się jego opinia o Francuzkach, które podobają się Polakom – twierdził, że zawsze są wampami. Obiad udał się znakomicie i o wampach nigdy więcej nie było już mowy.

W lipcu 1948 roku postanowiliśmy złożyć pierwszą wizytę u rodziców w Haslach. Mieszkali tam we troje z Krysią w dużej willi. Jej właściciel, pan Armbruster, pełnił rolę służącego, ogrodnika itp. Bardzo się przed nami płasz-

czył. Nie lubił nikogo (Francuzi byli brudni, Anglicy – hipokryci...) oprócz Polaków (w rozmowie z nami). Nasze stosunki oziębły się, kiedy na siłę pokazał mi zdjęcie syna w mundurze SS (poległego w Rosji). Pan Armbruster nigdy nie zrozumiał, dlaczego nie miałem ochoty na podziwianie jego zdjęć.

Stosunki między Annie i rodzicami od razu ułożyły się doskonale. Mój wybór zaakceptowali jednomyślnie. Annie była bardzo ładna, dobrze wychowana, dyskretna. Postanowiliśmy pobrać się we wrześniu w Monferran-Savés, w Gers (blisko Tuluzy), gdzie rodzice Annie byli nauczycielami.

Przedtem jednak spędziłem pięć tygodni w Anglii, gdzie na obozie studenckim (pomagaliśmy przy żniwach) doskonaliłem swój angielski. W roku 1948 rolnictwo potrzebowało rąk roboczych, żywności wciąż było za mało. Moje podanie wysłane z Francji zostało odrzucone, ale Wacek Koc wysłał drugie, podając na nim swój oksfordzki adres. W ten sposób znalazłem się niedaleko Droitwich, na obozie, gdzie byłem jedynym cudzoziemcem. Doskonała okazja do nauki angielskiego!

Pożegnaliśmy się z Annie, która pojechała do Monferran-Savés załatwić formalności związane z zapowiedziami, ślubem itd.

ANGIELSKIE DOŚWIADCZENIA

Anglia różniła się bardzo zarówno od Polski, jak i od Francji. W sierpniu 1948 roku zatrzymałem się u mojej siostry stryjecznej, Danki, córki Kazika, zamężnej ze Stefanem Waydenfeldem. Nie widziałem jej od 1939 roku. Wojnę spędzili najpierw w Związku Radzieckim, następnie przebywali w liceum polskim w Palestynie, potem Stefan był w wojsku we Włoszech, Danka razem ze swą matką w Polskim Czerwonym Krzyżu. Stefan walczył pod Monte Cassino w armii Andersa. Ich pobyt w ZSRR, zesłanie do lasów koło Archangielska, potem do Uzbekistanu – to długa i ciekawa historia, którą Stefan opisał w książce pt. *Droga lodowa*. Razem nasze wspomnienia obejmują duży kawał polskiej historii.

Nie będę tu opowiadał szczegółowo o moim pobycie w obozie studenckim.

Praca – zbieranie zboża, sadzenie kapusty itp. – dość ciężka, jedzenie nie do jedzenia, mało nie umarłem z głodu... Wielka Brytania 1948 roku była jeszcze bardzo wyspiarska i kultywowała swą odrębność. Kiedy stojąc w kolejce po bilet na pociąg, okazałem zniecierpliwienie, ludzie z ogonka patrzyli na mnie jak na obłąkanego.

Dwie inne anegdoty ilustrują tę odrębność. Kiedyś przy stole poinformowałem mych anglosaskich kolegów, że przypadkiem odkryłem wielki zamek w okolicy – i wskazałem ręką kierunek. Wszyscy ryknęli śmiechem. Lubię prowokować wesołość żartami, ale nie żartowałem. Wskazanie kierunku wywołało ich radość – według nich powinienem powiedzieć: „na południowy zachód” itd. Pokazywanie kierunku było kontynentalne i *shocking*. Wszyscy o tym zamku wiedzieli, ale nikt mnie o nim nie poinformował. – Dlaczego? – spytałem. – Przecież o niego nie pytałeś – nie chcieliśmy się narzucać.

Innym razem, po całym dniu stawiania snopków żyta pełnego kłujących ostów, zaproponowano mi przechadzkę do X. Myślałem – na jakąś lokalną zabawę. Po przeszło godzinny marszu – na horyzoncie pub, czyli elegancka karczma. Moi angielscy koledzy zamówili każdy jeden, drugi olbrzymi kufel piwa... ja nie, bo nie lubię... Czekałem na prawdziwą rozrywkę. Ale nic się nie działo. Te pięć czy sześć kilometrów było „do piwa”. No i znów godzina powrotu. Nie nabrali mnie już na drugą wycieczkę.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w Londynie u rodziców Danki. Zwiedziłem British Museum i londyńskie parki. Z Paryża ruszyłem zaś prosto na południe, do Tuluzy i Auch. Było to 4 września 1948 roku.

ŚLUB

Pociąg przyjechał do Tuluzy o piątej rano. Stamtąd miałem wsiąść w pociąg do Auch. Mała stacyjka po drodze leżała o trzy kilometry od Monferran-Savés, gdzie czekała Annie. Wsiadłem do wagonu o szóstej rano i zdumiałem się: byłem jedynym nieuzbrojonym mężczyzną. Czemu tyle strzelb? Jakież chłopskie

powstanie? Nie wiedziałem, że to dzień otwarcia sezonu łowieckiego. Tego dnia w Gers znajdowało się zapewne więcej strzelców niż królików... Widok, który robił wrażenie, zwłaszcza na byłym powstańcu...

Annie czekała na mnie z rowerem, by wieźć nim mą walizkę. Jej ojciec przepraszał, ale pierwsze polowanie w roku przeważało nad ciekawością poznania przyszłego zięcia. Moi rodzice nie dostali francuskiej wizy, nie mogli wziąć udziału w ceremonii. Postanowiliśmy więc, że ślub będzie bardzo skromny, nie zapraszaliśmy nawet mieszkających w pobliżu wujów i ciotek Annie. Było tylko dziesięć osób, w tym *grandmère* Jeanne, malutka, zawsze na czarno ubrana babcia Annie. Merostwo i szkoła znajdowały się w tym samym budynku. Wystarczyło wejść piętro wyżej, aby znaleźć się w sali przeznaczonej na ceremonię. Burmistrz, pan Maté, znał Annie od dziecka, ale nie odważył się wygłosić przemówienia w obecności Pana Nauczyciela, bardzo wobec niego krytycznego. Przyjechałem dwa dni przed datą ślubu, poznałem całą rodzinę Annie, nieco wystraszoną tym cudzoziemcem mówiącym po francusku z silnym obcym akcentem, nie mającym nic wspólnego z ich południowym... W dodatku zdarzyło się, że chcąc zwiedzić okolicę, pożyczyłem od przyszłego teścia rower; jechałem przez pole – pełne kolczastych roślin – oba koła zostały podziurawione. Ostatnie dwieście metrów przeszedłem piechotą. Nie był to najdoskonalszy początek znajomości z teściem, bardzo dokładnym i dbającym o swoje rzeczy.

Poczęstunek weselny zaczynał się – oczywiście – od specjalnej kaczey wątróbki. Nie znałem tego wielkiego przysmaku (odpowiednika kawioru w Polsce). Prócz niego był jeszcze zwyczajny pasztet. Wychwalałem codzienny, zapominając o kaczym, miał on dla mnie wtedy zbyt delikatny smak.

Pierwsza straszna gafa.

Podczas posiłku teść przyniósł – z wielkim nabożeństwem – butelkę bordeaux, czekającą od dwudziestu lat na ślub córki. Chcąc naprawić pierwszą gafę, popełniłem drugą. Wziąłem jeden z kielichów napełniony winem i powiedziałem:

– To wasze stare bordeaux jest rzeczywiście wyborne.

Co za pech – nie był to kieliszek ze sławnym bordeaux! Pierre Dupouy zaniepokoił się zachowaniem tego „barbarzyńcy ze Wschodu”. Kuchnia miała duże znaczenie w życiu Gaskończyków w ogóle, zaś w życiu państwa Dupouy

– w szczególności. Po deserze, równie znakomitym jak wszystkie inne potrawy, do specjalnych kieliszków nalano starego, wyśmienitego armagnacu (typowy alkohol Gaskonii). Należało go ogrzewać w dłoni, długo wachać, pić smakując każdy łyk. Pomyślałem sobie: „Skoro i tak już jesteś dla nich barbarzyńcą, wal śmiało dalej...” I – tym razem umyślnie – wychyliłem kielich jednym haustem (jak wódkę). Moja reputacja została ustalona raz na zawsze.

Chwała Bogu, odąd już nigdy nie mówiono przy mnie o kuchni, winach itp.

Gdyby istniała możliwość anulowania małżeństwa w czasie tego pamiętnego obiadu, nie wątpię, że mój teść natychmiast by to uczynił. Było jednak za późno.

PARYŻ 1948. ZDOBYĆ PRACĘ

W Paryżu zaczęliśmy szukać pracy. Annie miała dyplom opiekunki społecznej, również pielęgniarki. Ja musiałem raz jeszcze zdawać egzamin dyplomowy w Sc.Po. – wiosenny oblałem.

Po pierwsze należało zdobyć mieszkanie. Zadanie niełatwe: w 1948 roku w Paryżu urzędowała ONZ i wszystko, co można było wynająć, zostało wynajęte. Znalezienie lokalu mieszkalnego nie wchodziło w grę. Nie posiadaliśmy tak dużych pieniędzy na odstępnę. Jeździłem więc rowerem po Paryżu w poszukiwaniu jakiegokolwiek schronienia. Wyszukałem w końcu pokój w hotelu „Europe”, drogi i z zakazem gotowania w pomieszczeniu. Annie mogła przyjechać. Pierwszą noc w hotelu dobrze zapamiętaliśmy. O czwartej nad ranem alarm – Annie, przerażona, wyskakuje z łóżka: ugryzła ją pluskwa. Przez dwa dni, w ciągu których spałem sam, nie czułem niczego. Obudzony brutalnie o czwartej rano, miałem poważne wątpliwości co do uroków życia małżeńskiego.

W latach 1948–1956 dziewięć razy zmienialiśmy sublokatorskie mieszkania, ale nie będę tu o tym opowiadał. Wymagało to dużego wysiłku i silnych nerwów, specjalnie od mej żony.

Annie znalazła pracę jako pielęgniarka w APAS (opieka nad robotnikami budowlanymi), na północy Paryża. Wstawała wcześniej, bo mieszkaliśmy po drugiej stronie miasta, na południu. Ja zostawałem w domu i szukałem zajęcia...

Moje poszukiwania polegały na czytaniu ogłoszeń. Wysyłałem życiorys, w którym podkreślałem, że byłem członkiem ruchu oporu, podporucznikiem z Powstania Warszawskiego. Nie wiedziałem, że to nie interesowało nikogo. Annie pracowała, a ja siedziałem w domu. Mój honor bardzo na tym cierpiał. Łaziłem po mieście i miałem ochotę rzucać granatami przez okna biur. Czułem się wykluczony, niepotrzebny. Nie wiedząc, co robić, na wszelki wypadek poszedłem do pana Reykisa. Pan ten posiadał galerię sztuki na rogu rue Bonaparte i placu Saint-Germain-des-Prés. Należała ona przed wojną do pani Zak, siostry Leona Wojeckiego, męża mej ciotki Aliny. Panią Zak, wdowę po malarzu, przyjacielu Kislinga, Modiglianiego i innych, zamordowali Niemcy. Pan Reykis, powiązany rodzinnie z Żakami, przejął galerię, z której Niemcy zrabowali dużo doskonałych (Picasso, impresjoniści), nigdy potem nie odnalezionych obrazów. Nie znałem dobrze pana Reykisa, nie wiedziałem też, jak mógłby mi pomóc. Zawsze jednak trzeba próbować – umieć chcieć – pamiętać lekcję pułkownika Pohowskiego w Gdańsku.

PO PROSTU ŻYĆ

Reykis miał znajomego z Legii Cudzoziemskiej z lat 1914–1918, niejakiego pana Guichard, właściciela przedsiębiorstwa Arianex, specjalizującego się między innymi w sprzedaży specjalnych teczek do przechowywania dokumentów i tablic do sporządzania „ruchomych” wykresów. Guichard zaproponował mi pracę z pensją w wysokości piętnastu tysięcy franków. Annie zarabiała osiemnaście tysięcy. Mieliliśmy wspólnie około dwustu tysięcy franków długów (pięćdziesiąt tysięcy dzisiejszych franków). Annie zobowiązana była oddać stypendium departamentu Gers, bo pracowała poza nim, ja musiałem zwrócić moją

„honorową pożyczkę”. Ale w końcu znalazłem pracę! W Arianexie pracowałem od 1949 do 1959 roku, czyli o dziewięć lat za długo. Mimo starań nie potrafiłem znaleźć innego zajęcia. Bardzo szybko miałem dość pana Guichard, samouka, zapewne w gruncie rzeczy porządnego człowieka, ale choleryka i brutalna. Na szczęście znosił moje ostre repliki. Pamiętałem zawsze lekcję ojca:

– Jeśli ktoś mówi do ciebie nieodpowiednim tonem, odpowiadaj tym samym.

Nie rzuciłem posady. Rodzice byli wprawdzie finansowo niezależni dzięki zatrudnieniu ojca w IRO, ale nie mogli nam pomagać. Mieszkania wymagały nakładów środków, musieliśmy spłacać długi. Pamiętałem też bardzo żywo trzy okropne miesiące szukania pracy. Nie chciałem już nigdy więcej bezrobocia.

Gdy IRO zakończyła działalność w Niemczech, ojciec znalazł się w służbie administracyjnej armii francuskiej w Baden-Baden. Rodzice przenieśli się do Offenburga, skąd każdego ranka ojciec dojeżdżał pociągiem do Baden. Wyraabiając, po wojnie, nowe dokumenty, ojciec ujął sobie cztery lata, co umożliwiło mu znalezienie zatrudnienia. W ten sposób przepracował aż do siedemdziesiątego roku życia.

Mój przyjaciel, Zbyszek Stolarek, przebywał jeszcze w Paryżu i mieszkał w XVIII dzielnicy. Na początku 1951 roku pomógł nam wyszukać małe „studio” w tym samym *hôtel meublé*, w którym mieszkał, 15 rue Cloÿs. Całe mieszkanie miało tylko czternaście metrów kwadratowych. Ale byliśmy nareszcie u siebie, bez właściciela na głowie. Mieszkaliśmy tam do lata 1954 roku, ale po urodzinach naszej córki Wandy, 23 maja 1953, lokal stawał się nieznośnie mały. W tym czasie jeździłem do pracy skuterem Arianexu, ale mniej więcej od 1952 roku miałem do dyspozycji *citroëna* 2CV – co bardzo ułatwiało nasze życie. Znaleźliśmy też większe mieszkanie – pokój z kuchnią i łazienką (w Boulogne pod Paryżem).

Tymczasem ojciec zachorował (miał atak apopleksji, na szczęście bez następstw) i musiał przyjechać do Francji. Umieściliśmy rodziców w pobliskim hoteliku. Opiekowali się teraz Wandą w ciągu dnia, a posiłki jadali u nas. Moja córka i jej dziadek tworzyli parę, którą bardzo szybko rozpoznawano w okolicach placu de la Porte de Saint-Cloud. Ojciec z powodu choroby nie był w najlepszej formie, ale wnuczką opiekował się z wielką przyjemnością i znakomicie. Wanda uwielbiała go. Porozumiewał się z nią zawsze po polsku, ona

odpowiadała po francusku. Ale gdy spotkała rówieśnicę mówiącą tylko po polsku, okazało się, że umie i rozmawiać całkiem płynnie. Zostało to jej do dziś.

Niedługo potem naprzeciwko nas zwolniło się dwupokojowe mieszkanko i przez dwa lata mieszkaliśmy wspólnie z rodzicami. Dla Annie było to dość trudne, moja matka prowadziła dom w ściśle określony sposób. Ale chwilowo nie potrafiliśmy znaleźć innego wyjścia.

Ojciec – z powodu choroby serca – miał od czasu do czasu omdlenia i oddychał z trudnością. Wanda (wówczas trzyletnia) rzuciła się kiedyś ku niemu, położyła się mu na piersi i głęboko oddychała, wołając:

– Dada, oddycham za ciebie!

Któregoś dnia dowiedziałem się, że OCIL (rodzaj spółdzielni mieszkaniowej) oferuje mieszkania w Vincennes i w Créteil. Zasięgnąłem języka i bez wahania podpisałem kontrakt na kupno dwupokojowego lokalu na dziewiątym piętrze w bloku, który miał dopiero zostać zbudowany. Nazajutrz wszystko wykupiono; szybka decyzja często się opłaca.

W Boulogne mieszkaliśmy do 1956 roku. Mieszkanie w bloku było już gotowe, ale mieliśmy problem z lokalem dla rodziców. Po wielu perypetiach udało mi się niemal cudem znaleźć im miejsce w pobliżu Lasku Vincennes. Kosztowało nas ono miesięcznie pół pensji Annie, ale mogliśmy wreszcie wprowadzić się do siebie. Rodzice dalej opiekowali się Wandą. Ojciec spędzał z nią całe dnie w Lasku i po miesiącu znał już matki i dzieci z całej okolicy.

Nie pisałem jeszcze o mych powojennych stosunkach z Polską. Korespondowałem z Romanem Bratnym, Witoldem Zalewskim, Zbyszkim Stolarciem (który wskutek nieporozumienia został w 1952 roku wysiedlony z Francji, później do niej wrócił). Wszyscy oni zaangażowali się politycznie, sądząc, iż nowy reżim daje, na przykład dzięki reformie rolnej, nadzieję postępu. Nie przekonywały mnie ich argumenty, ale praca w Arianexie, mój wstręt do niej, okres bezrobocia powodowały moje bardzo krytyczne nastawienie do kapitalistycznego Zachodu. Nie mogłem jednak wierzyć, że Rajk zdradził. Inwazja Węgier była zbrodnią, sowiecki system też nie do przyjęcia. Po roku 1956 sytuacja w Polsce się zmieniła. Gomułka doszedł do władzy, sam właśnie wyszedł z więzienia stalinowskiego. Odżyła nadzieja, po dziesięciu latach prześladowań uznano nareszcie zasługi AK.

W 1957 roku Roman Bratny opublikował książkę pt *Kolumbowie rocznik 20*, pierwszą powieść o armii podziemnej AK i o ruchu oporu w Polsce w latach 1939–1945; wydarzenie jeśli nie o dużym znaczeniu dla literatury, to na pewno o wielkim rozgłosie. Bratny wykorzystał tam wiele z mych opowieści, a także przeżyć Kolumba (Sobieszczańskiego) – stworzył jedną postać z nas obu. Po raz pierwszy była mowa o Kedywie: Roman opowiada o Olku Tyrawskim, Zygmuncie Zabierzowskim, Witoldzie Zalewskim i o sobie samym (zmieniając oczywiście nazwiska). Napisał – według mnie – wierny reportaż tamtych czasów, może charaktery poszczególnych bohaterów za mało pogłębione. Dostałem tę książkę w maju 1957 roku, w chwili narodzin Jana (30 maja 1957). Aż do dziś Annie wyrzuca mi, że podczas trzydniowego urlopu, jaki miałem z okazji urodzin syna, zapominając niemal, gdzie jestem, wciąż czytałem! Narodziny syna były dla mnie wielką radością, ale jednocześnie chciałem wiedzieć, co Roman zrobił z naszych historii.

W 1957 roku (dotychczas miałem dokumenty uchodźcy) złożyłem podanie o obywatelstwo francuskie. Główny powód: pragnienie podróży do Polski, co było możliwe jedynie z paszportem francuskim.

PIERWSZA WIZYTA W POLSCE (PO DWUNASTU LATACH)

W roku 1958 (wbrew radom ojca, który obawiał się ewentualnych trudności z powrotem) wybrałem się wraz z Annie do Polski. Po dwunastu latach nieobecności...

Podróż (Monachium, Wiedeń, Bratysława) udała się znakomicie. Byłem wzruszony i niecierpliwie czekałem na spotkanie z przyjaciółmi. Tu mała anegdota. W chwili przekraczania czesko-polskiej granicy widzę znajomą kobietą twarz. Mówię zatem po polsku:

– Przecież ja panią znam, ale skąd...?

Na to ona po francusku:

– Co za zbieg okoliczności. Wracam właśnie z Moskwy. Wiele razy kupował pan u mnie kwiaty, w Vincennes, w kwiaciarni obok pana domu.

Przejeżdżamy most w Cieszynie. Ku mojemu zdziwieniu czekał na nas „komitet powitalny”: Witold Zalewski, Zbyszek Stolarek, Roman Bratny – wszyscy z żonami. Zrobili trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy i oczekiwali mnie na granicy... Byłem głęboko wzruszony.

Zgotowano nam wielkie, radosne przyjęcie. O sytuacji w kraju, o okresie stalinowskim rozmowy były zupełnie swobodne, obawy mojego ojca okazały się, w każdym razie w 1958 roku, płonne. Przez pewien krótki czas reżim trochę zelżał i nacisk policyjny nie był widoczny (przynajmniej dla mnie).

Annie odkryła wspaniałą, prawdziwą, tradycyjną polską gościnność. Co więcej, popularność książki Romana spowodowała zainteresowanie „Skiernikiem”, którego byłem częściowo prototypem. Podróż przez Kraków do Warszawy przebiegła bez kłopotów. Nasz citroën 2CV wszędzie wzbudzał sensację – nikt nie widział tu jeszcze takiego samochodu.

Oprócz wzruszających spotkań ze wszystkimi przyjaciółmi (wielu z nich już dziś niestety nie ma), szczególnym przeżyciem była dla mnie wizyta na Starym Mieście. Odbudowano je tak, aby wyglądało jak dawniej. Miałem wrażenie, że śnię, budzę się z koszmaru. Wojna, góry cegieł i gruzu, które tu kiedyś widziałem, teraz znikły. Przed oczyma miałem te same malowane, rzeźbione fasady, jakby cudem zmartwychwstałe...!

Polska gościnność jest przysłowiowa. Karmiono nas ponad wszelką miarę. Podczas każdej wizyty posiłek, obowiązkowo z moim ulubionym sernikiem. Ale po dziewięciu posiłkach, dziesiąty kawałek najbardziej ulubionego ciasta trudno przełknąć. Udało nam się jakoś uniknąć jedynego realnego niebezpieczeństwa: pęknięcia z przejedzenia.

Ta wizyta stanowiła dla mnie wielki szok. W Paryżu czułem się zagubiony, anonimowy – stałem się tam nikim. W Polsce, dla przyjaciół, i nawet innych, byłem kimś. Przeżyłem emocje podobne do tych, naturalnie w innej skali, jakie Polacy odczuli po wyborze papieża Polaka: to coś w rodzaju uświadomienia sobie własnej wartości po latach życia w cieniu.

Z VINCENNES DO MARLY-LE-ROI. NOWA PRACA

W kwietniu 1959 roku przeprowadziliśmy się do Marly-le-Roi, gdzie kupiliśmy nareszcie wygodne pięciopokojowe mieszkanie. Nadal pracowałem w Arianexie. Po powrocie z Polski miałem prawdziwą chandrę. Moje stanowisko we Francji nie było mnie godne. Może to wydawać się pretensjonalne, ale naprawdę tak myślałem. Oświadczyłem żonie:

– Albo znajdę ciekawą pracę w ciągu trzech miesięcy, albo jestem zerem na zawsze.

Zakład był ryzykowny. Postanowiłem dać ogłoszenie do „Le Monde”: „Mężczyzna, lat 34, Sc.Po., doświadczenie w organizacji pracy, szuka odpowiedniego zajęcia”. Tylko tyle.

Dostałem *jedną* odpowiedź. Filia Philipsa w Bobigny poszukiwała zastępcy dyrektora fabryki (tysiąc osób) do spraw zaopatrzenia, zakupów i organizacji pracy. W liście proszono o ręczne curriculum vitae, dwa zdjęcia – od przodu i z profilu – oraz o odpowiedź na kwestionariusz złożony ze 141 pytań. Myślę, że warto opisać metodę selekcji kandydatów. Pytania były bardzo różne, odpowiedzi należało opatrywać punktami od 1 (nie) do 9 (tak):

Moje odpowiedzi

Na zebraniach:

- a) siedzi Pan bez ruchu 7
- b) rusza się bez przerwy ...

Ulicą idzie piękna kobieta:

- a) odwraca się Pan za nią 9
- b) nie zwraca Pan uwagi ...

(Odpowiedziałem: 9, powinienem był postawić 11).

Praca wydawała się stworzona dla mnie, nie mogłem marzyć o lepszej. Ale nie znałem nikogo z Philipsa. Z ramienia Arianexu byłem kiedyś w tej fabryce – coś im sprzedawałem – i myślałem, że może mi to zaszkodzić. Odpowiedziałem jednak na list według zasady: nie należy nigdy kapitulować bez walki.

Gdzieś w październiku–listopadzie 1958 roku zostałem wezwany do Bobigny. Sekretarka dyrektora okazała się Polką z pochodzenia (mówiła po polsku), co uznałem za dobry znak. Przyjął mnie sam dyrektor, pan Audoin, który miał około trzydziestu pięciu lat, jak ja wtedy. Dowiedziałem się, że analiza mego charakteru wypadła obiecująco: specjalista od Philipsa, pan Denis, robił analizę morfologiczną (zdjęcia) i grafologiczną. Porównywał to potem z opisem samego siebie, jaki kandydat sporządził, wypełniając kwestionariusz. Moje trzy krzywe niemal się pokrywały. Mój konkurent, proponowany przez centralę Philipsa, nadawał się idealnie, ale tylko w swojej opinii. Zostałem więc zatrudniony i pracę zacząłem 3 maja 1959 roku, miesiąc po przeprowadzce do Marly-le-Roi. Musiałem przejeżdżać codziennie przez cały Paryż z zachodu na północny wschód (35 kilometrów, zajmowało to od godziny do półtorej), ale było mi wszystko jedno. Wygrałem zakład z samym sobą.

W dodatku pan Audoin miał takie samo podejście do dowodzenia jak ja. – Przedyskutujemy pański plan reorganizacji – po tym uzgodnieniu to już pana sprawa. – Musi mnie pan uprzedzić o problemach, kiedy to konieczne. – To pan sam musi ocenić. Jeśli pan tego nie potrafi, wytłumaczę to panu jeden raz, drugi raz mniej łagodnie... za trzecim uprzedzę – ryzykuje pan zwolnienie, za czwartym dostanie pan dymisję.

Podaję tę teorię dokładnie, bo myślę, że dziś w wielu firmach w Polsce takie podejście mogłoby dodatkowo wpłynąć na wydajność pracy.

Najwyraźniej dostosowałem się do tych wskazówek, bo i nasza współpraca z panem Audoin była bardzo harmonijna. Zachowaliśmy z niej obaj bardzo dobre wspomnienie do dziś. Nie ma sensu opowiadać o mych dwudziestu pięciu latach pracy w firmie Philips. Znalazłem swe miejsce na świecie, odpowiednie stanowisko i zajęcie, które mnie pasjonowało.

W ten sposób nasze życie stało się podobne do życia tysięcy odpowiedzialnych pracowników przemysłu francuskiego lat sześćdziesiątych. Annie pracowała jako opiekunka społeczna. Moi rodzice przenieśli się do mieszkania obok nas, kupionego przez ciotkę mej żony. Mieszkali blisko wnucząt. Mój ojciec znakomicie przystosował się do nowej sytuacji. Był „dziadkiem” dla co najmniej czterdzieścioro dzieci z okolicy jako jedyny tam mężczyzna po siedemdziesiątce. Emablował też co ładniejsze mamusie i potem się chwalił: –

Widziałeś moją ławkę? Siedziały ze mną cztery najładniejsze panie z Grandes Terres. – W roku 1968 ojciec umarł na atak sercowy. Matka odeszła w 1987, mając dziewięćdziesiąt pięć lat.

Mej ciotce Alinie, która w czasie mej pracy w Arianexie pytała: – Nie bardzo rozumiem, czym Stan kieruje? – (kierowałem wtedy jedynie samochodem) – mogłem nareszcie odpowiedzieć, jak się tego spodziewała. Miałem pracę, którą lubiłem, dobre mieszkanie, dwoje dzieci, pełną wdzięku żonę – słowem, wypłynąłem na szerokie wody.

ZAKOŃCZENIE

Powoli zbliżam się do końca mych wspomnień. Nie wydaje mi się, bym potrafił opisać zwykłe, codzienne życie, nawigację bez burzy. Muszę przyznać się do pewnych trudności w znoszeniu takiej egzystencji bez przeszkód. Pamiętam, powiedziałem to raz znajomemu Francuzowi, który mnie nie zrozumiał; koń, który brał kiedyś udział w konkursach hipicznych, a teraz ciągnie wóz, będzie zawsze odczuwał tęsknotę, jakiej nie znają konie, które ciągnęły tylko pojazdy, choćby i najpiękniejsze.

Dziś godzę się już z moim życiem, patrzę, jak zmienia się świat, czytając „Le Monde” (nie tylko).

Nie pisałem wiele o polityce. Doświadczenie wojenne sprawiło, że reaguję alergią na wszelkie idee prawicowe: szowinizm, rasizm przypominają mi o nazizmie. Nie znoszę żadnego fanatyzmu – politycznego, narodowego, religijnego.

Przez jakiś czas wydawało mi się, że komunizm może być ciekawym, nowym doświadczeniem – zwłaszcza wtedy, kiedy oglądałem na własne oczy realny kapitalizm w Brukseli w 1947 roku. Nigdy nie „przystałem” jednak do końca: barierą nie do pokonania okazały się wspomnienia z wejścia Armii Czerwonej do Polski.

Nie czuję wrogości wobec Niemców. Jestem oczywiście bardzo nieufny w stosunku do tych z mego pokolenia i starszych, ale nie mam nic przeciwko

Niemcom jako takim. Niepokoję się ruchami neonazistowskimi, zamachami na tle rasistowskim. Chciałbym naprawdę być pewny, że Niemcy są już na zawsze krajem demokratycznym i europejskim.

W roku 1985 przestałem pracować. Nie żałowałem tego; wyczerpałem satysfakcję, którą czerpałem z pracy.

Nie wyobrażałem sobie, że dożyję upadku systemu sowieckiego i narodzin prawdziwie Niepodległej Polski. Byłem szczęśliwy, choć denerwuje mnie często sytuacja w Polsce oscylująca między klerykalizmem a anarchią i „nierządem” – jak kiedyś. Trzeba jednak pamiętać, że przejście do demokracji jest naprawdę trudne.

Wspomnienia te zacząłem pisać w 1978 roku na usilną prośbę mego syna Jana. Wróciłem do nich w 1993, kiedy choroba uświadomiła mi, że czas, jakim dysponuję, jest ograniczony i lepiej nie odkładać do jutra... Mam nadzieję, że przeczytają je moje wnuki: Carla, Diane Henny i Antoni Likiernik, „ostatni z rodu”. Żałuję, że mój ojciec nie pozostawił po sobie żadnych wspomnień.

Pisząc, uświadomiłem sobie niepoliczalną liczbę szczęśliwych przypadków w moim życiu. Czasem im pomagałem. Myślę, że dobrze jest mieć szczęście, ale nie można liczyć wyłącznie na nie. Wielu z tych, którzy twierdzą, że go nigdy nie doznali, być może po prostu przepuściło okazję.

Nie mam „testamentu” do przekazania prócz może czterech rad:

1. Nie bać się, strach jest zawsze najgorszym doradcą.
2. Postępować zawsze zgodnie ze swymi przekonaniami.
3. Do życia podchodzić aktywnie: walczyć o to, co jest najważniejsze, a najważniejsze – to być wolnym.

4. Postępować wedle zasady: „Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe”.

Rady te są może zbyt patetyczne jak na mój gust, ale całe moje życie nauczyło mnie jednego: żywot niewolnika jest nie do zniesienia. Zawsze rozumiem tych, którzy bronią wolności. Chwile walki podczas okupacji – gdy czułem się wolny, walcząc o wolność – zostaną wiecznie w mej pamięci, niezatarte i drogie.

EPILOG

Wacek Koc, jak już uprzednio wspomniałem, został przydzielony do Wywiadu Armii Krajowej we Lwowie, i w rezultacie nie brał udziału w Powstaniu Warszawskim. Aresztowany w maju 1943 roku spędził trzy miesiące w więzieniu we Lwowie, w okropnych warunkach, będąc wyprowadzany z celi jedynie na przesłuchania. Ledwie trzymającego się na nogach przeniesiono do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Obóz ten pozostawał, ma się rozumieć, pod kontrolą SS, ale komuniści osadzeni tam w latach trzydziestych posiadali daleko idącą autonomię. Szansę przeżycia nowo przybyłego więźnia zależały w dużej mierze od rodzaju pracy, do jakiej został skierowany. Przydział do kamieniołomów albo do kopania tuneli służących jako fabryki broni był jednoznaczny z wyrokiem śmierci. Inne zajęcia zwiększały możliwości przetrwania. Wacek, osłabiony więziennymi warunkami we Lwowie, znajdował się na skraju kompletnego wyczerpania. Dopiero dużo później dowiedział się, że nabawił się tam gruźlicy płuc. Ale szczęście go nie opuściło. W Buchenwaldzie natknął się na dawnego kolegę szkolnego, który, jako członek komunistycznej konspiracji w Warszawie, miał chody w zarządzie obozu i załatwił Wackowi skierowanie do stosunkowo łżejszej pracy, umożliwiające przeżycie. Uprzedził jednak kolegę, by w żadnym wypadku nie wspominał o tym, że należał do Armii Krajowej, którą komuniści uważali za organizację faszystowską.

Tym niemniej ostatnie tygodnie przed wyzwoleniem były bardzo trudne i większość więźniów Buchenwaldu umarła z głodu lub od chorób. Wacek przeżył tylko dzięki niemieckiej biurokracji, wciąż funkcjonującej bez zarzutu, nawet gdy już Trzecia Rzesza rozpadała się z dnia na dzień. Mianowicie,

władze niemieckie uparcie żądały, by Wacek stawiał się jako świadek w sprawie pewnego ukraińskiego dozorca więziennego, oskarżonego o kradzież. W rezultacie na wiosnę 1945 roku, gdy Armia Czerwona podchodziła do Krakowa, Wacka wysłano pod eskortą do Wrocławia na rozprawę sądową. Kiedy front zaczął się zbliżać do Wrocławia, Niemcy podzielili więźniów na politycznych i kryminalnych. Wacek podał się za kryminalistę, i w rezultacie, gdy wszyscy polityczni zostali rozstrzelani, on ocalał. Niemcy pognali kryminalistów przez miasto, w nieznanym kierunku. W pewnym momencie współwięźniów maszerujący koło Wacka zaproponował ucieczkę, dodając „Jestem z tych stron, będę wiedział gdzie się schronić”. Wacek posłuchał. Dwa dni przetrwali ukryci w jakiejś złodziejskiej melinie, po czym Wacek skierował się na wschód, dotarł do Polski i znalazł w końcu pracę w Sopocie. Tam odnaleźliśmy się i razem opuściliśmy Polskę. Wacek przedostał się na Bliski Wschód, skąd, w szeregach polskiego wojska, został ewakuowany do Wielkiej Brytanii. Po ukończeniu studiów historycznych w Oksfordzie prowadził przez szereg lat własne przedsiębiorstwo budowlane, aż wreszcie został profesorem na Uniwersytecie w Lancaster. Po upadku rządu komunistycznego w Polsce, już jako emeryt, Wacek wrócił do kraju. Zaproszony do Senatu w Warszawie miał wygłosić odczyt na temat polityki zagranicznej, lecz zasnął na sali i umarł tam na atak serca.

Stanisław Sosabowski – „Stasinek” – ur. w roku 1917, skończył przed samą wojną Szkołę Podchorążych Sanitarnych i brał udział w Kampanii Wrześniowej jako chirurg. Został w Warszawie, w Śródmieściu, aż do 2 października 1944 roku, czyli aż do dnia złożenia broni. Będąc ciężko rannym, uniknął obozu jeńskiego i wkrótce po zakończeniu wojny, z pomocą ojca, generała Sosabowskiego, dowódcy Polskiej Brygady Spadochronowej w Wielkiej Brytanii, wyjechał z żoną i dwoma synkami do Anglii. Gdy operacje oftalmologiczne, którym się tam poddał, nie zdołały przywrócić mu wzroku, Stasinek ukończył kurs fizjoterapii i łączył pracę w jednym z londyńskich szpitali z prywatną praktyką. Rodzina Sosabowskich przyjęła z czasem brytyjskie obywatelstwo. Jego dzieci i wnuki osiadły na stałe w Anglii i wszystkie otrzymały wyższe wykształcenie.

Stasinek umarł w tym kraju w roku 2001, w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Kolumb, Krzysztof Sobieszczański, również został w Śródmieściu Warszawy aż do złożenia broni i trafił do obozu jeńców. Po zwolnieniu zamieszkał w brytyjskiej strefie Niemiec. Będąc człowiekiem o bujnej wyobraźni, Krzysztof stworzył fikcyjne biuro rewindykacji polskich statków handlowych zrabowanych przez Niemców. Używając papieru firmowego nieistniejącego przedsiębiorstwa, dorobił się majątku, przemycając większe ilości samochodów do Belgii. Kiedy policja brytyjska zaczęła mu deptać po piętach, musiał uciekać. Straciwszy wszystkie pieniądze, osiadł w Holandii. Gdy spotkałem go w roku 1950 w Cannes, na południu Francji, Krzysztof miał głowę pełną pomysłów na ponowne zdobycie fortuny; większość spaliła jednak na panewce. Mimo że był doświadczonym żeglarzem, zginął na Morzu Śródziemnym, gdzie złapała go niespodziewanie burza. Utonął, pozostawiając dwoje dzieci w Polsce i dwoje we Francji. Jeden z jego synów jest kapitanem polskiej floty.

Irka Minkiewicz, z którą straciłem kontakt po ewakuacji z Czerniakowa, była przekonana, że zginąłem i dopiero po wojnie dowiedziała się, iż jestem przy życiu. Zwolniona z obozu jeńców, wróciła do kraju i skończyła medycynę. Pracowała w Polsce do roku 1956, kiedy to wyemigrowała do Australii, gdzie znalazła zatrudnienie w swoim zawodzie, ale nie zapuściła tam prawdziwie korzeni i co parę lat wracała do Europy. Umarła kilka lat temu.

Inni członkowie mojej jednostki Kedywu – w liczbie dziesięciu–dwunastu – nadal zmagali się z Niemcami przez następne trzy lub cztery dni Powstania, wraz z pozostałymi przy życiu żołnierzami jednostki Armii Generała Berlinga (Dywizji Kościuszkowskiej), która w końcu, dużo za późno, przekroczyła Wisłę, idąc nam z pomocą. Wreszcie resztką naszej grupy, włączając rannych, **Jan-ka Bagińskiego** i **Krysta (Czesława Kraśniewskiego)**, pod ciężkim ogniem niemieckim przeprawiła się przez Wisłę na wschód. Jedną z naszych dwóch pielęgniarek, **Danka Mancewicz**, dostała się na wschodni brzeg Wisły, ale została zraniona, podczas gdy **Zosia Czechowska**, jedyna z nas, która uszła cało, sama zajęła się rannymi zebranymi na brzegu Wisły. Jak zwykle dzielna i energiczna, zdołała w końcu dotrzeć z nimi wszystkimi do szpitala. Janek i Kryst, po wyleczeniu z ran, zostali wcieleni do Dywizji Kościuszkowskiej (pod so-

wieckim dowództwem) i walczyli jeszcze przez siedem miesięcy, dochodząc w końcu aż do Berlina, gdzie mieli wielką satysfakcję, widząc stolicę Niemiec w gruzach. Z dwóch Stefanów z naszej grupy, Stefan Graf zginął w garbarni Pfeiffra w czasie Powstania, a Stefan Płotka został zabity w dniu naszego „polowania na gestapo”.

W wyniku niemieckiej okupacji, Powstania Warszawskiego i długich lat komunistycznych rządów, Polska straciła kwiat swojej ludności. W samym Powstaniu zginęło około dwustu tysięcy osób. Większość Żydów, stanowiących mniej więcej dziesięć procent ludności kraju, zamordowali Niemcy. Oprócz tego setki tysięcy nie wróciły nigdy z obozów koncentracyjnych i obozów jeńców wojennych w Niemczech, a podobne ilości zginęły na wygnaniu na Syberii. Między tymi, którzy wrócili z Syberii, znaleźli się moja siostra stryjeczna Danuta Szczerba-Likiernik i jej mąż Stefan Waydenfeld, którzy przetłumaczyli moją książkę na język angielski. Wspomnienia Stefana, niedawno opublikowane pt. *The Ice Road*, i po polsku pt. *Droga lodowa*, mogłyby z łatwością dzielić tytuł mojej książki, gdyż obaj mieliśmy *diabelne szczęście* lub ocalił nas *palec Boży*, ale, będąc przed nim u mety, roszczę sobie prawo pierwszeństwa.

Janek Barszczewski o dwa lata starszy ode mnie – ur. 1921 r. chyba już zdał maturę w r. 1939 w Liceum Poniatowskiego. Poznałem go, bo pracowaliśmy razem w wywiadzie – rejestracja znaków na samochodach niemieckich. Zbieranie informacji od korespondentów mających dostęp do ciekawych informacji.

Dzięki jego przyjaźni z **Kazikiem Jakubowskim**, jeszcze z czasu ich wspólnej nauki w Poniatówce, dostał się do Kedywu, mnie tam zaprotegował i wciągnął. Byłem mu zawsze za to bardzo wdzięczny.

Kilka miesięcy przed Powstaniem Janek się ożenił. O Jego śmierci na Stawkach musiałem poinformować jego rodziców spotkanych w Śródmieściu. Zapytali, czy byłem przy jego śmierci. Moja negatywna odpowiedź utwierdziła ich w przekonaniu, że Janek przeżył i że jest gdzieś za granicą. Umarli po latach ciągle w tym przeświadczeniu.

Zosia Czechowska i **Danusia Mancewicz** urodziły się obie 24 listopada 1922 r. i umarły w małym odstępie czasu – Danką w 2008 r., a Zosia w 2009 r.

Obie były naszymi łączniczkami i sanitariuszkami. Jedynie Zosia przeszła przez to piekło nietknięta. Danusia została ranna w płuco na łodzi, przeprawiając się z Czerniakowa na Saską Kępę. Danusia miała syna i dwie uroczę wnuczki na wyższych studiach.

Danusia po wojnie wróciła do swojej pasji – teatru. Ukończyła w Łodzi Szkołę Teatralną i miała długą karierę aktorską, prowadziła też lekcje dykcji dla aktorów.

Zosia ukończyła w czasie wojny Liceum Chemiczne, a po wojnie Politechnikę Warszawską. Skończyła karierę jako dyrektorka laboratorium zespołów skalonych.

Jej narzeczony **Antek Wojciechowski** został zamordowany w szpitalu na Woli i Zosia nigdy nie wyszła za mąż.

Dorzucę tu à propos jej losu historię jej rodziny, bo jest niestety przykładowa dla polskich losów w czasie okupacji.

Zosia miała dwóch braci i dwie siostry. Staszek Czechowski – najstarszy, przyjaciel Kazika Jakubowskiego, był w naszym Kedywie. Został przypadkiem zatrzymany w łapanie i rozstrzelany jako zakładnik na ulicach Warszawy.

Młodszy brat i siostra zginęli bez wieści w czasie Powstania.

Dziś żyje już tylko najstarsza siostra – bezdzietna. Z licznej rodziny Czechowskich po jej śmierci nie zostanie nikt.

Janusza Płachtowskiego poznałem, bo jego szwagier, rotmistrz Ładoś, był z moim ojcem w tym samym obozie jeńców w Niemczech.

Niedługo po moim wejściu do Kedywu, zaprotegowałem o rok młodszego ode mnie Janusza. Cała rodzina p. Płachtowskich była bardzo ofiarna i w ich domu na Żoliborzu przy ulicy Gomółki 16 zbudowaliśmy bardzo dużą skrytkę pod schodami do piwnicy. Dom należał do dyplomaty p. Ładosia – stryja rotmistrza – a rodzina Płachtowskich wysiedlona z Pomorza – w tym domu się osiedliła.

Janusz został chyba gdzieś pod koniec 1943 r. strażakiem, co dawało nam mundur, dobre papiery i możliwość poruszania się po godzinie policyjnej.

Zginął 11 sierpnia 1944 r. razem z Jankiem Barszczewskim, Olszyną-Wiwa-towskim – w powrocie z Woli na Stare Miasto – na Stawkach, które zdobywał 1 sierpnia 1944 r.

Jurka Krzymowskiego poznałem przez Romana Bratnego, z którym był razem w szkole w Garwolinie.

Już w czasie okupacji, chyba w 1942 roku, Jurek mieszkał u nas na Żoliborzu jako lokator około roku, po czym wyprowadził się i nie miałem z nim kontaktu aż do pewnego spotkania... Jechałem wtedy ciężarówką na „jakąś robotę” w ramach akcji Kedywu. Pod plandeką widoczność była kiepska, tak że nie wiedziałem, z jakimi kolegami jadę. W pewnym momencie zobaczyłem wyraźniej i stwierdziłem, że obok siedzi Jurek! Krzyknąłem – „Co ty tu robisz?!” a on „a co Ty?!” Obaj byliśmy w „Kedywie” – on na Śródmieściu a ja na Żoliborzu. Mieszkając wcześniej razem nic o sobie nie wiedzieliśmy! Dopiero to spotkanie uświadomiło nam wspólny udział w Kedywie na Okręg Warszawski. Nasze losy powstańcze opisałem w książce – były one wspólne. Razem przeszliśmy ten sam szlak bojowy. Natomiast ostatnie dni Powstania, opisane niżej, były mi nieznane. Sam ciężko ranny, zostałem w szpitalu i nie miałem pojęcia co się działo z resztą przyjaciół.

Dalsze losy Jurka spisała i przysłała mi jego rodzina: W ostatnich dniach Powstania Warszawskiego Jerzy Krzymowski pseudonim „Jodła” walczył na Przyczółku Czerniakowskim na ulicy Wilanowskiej. Został ranny i ewakuowano go na drugą stronę Wisły. Razem z kuzynem (też powstańcem) ruszył do rodzinnego domu do Garwolina. Spróbowali zabrać się przygodnie spotkaną ciężarówką. Niestety drogi wtedy były patrolowane przez radzieckie wojska i kierowca nie chciał zabrać Jerzego do samochodu, ponieważ miał on zabandażowaną głowę i rękę na temblaku. Pojechał tylko kuzyn. Jerzy poszedł dalej, lecz wkrótce wpadł w ręce NKWD. Zawiadomiony przez kuzyna ojciec Jerzego ruszył na poszukiwanie syna. Na posterunku radzieckim, szczęśliwym trafem, spotkał dowódcę jednostki, który okazał się znajomym ze studiów w Kijowie. Jeszcze przed Rewolucją 1917 roku razem studiowali na wydziale prawa i razem bawili się w wolnych chwilach od nauki. Ta dawna znajomość spowodowała uwolnienie syna. Jerzy nadal musiał się ukrywać jako żołnierz oddziału Armii Krajowej i Powstaniec Warszawski. W 1946 roku pod zmienionym nazwiskiem; jako Jacek Mierzejewski rozpoczął studia w Krakowie na Akademii Górniczo-Hutniczej na wydziale Elektromechanicznym. W 1947 roku ogłoszono amnestię skierowaną do żołnierzy i działaczy polskiego pod-

ziemia antykomunistycznego, w wyniku której Jerzy zdecydował się ujawnić. Pod własnym nazwiskiem skończył studia. Pracował na uczelni jako starszy asystent. W 1950 roku ożenił się. W 1955 r. urodziła się córka Anna. W tym samym dniu, gdy rodziła się córka w Krakowie zmarł nagle jego ojciec w Garwolinie. Jerzy musiał przejąć opiekę finansową nad matką i babcią. Zmienił pracę na lepiej płatną w Biurze Projektów Górniczych.

Zgodnie ze swoimi przekonaniem nie zgodził się na wstąpienie do PZPR. Z tego powodu w komunistycznej Polsce zawsze był obywatelem drugiej kategorii, niepewnym politycznie. Nigdy nie objął stanowiska kierowniczego.

Kochał góry, turystykę i wszelkie sporty. Prawie do śmierci grał w tenisa. Zmarł na raka w styczniu 2003 roku.

OD WYDAWCY

Tak jak napisał w przedmowie pan prof. Zdzisław Najder – Pan Stanisław Likiernik od lat na stałe mieszkający we Francji jest prawdziwym strażnikiem polskiej pamięci. Niestrudzenie opowiada, przypomina i uczy polskiej historii okresu II wojny światowej, niejednokrotnie zwalczając negatywne stereotypy i przekłamania – upominając się o prawdę i konsekwentnie chroniąc ją przed cieniem niepamięci.

Publikujemy kilka polemik prasowych i korespondencję Pana Stanisława z nauczycielami i uczniami francuskich liceów, gdyż uważamy, że jest to ważne i potrzebne dopełnienie jego opowieści.

List nr 1

Artykuł opublikowany w L'Est Républicain 25 lutego 2007 r.

Powstanie Warszawskie

Stanislas Likiernik, gość Liceum im. Victora Hugo i ważny świadek Powstania Warszawskiego, wnosi kilka sprostowań w nawiązaniu do poświęconego mu artykułu, opublikowanego 23 grudnia 2007.

„Zdarza się, niestety często, że powstanie w warszawskim getcie z kwietnia 1943 roku jest mylone z powstaniem warszawskim z sierpnia 1944 roku”- twierdzi z żalem. „W kwietniu 1943 roku około tysiąca żydowskich bojowników zginęło w powstaniu, aby uniknąć śmierci w nazistowskim obozie zagłady. W sierpniu 1944 roku, wobec zbliżającej się Armii Czerwonej, polski ruch oporu wywołał

Powstanie w Warszawie. 40 000 żołnierzy opanowało znaczną część miasta, a Armia Czerwona mogła je łatwo zająć. Armia Krajowa (AK) podlegała polskiemu rządowi w Londynie. Stalin wstrzymał ofensywę i mimo nalegań Churchilla i Roosevelta nie zezwolił samolotom sprzymierzonych, odbywającym loty z Włoch, na zaopatrywanie się w pobliskich bazach lotniczych”.

„Ponadto, sowieckie lotnictwo znikło z nieba, umożliwiając niemieckim samolotom prowadzenie nieustannych bombardowań polskich pozycji. Po 63 dniach walki, 20 000 polskich powstańców (50%) poległo, a także 160 000 osób cywilnych. Na rozkaz Hitlera, w okresie między październikiem 1944, a styczniem 1945 roku, wszyscy mieszkańcy zostali wypędzeni, a miasto splądrowane i zniszczone. Armia Czerwona nie zareagowała, a Stalin zezwolił nazistom na wyeliminowanie tysięcy polskich patriotów”.

Pan Likiernik żałuje, że „to powstanie, porównywane przez Himmlera do bitwy stalingradzkiej, zostało złożone, przynajmniej poza Polską, w lamusie Historii”.

List nr 2

List p. Jeana-Louisa Panné do Stanisława Likiernika z dnia 26 lutego 1995 r.

Szanowny Panie,

Przeczytałem list zamieszczony przez Pana w le Nouvel Observateur, a pański adres uzyskałem za pomocą minitela, gdyż bardzo chciałem wyrazić moje zdecydowane poparcie dla pańskich reakcji będących odpowiedzią na nieprzemyślane stwierdzenia pojawiające się we francuskiej prasie na temat antysemityzmu w Polsce i jego skutków podczas wojny.

Słusznie przypomniiał Pan podstawowe prawdy, które są świadomie lub nieświadomie pomijane. Jestem przekonany, że ci, którzy stawiają zarzuty Polakom ze względu na ich postawę wobec prześladowań a następnie zagłady Żydów, dokonują niezdrowej projekcji własnych win i przenoszą je na Polaków. Przez pośrednią negację francuskiego antysemityzmu starają się oczyścić z poczucia winy (być może nieuświadomionego), mającego swe źródła w hi-

storii Francji – od sprawy Dreyfusa do polityki rządu Vichy. Jest to charakterystyczny przykład francuskiego kompleksu, przejawiającego się w aspiracji do zajmowania pozycji uniwersalistycznej, skłaniającej do dawania moralnych pouczeń. W rzeczywistości, za fasadą tego rzekomego uniwersalizmu (będącego w istocie zarozumiałym prowincjonalizmem na skalę światową) kryje się głęboka niewiedza o historii Polski, poprawiająca wizerunek Francji. Zresztą żaden z tych samozwańczych sędziów nie raczy udzielić głosu polskim historykom (P. Borwiczowi, W. Bartoszewskiemu i innym).

Ja sam wielokrotnie kierowałem pisma do gazet, starając się zwrócić uwagę na istnienie Żegoty, na akcje pomocy organizowane przez AK podczas powstania w getcie, czy też na przekazywanie informacji przez polski ruch oporu. Odpowiedzią był brak reakcji lub zła wola. Nieważne. Sądzę, że atmosfera zaczyna się powoli zmieniać i że ten „intelektualny terroryzm” wreszcie zostanie przezwyciężony. Niewielka książka „*L'Insurrection du Ghetto de Varsovie*”, Wydawnictwo Complexe, 1994) opisuje te wydarzenia z większą dozą obiektywizmu. Fragmenty wystąpienia Paula Hilberga potwierdzają to, co Pan napisał.

Jako historyk i były szef zespołu pomocy dla NSZZ „Solidarność”, chciałem się w ten sposób podzielić własnymi przemyśleniami i podziękować za pański list.

Przesyłam Panu wyrazy mojego szacunku.

Jean-Louis Panné

List nr 3

Fragment listu Stanisława Likiernika do p. Roberta Solé (*Le Monde*) z 13 grudnia 2002 r.

Szanowny Panie,

Przeczytałem właśnie artykuł Pani Kauffmann pt. „Polska, Żydzi i pamięć”. Uznałem jego treść za dość obiektywną w porównaniu z tym, co pisano wcześniej na ten temat. Dziś zatelefonowałem do Pani Kauffmann i przesłałem jej książkę zawierającą moje wspomnienia *Une jeunesse polonaise 1923–1946*, ponieważ mówi o innej Polsce, całkowicie nieistniejącej w mediach.

Jest oczywiste, że problem egzekucji Żydów jest bezprecedensową tragedią, jednakże:

1. Odpowiedzialność ponoszą naziści.

2. W państwach takich jak Litwa, Łotwa, Ukraina, Rumunia, Węgry, Chorwacja, a nawet Francja, istniały faszystowskie formacje, czynnie współdziałające z Niemcami w deportacji Żydów.

Dwadzieścia siedem milionów Polaków nieżydowskiego pochodzenia – jak to zaznacza Pani Kauffmann – było prześladowanych przez Niemców. Sześć milionów polskich obywateli zginęło z ręki okupanta; trzy miliony z nich nie było Żydami. Nie należy o tym zapominać...

Oczywiście, były przypadki „inicjatywy prywatnej”, czyli ludzi czerpiących korzyści z nieszczęścia Żydów. Wśród 400 000 członków ruchu oporu, także w szeregach AK [Armii Krajowej], mogli znaleźć się bandyci, którzy „zabijali Żydów”. Jednak AK jako organizacja (jedyne taki przypadek w okupowanej Europie) utworzyła organizację powołaną do niesienia pomocy Żydom – Żegotę. Na jej czele stał Pan Bartoszewski (do niedawna polski Minister Spraw Zagranicznych).

Kurier AK – profesor Jan Karski – po trzydniowym pobycie w Getcie oraz jednym dniem spędzonym w obozie zagłady Żydów (w przebraniu ukraińskiego strażnika), spotkał się osobiście z ministrem Edenem, a następnie z prezydentem Rooseveltem w celu poinformowania ich w imieniu polskiego rządu w Londynie o masowych mordach dokonywanych na terytorium Polski. Nie spotkało się to z żadną reakcją Wielkiej Brytanii lub USA. [...]

Stanislas Likiernik

List nr 4

LISTY CZYTELNIKÓW – rubryka w LE MONDE

Polski ruch oporu a Shoah

Niewątpliwie, w czasie ostatniej wojny światowej były osoby, które wykorzystywały nieszczęścia Żydów. Wśród 400 000 członków ruchu oporu, a być może również i w Armii Krajowej (AK), niekomunistycznej organizacji podziemnej, mogli się znaleźć bandyci, którzy „mordowali Żydów”. Nie zapominajmy jednak, że organizacja AK stworzyła Żegotę, organizację zajmującą się udzielaniem

pomocy polskim Żydom. Przypomnijmy również, że kurier AK, profesor Karski, spędził trzy dni za murami warszawskiego getta, a jeden dzień przebywał w obozie zagłady (w przebraniu ukraińskiego strażnika), po czym udał się na Zachód i spotkał osobiście z Anthonym Edenem, a potem z Franklinem Rooseveltem w celu poinformowania ich, w imieniu polskiego rządu londyńskiego, o masowych mordach mających miejsce w Polsce. Nie spotkało się to z żadną reakcją ze strony Wielkiej Brytanii czy też Stanów Zjednoczonych.

Udzielanie pomocy Żydom w Polsce było bardzo trudne. [...] Cała rodzina, nie wyłączając dzieci, która ukrywała Żydów narażała się na eksterminację na równi z ukrywającymi się Żydami. Czasami los ten spotykał sąsiadów [...].

Okupowanej Francji nie można kojarzyć wyłącznie z rządem w Vichy, z panami Bousquetem i Paponem. Także pięcioletniej okupacji Polski, nie można sprowadzić do działań Polaków – antysemitów.

Stanislas Likiernik
Marly-le-Roi (Yvelinnes)

List nr 5

Dotyczy filmu dokumentalnego „Apocalypse”

Stanislas Likiernik
Marly le Roi

Środa, 23 września 2009 r.

France 2
Do wiadomości Pani Isabelle Clarke oraz Panów
J.L. Guillaud, Henri de Turenne, Daniel Costelle

Szanowni Państwo,

Z wielkim zainteresowaniem obejrzałem cykl programów pt. „Apocalypse, la deuxième guerre mondiale” [„Apokalipsa: II Wojna Światowa”], który uznałem za doskonały. Piszę jednak do Państwa, ponieważ ostatni odcinek (wyemitowany we wtorek, 22 września) wzbudził moje głębokie rozczarowanie, a nawet mną wstrząsnął.

Nie mogę zgodzić się na cztery, przypadkowe lub zamierzone, pominięcia Polski. Stwierdziłem, że w tym programie mój kraj nie występuje prawie w ogóle.

1. Pierwsze pominięcie: Enigma – rozszyfrowanie tajnego kodu niemieckiego – było dziełem polskiego Drugiego Oddziału, a nie Anglików, którzy dopiero później udoskonaliли dokonania Polaków.

2. Bitwa o Monte Cassino: atak czołowy został przeprowadzony przez II Korpus Polski generała Andersa; nie było żadnej wzmianki na ten temat.

3. Ruch oporu: wymieniono Norwegię, Grecję, Francję i, na koniec, Polskę, co zilustrowano oporem w warszawskim getcie w 1943 roku, a przecież polski ruch oporu, liczący 400 000 żołnierzy, był największy w Europie, a nasze służby wywiadowcze dostarczyły jako pierwsze informacji na temat prac prowadzonych w Peenemünde (konstruowanie rakiet V1 i V2), a nawet dostarczyły Wielkiej Brytanii niewybuch pocisku V1 ukradziony Niemcom.

4. W programie stwierdzono: „Armia Czerwona zatrzymała się obok Warszawy” – ale dlaczego? Powstanie 1944 roku – trwające od 1 sierpnia do 2 października – z 200 000 tysiącami zabitych, z czego straty powstańców wyniosły 20 000 na ogólną liczbę 40 000 walczących, zostało przemilczane. Nie wspomniano ani słowem o tej drugiej, po Stalingradzie, największej bitwie miejskiej. W zamyśle autorów zniszczenie Warszawy w 95% nie zasłużyło na jakiegokolwiek zdjęcie ani słowo wyjaśnienia, oprócz wzmianki w momencie przedstawiania obrazów Drezna.

W pierwszym odcinku pominięto zasadniczą rolę odegraną przez polskich lotników w obronie podczas bombardowań Londynu, mimo że jest to dobrze znany fakt.

Ogólnie rzecz biorąc, Polska występuje w Państwa filmie w latach 1939–1940 w związku z Katyniem. W dalszej części dokumentu nie występujemy.

Jako kombatant ruchu oporu w latach 1940–1945 i uczestnik Powstania

Warszawskiego w 1944 roku, jestem wstrząśnięty i przygnębiony tymi niedociągnięciami.

Film jest teraz rozpowszechniany na DVD. Tym samym dopełniła się niesprawiedliwość wobec Polski.

Czy mogliby Państwo rozważyć opracowanie innego filmu dokumentalnego prostującego te niedociągnięcia? Mógłby to być na przykład program porównujący Powstanie Warszawskie z Powstaniem w Paryżu w sierpniu 1944 roku.

Stanislas Likiernik, w wieku 21 lat podporucznik w czasie Powstania Warszawskiego, autor wspomnień „Une jeunesse polonaise 1923–1943”, Wydawnictwo L'Harmattan.

List nr 6

List do Pauline Samain

Tuluza 9/8/05

Szanowny Panie,

Na początek, pragnę jeszcze raz podziękować za to, że zadał Pan sobie trud odbycia podróży do nas – przecież nie miał Pan takiego obowiązku. Chciałabym również dać wyraz mojemu wzruszeniu po wysłuchaniu Pana opowieści. Po raz pierwszy w życiu miałam okazję rozmawiać z tak interesującą osobą, która tak wiele przeżyła i potrafiła temu sprostać. Chwile spędzone z Panem uświadomiły mi, jak istotne jest utrzymywanie łączności ze starszym pokoleniem, z czego być może nie wywiązałam się należycie w stosunku do moich dziadków. Dziękuję za otwarcie mi oczu na tę sprawę, za to, że dał mi Pan szansę nadrobienia zaległości. Tyle jeszcze musimy się nauczyć! Poza tym niezwłocznie zabiorę się do lektury pańskiej książki *Une jeunesse polonaise*, gdyż zainteresował mnie Pan swą biografią do tego stopnia, że jak najszybciej chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Panu. Podczas lektury będzie mi tylko brakowało ciepłego kontaktu, który potrafi Pan nawiązać. Chciałabym zapewnić, że ja sama i moi przyjaciele chcielibyśmy, aby nasze spotkanie trwało

dłużej, gdyż po pańskim wyjeździe doszło do ożywionej dyskusji na tematy, które nie nabrały jeszcze określonego kształtu w czasie spotkania i które nawet obawiałam się poruszyć w Pana obecności. Chciałam jeszcze zapewnić, że opowiada Pan znakomicie i nigdy nie zapomnę tego, co Pan nam przekazał.

Jeszcze raz dziękuję,

Pauline SAMAIN, 104
Liceum Bellevue

List nr 7

List od Marine Hamard

Marine Hamard
„La plaine”
31560 Montgeard

Tuluza 9 stycznia 2005

Szanowny Panie Likiernik,

Zdaję sobie sprawę, że mój list jest spóźniony, ale brakowało mi czasu w okresie po lekturze pańskiej pasjonującej opowieści. Pod tym listem podpisują się również moja mama oraz siostra, które także przeczytały pańską książkę i dołączają wyrazy uznania. Chciałabym mieć więcej talentu, żeby wyrazić wzruszenie po przeczytaniu książki i wysłuchaniu pańskiej opowieści. Swe trudne przeżycia opisał Pan z domieszką humoru, nie odbierając im powagi. Dzięki temu książka nie jest ani zbyt trudna, ani zbyt łatwa w odbiorze, a ponieważ przeczytałam wiele książek na ten temat, to mogę powiedzieć, że wielu książkom tego brakuje. Chociaż tematyka drugiej wojny światowej mnie pasjonuje, gdyż wielu moich krewnych zginęło podczas ostatniej wojny, to nie oznacza, że jestem czytelnikiem z góry pozyskanym – wprost przeciwnie. Właśnie dlatego, że temat ten leży mi na sercu, mam często dosyć krytyczne podejście. Ale nie piszę do Pana po to, żeby opowiadać o sobie... Mówił Pan o poczuciu

„bezużyteczności”, którego Pan doświadczył po zakończeniu wojny, kiedy wrócił Pan do „normalnego” życia. Nie mogę tutaj pominąć nawiązania do własnej biografii. Musiałam sprostać trudnym zdarzeniom, które przyspieszyły moje dojrzewanie i nawet jeśli nie lubię wspominać tamtych chwil, to mam nostalgię do tego okresu w moim życiu. Jednocześnie daleko mi do chęci przeżywania tego na nowo, nie sędzę również, żeby moje doświadczenia były porównywalne do pańskich. Wydaje mi się jednak, że oboje, w tych trudnych okresach życia, czuliśmy w sobie siłę i nawet jeżeli nie chcielibyśmy doświadczać podobnych chwil ponownie, to stanowią one jeden z najważniejszych okresów naszego życia. Dlatego też identyfikuję się z pańską wypowiedzią: „Są kwiaty, które rozkwitają w najtrudniejszych warunkach i właśnie one należą do najrzadszych i najcenniejszych”.

Zastanawiam się jeszcze, w jaki sposób mogłabym Panu podziękować za poświęcony nam czas, a także za chęć przemówienia do nas. Zapewne przeżył Pan trudniejsze momenty, niż rozmowa z czterema klasami uczniów, ale jednak uznaję za konieczne wyrażenie uznania w związku z podjęciem tak trudnego wyzwania. Sama nie wiem, czy byłabym do tego zdolna, skoro już teraz drzę na myśl o czekającym mnie egzaminie ustnym z francuskiego... a przecież będę miała do czynienia tylko z jednym lub dwoma nauczycielami... Tutaj również, pańska opowieść umożliwia nabranie właściwego dystansu... Jak Panu za to podziękować?

Moje wypowiedzi są szczerze i niezręczne – tak myślę – mam nadzieję, że w żaden sposób nie dotknęły Pana, nie rozczarowały i nie skonsternowały...

Proszę mi wybaczyć, że na zakończenie oszczędzę Panu zwyczajowego zakończenia, w którym jest miejsce na pozdrowienia. To mi się wydaje zbyt... konwencjonalne i zdystansowane... W zamian chcę Panu po prostu powiedzieć „do widzenia” i zapewnić o tym, że będę o Panu pamiętać.

Marine Hamard

List nr 8

List nauczycielki historii z Tuluzy

Tuluza, dnia 19 stycznia 2005 r.

Drogi Panie,

Mam nadzieję, że dotarł Pan bez przeszkód do Paryża i że wszystko odbyło się zgodnie z planem. Z głębi serca dziękuję za poświęcony nam czas oraz za wszystko, co Pan nam przedstawił, w prosty, niepatetyczny sposób, okraszony dawką humoru, ale i nie pozbawiony emocji.

Następnego dnia, z udziałem uczniów, doszło do ożywionej dyskusji (emocje były tak wielkie, że omal nie doszło do rękoczynów) na temat tego, jak to możliwe, aby być neonazistą i jak to się stało, że Niemcy stali się nazistami. Temat rzeka...

W bezpośrednim odruchu, dwoje uczniów zapragnęło napisać do Pana. Jeden z listów jest napisany przez młodą dziewczynę, która chyba jako jedyna zadawała Panu pytania podczas pogadanki. Pana książka krąży z rąk do rąk...

Wszyscy moi koledzy obecni na pogadance byli pod dużym wrażeniem pańskiej opowieści. Tak samo zareagowali ich uczniowie, a ci, którzy nie mieli możliwości uczestniczenia, zazdrościli obecnym. Były to dla nas naprawdę pouczające chwile, zarówno w wymiarze wiedzy historycznej, jak i czysto ludzkim.

Mam nadzieję, że Pana kłopoty zdrowotne pozostaną wkrótce tylko przykrym wspomnieniem i że operacja nie spowoduje zbyt uciążliwej rehabilitacji. Powodzenia – oby wszystko dobrze się skończyło.

Szczerze oddana,

D. Délas
Z liceum Bellevue. Tuluza

List nr 9

List od uczennic Chloé Arrufat, Laura Rivière, Elodie Couette

Do Pana Stanisława Likiernika

Dotyczy: Nasze spotkanie w dniu 12 grudnia 2006 r.

Besançon, dnia 16 grudnia 2006 r.

Szanowny Panie,

Chloé, Laura i ja – Elodie – dziękujemy za bardzo wzruszającą pogadankę.
[...]

Pańskie świadectwo wywarło na nas większe wrażenie, niż jakiegokolwiek gazety, książki i dokumenty.

Opowiadał Pan o tym z tak wielkim zaangażowaniem, że byliśmy bardzo wzruszone. Jesteśmy pełne podziwu dla odwagi, którą musiał Pan okazać podczas tych strasznych lat cierpienia. Na przykład w momencie, gdy tuż obok Pana ginęli przyjaciele, czy też gdy aresztowano pańskiego ojca. To musiało być straszne. Gdybyśmy same miały mieć podobne doświadczenia, to nie byłybyśmy w stanie sprostać sytuacji tak jak Pan.

Słuchając Pana, odczuwałyśmy wielką nienawiść do pańskich wrogów i dużą sympatię do Pana! Jest Pan osobą, której nie zapomnimy. Pańska uprzejmość i radość życia są jednymi z wielu atutów, które pozostaną w naszej pamięci.

Jeszcze raz dziękujemy i dołączamy wyrazy naszego głębokiego szacunku.

Chloé, Laura i Elodie

P.S. Liczymy na pańską odpowiedź.

Korzystając z okazji, składamy życzenia Wesołych Świąt i szczęścia w Nowym Roku.

Tłumaczenie: Wojciech Włodarczyk

„NIE CIERPIĘ FANATYZMU” –
ROZMOWA Z MARIĄ MOCZULSKĄ

Obecnie historycy coraz bardziej dostrzegają rolę kobiet w opozycji, bo przecież rola kobiet, mimo że trochę w cieniu, była bardzo istotna. Czy według Pani, Służba Bezpieczeństwa też „doceniała” rolę kobiet?

To nie zależy i nie jest związane z płcią, a raczej z indywidualnością. Były kobiety, które się w sposób znaczący angażowały w działania swoich mężów, bo na ogół tak było, że to były małżeństwa, *vide* Gajka i Jacek Kuroniowie, Romaszewscy, Moczulscy. Natomiast były panie, które nie życzyły sobie wręcz tej działalności swoich mężów. Były to panie, które spowodowały, że prędzej czy później oni musieli się wycofać. Poparcie kobiety w tamtym czasie było absolutnie konieczne. Nie ze względu na działanie samej kobiety, które było ważne, ale ze względu na to, że człowiek, który się angażował w działalność potrzebował, aby wiedzieć, że jego żona i rodzina stoją za nim murem, niezależnie od tego, czym się ryzyko działania dla niego skończy. A mogło się skończyć różnie. Znamy wypadki, kiedy kończyło się bardzo źle, ale tam, gdzie kobieta stała za swoim mężem, czy za swoim chłopakiem, tam on był oczywiście dwa razy silniejszy. Mój mąż nie musiał nigdy martwić się z czego będziemy żyli. Nie martwił się, czy ma jeszcze żonę, dom czy swoje zaplecze, to jest istotna rzecz, która wzmacnia determinację, wzmacnia działanie i widzimy to do dzisiaj – tego dnia, że takie pary współdziałające ze sobą stanowią o wiele większą siłę, niż każdy z nich pojedynczo. Myślę, że jest grono kobiet opozycji, które się znacząco w naszej historii zapisały.

Czy SB kiedykolwiek nękało Panią lub szantażowało? Czy funkcjonariusze dali Pani odczuć, na ile jest Pani przez swoje wpływy i działania dla systemu niebezpieczna?

Oczywiście, że tak. Nękało, starało się obrzydzić życie, męża i wszystko inne. Szantaż polegał przede wszystkim na tym, że bałam się o córkę Elżbietkę, bo była to młoda dziewczyna. Natomiast mnie nie bili, żadnych tego typu fizycznych dolegliwości nigdy nie miałam, ale oczywiście uniemożliwiali normalne życie. Uniemożliwiali mi pracę, co jest podstawową rzeczą. Zniszczyli u podstaw moją karierę naukową, ale myślę, że nie były to tak strasznie dolegliwe doznania, żeby tego nie można było znieść.

Jestem Warszawianką. Mieszkłam na ul. Szpitalnej 12 – dziś nie ma tego domu, ani tych domów i do dzisiejszego dnia pamiętam, jak matka żegnała swojego syna, który siedł do poczty powstańczej. Wtedy matki żegnały swoje dzieci, które szły walczyć i wiedziały o tym, że będą walczyć niemalże gołymi rękami z uzbrojonym po zęby, okrutnym i bezwzględnym wrogiem. Taką wielką ofiarę gotowe były ponieść bez szemrania. To, co my mogłyśmy ofiarować, było cieniem tamtej daniny dla Polski.

W jakich okolicznościach poznała Pani Leszka Moczulskiego?

Jako studentka przychodziłam robić zastrzyki jego psom i wtedy go poznałam. Jak byliśmy wolni to się pobraliśmy.

Pani pobierała nauki w Warszawie? Jakie to były studia?

Ja jestem Warszawianką od wielu pokoleń. Groby mojej rodziny są z dawien dawna na Cmentarzu Bródnowskim. Najpierw studiowałam na Politechnice – elektronikę, ale przerwałam studia i poszłam na weterynarię. Wtedy poznałam Leszka Moczulskiego.

A jak Pani poznała Leszka Moczulskiego to była Pani zaangażowana w jakąś działalność polityczną, społeczną?

Wtedy nie. On działał, ja nie. Ja chciałam przebudowy warunków na moim wydziale i razem z kolegami wstąpiłam do PZPR. Byłam wtedy pod koniec V roku, już po praktykach dyplomowych. Mieliśmy postulaty, żeby na uczelnię przyjmowano z konkursu świadectw, a nie według znajomości i innych kryte-

riów politycznych. Drugi postulat dotyczył transparentnych zasad obsadzania stypendiów za granicą. To były nasze główne dążenia. Dużo udało nam się zrobić. W przeciągu roku opanowaliśmy na tyle nasz wydział, że postanowiono rozwiązać młodzieżową podstawową organizację partyjną na wydziale.

Wyrzucili mnie z partii. Nie rozbiłam co prawda PZPR-u, ale parę razy PZPR próbował rozbić mnie. Nie wyszło im to na dobre.

Skończyłam studia i wszyscy się rozpierzchli.

A jak Pani pamięta początek opozycyjnej działalności politycznej, jaki to był moment?

To mąż mnie wciągnął. To było niezależne ode mnie, bo tam, gdzie on był, tam przyjeżdżali ludzie, tam były spotkania, nocowali u nas, tworzyła się swoista centrala. I tak to się rozwijało. Jak Ojciec Święty przyjechał po raz pierwszy do Polski, to u nas w mieszkaniu koczowało 30 osób. Każdy musiał się umyć, zjeść, przespać. Ja się z nimi wszystkimi żyłam osobiście. Opozycja dziś, to brzmi, jakby to były legiony. A naprawdę my wszyscy w Polsce znaliśmy się, bo była nas garstka. Kapeenowcy i korowcy – to były dwa główne skrzydła opozycji. My byliśmy piłsudczycy, oni lewica laicka, co wcale nie oznaczało, że oni byli areligijni. Tak jedni, jak i drudzy mieli znakomite stosunki z przedstawicielami Kościoła.

Co Pani pamięta z aresztowania męża 23 września 1980 r.? Czy to było zaskoczeniem dla Pani?

Nie. O tym, że w tym dniu zostanie aresztowany, to było niewiadome, ale to, że będzie siedział, to było wiadome, bo ciągle w naszym mieszkaniu odbywały się dziesiątki rewizji całodziennych, dziesiątki zatrzymań na 48 godzin, które się przedłużały, niektóre nawet do 2 tygodni. SB robiła to w ten sposób, że przewożono ich z komendy na komendę i zaczynało się od nowa – 48 godzin. Zaskoczenia nie było. Kiedy w 1980 r. mój mąż zachorował na zapalenie płuc w zimie, bo ma taki zwyczaj, to powiedziałam, że nie będę go leczyć, tylko zawołam lekarza z przychodni, o ile nie rzuci palenia papierosów. Ponieważ palił odpalając jednego papierosa od drugiego do 5 paczek dziennie, a jak już kończyło się 5 paczek, to przerzucał się na fajkę, a jak już gasła, to powracał do

papierosów i wszystko w domu śmierdziało dymem, było żółte, przesiąknięte nikotyną a on był chudy jak szczapa, skóra typowa dla palacza. Kiedy zachorowałam powiedziałam mu: – „Kochany, jak pójdziesz siedzieć, bo mówisz o tym bez przerwy, to co zrobisz w więzieniu? Oddasz, ojca, matkę, żarcie, wszystko za papierosa, a na widzenie nie przyniosę, bo nie wolno po prostu! Więc, jeśli chcesz być twardy w więzieniu, jak jesteś w rzeczywistości, to musisz rzucić palenie”.

A że był tak ciężko chory przyszło mu to w pierwszym momencie lekko, potem było ciężko, bo to był głęboki nałóg nikotynowy, jadł cukierki toffi cały dzień, w samochodzie stała torba, aż dziw, że nie dostał cukrzycy. To było w 1979 r., kiedy Ojciec Święty przyjechał do Polski. Ja rzuciłam palenie po nim, jak Ojciec Święty był na Błoniach.

Ale nie paliła Pani tak dużo, jak mąż?

Nie. Ja paliłam paczkę dziennie. Pracowałam w Instytucie Gruźlicy, gdzie ludzie umierali na raka płuc lub krtani. To rodzaj umierania świadomego do ostatniego dnia, kiedy chory się dusi. Nic mnie to nie nauczyło. Trzeba się uczyć na własnej skórze, a nie cudzej.

Ale kiedy Ojciec Święty poprosił nas... To było zupełnie niezwykle! Staliśmy się zupełnie innymi ludźmi, zupełnie inaczej zmotywowanymi, nawet niż jesteśmy dzisiaj. Powiedział mianowicie, że wie o tym, że pragniemy walczyć o dobro Polski, o dobro ojczyzny i że trzeba tę walkę zaczynać od siebie. Prosił, aby rzucić mocne alkohole – w Polsce piło się wtedy spirytus i wódkę – i papierosy. „Jeżeli to zrobicie – mówił – to będzie pierwszy wasz krok, pierwszy czyn dla ojczyzny”. I wie pani, że zostawiłam na tych Błoniach w Krakowie paczkę papierosów i nigdy już więcej nie zapaliłam. To było dla mnie tak bardzo przemawiające, bo On wszedł z konkretem w naszą wspólną walkę, bo to była wspólna z Nim walka.

Przemyciliśmy tam na Błonia dwa wielkie balony meteorologiczne wypełnione lekkim gazem, a do tych balonów, kiedy Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia był przyczepiony na 2 prześcieradłach namalowany orzeł w koronie (wtedy orzeł w koronie był w ogóle poza obiegiem). I jak Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia, to te balony zostały wypuszczone. Jeszcze ksiądz prowadzący celebry

mówi: „Macie takie piękne balony, puśćcie je dla Ojca Świętego!”. Pomyśleliśmy wtedy, że jednak Bóg czuwa nad wariatami. W tym momencie balony zaczęły się unosić, a Ojciec Święty aż ręce wyciągnął, jak zobaczył z daleka tego wielkiego orla w koronie. To był wzruszający widok.

A pamięta Pani okoliczności tego aresztowania męża w 1980 r.?

Nie, bo to się odbyło poza domem. Zgarnęli go poza mieszkaniem i przyjechali już bez niego. Poza tym nie wiadomo było, czy to na 48 godzin, czy na 3 miesiące. Wyobrażałam sobie, że w najgorszym wypadku na 3 miesiące. I nagle straszliwa nagonka prasowa, bo to był po Porozumieniach Gdańskich pierwszy opozycjonista, który poszedł siedzieć. „Konfederacja politycznej prowokacji” – tak pisali tacy panowie od propagandy. Nagle stwierdziłam, że lista moich przyjaciół i znajomych, częściowo i rodziny, strasznie się skróciła. Ale byłam na tyle zawziętym i dorosłym człowiekiem, że postanowiłam, że ci, którzy wtedy zniknęli, to już na tę moją listę nie wrócą. Nie wrócili do dzisiaj. Bardzo dużo osób wtedy bało się po prostu. Mieliśmy opinię ogromnie radykalnych.

Może i tak było, może byliśmy radykalni? Dlaczego? – Dlatego, że mój mąż twierdził i uczył nas wszystkich tego, że nie wolno w polityce oszukiwać mocniejszego przeciwnika. Mówił, że jeśli będziemy prowokować ZSRR fałszywymi opowiadaniem, to oni dla swojego międzynarodowego prestiżu będą musieli w nas uderzyć. My mamy mówić od razu, jaki jest nasz cel, bo być może oni tak ułożą te sprawy, że my będziemy mogli od razu ten cel najważniejszy osiągnąć. Twierdził, że ZSRR jest zbyt zdeintegrowany, za słaby wewnętrznie, żeby uderzyć na Polskę zbrojnie, tak jak na Węgry w 1956 r. czy na Czechosłowację w 1968 r. Natomiast być może da nam kawałek przestrzeni do działania. Wszystko to się sprawdziło.

Ja i Leszek wiedzieliśmy, że będzie siedział. To było wliczone w koszty, tylko nie było wiadomo jak długo i jak dotkliwie. Siedział długo.

Początkowo chciano mu zrobić proces kapturowy, ale nie dopuściliśmy do tego. Wszyscy wiedzieli, że Moczulski i czołówka KPN-u siedzi w więzieniu. A nie było łatwo tę wiadomość rozprzestrzenić, bo było szaleństwo Solidarności, która nie chciała konkurencji.

Czy działania w Komitecie Obrony Więzionych za Przekonania były potrzebne i jak Pani ocenia swoje zaangażowanie w tę działalność?

Zorganizowanie KOWzaP-ów było przede wszystkim konieczne. Oczywiście, znalazły się strasznie „mądre” osoby, które na naradach dyskutowały nad tym, że tak, oczywiście, trzeba będzie ostrożnie zacząć bronić tych uwięzionych, np. robiąc konkurs na plakat w obronie więźniów, podzielić obronę na etapy, rok pierwszy, kolejny i... zamknąć sprawę, bo będzie już po wyroku.

No więc ja byłam wobec nich bardzo niegrzeczna, niemiła. Powiedziałam im, że mogą sobie swój plakat... A to były nazwiska! Znane i eksponowane do dnia dzisiejszego... Jedyna rzecz, którą udało mi się zrobić, to pozwolono mi powiedzieć kilka słów, miałam tam może 2 minuty, na zjeździe „Solidarności” Mazowsza w Teatrze Wielkim czy Sali Kongresowej (już nie pamiętam). Powiedziałam, że będę starała się uchronić i uratować mojego męża przed sądem kapturowym i złapałam tam pierwsze kontakty. Jak nawiązałam kontakty z zakładami pracy, to mogli mi „posypać sól na ogon”, jak się mówiło kiedyś, bo ja już sobie poradziłam. Jeździłam wtedy po całej Polsce, od świtu do nocy i spotykałam się z ludźmi.

„Solidarność” mi nie pomagała. „Solidarność” była zajęta organizowaniem związku. Bardzo słusznie!

Czy „Solidarność” mogła liczyć na lepszą pozycję w rozmowach z władzami za cenę „nieupominania się” o uwięzionych?

Nie jestem o tym przekonana. Zawsze mówiłam, że nie będziemy chować się ani za portki Wałęsy, ani sutannę Ojca Świętego, to nieuczciwie walczyć z cudzych pleców. My mieliśmy odwagę mówić, jakie są nasze cele, marzenia, pragnienia i o co walczymy. Nie musieliśmy mieć do tego ani osłony Kościoła, który byśmy narażali, bo my sami jesteśmy katolikami, ani Solidarności, która była jeszcze za młoda, jeszcze ząbkowała. Myśleliśmy jak się ukształtuje, to wtedy będzie nam mogła pomóc. Koniec. Takie było moje zdanie. I to było słuszne. Chowanie się za czyjś autorytet, za czyjeś zasługi jest nieuczciwe. Każdy powinien ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Nie da się żyć na cudze konto. Po prostu.

Ja już nie pracowałam w Instytucie, musiałam na prowincję uciekać, ale

dzięki temu miałam większą swobodę. W tych wielkich zakładach pracy, gdzie jeździłam, najbardziej zapadł mi w serce Śląsk. Śląsk wspominam bardzo ciepło. Tam były spotkania z górnikami, ogromne sale, ogromna ilość ludzi, oni świetnie rozumieli, co ja mówię, byłam taką „ciotką rewolucji” w najgorszym znaczeniu. To, co mówiłam było bardzo populistyczne, nie byłam przygotowana do tego ani politycznie, ani naukowo, jako historyk czy politolog. Ale nie było źle!

W KOWzaP-ach pod koniec było do 100 tysięcy ludzi. Zaangażowani byli do tego stopnia, że chcieli wyrzucać podstawowe organizacje partyjne ze swych lokali w zakładach pracy, mówiąc, że jeśli nie dostaną pokoju na działalność KOWzaP-u, to partia też żadnego lokum nie będzie miała. Dużo ludzi było w KOWzaP-ach w Radomiu, Białymstoku. Był to trudny czas nienormalnej pracy, bo to była praca propagandzisty, ale były widoczne efekty.

W tym czasie toczył się już proces Konfederacji Polski Niepodległej, sala była pełna. Trzeba było mieć przepustkę. Przepustki wydawał znany dziś sędzia Kryże. Ja wtedy do Warszawy jedynie wpadałam, ale nie mieszkalam w Warszawie. Klucz do mojego mieszkania mieli górnicy i nie wiem, kto jeszcze, podawali sobie jedni drugim, to był wtedy darmowy hotelik. Tempo życia było takie, że się nie liczyło dni, godzin, to nie było ważne.

Jedną z trudności był brak benzyny. Dla osoby, która jeździła samochodem, problemem nie był brak jedzenia, ale brak benzyny właśnie. Chłopaki na stacjach benzynowych tak mnie już znali i byli tacy fajni, że jak podjeżdżałam dużym fiatem, miałam zamontowany drugi bak od żuka w bagażniku, który niebezpiecznie obciążał samochód, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia, panowie ze stacji lali do tego drugiego baku. Jak oczekujący klienci się niecierpliwni, to oni mówili – „Chwilę, mam dziewczynę...”.

Chciałam zapytać o najciekawsze, najsilniejsze wspomnienia związane z procesem 1981–1982?

Ja z samego procesu mam mało wspomnień, ponieważ w tym czasie cały czas pracowałam. Wpadałam na proces, wieszałam się mężowi na szyi, o ile mogłam do niego dojść i jechałam dalej. Byłam w trasie. Gdybym siedziała sobie na procesie, to byłoby to bardzo niekorzystne.

Walczyłam o dwie sprawy: żeby proces Leszka i jego kolegów był jawny oraz by oni odpowiadali z wolnej stopy, co też osiągnęłam. Tylko mnie oszukano, bo w momencie kiedy prowadziłam głodówkę w Katowicach i wyładowałam w szpitalu, to go ponownie aresztowali, jak ode mnie jechał z odwiedzin. Ale ta dwutygodniowa przerwa też była ważna, bo on się wtedy odbudował fizycznie i psychicznie.

Nie walczyłam tylko o mojego męża – ale o wszystkich więzionych za przekonania, bez rozróżniania ich przynależności partyjnej czy politycznej. Przyjechał do mnie trzeci z braci Kowalczyków – Narcyz. Powiedział, że nikt nic w ich sprawie nie robi.

– „Czy ja mogę dołączyć?”.

– „Może pan ze mną jechać, proszę bardzo”.

Ale wizerunkowo nie było to korzystne, żeby ze mną on z ojcem jeździli. Płacząca kobieta, której zabrano męża, wygląda inaczej niż ekipa i to w męskiej obsadzie. Ja dołączyłam i bardzo uczciwie do końca walczyłam o sprawę Kowalczyków z pozytywnym efektem zresztą. Moim zadaniem było przedstawić sprawę Kowalczyków w prawdziwym świetle, bo oni byli traktowani jak terroryści, a skazani zostali jako polityczni. Za zwykłe zburzenie budynku można było dostać 8 lat maksymalnie, natomiast ich chciano załatwić: jeden dostał karę śmierci, drugi – dożywocie. Później to zostało zmienione, na skutek interwencji Kościoła zostali wypuszczeni.

Uważam, że postąpiłam słusznie, bo gdybym tylko i wyłącznie walczyła o ludzi z KPN-u, którzy siedzieli w więzieniu, to moja motywacja i odczucia moralne byłyby o wiele niższe. Tymczasem, gdy przywódcy KPN poszli na wolną stopę, ja dalej głodowałam, ponieważ siedzieli Kowalczykowie. To dało mi siłę na następne lata – wtedy, gdy mój mąż przebywał w więzieniu. Przetrwiałam to bez uszczerbku na psychice. A trzeba wiedzieć, że osoby bliskie więźniowi też są w więzieniu...

A więc to walka dała Pani siłę?!

O tak, oczywiście. Uświadomiła mi, kim jestem, ile człowieczeństwa jest w człowieku i jak dalece trzeba o to dbać. To było bardzo ważne doświadczenie.

Jak Pani wspomina lata uwięzienia męża? Jak wyglądała codzienność po procesie? Czy opresje trwały dalej?

Tak. Ale wie pani, kiedyś nazywano mnie „wańką-wstańką”. Ja mam taką naturę, że jak się otrząsnę, to wstaję i idę dalej. Mam wewnętrzną pogodę ducha, takie specyficzne poczucie humoru w stosunku do rzeczywistości. Poza tym mam cudowną córkę, mąż też ją uwielbia, która stanowiła dla mnie wartość pierwszą.

Jak wygląda życie osoby, która ma bliskiego w więzieniu? Od widzenia do widzenia, od spotkania z adwokatem do spotkania z adwokatem, od paczki do paczki... Ja przeczesałam szlak, Leszek siedział jako pierwszy.

Po 13 Grudnia uczyłam dziewczyny, jak konstruować paczkę. Paczka mogła się składać z opakowania i zawartości maksymalnie do 3 kg na miesiąc, czyli 10 dekagramów na dzień. Paczka mogła zawierać owoce krajowe, wyroby piekarnicze, cukier i inne tego typu. Nie wolno ani papierosów, ani czekolady, ani żadnych im podobnych. Opakowanie musiało być takie, żeby można było sprawdzić ich zawartość – nie szkło czy metal...

Otóż śliwki suszone, te amerykańskie, są świetnym magazynem na czekoladę, bo do każdej śliwki można wsadzić co najmniej pół kostki czekolady. Można było podać wędlinę czy mięso – to ja dawałam salami. Chodziło o dostarczenie białka. Polędwicę i smalec pakowaliśmy w plastikowe pudełka, które składały się głównie z pokrojonej szynki zalanej gorącym smalcem. Poza tym zupy w proszku. Ja podawałam purée z grochu, zupy, które dostawali w więzieniu to były takie „berbeluchy”, więc dodawali do nich ten groch – to było pożywniejsze. Chodziło o to, żeby przetrwali w jak najlepszej kondycji fizycznej. To, że Leszek przetrwa dobrze psychicznie, to ja dobrze wiedziałam...

Proszę powiedzieć, jaka była rola kobiet w tym procesie po tej drugiej stronie krat? Czy była jakaś współpraca między paniami? Jakie wypracowane zostały praktyki oporu kobiet, jakie przybrały formy?

Przed stanem wojennym adwokaci załatwili, że można im było przynieść posiłek, więc mieli solidne posiłki w trakcie procesu w sądzie cywilnym. Ludzie z Polski przywozili mięso, kilka pań gotowało, smażyło, pichciło obiady, bo oskarżeni byli od rana do wieczora na sali sądowej i nie otrzymywali jedzenia

w więzieniu. Te panie współpracowały ze sobą, ja jestem trudna w kontaktach i nie miła, ale one ze sobą dobrze współpracowały i panowie mieli dobrą opiekę cały czas. Była tam Janina Moczulska – matka Leszka – żołnierz Armii Krajowej, szalenie twarda i mocna kobieta. Ona się nimi opiekowała.

W stanie wojennym Leszek i koledzy z Rady Politycznej zostali postawieni przed sądem wojskowym, został sprowadzony sędzia Marcha ze Szczecina, bo uznano, że dotychczasowy Aleksandrow jest zbyt łagodny, a tu trzeba szybko i już. Wtedy już nie pozwolono na dokarmianie oskarżonych w sądzie.

Wyrok na KPN został wydany w dniu, w którym zostało ogłoszone zdelegalizowanie Solidarności (8 października 1982 r.). Moim zdaniem chodziło o to, żeby milicja, wojsko pojechało do Katowic, Gdańska czy Krakowa, gdzie się spodziewano strajków, a tutaj tej „bandzie” z KPN mieli zamiar zaproponować broń, żeby zrobili grupę i próbowali odbić swoich przywódców. Była taka prowokacja SB... Dwa razy w tym czasie proponowano mi broń: raz po aresztowaniu a drugi raz, jak miał zapaść wyrok.

W stanie wojennym podrzucono mi też przez prowokatora mikrofilmy, które rzekomo zostały przerzucone z zagranicy. Materiały te bez żadnych osłonek sugerowały podjęcie zorganizowanej walki zbrojnej. Ale sobie poradziłam, żeby ich nie znaleźli. Po te materiały, które przyniosła do mnie podstawiona osoba, SB przysłała nazajutrz rano. Ja byłam w pracy i jak wróciłam, to już byłam „pod opieką”, pani funkcjonariusz, która przeprowadziła kontrolę osobistą. Materiały te schowałam poprzedniego dnia wieczorem w mojej sypialni. Poprosiłam więc, że pójde do sypialni i się przebiorę, bo przecież jestem prosto z pracy. Pozwolili. Weszłam, drzwi zamknęłam, włożyłam na siebie podomkę, biustonosz i te trefne slajdy wepchałam pod biustonosz. Wyszłam i pytam – Czy jeszcze chce pani coś sprawdzić? „Nie, nie – to wystarczy” – odpowiedziała pani funkcjonariusz.

Co było na mikrofilmach?

Plany zorganizowania akcji zbrojnych. Gorący materiał. Jak się okazało ten materiał w jakiś sposób wypłynął na procesie KPN – przekazał go „jakiś ucziwy znalazca” do ambasady polskiej w Szwecji, no bo tutaj się nie udało. Ale sprawa została już spalona.

Proszę powiedzieć, czy miała Pani stosowne wsparcie, pomoc od obrońców, adwokatów?

Tak. Mieliśmy wspaniałych adwokatów – naszą „stajnię” firmował adwokat de Virion – wspaniały prawnik, pierwszy po odzyskaniu niepodległości ambasador polski w Londynie. Był jego przyjaciel Edward Wende, potem był śp. Jerzy Woźniak, który był członkiem KPN – wspaniały chłopak. Piotr Andrzejewski, który został senatorem PiS-u, oddany i odważny człowiek. Leszek Piotrowski z Katowic, Krzysztof Piesiewicz – czołówka palestry, Siła-Nowicki...

Prezes Izby Adwokackiej – Dubois bronił *pro bono*, było 10 adwokatów, naprawdę byli wspaniali. Wiadomo, że byli podsłuchiwani w rozmowach ze swoimi oskarżonymi, starali się przemycić im trochę jedzenia, czy jakieś wiadomości z domu czy spoza domu. Nie brali od nas pieniędzy, tylko zespoły adwokackie brały podstawowe kwoty.

Klawisz, który mnie lubił, przyjmował moje paczki dla Leszka, które ważyły 4,5 kg. Jak już mąż wychodził z więzienia, to mnie zapytał:

– Czy pani wie, pani Moczulska, dlaczego ja zawsze panią tak faworyzowałem?

– Zastanawiałam się? – odpowiedziałam. – Ze względu na wiek ani wpływ mojej przekonywującej urody – chyba nie.

– Bo ja panią znam. Poznałem panią, jak pani prowadziła manifestację 100 tysięcy ludzi 11 listopada w 1980 r. przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Pani szła na czele tej manifestacji w takim białym krótkim futerku z wiązanką biało czerwonych kwiatów i takiej pięknej czapce z takim wielkim tutaj klejnotem. Wyglądała pani, jak królewna. I wie pani co, ja panią potem ochraniałem, bo wiedziałem, że ubecy chcą dać pani łomot. Wtedy panią zapamiętałem i kiedy panią zobaczyłem teraz, to pomyślałem: „O jest ta mała”.

A był to bardzo ostry funkcjonariusz, mówili na niego „Hitlerek”. Ludzie nie są płacy, są wielowymiarowi i nieraz można odkryć takie oblicze człowieka, którego nawet nie podejrzewamy...

Jak oceniłaby Pani działania żon, matek, sióstr aresztowanych i uwięzionych w tym procesie? Czy to było współdziałanie i solidarność, czy raczej działania na własną rękę? Czy były jakieś ustalone działania, których się trzymałyście?

Brak współdziałania.

Co by Pani powiedziała dziś tym wszystkim Pani krytykom, utrzymującym, że Pani zbyt mocno ingerowała w sprawy kierownictwa KPN?

A kto miał to robić, jak nie ja? Dostawałam dyrektywy od męża, Leszek w dalszym ciągu był szefem, nie było zastępców i następców w KPN. Mąż był szefem. Po prostu. Kobieta nie jest, w środowisku tak twardych ludzi jak w Konfederacji, obdarzona takim autorytetem, jaki był potrzebny przy kierowaniu, wydawaniu dyspozycji organizacyjnych. I dlatego później Krzysztof Król, który był bardzo młodym, ale mężczyzną, przekazywał strukturom polecenia Przewodniczącego. Krzysztof przekazywał i działał. A że ktoś krytykował i krytykuje?... Roboty było i jest tyle, że każdy coś może zrobić.

Leszka aresztowano, ja drukuję na cudzych maszynach ulotki o uwolnienie mojego męża i tych, których z nim wzięto. A tu nagle oświadcza mi jeden z tzw. przywódców, czyli kolegów mojego męża mu podległych, że będę sądzona. Mówi mi:

– Staniesz przed sądem partyjnym za to, co robisz, bo zamiast wydawać teksty i ulotki na temat KPN-u, ty drukujesz o więźniach politycznych, odwracasz uwagę od sprawy.

Ja mu odpowiedziałam

– Dla mnie sprawa to jest mój mąż, a chciałabym ten sąd partyjny zobaczyć!.

Do dzisiaj się nie pojawił. Każdy powinien działać, jak tylko potrafi w danym momencie zagrożenia. Mnie nie interesowało, co oni robią. Ponieważ nie robili tego, co ja robiłam, więc nie wchodziliśmy sobie w drogę.

Później żony nie pozwoliły im działać. Powiedziały, że jeszcze jedno aresztowanie i won! Dlatego oni założyli tajną organizację z pensjami! Mój mąż też miał pensję – moją. Ja miałam 3 posady – w Instytucie, w ośrodku przeciwgruźliczym na Czarnochy i wywiady prowadziłam z dziedziny bakteriologii dla

pomaturalnej szkoły pielęgniarstwa. Wszystkie moje pieniądze były w KPN, ale dla mnie to było normalne...

I o czym my tu rozmawiamy, o tym, że ja nie tak formułowałam ulotki? No dobrze, też sobie to wyrzucam...

Chodziło o inne zarzuty, raczej takie, że np. pan Szeremietiew uważał, że zastępowała Pani jego rolę.

Nie chcę rozmawiać na ten temat. Niech mi to pani daruje. Nie będę wdawała się w szczegóły. Bo jest tych szczegółów za dużo.

Z perspektywy czasu, czy uważa Pani, że warto było przejść przez te czasy podziemne i walki?

Oczywiście!

Czy miała Pani w tamtym czasie poczucie strachu lub beznadziei? Czy raczej przeważały nadzieja i wiara w to, że wysiłki przyniosą kiedyś oczekiwane owoce?

Beznadziei – nigdy! Byłam związana z Leszkiem, nie mogłabym czuć beznadziei. To jest człowiek, który był i jest wizjonerem politycznym. Potrafił wszystko przewidzieć, ustawić w czasie i przestrzeni. Wspaniały jako historyk, mimo wszystkich jego wad. Wspaniały jako mąż, jako partner, bo dawał mi zawsze poczucie tego, że mam koło siebie człowieka niepowtarzalnego.

Miałam jeden cel, szukając męża. Celem było spotkanie człowieka, który będzie inteligentny, o większej wiedzy niż ja i mój ojciec (mój ojciec był prawnikiem i to na bardzo wysokim poziomie intelektualnym). Chciałam mieć męża, który będzie mnie przewyższał pod tym względem, ale jakoś tak się zawsze okazywało, że ta inteligencja to jest tylko taka jakaś konsumpcyjna. Dopiero Leszek spełnia te wymagania, a ja mam poczucie, że mam jedyny egzemplarz takiego człowieka. To bardzo dużo.

A czy widzi Pani obecnie, że dziedzictwo KPN rezonuje w kolejnych pokoleniach?

Młode pokolenie zostało zdeprawowane przez polityków. Ci młodzi ludzie

noszący znaki Polski Walczącej, to nie są ludzie źli. Są tylko wypaczeni i nie-nauczzeni tego, czym jest Polska. Byłam zawsze bardzo dumna, że jestem Polką, tak jak jestem dumna, że jestem Warszawianką. Dopiero, jak przekraczam granicę wracając do Polski, to czuję, że jestem cała. Mnie wszędzie za granicą brakuje Polski, Polaków, Warszawy. Ci młodzi ludzie nie zdają sobie sprawy, bo nie mieli szansy na to, żeby zrozumieć, jak wielką rzeczą jest nasza wspólnota narodowa. To nie jest wspólnota Polaków białych, żółtych, zielonych czy niebieskich. Nie! To jest Polska tych wszystkich, którzy utożsamiają się z dobrem tej części świata.

My po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. stworzyliśmy najlepsze rozwiązania demokratyczne w Europie. O takich rozwiązaniach Niemcy, Francuzi, Anglicy mogli tylko marzyć: prawa wyborcze dla kobiet, silna rola związków zawodowych, prawa strajkowe, prawa człowieka itd. To wszystko zostało w pierwszych dwóch latach po odzyskaniu niepodległości zbudowane przez Polaków, którzy wcześniej mogli tylko i wyłącznie marzyć o niepodległości, o własnym państwie. Odzyskaliśmy niepodległość i nagle okazało się, jak pełne są głowy i szuflady pomysłów i rozwiązań.

A dzisiaj co? Nawet nie winię tych głupich szczeniaków... Tylko jest mi przykro. Dla mnie to jest świętokradztwo, jak widzę – wchodzi łysol do supermarketu, ma kurtkę džinsową, nadruk AK, tutaj orzeł. Cały jest wielkim partyzantem. A ja nigdy nie ośmieliłam się założyć opaski akowskiej będąc na tyłu rozmaitych uroczystościach, mimo że moja cała rodzina była w Armii Krajowej...

Dzisiejsza Polska nie jest Polską Pani marzeń?

Polska jest Polską. Jest w Polsce ogromna ilość wspaniałych ludzi. Przede wszystkim ideowych, ale nie w sposób fanatyczny.

Nie cierpię fanatyzmu wszelkiego typu – to jest ograniczenie, to nie jest pójście w głąb, to jest zawężenie swoich możliwości, nie tylko swoich, ale naszego kraju.

Czerwiec 2018 r.

DZIECIĘCA CHOROBA SOLIDARNOŚCI

Przez Solidarność przeszło niemal całe aktywne politycznie pokolenie, przez KPN – niektórzy z nas. Za NSZZ „Solidarność” przyszło się później czasem wstydzić, za Konfederację – nigdy. Może zadziałał efekt pierwszeństwa lub charyzma Leszka Moczulskiego uczącego adeptów polityki, by działali „dla zasad, nie dla posad”.

Pracę w Wiadomościach TVP zwykle kończyło się późno, a że zawsze lubiłem obejrzeć efekt (po ludzku mówiąc – czy nikt niczego nie spaprał), więc tego dnia kończyliśmy działalność sporo po godz. 23. Dlatego zaoferowałem się, że odwiozę nieznającą Warszawy praktykantkę, pochodzącą z Siedlec studentkę podyplomowego dziennikarstwa na KUL-u. Jechaliśmy na Ochotę, przy piątym z rzędu czerwonych światełch tematy do rozmowy nam się wyczerpały. Wskazałem więc ulicę prowadzącą w bok od placu Narutowicza i opowiedziałem, że 10 lat wcześniej ubezpieczałem tam człowieka idącego z blachami. Gdyby go zgarnęli – miałem cofnąć się, wrócić do akademika Politechniki Pod Orłem i powiadomić przyjaciół, że tym razem się nie udało. Problem tkwił w utrzymaniu zakładanego w takich wypadkach dystansu. Mgła była gęsta jak cholera, więc co chwila traciłem kolegę z oczu, skupiony na tym, by go nie zgubić, raz mało nie skręciłem nogi na mokrych liściach. Jeśli esbecy też szli za nim, to również nie mieli łatwo. Powiodło się jednak, nikt go nie zatrzymał. Zamiast do akademika szedłem zadowolony do nocnego autobusu, a może – tego szczegółu, czym wróciłem, akurat nie pamiętam – złapałem „łebka”, bo Uberów wtedy jeszcze nie było, a wśród nocnych taksówkarzy nie brakowało emerytowanych milicjantów, więc wolałbym nie ryzykować.

Dziewczyna z Siedlec słuchała z przejęciem.

– Czy miałeś wtedy granaty? – spytała wreszcie z zupełną powagą przyszła dziennikarka katolicka.

Szybko zmieniłem temat na pogodę, zresztą dojechaliśmy pod jej stację. Już dla części zdających maturę w pierwszych latach nowej Polski roczników podziemna Solidarność pozostawała czymś podobnie odległym jak AK czy WiN.

Zaczęło się w Tokaju

Jarosław Malik dzwonił zawsze z budki telefonicznej, co nie wzbudzało mojego zdziwienia, bo wiedziałem, że mieszka w akademiku Pod Orłem na placu Narutowicza, gdzie prowadził też radiowęzeł dla studentów Politechniki. Powiedział, że ma sprawę i zaproponował spotkanie. Umówiliśmy się dzień później w kawiarni Tokaj, mieszczącej się w Węgierskim Ośrodku Kultury i Informacji przy Marszałkowskiej. Zawsze było tam można spokojnie pogadać, dla drobnych pijaczków było tam za drogo, a poza tym za trudno wdrapać się na piętro. Jarek nie musiał tłumaczyć się, czego chce, znałem go i lubiłem jako partnera mojej koleżanki z klasy w Batorym Beaty Rutkowskiej. W trzeciej licealnej przyszła na rozpoczęcie roku tak posiniaczona, że witając się z nią z wrażenia zaniemówiłem. Dzień wcześniej uczestniczyła w demonstracji 31 sierpnia 1982. A teraz był marzec 1986 r. i domyśliłem się, że telefon Jarka – chociaż ze studiującą teraz na historii Beatą dawno się rozstali – ma związek z polityką. Malik wiedział od Rutkowskiej, że mam lekkie pióro (wypracowania mojego autorstwa jeszcze w Batorym obsługiwały pół klasy) i ustroju nie kocham – jak zdecydowana większość z nas. Szkołę średnią zaczynaliśmy przecież dokładnie... dzień po Porozumieniach Gdańskich, stan wojenny zastał nas w drugiej licealnej, a śmierć Księdza Jerzego – na pierwszym roku studiów.

Przy kawie w Tokaju dogadaliśmy się błyskawicznie. Jarek zaproponował mi pisanie do „Nurtu” – pisma z regionu świętokrzyskiego podziemnej Solidarności oraz współpracę ze Skarżyską Oficyną Wydawniczą SOW-a. Sam ze Skarżyska pochodził. Studiował, pobierając stypendium fundowane tamtejszych zakładów zbrojeniowych, które potem – wyjeżdżając za granicę – musiał spłacić. Na razie jednak pozostawaliśmy wszyscy w kraju. A ambicją Jarosława Malika było rozkręcenie działalności w regionie, w którym niewiele się działo.

Udało się to szybko. Po ukazaniu się paru numerów „Nurtu” współpracowaliśmy już z Jarosławem Malikiem w piśmie „Ulotka Świętokrzyska”, bo w regionalnym podziemiu doszło do rozłamu, którego szczegółów nigdy nie poznałem. Wiem tylko, że oponentem Jarka był Jerzy Stępień, późniejszy prezes Trybunału Konstytucyjnego w wolnej Polsce. Zaś lokalnym współpracownikiem – Ryszard Tomtas z kolejarskiej Solidarności, który w 1988 r. wyjechał do USA i zamieszkał w Colorado [1]. Gdy ustrój się zmieniał, do Kanady wyemigrował również sam Jarosław Malik, który przez kolejne trzy dekady pracował tam, w USA i na Wyspach Brytyjskich jako informatyk w banku.

Za to nie zmieniała nazwy Skarżyska Oficyna Wydawnicza [2]. Jarek wydał wreszcie w rodzinnym mieście „Konspirę”, rzecz o podziemnej Solidarności. W jej wypadku żaden nakład nie okazywał się za duży, bo pozostawała biblią ówczesnych konspiratorów. Obciachem było wtedy nie mieć „Konspiracy” na półce. Zrecenzowałem ją na łamach „Nurtu”.

Zaś powodem do dumy dla 21-letniego studenta polonistyki stała się możliwość napisania przedmowy do „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego. Pisałem w niej również o nadziei: „Jest jakiś heroizm w tym opisie rodzenia się w zawoszonych barakach wśród stepów armii Andersa – później zwycięskiej i potężnej” [3]. Równocześnie ukazała się jako recenzja w „Nurcie”. Wielki malarz i pisarz Czapski wtedy żył jeszcze i tworzył, pozostając – obok Czesława Miłosza, Jerzego Giedroycia i Jana Nowaka-Jeziorańskiego – jednym z największych emigracyjnych autorytetów, promieniujących na kraj. To trochę tak, jakby obiecującemu piłkarzowi z drużyny młodzieżowej proponować występ w jednej drużynie z Dariuszem Dziekanowskim, najlepszym graczem reprezentacji, która właśnie pod wodzą Antoniego Piechniczka awansowała na meksykańskie mistrzostwa świata, zanim nastąpiło 16 lat przerwy w udziale piłkarzy z Polski w tym najważniejszym turnieju. Malik wiedział, jak do mnie trafić, choć honorariów nie wypłacał. Zresztą, jako syn profesora często wyjeżdżającego za granicę, na Peweksy zawsze miałem, a rodzima waluta – za sprawą polityki gospodarczej ekipy Jaruzelskiego, co chwila ogłaszającego nową reformę czy manewr – nie nadawała się do niczego.

Dla „Nurtu” a później „Ulotki Świętokrzyskiej” pisywałem o opozycji i emigracji. Największy rezonans miał tekst o Michaile Gorbaczowie [4], w którym

radziłem, żeby rosyjskiej *pierestrojki* nie lekceważyć. Niby nic wielkiego, ale sporo działaczy i komentatorów opozycyjnych z całą powagą głosiło wówczas, że *glasnost* to intryga KGB mająca na celu pewniejsze zachowanie dawnego ustroju. Mój artykuł przedrukowała „Baza”. Oceniałem debatę telewizyjną Lecha Wałęsy z Alfredem Miodowiczem, która jeszcze przed Okrągłym Stołem zapoczątkowała faktyczny powrót „Solidarności” do oficjalnego życia publicznego. Koledzy zaś wiele uwagi poświęcali kultowi AK i powojennego podziemia niepodległościowego. Wykus i Ponury, Szary i Jędrusie stanowili element regionalnej tożsamości. Przez jakiś czas trzymałem w domu blachy do wydanych niedługo potem wspomnień Szarego – legendarnego Antoniego Hedy. W dziesięć lat później miałem zaszczyt nagrywać go dla Wiadomości TVP, gdy w Kielcach świętowano rocznicę słynnego rozbitcia więzienia. Fetowanie Żołnierzy Wyklętych nie było jeszcze wtedy elementem niczyjej propagandy, tylko przywracaniem narodowej pamięci.

„Moje pokolenie, to pokolenie Grzegorza Przemyka (..) skutecznie uodpornione na wszelkie kompromisy z systemem” – oceniałem w artykule „Rzecz o perspektywach” [5]. Ale też przestrzegałem: „Forsowanie nieudacznictwa i niekompetencji, powielanie mitu o braku perspektyw służy bezpośrednio powiększaniu luki cywilizacyjnej, dzielącej Polskę od najlepiej rozwiniętych krajów świata. Akceptacja przeciętności z całą pewnością nie leży dziś w interesie społeczeństwa polskiego” [6]. Oceniając wizytę Papieża z 1987 r. wskazałem, że „jest w obecnych warunkach jedyną okazją, by sprawa polska trafiła znów na pierwsze strony gazet zachodnich” [7]. Jeszcze przez rok, do dwóch fal strajków, organizowanych przez młode pokolenie robotników diagnoza pozostawała aktualna.

Malik przynosił często kasety, w tym „Gazetę Mówioną” Stefana Bratkowskiego. Z czasem coraz więcej było nagrań reporterskich, w tym z konferencji prasowych przedstawicieli opozycji dla dziennikarzy zagranicznych. Swoją dramaturgię miała rejestracja spotkania, jakie z działaczami odbył Andrzej Stelmachowski, który prowadził wtedy sekretne rozmowy z władzą w sprawie ponownej legalizacji Solidarności.

– No, ja oczywiście nie wszystko mogę państwu powiedzieć – zastrzegł profesor.

– Jak to? – z taśmy rozległ się nabrzmiewający histerią głos jakiejś działaczki.

Kończyła się solidarność, tak przez duże, jak małe „s”, zaczynała polityka. Raz jeszcze mieliśmy okazję być dumni ze Związku, gdy w latach 1997–2001 wsparł wielkie reformy rządu Akcji Wyborczej „Solidarność” i Unii Wolności z Jerzym Buzkiem na czele, w tym samorządową, skutkującą do dziś perfekcyjnym pozyskiwaniem funduszy pomocowych z Unii Europejskiej. Za to przyszło się za „Solidarność” wstydić, gdy po latach podjęła się odgrywania przy rządzącym PiS roli podobnej, co niegdyś rozwiązana w 1980 r. CRZZ przy PZPR. Z KPN, z którą związałem się nieco później niż z podziemną Solidarnością, pod koniec lat 80. było inaczej – Leszek Moczulski napominał podwładnych, by działali „dla zasad, nie dla posad”, a problemy Konfederacji miały charakter raczej folklorystyczny (skomplikowana topografia kolejnych rozłamów), bez znamion kryzysu moralnego, który doszczętnie strawił potencjał zwycięzców z 1989 i 1997.

Redaktor niejedno ma imię

Nigdy nie poznałem całej redakcji, zresztą zajmowaliśmy się różnymi sprawami – gdy cieszyłem się na łamach z literackiego Nobla dla antykomunistycznego rosyjskiego emigranta Josifa Brodskiego, koledzy komentowali oświadczenie podziemnej „krajówki”. Zasadą było: wiedzieć tyle, ile potrzeba. Wielu szczegółów naszej działalności nie poznałem więc nigdy.

Czasem przychodziło działać szybko i jak w serialu o Hansie Klossie: pamiętam, jak jadąc z większą grupą na wakacje do Zakopanego, podczas długiego postoju ekspresu Tatry w Płaszowie zostawiłem przyjaciół w przedziale i po chwili na peronie przekazywałem nieznanej mi osobie, na hasło, jakieś opozycyjne materiały. Do dziś nie znam personaliów tego, kto je ode mnie dostał.

Na początku zamierzałem pisywać pod własnym imieniem i nazwiskiem, ale jeszcze przy stoliku w Tokaju Jarek przekonał mnie, że jeśli tak będziemy szarżować – wszystkich nas szybko wyłapia i pisma ani wydawnictwa nie będzie. A działo się to pół roku przed bezwarunkową amnestią, jaką gen. Czesław Kiszczak ogłosił we wrześniu 1986 r., by skonfundować opozycję, której społeczne poparcie bazowało w znacznej mierze na martyrologii. Nie upierałem się więc wtedy. Od ręki przyjąłem pseudonim „Jacek Łowicki” [8] – geneza

była prosta, z ziemi łowickiej pochodzili moi rodzice – do podpisywania tekstów dla bibuły w regionie. Ustaliliśmy z Malikiem, na co wyraźnie naciskał – żeby w innych opozycyjnych kontaktach (mój współpracownik wiedział, że je mam) w żadnym wypadku tym kryptonimem się już nie posługiwać i nie ułatwiać w ten sposób zadania służbie bezpieczeństwa, badającej personalne powiązania antykomunistycznych struktur. Tej reguły ostrożnościowej nie złamałem nigdy. Dlatego gdy zacząłem później pisywać do prasy KPN, którą też redagowałem („Orzeł Biały”) – musiał narodzić się nowy autor Krzysztof Bauer [9] , a bliżej przełomu sygnowałem już teksty dla mediów Konfederacji pełnym imieniem i nazwiskiem. Zanim jednak to nastąpiło, rozbestwiłem się tak, że uznałem że mój twór red. Bauer jako człowiek dojrzały zasługuje już na trwały związek i artykuły o tematyce, którą uznawałem za babską (np. o demoralizującym wpływie obowiązkowych praktyk zawodowych na studentów) podpisywałem: Beata Bauer. Nosilem się nawet z zamiarem napisania powieści o losach dziennikarskiego małżeństwa o tym nazwisku, były jednak ważniejsze sprawy. Powstał tylko mojego autorstwa dramat „Drugie drzwi”, który krążył potem w samizdacie po uniwersytecie i politechnice. Opowiadał o tym, jak do zaangażowanego w opozycji małżeństwa puka w nocy znajomy, który twierdzi, że ściga go bezpieka. Od tego momentu napięcie stale rosło. Starałem się pokazać, jak z czasem przestają wystarczać dawne motywacje i zaczyna dzielić kasa. Do wystawienia „Drugich drzwi” przymierzały się aż dwa teatry – żeby było sprawiedliwie z uniwerku i polibudy. Może dlatego nic z planów nie wyszło.

Za to już w pięknym roku 1989 r. w Teatrze Nailu (ta niby-japońska nazwa wzięła się po prostu od skrótu Inżynierii Lądowej PW) wraz z niezapomnianym doc. Krzysztofem Żmijewskim i Magdą Pietrzak, później żoną Tomasza Merty poety i wiceministra kultury, zagraliśmy kilkakrotnie przy pełnej sali „Opowieść o stanie wojennym”, składankę tekstów najważniejszych dla pokolenia. Docent Żmijewski, wtedy animator Komitetów Obywatelskich, przekonująco odtworzył postać pułkownika Ryszarda Kuklińskiego. Z kolei piękna studentka resocjalizacji Urszula Korman, która w niedoszłej „uniwersyteckiej” premierze „Drugich drzwi” miała zagrać główną rolę kobiecą – aktorką wprawdzie nie została, ale była później moją podwładną w dziale krajowym dziennika „Obserwator Codzienny”. Po latach zaś została naczelną jednej z licznie po-

wstających gazet bezpłatnych. Nowymi wyzwaniem przejęła się do tego stopnia, że nigdy tej swojej resocjalizacji nie skończyła.

Profesor w bmw odwozi studentów na stację

To była dziecięca choroba „Solidarności”. Zaczynający liceum dzień po porozumieniach gdańskich – wszyscy lub prawie wszyscy musieliśmy przez to przejść. W latach 1986–89 nie było już tej „Solidarności” potężnej i wielomilionowej. Zwłaszcza amnestia Kiszczaka stworzyła wrażenie kryzysu. Jednak właśnie w tej sytuacji dołączające nowe roczniki mogły czuć się pożyteczne i przydatne. Strajki 1988 r. wzniesli młodzi robotnicy, dla których wielka „S” była już legendą, wsparli ich studenci, a to zmusiło władzę do ustępstw.

Za sprawą działacza Malika nie tylko ja poznałem mnóstwo ciekawych ludzi. Wraz z Magdą Pietrzak pojechaliśmy późnym wieczorem do willi profesora Tadeusza Kłopotowskiego w Radości. Gospodarz był wybitnym biologiem. Wtedy pierwszy raz zobaczyliśmy nowoczesny komputer, na którym składał pismo dla podziemnej „Solidarności” z Siedlec. Zawieźliśmy mu jakieś opozycyjne drobiazgi, jakieś inne od niego odebraliśmy. Żona profesora – wtajemniczona we wszystko – podała kawę. Potem Kłopotowski odwiózł nas na stację kolei podmiejskiej swoim bmw. Wtedy pomyślałem, że ustrój, z którym walczą ludzie nie tylko wybitni, ale też równocześnie tacy, którym niczego nie brakuje... przetrwać po prostu nie może. Rzeczywiście miał się ku końcowi. Już dwa czy trzy lata później mogłem jako dziennikarz „Gazety Wyborczej” spotkać profesora Kłopotowskiego na korytarzach parlamentu jako senatora OKP.

Zanim to jednak nastąpiło – oboje z Magdą zajęliśmy się jeszcze ważniejszą misją. Odbieraliśmy książki wydawnictw emigracyjnych wysłane ze Szwecji. Jak zwykle starałem się wiedzieć tyle, ile potrzeba. Nadawcą był Norbert Zaba, zasłużony nestor Polonii i przedstawiciel paryskiej „Kultury” w Szwecji. Odbiór paczek miał nastąpić pod jakimś adresem na Białołęce. Kilka razy zmienialiśmy autobusy, w przejściu podziemnym przy Centralnym nagle podbiegliśmy, żeby zgubić ewentualny ogon – takie zachowanie postrzelonych studenciaków nie zwracało wtedy uwagi. Adres okazał się niespodziewanie wiejskim domem, tyle że położonym w granicach Warszawy, którą za Bieruta rozszerzono tak, by jak najszybciej miała więcej mieszkańców niż przed wojną. Jak się okazało,

odbiorca skandynawskiej przesyłki zaliczał się do sporego wtedy grona warszawiaków, prowadzących własne gospodarstwa rolne. Najpierw zajrzeliśmy do paczek. Wśród książek było kilka nowiutkich egzemplarzy „Głównych nurtów marksizmu” Leszka Kołakowskiego, rzeczy uznawanej wtedy za bezcenną.

Zainteresował nas też gospodarz. Zbliżały się już wybory czerwcowe, więc przy kawie rzucił nagle, że kandyduje. Nie pytaliśmy nawet skąd, przekonani, że z Komitetu Obywatelskiego albo z którejś z idących samodzielnie partyjek antykomunistycznych. Po chwili sam dodał, że z ZSL. Nominalnie Zjednoczone Stronnictwo Ludowe pozostawało sojusznikiem partii Jaruzelskiego. Wtedy zrozumiałem aż dwie rzeczy: po pierwsze – po raz kolejny, że świat nie jest czarno-biały. Po drugie – że koalicja PZPR z partią, której przedstawiciele zajmują się wrogią marksizmowi ideologiczną kontrabandą wcale nie musi przetrwać... Podejrzewam, że sam Tadeusz Mazowiecki mógł jeszcze wtedy tego nie wiedzieć.

Zwycięstwo redaktora Winkla

Z branżowej dziennikarskiej perspektywy, bilans polskiej pokojowej i demokratycznej rewolucji wydaje się surowy, ale i nieubłagane oczywisty. W państwowej telewizji oglądamy oblicza komunistów wszelkich pokoleń: od prokuratora stanu wojennego Piotrowicza poprzez byłego sekretarza KC Marka Króla po eteryczną celebrytkę Ogórek. Tyle, że nadskakują oni dziś PiS, a nie PZPR. Nie ma to większego znaczenia, język i styl propagandy się nie zmieniły od czasów gdy Andrzej Wajda uczynił redaktora Winkla jednym z bohaterów nagrodzonego canneńską Złotą Palmą „Człowieka z żelaza”, uwieczniając jego ludzki format w niezapomnianej scenie, gdy niedopity propagandysta po stłuczeniu butelki w ogarniętym strajkową prohibicją Trójmieście zbiera z podłogi resztki wódki szmatą, którą później wyciska do brudnej szklany. Współczesny jego odpowiednik z TVP też niedopity stawiał czoło kolejarzom, sokistom i policjantom i wymachując telewizyjną legitymacją zapowiadał zwolnienie ich wszystkich z pracy. Tego już było za wiele nawet dla prokuratorów od Ziobry, którzy postawili mu zarzuty, choć obecna władza – podobnie jak tamta sprzed 40 lat – bez skrupułów buduje swoją siłę na ludzkich słabościach. Eksperyment z telewizją publiczną – oparty na zacnych wzorach najlepszej na świecie francuskiej ustawy – wydaje się zakończony porażką. Również z radia państwowego rozlegają się szczeknięcia przypominające osławione pasmo

„Tu jedynka”, o której szydliwe piosenki śpiewano nawet na obozach czerwonego harcerstwa, bo zwyczajnie nie dało się tego słuchać.

To nie tak wyglądać miało, przyjaciele

Dziesięciomilionowy ruch, podziwiany na całym świecie, nie zbudował ani jednej trwałej medialnej instytucji, co stanowi wyrazisty paradoks, zważywszy, ile rzeczy ważnych i mądrych o powinnościach środków przekazu powiedzieli i napisali jego duchowi patroni: Jan Paweł II i autor „Etyki Solidarności” ks. Józef Tischner.

Dzieckiem pierwszej „Solidarności” był tygodnik noszący od 1981 r. jej nazwę, drugiej – „Gazeta Wyborcza” przygotowująca czerwiec 1989 r., do czego bezpośrednio nawiązywał tytuł. Pierwsze z tych pism po latach zostało odrzucone przez czytelników, lansując jeden kurs ideologiczny kosztem zawodowego poziomu i oddając się w niewolę politykowi, do którego wywodzący się z dawnej „Solidarności” demonstranci mają słuszną i zrozumiałą pretensję o brak życiorysu, wyrażoną w pamiętnych skandowanych słowach: – *13 grudnia spałeś do południa*. Przez jakiś czas niemający większego pojęcia o dziennikarstwie Jarosław Kaczyński sprawował nawet funkcję redaktora naczelnego. Dziś „Tygodnika Solidarność” szukać trzeba na odległej półce w empikach, a jako dawny współpracownik pisma często bywam indagowany *czy toto jeszcze wychodzi*.

Z kolei „Gazeta Wyborcza” – pierwsza polska naprawdę profesjonalna gazeta – postanowiła czytelnika wychowywać, oświecać i urabiać zamiast informować, co po trzech dekadach potęgi doprowadziło ją do spadku liczby sprzedanych co dzień egzemplarzy do poziomu mieszkańców Włocławka.

Gdy po zmianie ustroju opisywałem pierwsze wolne wybory samorządowe – prowadzący spotkanie Komitetu Obywatelskiego w Laskach pod Warszawą ceremonialnie powitał z prezydium gości: „Stefana Bratkowskiego i redaktora Perzynę z »Gazety Wyborczej«”. Kiedy w tym samym okresie pojawiłem się w Konstancinie-Jeziornie tropić miejscowe afery budowlane – po dwuminutowej rozmowie przy furtce właścicielka wypasionej willi, choć mnie wcześniej nie знаła, zaprosiła do środka i posadziła w salonie na czas zaparzenia przez nią kawy. Dziennikarz to był wtedy ktoś, ceniono go i mu ufano. Późniejsze zachowania „Wyborczej” – od wystawiania świadectwa moralności Kiszczakowi

po organizowanie nagonek na choćby odrobinę inaczej myślących kolegów – przyczyniły się do bezpowrotnego roztrwonienia tego kapitału.

Postkomuniści mają wciąż swoją „Politykę”, nawet korwinowcy „Najwyższy Czas”, a demokraci mogą o sobie powiedzieć, że wyciągali dla innych kasztany z ognia. W wyniku nieroztropnych decyzji i przyzwoleń polityków, głównie z czasu drugiej dekady niepodległości media nad Wisłą i Odrą podzielone zostały pomiędzy Springera i Passauera. A wyrażanie tutejszych interesów – podobnie jak dbałość o poziom i rzetelność – pozostaje ich ostatnim celem.

Nie jest to już jednak winą konspiratorów z lat 80. Ich zamiarem pozostało uwolnienie Polski spod dominacji radzieckiej. Cel został zrealizowany.

Łukasz Perzyna

Szkic stanowi część książki „Dziennikarz to jest ktoś”, w której autor zastanawia się, dlaczego polskie media nie spełniły pokładanych w nich nadziei

[1] por. Bez kompromisu... Rzec o Ryszardzie Tomtasie. Serwis Informacyjny TSK 24.pl z 28 maja 2013

[2] por. Jarosław Malik. Skarżyska Oficyna Wydawnicza – zapomniany rozdział świętokrzyskiego podziemia. Wyd. Ostrowieckie Stowarzyszenie Historyczne „Solidarność i Pamięć”, Ostrowiec Świętokrzyski 2013, s. 139-155

[3] Jacek Łowicki [Łukasz Perzyna]. [przedmowa do:] Józef Czapski. Na nieludzkiej ziemi. Skarżyska Oficyna Wydawnicza SOW-a, Skarżysko-Kamienna 1987

[4] Jacek Łowicki [Łukasz Perzyna]. Wobec Gorbaczowa. „Nurt” nr 10 wydanie ulotkowe [1987]

[5] „Nurt” nr 9, maj 1987

[6] ibidem

[7] „Nurt” nr 11, sierpień 1987

[8] Kto był kim w drugim obiegu. [red:] Cecylia Gajkowska, Joanna Król, Irena Stemplowska, Dobrosława Świerczyńska. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1995, s. 104 i 227

[9] ibidem, s. 37 i 227

MACIEJ SZUMOWSKI

ROZMOWA MACIEJA SZUMOWSKIEGO
Z ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
Z 1985 ROKU

Na wstępie naszej rozmowy proszę, aby przedstawił pan swój życiorys, nie tylko polityczny, swoje dojście do opozycji, swoją dotychczasową działalność.

Sprawa jest typowa. Myślę, że chyba wszyscy opozycjoniści dochodzili do opozycji w podobny sposób. Mam za sobą tak zwane trudne dzieciństwo i trudną młodość, bo wychowywałem się bez ojca, a to zawsze jakoś rzutuje. Mój ojciec był oficerem Wojska Polskiego i w 1945 roku, 2 tygodnie po moim urodzeniu, został przez Rosjan zabrany i słuch o nim zaginął. Ten fakt chyba w jakimś sensie tak mnie zorientował...

Wychowałem się w Legnicy. To jest miasto dość specyficzne. Kto nie wie co to jest PRL, to radzę mu, niech pojedzie do Legnicy, bo tam się traci złudzenia. Chodziłem do szkoły zawodowej, pracowałem w fabryce. Nazywała się imieniem Hanki Sawickiej, a po 1968 roku już tylko Hanki (a huta Waleckiego – już tylko huta, bo – jak wiadomo – Walecki był Horowitz, więc w 1968 roku zmieniano nazwy). Tam zetknąłem się z duszpasterstwem akademickim. Nie byłem wprawdzie studentem, ale uczestniczyłem. Potem było wojsko – 2 lata służby wojskowej. W wojsku zdałem maturę. Poszedłem na studia. Wybierając się na studia, wybierałem się już z pewnym konkretnym zamiarem – to znaczy szukałem takiego kierunku studiów, który pozwoli mi zorientować się w tym, co mnie otacza i – być może – pokaże mi miejsca, w których można tę sytuację zmienić, bo ona mi się bardzo nie podobała. Rok 1968 przeżyłem w Legnicy – były demonstracje, ludzi bito. To, co widziałem, było naprawdę straszne (oberwałem zresztą wtedy pałowanie, ale mniejsza z tym). Ten 1968 rok był jakimś przełomem w moim myśleniu o całej sytuacji.

A co w Legnicy było w 1968 roku, jeśli tam nie było środowiska studenckiego? Bo utarło się mówić, że to były tylko starcia milicji ze studentami.

Okazało się właśnie, że nie tylko studentów. Tam przez 2 dni pod rząd były demonstracje i były bijatyki na ulicach, potem przyleciała szkoła milicyjna ze Słupska i przez tydzień pacyfikowano miasto. Zaczęło się od wiecu na Placu Wilsona, z próbą przemarszu. Włączyli się w to robotnicy, bodajże z huty miedzi. Pamiętam, że opowiadał mi ktoś, że cięli kable koncentryczne, żeby bronić się przed milicją. A studentów nie było. Tam było tylko studium nauczycielskie...

Dominowała młodzież, czy nie?

Tak, dominowała młodzież. Pamiętam jak dziś widok dziewczyny smarkatej ze sztandarem biało-czerwonym pod ratuszem w Legnicy. Rosjanie się nie pokazywali, mieli rozkaz, żeby nie wylazić na ulice w tym czasie.

To także nietypowa sprawa, że robotnicy cięli kable, ale nie na studentów, tylko żeby się bronić, bo w innych miastach bywało inaczej.

Myślę, że w Legnicy sytuacja, w jakiej ludzie tam żyją, mieszkają, jakoś ich ustawia. Bo jak są 2 pochody pierwszomajowe oddzielnie (bo towarzysze radzieccy mają tam własny pochód pierwszomajowy, własną trybunę, a towarzysze, że tak powiem, po polskiej stronie, mają własny) to już najlepiej świadczy, że brak jest kontaktu między tymi społecznościami.

No i zdarza się widzieć czasami klęczącego radzieckiego żołnierza w kościele, w wielkiej tajemnicy i z zagrożeniem, że pojedzie na Syberię.

Były takie sytuacje?

Tak. Są i Polacy w wojsku sowieckim...

Zacząłem mówić o studiach. Otóż jako kierunek studiów wybrałem prawo, dlatego że chciałem zobaczyć, co ono jest warte. Przy okazji miałem też zamiar, żeby – można powiedzieć brzydko – uzbroić się na walkę przyszłą. Już byłem taki mądry, ponieważ spotkałem kilku ludzi, którzy mi pomogli przygotować się do studiów. Jednocześnie robiliśmy jakąś robotę polityczną. To było takie

małeństwo – to znaczy samokształcenie. Wtedy zacząłem czytać pierwszy raz Piłsudskiego. To było to dla mnie odkrycie! Od tego czasu uważam się za piłsudczyka.

Po wojsku były studia we Wrocławiu, na Uniwersytecie Bolesława Bieruta. Były to studia akurat po Marcu, a więc wszystko było jeszcze żywe. Poza wiedzą, która wydawała mi się użyteczna, chciałem zdobyć również przygotowanie organizacyjne. Niestety, to co było, to były wszystkie organizacje, jak byśmy dziś powiedzieli, reżimowe. Z drugiej strony – nie chciałem wstępować do partii, a chciałem się pewnych rzeczy nauczyć. Jeżeli człowiek nie potrafi prowadzić samochodu, nie ma prawa jazdy, to jak się go posadzi za kierownicą, to nie pojedzie, raczej ten samochód rozwali. Ja sobie wyobrażałem też, że jeżeli nie będę miał pewnych zdolności natury organizacyjnej, nie będę umiał kierować, organizować roboty, to w sytuacji, kiedy coś trzeba będzie zrobić, nie będę tego potrafił.

Ale rozumiem, podsumowując ten wątek rozmowy, że z całą jak gdyby konsekwencją szedł pan na studia po to, żeby próbować opozycyjnej pracy?

Tak. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak to będzie wyglądało. Przypominam, że w tym czasie pojawiły się te inicjatywy, które były po Marcu. Był słynny list otwarty do partii Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Zastanawiałem się, dlaczego tylko oni mogą coś robić i coś robią? Denerwowało mnie to. Czy nie należy się w to włączyć? A z drugiej strony nie wiedziałem jak.

Ale do nich nie myślał pan przystąpić?

Nie, dlatego że istniała różnica ideowa. Żeby nie było wątpliwości – z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem, uważamy się za przyjaciół, to znaczy spotykamy się i bardzo dużo ze sobą rozmawiamy, ale istnieje różnica ideowa między nami. Różnica ideowa, która polega na tym, że oni są zwolennikami koncepcji bardziej lewicowych, rozumianych w tych kategoriach socjaldemokratycznych, natomiast ja jestem zwolennikiem kategorii bardziej prawicowych. Nie rozumianych endecko, tylko rozumianych w kategoriach konserwatyzmu, ale nowoczesnego konserwatyzmu. Dla mnie są ważne również pewne symbole, są ważne takie wartości jak rodzina, jak Kościół, jak wiara, no i to

wszystko, co się kojarzy ze współczesnym konserwatyzmem. Więc tutaj była różnica.

Już od początku?

Tak. Ja się po prostu wychowywałem politycznie pod wpływem tego, co robił Piłsudski i w związku z tym szukałem różnego rodzaju lektur. Umacniałem się w tym przekonaniu, że tędy jest droga. Ale uważam, że ludziom, którzy rozpoczęli wówczas robotę opozycyjną, należy się szacunek. To jest ich ogromna zasługa, że oni to zaczęli, bo na przykład ja nie byłem w stanie, dopiero później do tego dochodziłem.

I teraz kwestia następna. Otóż, jak powiedziałem, szukałem możliwości organizacyjnych i wydawało mi się na przykład, że taką możliwością będzie Stronnictwo Demokratyczne. Byłem przez pewien czas w tym stronnictwie, byłem nawet, powiedziałbym, tak dość wysoko jako aparatczyk, bo byłem sekretarzem komitetu uczelnianego i członkiem plenum komitetu wojewódzkiego SD we Wrocławiu. Rozstaliśmy się po grudniu 1970 roku. Po pierwsze, dlatego że okazało się, że władze SD są całkowicie zależne od PZPR-u, wręcz mi to powiedziano. Zrobiłem organizację SD na wydziale prawa, która była 3 razy większa od organizacji partyjnej i za to dostałem po głowie. Poza tym nie podobało mi się i moim przyjaciółom stanowisko, jakie zajęło SD wobec wydarzeń grudniowych. Myśmy tam ich trochę potarmosili i żeśmy się rozstali. Ale nie uważam tego okresu za zmarnowany, ponieważ nabrałem tych pewnych umiejętności, które są w działalności potrzebne.

Po prostu gdzieś w pracy społecznej, publicznej, walki nawet, dyskusji, gdzieś trzeba się uczyć.

Otóż to. A takich miejsc wtedy nie było dużo. Teraz mamy te miejsca, ale zapominamy czasem o tym, że po drodze była Solidarność, był ten wielki społeczny zryw, i otworzyło się wiele środowisk, wiele inicjatyw, wiele możliwości. Wtedy takiej możliwości nie było. Przypomnijmy sobie w jakich warunkach działała oświata niezależna, TKN. Przecież to były najścia! Kilka osób się zbierało i od razu przychodziła kupa ubeków, tarmosili ludzi i tak dalej. A wcześniej było trochę inaczej...

Po rozstaniu z SD zacząłem działać w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Było to jeszcze przed tak zwanym zjednoczeniem. To ZSP nie było już tym, czym było wcześniej, ponieważ po 1968 roku wprowadzono w ZSP czynnik polityczny, a przedtem to była organizacja związkowa, studencka. Więc zajmowaliśmy się sprawami takimi bytowymi, kulturą i tak dalej.

Były możliwości.

Tak. I tu nie można było odstawiać lipy. Polityka położyła to zrzeszenie, bo dopóki jeden człowiek zajmował się akademikiem, a drugi kulturą – to były konkretne rzeczy. On musiał to robić dobrze. Jeżeli źle robił, to odpadał. Natomiast w momencie, kiedy wpuszcili polityków, to oni bili pianę, jak się mówi, fachowo, i byli dobrze oceniani, nie można ich było wyrzucić za nic, bo byli zawsze dobrzy i awansowali. To zaczęło rozkładać zrzeszenie. Więc w tym schyłkowym okresie ZSP byłem sekretarzem uczelnianym, byłem przewodniczącym rady mieszkańców... Różne rzeczy tam robiłem, ale nie w polityce.

W robocie społecznej, która jest cenna, bo ja się też przyznaję do tego okresu, że był cenny.

Myślę, że ci, którzy pamiętają mnie z okresu studiów, to wiedzą, jak to wyglądało. Nie chcę opowiadać o tym (mógłby ktoś pomyśleć, że się chwale), ale rzeczywiście coś można było zrobić.

Potem był koniec studiów. Wyleciałem ze stypendium na studiach doktorskich, miałem być asystentem – już nie mogłem być. Zablokowano mnie, ponieważ postawiono przede mną warunek: albo wstąpię do PZPR-u, albo nie będę na uczelni. No i ja wybrałem, jak wiadomo, ten drugi wariant, to znaczy nie wstąpiłem i wyleciałem z uczelni. Byłem przez jakiś czas bez pracy. No i pojawił się PAX. Byłem w PAX-ie przez dłuższy okres czasu, przez około 4 lata (1974–1978).

Dlaczego PAX? Otóż kiedy mnie rozrabiano, to między innymi postawiono mi zarzut, że jestem katolik. Szukałem instytucji takiej, która by – po pierwsze, spłaciła moje stypendium, które brałem, bo groził mi przymus pracy. Po drugie – szukałem instytucji, w której nie stawiano by mi zarzutu, że jestem katolikiem. A po trzecie – która dawałaby jakieś możliwości samodzielnej roboty.

Pamiętam, że szukałem wtedy w różnego rodzaju instytucjach katolickich. KUL niestety nie mógł mi niczego zaoferować. KIK pod tym względem był najbliższy w sensie wewnętrznym, ale nie miał znowu żadnych możliwości. Potrzebowałem żyć, potrzebowałem z czegoś się utrzymać. A ci mieli pieniądze...

Pamiętam, że kolega, który tam był zorientowany w sprawach PAX-u, mówił, że oni nie mają ludzi. „Przy twoich zdolnościach możesz coś tam zrobić”. Wszedłem w to, przyznaję, z takim zamiarem – jak by to powiedzieć – rewindykacji na narodowej demokracji. Otóż kiedyś, kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu powstała Liga Polska, organizacja niepodległościowa, do której wszedł niejaki Roman Dmowski i zrobił z niej Ligę Narodową, coś wręcz odwrotnego od tego, co zamierzał szacowny pułkownik Jeż Miłkowski. Ponieważ Bolek Piasecki uważał się za spadkobiercę Romana Dmowskiego, więc sobie pomyślałem: „A gdyby tak zebrać ludzi i zrobić coś odwrotnego, to znaczy zrobić organizację z endeckiej (endekoidalnej) – niepodległościową? Spróbujmy! Pójdę, zobaczę. Jeżeli są ludzie, z którymi można coś zrobić, to spróbujemy to zrobić”.

No i spróbowaliśmy! Znalazłem kilku przyjaciół (oni zresztą znaleźli się później ze mną w opozycji): Tadek Stański, Tadek Jandziszak, Maciek Pstrąg-Bieleński (który jest za granicą, przeciwko któremu też się toczy postępowanie). Myśmy stworzyli taką grupę w PAX-ie. Zostałem, dzięki reformie administracji, przewodniczącym oddziału wojewódzkiego. Mieliśmy kilkunastoosobową grupę młodych przewodniczących, którzy zaczęli już działać wspólnie. Nawiazaliśmy wtedy kontakty z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, mieliśmy bezpośredni kontakt z Leszkiem Moczulskim.

Ja się z Leszkiem poznałem w 1972 roku, po książce „Wojna polska 1939”. Ta książka bardzo przypadła mi do gustu. Oczywiście po tych kontaktach poszła Służba Bezpieczeństwa i przed zgonem Bolka Piaseckiego zostaliśmy w PAX-ie rozwaleni. Przykro powiedzieć, główną rolę w tym rozwalaniu odegrał Ryszard Reiff, późniejszy przewodniczący PAX-u, i człowiek, który zrobił znaczne postępy. Nie poznawałem go w okresie Solidarności. Nie wiem, może wtedy grał o stołek przewodniczącego?

A może działał na polecenie Piaseckiego?

Nie, na polecenie Piaseckiego to niemożliwe, bo już Piasecki był tak ciężko

chory, że nie kontaktował. Miałem do wyboru, albo się ugiąć i siedzieć cicho, albo huknąć i spróbować jawnej roboty opozycyjnej. Zresztą безпека nie miała wątpliwości co ja robię. No i zdecydowałem się. Przyjechałem do domu, porozmawiałem z żoną. Muszę powiedzieć, że mieliśmy bardzo dobrą sytuację finansową: mieszkanie, pieniądze, samochód... Żona miała pracę w PAX-ie jako tłumacz (jest filologiem rosyjskim), więc miała taką synekurkę, ja miałem bardzo dobre zarobki. Powiedziałem jej, że powinienem zacząć. Zapytała czy muszę. Powiedziałem, że muszę. „A co będzie?”. Powiedziałem, że stracimy wszystko, potem będziemy mieli ciężko. „Ty się musisz zająć domem, a ja pewnie będę po aresztach i w więzieniach się tłukł”. Jeżeli musisz, no to musisz – zgodziła się na to, bidula. Zresztą zaowocowało to 13. Grudnia, kiedy ją zamknęli dzielni chłopcy generała Kiszczaka.

A co dzisiaj mówi o tym pańskim wyborze?

Żona jest moją żoną. Na szczęście mam w rodzinie taką sytuację, że wszyscy rozumieją, że to jest konieczne i celowe. Akceptują w pełni to, co robię, godząc się również na wszystkie dolegliwości, które z tym się wiążą.

No i zaczęło się! Pamiętam, że uczestniczyłem od dłuższego czasu w zebraniach ludzi, którzy później, w przyszłości, powołali KPN. Był oczywiście Leszek [Moczulski], był Tadek [Stański] i jeszcze kilka innych osób. Był Andrzej Czuma, który do KPN-u nie wszedł. Po drodze był ten rozłam w Ruchu [rozłam w ROPCiO miał miejsce w czerwcu 1978 r.]. W samym Ruchu Obrony Praw Człowieka nie byłem, ani nikt z moich kolegów, o których wspomniałem, ale wiedzieliśmy o tym, że istnieje zamiar powołania partii politycznej. I pamiętam, że w pewnym momencie, to było właśnie w 1978 roku, powiedziałem – „Czas to zrobić”. Zaczęliśmy to organizować. Przygotowania trwały około roku.

1 września 1979 roku powołaliśmy Konfederację Polski Niepodległej. No i zaczęła się już zabawa taka, jak pan zna. Najpierw drobne szczypanki pod tytułem 48 godzin. Dzięki temu poznawałem różnych ludzi. Kiedyś w takiej brudnej, zapluskwionej celi spotkałem Zbyszka Romaszewskiego. To było nasze pierwsze spotkanie, i nawiązała się bliższa znajomość, która trwa do dzisiaj. Spotykaliśmy się jeszcze w czasie Solidarności, jak na krótko wyszedłem na

wolność. Potem spotykałem się z nim, gdy przychodził na salę sądową, jak trwał nasz proces KPN. A potem spotykałem się z nim na Rakowieckiej, przez przypadek zresztą, jak go złapano w stanie wojennym.

W zasadzie to chyba w największym skrócie wszystko, co można powiedzieć o tym okresie, zanim stałem się opozycjonistą. Zostałem nim z wyboru i chcę zajmować się tą sprawą jak fachowiec. Przygotowywałem się do tego. Sądziłem i sądzę nadal, że istnieje sposobność, że Polska zdoła odzyskać to, co jej się słusznie należy. Myślę, że mogę odegrać w tym procesie jakąś rolę, mogę w czymś ludziom pomóc. Powiem tak, choć to może zabrzmie trochę patetycznie – uważam, że mam wobec społeczeństwa, wobec ludzi, pewien dług do spłacenia. W tym społeczeństwie się wychowałem, pośród tych ludzi, przeszedłem drogę od robotnika fabrycznego, poprzez żołnierza służby czynnej, do studenta, jakiegoś tam aparaczyka, bo to tak można powiedzieć, w tym systemie. Następnie poszedłem do więzienia, do opozycji, za kraty... Po drodze zdobywałem doświadczenie, zdobywałem wiedzę. Sądzę, że mogłem ją zdobywać również dlatego, że ludzie po prostu pracowali. To, że funkcjonował uniwersytet i była biblioteka, to jest zasługa tego społeczeństwa. Niezależnie od tego, co komuniści chcieli z uniwersytetem z biblioteką zrobić, byli profesorem, którzy chcieli uczyć i są książki, które można przeczytać. Uważałem, że ludzie są oszukiwani, są nabijani w butelkę, ale robotnik nie ma czasu, żeby zastanawiać się nad tym systemem, nad tym, co tu można zmienić, on po prostu wie, że jest krzywdzony. Otóż ja uważałem, że mam dług wobec tych ludzi, że mogę im pomóc. Po to się uczyłem, żeby z tymi ludźmi być razem. Mogłem się spokojnie urządzić jako ten paxowiec i żyć. Doszedłem do wniosku, że muszę to rzucić, przeciąć, że dalej iść nie mogę, bo dalej to czeka mnie skundlenie. W którymś momencie człowiek się musi skundlić, żeby się utrzymać. Otóż powiedziałem nie... Po prostu tak myślałem.

Jest to taka motywacja moralno-duchowa, ale teraz jest pan prawnikiem, próbował pan działalności realnej, społecznej, czy obywatelskiej...

Tak. Wszystko, co cały czas robiłem, było realne. Szukałem realnych narzędzi.

Ta szlachetna motywacja moralno-duchowa nie musi być wcale w sprzeczności z jakąś, to może brzydkie słowo, ale kalkulacją tego typu, że my jednak (opozycja), mamy realną szansę przejąć władzę, zmienić ten kraj.

Oczywiście, że tak.

Na ile działając w opozycji, myślał pan, że skutki mogą być dość szybkie, że próba przejścia pewnych sfer wpływów społecznych, czy politycznych, w Polsce jest możliwa, że jest realna, a na ile pan tu się zawiodł?

Nie, nie zawiodłem się. Gdybym się zawiodł, to bym spakował walizki i wyjechał. Gdybym się zawiodł, to bym przestał działać. Gdybym się zawiodł, to pewnie bym się nie uśmiechał dzisiaj, kiedy słyszę tego typu pytanie. To nie jest tylko wpływ tego, że byłem na mszy na dole w kościele...

Moje pytanie nie jest takie abstrakcyjne. Chodzi o to, że jest wiele ścieżek, które poszerzają nasze inspiracje społeczne, czy narodowe, przez wiele lat. Natomiast stan wojenny w sferze nagich, fizycznych faktów, przeciął znaczną część tych realnych kroków do przodu. Ja nie mówię o stanie duszy społecznej, tylko mówię o możliwościach.

W mojej świadomości troszkę to inaczej się układa. Otóż przed pójściem do więzienia było naprawdę bardzo trudno, kiedy przed Sierpniem robiło się robotę opozycyjną, niezależną, to liczyło się ludzi na palcach, jeżeli się człowieka gdzieś znalazło do czegoś, już się było szczęśliwym. Jeżeli to był jeszcze człowiek solidny, taki, który chciał pracować, miał jakieś znaczenie w środowisku, to było cudownie. Ale często robiło się z ludźmi takimi, z którymi dzisiaj na przykład nie chciałbym współpracować. To były również takie sytuacje. Bo pracuje się tym, czym się ma. Otóż po drodze byłem w więzieniu, wyszedłem, i jestem zaskoczony, bardzo mile i przyjemnie, że jest nas tak dużo. Widzi pan, to jest naprawdę bardzo dużo. Bo jest masę tych inicjatyw, wydawnictwa, oni praktycznie już chyba nie mają nadziei, że te wydawnictwa zlikwidują, jakkolwiek robią różne usiłowania. A więc jest prasa niezależna, są wydawnictwa, są ugrupowania różnego rodzaju, jest Solidarność, jako fakt polityczny, co więcej, jest ewenement, bo jest podziemie. My możemy mieć krytyczny stosunek do

tego wszystkiego, my możemy to różnie oceniać, ale to jest. To znaczy, że od 1 września 1979 r., kiedy Szeremietiew stał się opozycjonistą, do dnia dzisiejszego, jest naprawdę potężny, ogromny postęp.

Postęp, jeśli bierzemy, że tak powiem, pod obserwację pole poszerzające się niewątpliwie, pole niezależnego społeczeństwa, choć moglibyśmy dyskutować o tym terminie.

Oczywiście, tak.

-Natomiast ja o czym innym mówiłem, mianowicie nie wiem, czy pan zna tę dyskusję, w której Walicki zdaje się w „Aneksie” dyskutować z KOR-em...

Słyszałem, tak.

Oczywiście tam jest wiele bałamutnych tez, ale jedna z nich jest szalenie sugestywna, mianowicie ona mówi o tym, że po prostu działalność opozycji nie trafiona w odpowiedni moment polityczny, często paraliżuje jak gdyby polską władzę i zmusza ją do usztywniania się. Że istnieje takie sprzężenie (tutaj trochę mogę niedokładnie streszczać – z tej pozycji w każdym razie idzie atak), że nasilająca się działalność opozycyjna, taka dość jednoznaczna, czy powiedzmy nawet skrajna, jak gdyby usztywnia to drugie skrzydło, to znaczy polską władzę i zaczyna się spirala represji zacieśniać. Co pan na ten temat? Ja nie mówię, że to jest mój pogląd, ale są takie zarzuty. Bo realnie rzecz biorąc po 13 grudnia oczywiście poszerza się pole działania społecznej myśli niezależnej, to jest oczywiste. Dobrze pan to powiedział, bo to nie dość tego przypominać. Natomiast w sferze zewnętrznej faktów, posunięć władzy, w sensie swobód, które władza sama limituje czy daje, to następuje ich cofnięcie, zaczyna być cofanie.

Oczywiście.

No i już wcale nie jest jakąś metaforą porównywanie z okresem stalinizmu. Więc tu jak gdyby z jednej strony poszerza się ta niezależność społeczna, ale z drugiej strony zwęża się jak gdyby zakres swobód, tych

dawanych oficjalnie, tych, którymi zwykły obywatel żyje, nie tylko opozycjonista. Żebyśmy nie utknęli tylko w tym punkcie, że tak powiem, to może zbyt brutalny epitet, ale zawodowego opozycjonisty. W końcu mamy w Polsce ileś tam milionów zwykłych ludzi, którzy myślą tak jak my, tylko że jak gdyby nie mogą, albo nie mają możliwości, muszą żyć w tych strukturach, które są, są narażeni na to prawo wciąż usztywniane, i karne i polityczne. Tak że jak gdyby można jasno powiedzieć, że zakres tych swobód oficjalnych się kurczy. Co pan myśli o tym sprzężeniu?

Problem jest szerszy i polega on na tym, czy przy pomocy metod policyjnych można zatrzymać proces historyczny, i to jest pierwszy problem. A drugi to jest taki, że ta władza uświadomiła sobie wreszcie czym naprawdę jest. Ona chce oczywiście przetrwać, i żeby przetrwać, to ona wykonuje różnego rodzaju działania, między innymi te, o których pan wspomniał. To znaczy zaostrza, stosuje represje, przykręca śrubę, zawęża zakres swobód i tak dalej, i tak dalej...

Niszczy oficjalne wydawnictwa...

Tak. Dlaczego to robi? Robi to z bardzo prostej przyczyny – wie, że poszerzanie swobód spowoduje jedno – usunięcie jej. Mnie tam czasami bawi to, że ludzie uważają, przynajmniej niektórzy, że jeżeli się nie będzie mówić Czerwonym, że to chodzi o niepodległe państwo polskie i o zrzucenie tego jarzma, które nas krępuje, to oni nam na coś pozwolą. Oni na nic nie pozwalają. Oni pozwalają wtedy, kiedy muszą. Pozwalają, wtedy, kiedy społeczeństwo sobie to wywalczy, kiedy da sobie radę. W Sierpniu dało sobie radę, w Grudniu nie dało sobie rady. O ile 13 grudnia to na pewno nie było nasze zwycięstwo, to była nasza przegrana, nasza porażka, to 13 grudnia też nie był ich zwycięstwem. Oni zresztą nie mówią, że to było ich zwycięstwo.

Nie.

Nie mówią. Otóż sytuacja jest ciągle nierozstrzygnięta, kto kogo. Sierpień nam wszystkim uzmysłowił, że zaczął się pewien proces historyczny. Ja sądzę, że ten proces historyczny polega na tym, że Polacy dążą do niepodległości, nawet ci, którzy nie mówią tego głośno, ale w podświadomości gdzieś u nich to tkwi. Jest kwestią taktyki, czy się te rzeczy mówi, czy się nie mówi. Uważam,

że trzeba mówić. Ktoś może uważa, że nie trzeba – jego sprawa. Ale to się tak skończy. Ten system, który bankrutuje, w duszach Polaków już zbankrutował, w świadomości ludzkiej już zbankrutował. On się trzyma dzięki temu, że ma w ręku system represyjny, że ma pieniądze, że może jeszcze jakichś ludzi podkupować, że się ludzie go boją. Ale ludzie się go boją i go nienawidzą. Otóż tego procesu zatrzymać nie można. Można go opóźniać, można go hamować, ale ludzie już łyknęli ten haust wolności. Niech pan popatrzy co się dzieje z młodym pokoleniem. Zdaje się Jacek Fedorowicz powiedział, że przedszkolaki są już nasze. Nigdy jeszcze w oczach Polaków system nie był tak skompromitowany jak jest obecnie. To jest ogromna rzecz. Uważam, że ludzie, którzy podjęli decyzję 13 grudnia, mam na myśli aparat władzy, powinni przeklinać ten dzień i ten pomysł. Bo przy umiejętnej ich polityce, i stosownej taktyce, mogli bardzo dużo wygrać bez stanu wojennego.

Podsunę panu przykład. To jest dla mnie komplement, tak że nie wstydzę się powiedzieć. Dość powszechna akceptacja „Gazety Krakowskiej”...

Tak, pamiętam to, oczywiście.

... była jak gdyby jakąś taką ścieżynką, którą można było pójść.

Oczywiście.

To znaczy można się było próbować dogadać. Być może, że potem złe siły w partii by mogły jeszcze raz nas wymanipulować, to niewykluczone, ale szanse były.

Były, natomiast ich zawiodły nerwy. Chwała im za to, że ich nerwy zawiodły, bo przez to oni się po prostu totalnie skompromitowali. To znaczy od dnia 13 grudnia 1981 noni nie mogą liczyć już na ludzi, którzy by chcieli dla nich coś zrobić z własnej nieprzymuszonej woli, z jakichś głębszych pobudek. Zostali tylko tacy, którzy albo są kompletnie wystraszeni i wiedzą, że się boją, albo kanalie, albo tacy jacyś tam...

Z konieczności życiowej.

Tak. I to wszystko. Natomiast ideowców...

Jeden, może pół procenta.

Ładosz może. Więc to jest sytuacja tego typu.

Nie, co do tego to ja powiedziałbym, że po tylu rozmowach, któreśmy tu przeprowadzali, to jak gdyby wszyscy się zgadzamy. Tu się trudno spierać. Dobrze, że w pańskiej argumentacji jeszcze raz to padło. Natomiast na ile teraz można znaleźć jakąś przekładnię, jakiś tryb, który by sprawił, że ta powszechna świadomość negacji, odejścia...

Stanie się faktem, w sensie politycznym jakimś, społecznym?

Tak, zaczniesz się zamieniać w fakty realne, społeczne, polityczne. Stąd też było to moje pytanie o spiralę, że z jednej strony jest bardzo dobrze, ale z drugiej strony jest bardzo źle.

Bo zawsze tak jest, zawsze jest bardzo dobrze i bardzo źle, problem po prostu polega na tym, jak te proporcje się układają i jaki skutek ma to, co dobre, na to, co jest bardzo złe. To znaczy na przykład czy przykręcanie represji z ich strony spowoduje wzrost posłuszeństwa społeczeństwa i strach, czy odwrotnie, wściekłość, mnożenie się jakichś inicjatyw, jakichś działań, determinację ludzi.

Tak, ale ja myślę, że ten system operuje jeszcze bardziej subtelną skalą terroru, mniej widoczną, i jak gdyby w ostatnim czasie to widać.

Tak, tak.

Przejdźcie na krótkotrwałe kary, szukanie u Bratkowskiego nie przede wszystkim człowieka, który mówi co innego, tylko człowieka, który miał jakieś tam dolary. Represjonowanie robotnika, na 3 miesiące wsadzanie go, wypuszczanie, systematyczne krzywdzenie go w pracy w sprawach premii, w sprawach pensji. Jest to szalenie uciążliwe. Ten system znakomicie umie tym manipulować.

Niech oni sobie to robią. Otóż powiem tak. Nam do szczęścia są potrzebne 3 elementy. Nam jest potrzebne paliwo, potrzebny jest lont i potrzebny jest do tego ten ogieniek, który po tym lonce do tego paliwa dojdzie i zapłonie ten gniew, który w narodzie jest. Bo tylko z tego można coś konstruktywnego

zrobić, jak to dowiódł Sierpień. Polska dziś jest beczką prochu. Władza swoimi działaniami, zwłaszcza po 13 grudnia, ten proch ładuje. Ten proch jest różny, to jest sytuacja krzywdy, niesprawiedliwości, to jest każda łza, każdy człowiek zamknięty niesłusznie, wyrzucony z pracy, każda niesprawiedliwość, która jest kojarzona z tym systemem, każde łajdactwo. To są te odrobinki prochu, które wpadają do tej beczki. Ta beczka wybuchała w różnych momentach. Raz w 1956 roku zapłonęła, ale nie spłonęła, wypaliła się. Znowu ta władza naładowała prochem, w grudniu 1970 roku wybuchła, też zapłonęła i zgasała. „Pomożecie?” – „Pomożemy”. W Sierpniu wybuchła, zapłonęła, i coś z tego stało się...

Przed wszystkim stało się w sferze świadomości.

Nie tylko, są rzeczy znacznie ważniejsze, świadomość jest podstawowa.

To przejdźmy do tych.

Mianowicie od Sierpnia ta beczka ma lont. Co to znaczy? To oznacza, że istnieją grupy, istnieją ludzie, którzy w świadomości społecznej będą wiedzieli co zrobić z sytuacją, kiedy ona wybuchnie. Sierpień, jeżeli był konstruktywny, w przeciwieństwie do Grudnia, to dlatego, że społeczeństwo tak czy inaczej wiedziało, że jest jakaś opozycja. Ludzie w 1970 roku byli bezradni. No bo co? Wyjść na ulice, spalić komitet i co dalej? Nic. Natomiast tu wiedzieli, że jest ktoś, kto myśli, że może być jakiś program, że są jakieś możliwe działania, są jakieś zorganizowane siły. To nieważne, że te siły były słabe i małe, to nieważne, że ci ludzie mogli nie sprostać temu zadaniu, ale w świadomości społecznej to było. KOR istnieje, jakieś ROPCiO, jacyś tam ludzie działają. I to w momencie Sierpnia zaowocowało. Otóż niech pan popatrzy, że w tej chwili istnieje powszechna świadomość, że istnieje TKK, jest Bujak, jest Wałęsa, jest Kuroń, jest Moczulski, jest tam jeszcze ktoś. Myślę, że jest tam gdzieś jeszcze Szeremietiew, bo trzeba też własny ogonek chwalić, jak każda pliszka to robi. Otóż ludzie o tym wiedzą, i to jest ten lont. I teraz co nam potrzeba, nam jest potrzebna oczywiście iskra. Jest naiwnością zawodowych rewolucjonistów, którzy myślą, że można coś takiego wywołać, sprowokować, spowodować. Nie, my nie możemy tego wywołać. Z tej prostej przyczyny, że po pierwsze mecha-

nika procesów społecznych jest ciągle zagadką, najmądrzejszym socjologom się nie udało tego problemu rozwikłać. Bo jak to się dzieje, że było spokojnie a nagle coś wybucha? Albo było podminowane i nic. Nie wiadomo. Otóż tu się coś stanie. Nie jestem pewien, kiedy się stanie, gdzie się stanie, czy to będzie w Katowicach, czy to będzie w Gdańsku, czy to będzie w Warszawie, czy to będzie w Lubinie, czy w Dzierżoniowie – nie wiem. Ale gdzieś się to stanie, ten początek od którego ruszy lawina. I wtedy okaże się, że można. Ludzie wiele razy uważali, że nie można, nie udawało im się, a naraz okazuje się, że można, że możemy, że możemy robić niezależny związek.

Twierdzę, że my w tej chwili mamy wszystkie warunki, aby przewidywać, że nastąpi kolejny wybuch społeczny. Musi on nastąpić, z tej prostej przyczyny, że ta władza nie zdołała rozwiązać żadnego z istotnych problemów, które spowodowały Sierpień 1980. Mało tego, pogłębiła to wszystko, skompromitowała ten system, odrzuciła ludzi, którzy mogli być dla tego systemu pomostem między nią a społeczeństwem. Mało tego, obeszła się z nimi powiedziałbym nawet dość brutalnie, aż jestem zdziwiony, że można coś takiego zrobić. Bo nie dziwię się, że mnie, tak zwanego ekstremistę tak potraktowano. Ale na przykład padło tutaj nazwisko Stefana Bratkowskiego. Przecież to człowiek, który dla nich był idealny. W tym sensie, że był komunikatywny społecznie, inteligentny, bystry. Jest fachowcem, a poza tym jest o przekonaniach socjalistycznych. A więc u diabła – dlaczego to zrobiono? Okazało się, że lepszym specem od socjalizmu jest Urban niż Bratkowski, proszę bardzo, jak ktoś chce się tak bawić, to niech się bawi. Natomiast oni niczego nie rozwiązali. Społeczeństwo czeka, społeczeństwo chce. To prawda, że na co dzień mamy tych ludzi zagonionych, szarych, przestraszonych...

I co możemy im zaoferować?

W tej chwili nic

Jaki program?

Żaden. Musimy dążyć do niepodległości. Kiedy mnie pytają, w jaki sposób odzyskać niepodległość, to ja mówię, że wszystkie drogi prowadzą do niepodległości. Pod warunkiem, że wiemy, że idziemy do niepodległości, że po drodze

tej niepodległości nie rozmienimy na jakieś rokowania, które spowodują następny 13 grudnia. Bo trzeba pamiętać o bajce towarzysza Stalina o sojusznikach, nie wiem, czy pan pamięta?

Nie bardzo.

Była taka bajeczka. Towarzysz Stalin powiedział, że partii bolszewickiej są bardzo potrzebni sojusznicy. Przy czym ci sojusznicy to powinny być takie garneczki gliniane, a nasza partia bolszewicka garnek żelazny. My te garnki wszystkie wkładamy do worka, potrząsamy tym workiem. I co mamy? Skorupki i żelazny garnek. Otóż trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że rokowania z bolszewikami, z komunistami, z tą władzą PZPR, z jej strony mają na celu uczynienie z nas glinianego garnka. Glinianym garnkiem zrobiono kiedyś PSL, Stronnictwo Pracy, Caritas. Usiłowano Kościół zrobić glinianym garnkiem – nie udało się. Usiłowano zrobić gliniany garnek z Solidarności. Proszę bardzo, rozmawiamy, jak to mówił Rakowski. Chcieliśmy robotników, chcieliśmy się z nimi dogadać, a oni nie. Otóż nie udało się zrobić ze związku glinianego garnka. Trzasnęli nim, niby coś się posypało, ale ten garnek jest poobijany ale cały. Okazało się, że on nie jest gliniany, cholera.

Otóż chwilę temu mówiłem, że idziemy do niepodległości. Każda działalność jest formą zdobywania niepodległości. Bo w momencie, kiedy człowiek ma odwagę powiedzieć jakie ma poglądy, to on już jest o jakiś milimetr bliżej tej niepodległości, bo następny, drugi i trzeci będzie to robił. Jeżeli się ukazuje gazetka, czy druk, to też jest element, który nas przybliża do niepodległości, jeżeli jest niezależna demonstracja, jeżeli jest uroczystość, przypomnienie rocznicy. Jeżeli budujemy dużą instytucję społeczną o nazwie związek zawodowy, jeżeli tworzymy partię polityczną, to są wszystko elementy, które w którymś momencie pozwolą nam powiedzieć, Polska już jest niepodległa. Bo mamy własny rząd, mamy własny parlament, mamy tak urządzone nasze państwo, jak sobie tego społeczeństwo życzy. Otóż czy jest program... Właśnie, pytanie o program...

Ja już je postawiłem wcześniej, tak że nie powtarzam się.

Jakiej odpowiedzi oczekuje zwykle ten, który stawia pytanie? Powinna być

odpowieź taka: należy zrobić a, b, c i d. To znaczy, jeżeli w dniu powiedzmy tym i tym wyjdzie nas pięciu, to do nich się przyłączy dziesięciu, będzie nas dziesięciu, już wiadomo, następnego dnia jeszcze, i teraz to się wszystko będzie sprawdzać. Otóż takiego programu nie ma. Dlaczego? Dlatego że nie wiemy jak się potoczą wypadki, nie wiemy jaka będzie sytuacja, nie wiemy ilu ludzi będzie zdecydowanych na jakieś działania, i tak dalej, i tak dalej.

Moczulski w takim momencie powiedział, że wyjdzie 5 milionów robotników na ulice i nikt im nie da rady.

Może tak będzie, nie wiem. Wiem jedno. Założyłem sobie w mojej koncepcji, że przed nami ciągle stoi szansa, sposobność zwycięstwa. Ja nie chcę być taki pewien, że jest, ja mówię, że jest duża szansa, i że tę szansę zdołamy wykorzystać. Być może przy najbliższej okazji i postaramy się wykorzystać ją dobrze, mamy doświadczenia sierpniowe, grudniowe, to co się działo później, wiemy z kim mamy do czynienia już w tej chwili na pewno. Po cichu powiem – od początku nie miałem złudzeń co do tego, jakkolwiek mam oczywiście pod własnym adresem również pretensje o to moje zachowanie, które było między Sierpniem a Grudniem. Na pewno można było inaczej i coś więcej. No ale trudno, na błędach się ludzie uczą. Ktoś mówił uczta się na uniwersytetach, nie na błędach. Więc tutaj na pewno można było coś więcej zrobić. Ale myślę, że wykorzystamy naszą szansę, mamy doświadczenie, mamy kadrę, mamy ludzi, mamy również struktury, mamy niezależną myśl i mamy ogromne pokłady społecznego zniecierpliwienia, które tak czy inaczej muszą znaleźć swój wyraz.

Ja to wszystko rozumiem, tylko powiem brutalnie...

A co teraz?

Kto na to pozwoli?

Kto na to pozwoli?

Ta logika wewnętrzna polskiego społeczeństwa, tych działań, to wszystko ja akceptuję, zgadzam się. Jest wielki potencjał ku temu, jeszcze w tej wizji, że krok po kroku. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

Krok po kroku albo będzie skok.

Albo jakiś skok, prawda. Tylko pytam się (to według mnie jest mimo wszystko przygwiażdżające pytanie), co na to blok socjalistyczny, co na to Związek Radziecki?

O, a to jest pogawędka, że tak powiem, na parę dni, jeżeli byśmy chcieli ten problem jakoś wyraźnie rozstrzygać. Oczywiście, że planujemy nasze zachowania, nasze działania i planuje się politykę...

Jak gdyby tego nie było.

Nie, polityka to jest pewne ryzyko. Jak powiedziałem, chcę być w polityce fachowcem. Ale z drugiej strony...

Muszę być wizjonerem.

Może wizjonerem to takie za górnołotne. Chciałbym po prostu powiedzieć, że trzeba mieć pewne wewnętrzne przekonanie do tego, co się robi. Założyłem sobie pewną koncepcję. Uważam, że ją będzie można zrealizować. Mogę się pomylić oczywiście, może się nie udać. Po prostu przygotowuję się na sytuację, w której będę mógł tę koncepcję realizować. W tym oczywiście spoglądam z ogromną uwagą na Związek Radziecki, ostoję pokoju i socjalizmu, i tę władzę, która w tym kraju jest. Nie bagatelizuję jej. Wręcz odwrotnie, wydaje mi się, że przeceniam jej możliwości. Twierdzę, że przeciwnika należy raczej przeceniać niż nie doceniać, bo potem mogą być przykre rozczarowania. Otóż ta władza oczywiście ma pewne możliwości manewru, na szczęście manewruje dla siebie ciągle głupio i źle, i ona może jakoś tam przez jakiś czas, to represjami, to strachem, to tym, to tamtym, to owym... Ale przypominam to, co ja powiedziałem przedtem – w którymś momencie gdzieś się zacznie. Po prostu liczę na to. Liczę na to, że oni gdzieś popełnią błąd...

Liczy pan na to, że po prostu w pewnym momencie Związek Radziecki jak gdyby uzna tę naszą wewnętrzną polską specyfikę, to nasze dążenie i zaakceptuje. Bo innej logiki jak gdyby nie ma. Chyba, że logika taka, że to się rozpadnie, to imperium.

Można i o tym myśleć, ale nie myślmy o takich wielkich rzeczach. To byłby oczywiście ideał. Jeżeli założyć, że Rosjanie nie idą na rozwiązania typu wojennego, jeżeli idzie o Zachód, że im zależy na jakimś dogadaniu się z Zachodem i jeżeli wybuch, który będzie miał miejsce w Polsce, będzie stosunkowo krótki, i w czasie tego wybuchu uda się społeczeństwu jak najwięcej zdobyć... Na przykład ideałem byłoby, gdyby siły niezależne w Polsce zdobyły władzę. To ja myślę, że wówczas Rosjanie będą mieli do wyboru albo interweniować albo rokować.

I co pan myśli, że co wybiorą?

Ja myślę, że wybiorą rokowania.

Jeszcze ani razu tak nie zdarzyło się w historii stosunków z sojusznikami.

Bo ani razu jeszcze nie było takiej sytuacji, żeby ktoś opanował powstanie. Ja nie proponuję posługiwania się tu przykładem węgierskim i czeskim. Z bardzo prostej przyczyny. Otóż między Węgrami i Czechami a nami jest taka różnica, że tam na czele tych procesów, które się działy, stała jakaś światlejsza część partii komunistycznej. I w związku z tym wystarczyło zamknąć kierownictwo partii, to znaczy Nagya i innych w Budapeszcie, czy Dubčeka i innych w Pradze, i kończyło się wszystko. Otóż u nas niech zamkną kierownictwo partii, proszę bardzo...

Ale Jacek Kuroń mówił, oczywiście, że się pomylił, i on mówił to przecież w końcu, że władza jest nasza, że na ulicy, tylko my jej nie bierzemy, bo nie chcemy prowokować. Były takie buńczuczne fragmenty wypowiedzi Jacka Kuronia.

Jak władzę można brać, to trzeba ją brać.

Były takie. Okazało się, że po prostu ta władza moralnie jest słaba. Według mnie to i tak był cud polityczny, myśmy byli strasznie daleko z tą Solidarnością, jeśli idzie o zbliżenie się do władzy.

Proszę pana, to my byliśmy słabi. Tę władzę można było oczywiście wziąć,

tylko nie było nikogo, kto by się na to odważył. I w rezultacie ta władza została w rękach tych facetów z czerwoną czapeczką, zdaje się tak się mówiło, że zostawimy czerwoną czapeczkę. Otóż ja nie radzę zostawiać czerwonej czapeczki, bo dzięki czerwonej czapeczce zawsze się można utrzymać przy władzy.

Nie sądzi pan, że gdyby doszło do takiego szybkiego przejęcia władzy przez Solidarność, już realnego, to że byłaby po prostu zwykła interwencja?

Myślę, że nie. To jest wróżenie z fusów. To jest kwestia taka, że operacja przeciwko Polsce to jest sprawa bardzo kosztowna, to nie jest Czechosłowacja. Przypomnijmy, że przeciw Czechosłowacji, która wiadomo było, że się nie będzie bronić, wojska czeskie były...

Lechu Wałęsa też mówił, że jak czołgi przyjadą, to kwiat się włoży...

Oczywiście, kwiat i tak dalej. Wiadomo, że kwiaty nie zatrzymują czołgów.

Inni mówili, że butelki. Tylko że butelki się nie mają tych nowoczesnych czołgów, wie pan.

Nawet butelki. Ja panu powiem, że być może towarzysze z naprzeciwnika inaczej by się zachowywali, gdyby wiedzieli, że to nie jest tylko gadanie, że rzeczywiście przygotowane są butelki. Nikt tych butelek nie przygotował.

Ale wie pan, że one się nie mają tych czołgów nowoczesnych?

Może, nie wiem, to coś innego może się da, na wszystko jest sposób. Wie pan, nie o to chodzi. Chodzi o pewien symbol. To znaczy dużo się co prawda mówiło różnych rzeczy i często głupstw, ale przeciwnik doskonale wiedział, że Solidarność, że opozycja się do czegoś takiego nie pali, nie przygotowuje. Widzi pan, kiedy oni atakowali zakłady 13 grudnia, to oni wiedzieli, że ludzie się nie będą bronić, że będą siedzieć...

Powiem panu więcej, z tego co ja domniemuję, to spodziewali się większych ofiar.

Otóż to, oni się spodziewali czegoś znacznie gorszego. Otóż widzi pan...

Ale ofiar o wiele większych.

Tak.

Nie tego, że przegrają, ale o wiele większych ofiar po stronie nas, społeczeństwa.

Tak, no i po stronie ich.

Z tym się tak bardzo nie liczyli.

Ja nie wiem. To jest kwestia tego rodzaju, że nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy Rosjanie by nie interweniowali, czy nie, możemy kalkulować, polityka to jest kalkulacja i przekonanie.

Pańska kalkulacja jest taka, że oni by nie weszli, że zostawiliby Polskę dla nas?

Sądzę, że trudno byłoby im wejść. Po pierwsze oni są tutaj...

Po pierwsze dlaczego.

Po drugie to musiałaby być bardzo duża operacja.

Wojskowa, techniczna?

Wojskowa, techniczna. To znaczy przeciwko Czechom skierowano 800 tysięcy wojska, Czechy, jak wiadomo, są 2 razy mniejsze niż Polska, i jak wiadomo czeska armia z rozładowaną bronią siedziała w koszarach. Otóż stosunek sił był... tam 200 tysięcy chyba jest tych Czechów, a więc 4:1. Żeby być pewnym zwycięstwa trzeba mieć 3:1 (przy założeniu, że nie będzie oporu). Przy założeniu, że jakiś opór w Polsce by był, a gdyby była rzeczywiście determinacja i wola oporu w społeczeństwie polskim, gdyby oni wiedzieli o tym, że są takie przygotowania, że jesteśmy na to gotowi po prostu, to wówczas musieliby zakładać ten stosunek przynajmniej 4:1. Biorąc pod uwagę, że siły Ludowego Wojska Polskiego, podają źródła zachodnie, liczą 300 tysięcy, myślę, że trochę więcej, no to trzeba półtora miliona żołdatów do takiej operacji. To jest duża operacja.

Nie znam się na tym, ale jak pan przewiduje, ile to by dni zajęło sojusznikom, żeby opanować wojsko polskie?

Jeżeli by tylko jechali, no to około dwóch tygodni.

Aż tak długo?

Tak. Bo trzeba pamiętać, że nowoczesna armia musi mieć zaopatrzenie, muszą się skoncentrować wojska, poza tym nie można ogołocić z wojsk NRD myślę, przynajmniej tak dokładnie, trzeba przeprowadzić mobilizację, i tak dalej, i tak dalej

Ale zdaje pan sobie sprawę, że w tym momencie jesteśmy jakby już w najbardziej delikatnym i najsłabszym punkcie pańskiej argumentacji. Bo to, co pan mówi, opiera się tylko na tym – „Ja myślę, że by nie wkroczyli”. Ale doświadczenia historyczne wskazują, że wkraczali.

Wszędzie?

Wkraczali.

Do Jugosławii nie wkraczali. Do Albanii, do Chin też nie wkroczyli. Bo duże, a Jugosławia była daleko? A Albania, która była taka malutka?

Nie, co tam Albania.

A w Egipcie też nie interweniowali, jak sobie przypominam

Ale czy zgadza się pan, że tutaj jest słaby punkt...

Nie, nie zgadzam się.

Czyli liczymy na to, że Związek Radziecki po prostu nie kiwnie palcem i pozwoli ukształtować polską władzę?

Tak nie powiedziałem.

Ja panu powiem, gdyby takie były intencje, to po pierwsze – nie sędzę, żeby Jaruzelski interweniował w sprawie Solidarności, a po drugie – byłoby bardzo blisko tego jakiegoś porozumienia, tej władzy solidarnościowej.

Dlaczego interweniował?

Interweniowali tylko dlatego, poprzez Jaruzelskiego, bo po co mieli sami.

Ależ oczywiście.

Doszli do takiego wspańskiego opanowania Polski, że nie muszą sami interweniować.

Oczywiście, nie muszą sami. Ale pytanie, czy mogliby sami...

Dlatego tu jest taki słaby punkt w tym rozumowaniu.

On jest równie słaby w pańskim zarzucie. Bo pan nie ma również żadnych argumentów na to, żeby powiedzieć, że oni są w stanie interweniować. Ja nie powiedziałem, że oni nie będą interweniować, ja powiedziałem, że z tego, co przypuszczam, oni nie powinni interweniować, albo że nie będą mieli okazji do interwencji, możliwości interwencji.

Ale będą chcieli.

Chcieć to oni może by i chcieli, tylko w polityce się robi to, co można, a nie to, co się chce.

Jeśli by się znaleźli w takim układzie jakimś międzynarodowym...

No właśnie, przecież wiele rzeczy wpływa na tę Rosję. Pamiętajmy, że między 1968 rokiem a 1980 którymś wiele rzeczy się zdarzyło, ta Rosja też się zmienia, jeśli idzie o konfigurację, układ sił i jej możliwości. Raz ona może, raz nie może.

Już żeśmy poszli bardzo daleko. Streszczając to, zgodzi się pan, że w pańskim rozumowaniu, które jest bardzo efektowne, które akceptuję, na końcu jest moment tego typu, że po prostu rozstrzygnięcie siłowe, konfrontacja siłowa między społeczeństwem a blokiem – jawna konfrontacja z blokiem.

My tego nie unikniemy.

Ale zgadza się pan, że u końca rozumowania tego jest to?

Tak, Polska będzie wtedy wolna, kiedy odzyska niepodległość, a na pewno odzyskanie niepodległości przez Polskę nie będzie w smak temu blokowi. Otóż jeżeli uznamy, że program niepodległościowy jest nierealny i nie warto o to strzępić jęzora, to ta zabawa w ogóle jest bez sensu. Bo wtedy największe możliwości jakieś tam wynegocjowane, wymanewrowane jakieś wolności, oni panu po sezonie politycznym odbiorą, jak się umocnią, i będzie pan znowu siedział w tym samym. Ich już było tak dużo, proszę, przyjechały czołgi i guzik, nic nie ma.

Czyli nasze rozumowanie, czy nasza największa nadzieja opiera się na tej konfrontacji siłowej. Ale z kolei jak popatrzymy na mapę, jak popatrzymy na wypowiedzi na przykład polityków zachodnich, weźmy Brzezińskiego, to nikt rozsądny z Zachodu nie wierzy w siłową wygraną Polski...

Mój Boże, a któż w 1914 roku wierzył, że Polska będzie niepodległa? Czytałem taki list chyba z 1913 roku. Pisze facet o różnych rzeczach (w Zakopanem się to dzieje)... i pisze jest tu taki facet, komendant Piłsudski, z takimi chłopakami, co wystrugane karabiny mają i bawią się w wojsko, to jest rzecz niepoważna i śmieszna. Oczywiście, wtedy to mogło wyglądać niepoważnie i śmiesznie, kto przypuszczał, że będzie...

Nikt nie przypuszczał, że będzie Solidarność.

O właśnie, jesteśmy w domu!

Muszę rozmówcom czasami pomagać.

Na tym polega współdziałanie różnych kierunków i odłamów, które w wolnej Polsce musi zakończyć się w parlamencie jakimś wspólnym głosowaniem nad ważnymi sprawami. Studenci w maju 1968 roku w Paryżu, pisali takie hasła „Bądźcie realistami, żądajcie rzeczy niemożliwych”. Ja myślę, że...

Wprawdzie teraz obrośli tłuszczem...

Bo zawsze się obrasta tłuszczem.

Prowadzą te swoje manufaktury.

Tak, na szczęście oni nie muszą odzyskiwać niepodległości. My nie możemy prowadzić manufaktur, pan gdyby nawet chciał...

Nie dam rady.

Nie da rady, nie robi pan dziennika, który będą kupowali, ni cholery. Ja żebym nie wiem jak chciał, to prawnikiem w tym interesie nie będę, bo to prawo jest takie, że Jezus Maria, lepiej nie mówić. Więc co ja mogę. Czy ja mógłbym być na przykład prokuratorem? Nie. Czy ja mógłbym być sędzią? Nie. Radcą prawnym, co, oszukiwać innych? Więc nie. Otóż my jesteśmy w innej sytuacji, oczywiście, nami kierują jakieś nadzieje, my przekonaliśmy się na własnej skórze, że rzeczy niemożliwe stają się rzeczami możliwymi. Co to było do ciężkiej cholery, przepraszam, to był sen złoty? Tak jakoś przeleciało i nie ma nic. Nie, są fakty na to. Jeżeli ktoś nie wierzy, niech pojedzie do Gdańska albo do Poznania, popatrzy sobie na pomnik. On jest! To stanęło wbrew tej władzy! I popatrzcie jaka ona jest słaba, ona ten pomnik by chętnie zniszczyła, ale nie może, a on stoi. Otóż myślę, że taki pomnik gdański jest w każdym z nas, i tego ta władza już nie może ruszyć. A skoro on jest w każdym z nas, to któregoś dnia w tej Polsce stanie pomnik znacznie większy, którego też nie będzie można ruszyć. Głęboko w to wierzę, ja myślę, że oni nie będą w stanie tego ruszyć. Powiedziałem, polityka to jest kwestia siły. Oni muszą wiedzieć, że my jesteśmy zdeterminowani, że my się ich nie boimy. Oni muszą wiedzieć, że my jesteśmy gotowi na wszystko. Piłsudski powiedział: ludzie by chcieli, żeby niepodległość Polski była możliwa za parę kopiejek, tak jakoś tanio. Wielkich rzeczy, proszę pana, nie kupuje się małą cenę.

Tak, ale był jednak, powiedzmy sobie szczerze, poza tym, nie negując absolutnie, był układ, gdzie nasi...

układ, układ, zawsze jest jakiś układ.

Układ międzynarodowy, był wspaniały.

Wspaniały, wspaniały, wspaniały. A gdyby w tym wspaniałym układzie Francuzi się nie zachowali?

Jeśli na Jałtę teraz popatrzymy, na stosunek zachodu do Jałty. Czy widzi pan nadzieję?

Widzę nadzieję, oczywiście.

Czy po prostu upchnięcie nas w konieczności geopolitycznej?

Nie, nie. Myślę, że Zachód też się już zorientował na czym ta zabawa polega. Z tym, że Rosjanie nie dotrzymują układów.

I tu jesteśmy znowu przy bardziej realnym nurcie rozmowy.

Otóż to. Nasze zwycięstwo, jeżeli ono nastąpi, ja twierdzę, że ono nastąpi, będzie wtedy, kiedy my, po pierwsze – pozbędziemy się złudzeń co do tego, że można znaleźć jakiś *modus vivendi* z tym interesem, który nas otacza, i że można... pamiętam, były jakieś takie pomysły, że to jakaś taka Finlandia, czy coś tam może być. Niestety, to wszystko jest niemożliwe. Ja powiedziałem, że jestem moralistą, że chcę politykę traktować realnie, otóż kiedy pada słowo realista, to się Polakom na ogół źle kojarzy. Dlatego, że u nas, nie wiem dlaczego, słowo realizm zostało przyczepione do ludzi, którzy nigdy nie byli realistami.

Do oportunizmu.

Można uważać oportunizm za metodę na załatwienie czegoś, ale ja mówię o tych tak zwanych realistach sztandarowych, Wielopolski margrabia, czy w innym układzie Roman Dmowski, jako ci realiści. Otóż okazuje się, że ci realiści są realni, kiedy oceniają te wszystkie zewnętrzne uwarunkowania i w swojej polityce starają się tak tę koncepcję konstruować, żeby ona te realia uwzględniała. Sympatyczny i przeuroczy Stefan Kisielewski zdaje się miał taką koncepcję, żeby rozmawiać z Rosjanami za plecami partii komunistycznej. He, he, he...

Już się spieszą. To już by rozmawiali z Wałęsą.

A po co? Oni będą gadać wtedy, jak nie będzie komu odbierać telefonów w Warszawie, a dopóki jest komu odbierać, to oni będą rozmawiali z kimś, który słucha telefonu. Otóż ten realizm jest tak realistyczny, że myśli o wszystkich realiach, tylko zapomina o jednym podstawowym – mianowicie o Polakach. Jeżeli chce się prowadzić politykę realistyczną i chce się być realistycznym po-

litykiem w naszym kraju, to trzeba pamiętać kim są Polacy, jakie są ich emocje i nastroje. To w polityce wbrew pozorom jest bardzo realny element. Po co Piłsudski mówił o imponderabiliach? Są to rzeczy takie, których zważyć, zmierzyć nie można, a stoją faceci i „wyciągają zajączka” wszyscy, „Boże Ojczyznę wróć nam Panie wolną” śpiewają. Jak wolno było, to się okazało, że i Matka Boska się pojawiła na sztandarach, Bóg, Honor, Ojczyzna i krzyż, i orzeł w koronie, i tak dalej, i tak dalej. Otóż można sobie z tego dowcipkować, ale nie można tego lekceważyć. To jest realne. Jeżeli w koncepcji politycznej zapomina się o tym, to się nie jest realistą. Margrabia Wielopolski o tym zapomniał. Zastanawiał się jaki jest układ kamaryli na dworze carskim, co car może, i z którym trzeba wypić ministrem, z którym pogadać, a zapomniał o tym, że jak zrobi brankę, to mu powstanie wybuchnie.

To co pana łączy z tym nurtem jak gdyby narodowym, jeśli tak pan trzeźwo ocenia na przykład Dmowskiego.

Z nurtem narodowym? Zależy co pan rozumie przez nurt narodowy?

Bo w pewnym momencie pan powiedział, że KOR to nie była ta ścieżka, która pana interesowała politycznie. Więc jak by pan się usytuował między tym skrótem, którym w Polsce się posługuje jak wytrychem, obóz narodowy, nacjonalistyczny a KOR...

Panu chodzi o to, jak by to zrobić, żeby z tej przeszłości takie te...

Jakieś wątki do wzięcia.

Uważam się za konserwatystę w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. Czuję się takim konserwatystą, powiedzmy, jak amerykańscy republikanie, czy brytyjscy konserwatyści. Uważam, że należy iść naprzód, nie zapominając o tym skąd się wyszło i co się ze sobą niesie. Nie jestem zwolennikiem koncepcji endeckiej, dlatego że Roman Dmowski dla mnie, jak powiedziałem, nie był politykiem realistycznym. Niech pan zauważy, że on co pewien czas wygłaszał pewne poglądy i zmieniał je, natomiast cała droga życiowa Romana Dmowskiego jest usiana jego zwolennikami, którzy zostali na jakimś etapie jego poglądów. Była tak zwana stara endecja, potem była młoda endecja, po-

tem była jeszcze młodsza, i tak dalej, i tak dalej. Było takie skrzydło, które poszło w kierunku sanacji i było takie skrzydło, które poszło w kierunku wręcz odwrotnym, i nawet PAX jakoś się z tego wziął po drodze. Nie jestem zwolennikiem koncepcji endeckiej, również i dlatego, że koncepcja endecka, jak wiadomo, w gruncie rzeczy przekreśla to, co było w Polsce naprawdę wielkie. Powiem rzecz straszną dla Narodowych Demokratów, ale rzeczą wielką w naszej przeszłości była wielonarodowa Rzeczpospolita. Otóż koncepcja endecka to przekreśla. Weźmy antysemityzm – jeżeli Dmowski coś takiego w ogóle zacząć poważnie rozpatrywać w kategoriach jakichś koncepcji politycznych, to jest dla mnie paranoja.

Oczywiście.

Mam w sobie, w swoich żyłach, sporo krwi rosyjskiej. Czy z tego powodu ja mam się czuć gorszym Polakiem? Czy mam prawo odmawiać polskości, czy podejrzewać kogoś o gorszy gatunek polskości dlatego, że ma inną krew w żyłach? Artur Oppman piękny wiersz kiedyś napisał – tam się powtarzał taki motyw, za kroplę niemieckiej krwi w moich żyłach powinienem bardziej stać w bitwach. On czuł dziedzictwo niemieckie a jednocześnie czuł się Polakiem. Ktoś inny może czuć dziedzictwo żydowskie i też czuć się Polakiem. Ktoś inny może czuć dziedzictwo ukraińskie i też może być Polakiem. Ktoś inny może być po prostu Ukraińcem, Żydem, Niemcem i jednocześnie być lojalny wobec Rzeczpospolitej, bo u nas tak było.

Było tak.

To zostało zniszczone. Przecież to nacjonalizmy po I wojnie światowej (polski nacjonalizm, ukraiński nacjonalizm, litewski) spowodowały, że nie odrodziła się Rzeczpospolita. A gdyby się Rzeczpospolita odrodziła, to nie byłoby tego co mamy, bo byłoby to państwo nie do ugryzienia. Józef Piłsudski – ciągle się na niego powołuję, bo jest to człowiek dla mnie najbliższy ideowo, czuję się z nim najmocniej związany i uważam, że to nie jest tylko sentyment do historycznej postaci, uważam, że to jest koncepcja aktualna i słuszna politycznie – otóż Józef Piłsudski powiedział w pewnym momencie: ja przegrałem swoje życie, bo nie udało mi się stworzyć federacji. Dlatego powiedziałem, że jestem

przeciwny koncepcji endeckiej, bo ona przekreśla to, co było wielkie. My jesteśmy narodem zbyt małym, aby można było na zasadach nacjonalistycznych egzystować. My możemy tylko wtedy być wielkim narodem, jeżeli będziemy otwarci, jeżeli będziemy przyjmować od innych, jeżeli nie będziemy zamknięci w sobie, nie będziemy się bali po prostu. Rzeczpospolita taką była. Chciałbym, jeżeli tutaj już o tym mowa, żeby nam się to ziściło. Dlatego dużo rzeczy się stało złych, my wiemy doskonale, że wyrzynaliśmy się nawzajem z Ukraińcami, ale o ile dobrze pamiętamy to, że Ukraińcy piłami tam gdzieś naszych rodaków przycinali, to słabiej już pamiętamy, że w 1921 roku, podpisując układ pokojowy z Rosją radziecką, zdradziliśmy naszego sojusznika ukraińskiego. Zdradziliśmy. Ukraińcy zostali wystawieni do wiatru. Nie było ich wielu, można powiedzieć, ale walczyli po polskiej stronie i wystawiliśmy ich do wiatru. Oczywiście, że można powiedzieć, że żydowska mniejszość w okresie międzywojennym była w swojej masie państwu polskiemu niechętna. Był to potężny problem. Trudno powiedzieć jak on by się rozwiązał. Wiadomo było, że komuniści, partia komunistyczna w głównej mierze czerpała swój aktyw z szeregów ludzi, którzy byli pochodzenia żydowskiego. Wiadomo, że po wojnie w szeregach MBP było bardzo wielu Żydów. Ale z drugiej strony pamiętamy, że w getcie warszawskim wisiały dwie flagi: polska i żydowska. I pamiętamy, że wśród obrońców getta byli Żydzi, żołnierze polscy, była Żydowska Organizacja Bojowa, ale był też Żydowski Związek Wojskowy związany z Armią Krajową. I ci ludzie pod flagami Rzeczypospolitej walczyli, pamiętamy o tym. Musimy pamiętać również i o Niemcach. Byli Niemcy, którzy zdradzili, byli piątą kolumną. Miałem taką przykrą sytuację sam, bo ulegałem temu schematowi. Byłem gdzieś w Wielkopolsce w jakimś miasteczku i w pewnym momencie patrzę, że jest grobowiec i jest tam Niemiec pochowany. Coś tam powiedziałem. „Niech pan tak nie mówi”. „Dlaczego?”. „Dlatego, że on w 1939 roku przeciwstawił się Niemcom, powiedział, że jest Polakiem i został rozstrzelany, ten Niemiec”. Czy ja mam o takim człowieku zapomnieć? Otóż mnie te wszystkie sytuacje przecina koncepcja endecka. Dlatego powiedziałem, że nie mogę się na nią zgodzić. Z drugiej strony nie jestem socjalistą, nie mam przekonań lewicowych i dlatego mogę z Jackiem Kuroniem rozmawiać sympatycznie, lubię go, to jest inteligentny człowiek, ma ogromne zasługi, ale jednocześnie nie będę, że tak

powiem, w jego ekipie. Z tej prostej przyczyny, że po prostu to nie jest moja parafia.

Jakie słabości pan widzi tego nurtu lewicowego, socjalistycznego?

Podstawowa słabość jest chyba taka, że socjaliści w Polsce dali się komunistom ograbić z socjalizmu. W związku z tym, jak ktoś mówi „socjalizm”, to musi mówić – „Ale to prawdziwy socjalizm”. I już w tym momencie to jest przegrana dla mnie. Bo jeżeli tłumaczę swoje przekonania, że są prawdziwe, bo tamte są nieprawdziwe, to jestem już przegrany. Druga kwestia – sądzę, że współcześnie socjalizm jako pewna koncepcja się nie sprawdza.

Socjalizm ten na Zachodzie, tak?

Tak! Tak czy inaczej te koncepcje socjalistyczne powodują pewną degradację w społeczeństwie. Opieka społeczna, to wszystko, to są rzeczy dobre, ale z drugiej strony jeżeli pójdzie się w te kwestie za daleko, to staje się to, co się staje. To znaczy, na przykład, to jest ochrona wałkoni i leniów. Nie ma tego impulsu, żeby człowiek chciał coś zdobywać. Bo są tacy, którzy zadowolają się minimum i wałkonią się po prostu. Te zjawiska wystąpiły w skali masowej na Zachodzie, one u nas nie występują. Dlaczego? Dlatego że u nas ci ludzie są po prostu biedni. Dlatego gdybym powiedział, że w tej chwili trzeba zrobić jakieś tam cięcia socjalne, to bym wyszedł na wariata. Oczywiście, że nie wolno takich rzeczy robić, bo nasze społeczeństwo jest biedne. Ono się musi najpierw wzbogacić, musi dojść do jakiegoś poziomu dobrobytu, a dopiero potem trzeba zastanowić się, jak te kwestie rozwiązać. Droga jest do tego daleka. Dlatego nie czuję się psychicznie zdolny do tego, żeby być w koncepcjach, które Jacek Kuroń reprezentuje, one są po prostu inne. Natomiast chcę ten wątek zakończyć takim małym kalamburem, jeżeli pan pozwoli. Otóż przed laty, pamiętam, zostałem aresztowany na 48 godzin, i wieziono mnie do jakiegoś aresztu na Pradze. Funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, który mnie wiozł powiedział mi: „No, proszę pana, wy tu na nas narzekacie, i tak dalej, ale przecież my będziemy wam potrzebni”. Tu mnie zaskoczył, pytam – „Dlaczego?”. „Bo proszę pana, bo jeżeli wy dojdziecie do władzy, to trzeba będzie Kuronia zamknąć”. „Dlaczego?” „Dlatego, że to jest wasz przeciwnik polityczny”. „Ow-

szem, to jest nasz przeciwnik polityczny, ma inną koncepcję oczywiście, tylko wie pan, do tego policja nie będzie w ogóle potrzebna”. „Dlaczego nie będzie potrzebna?” „Bo widzi pan, w demokratycznych krajach to jest tak, że jest parę partii politycznych i powiedzmy pan Kuroń będzie miał swój program, pan Moczulski swój, my będziemy mieli swój program, jeszcze ktoś inny program, i my te programy przedstawimy społeczeństwu, wyborcy będą wybierać, i jeżeli wybiorą program Jacka Kuronia, to on sformuje rząd, a my będziemy siedzieli na ławach opozycji i głosowali przeciw. A jeżeli my wygramy, to my sformujemy rząd, a Jacek Kuroń będzie siedział na ławach opozycji i głosował przeciw. A do tego nie będzie w ogóle potrzebna policja”. Ten człowiek tego nie zrozumiał. Ale myślę, że czas, żebyśmy to my rozumieli.

Czym się różni pan od koncepcji Leszka Moczulskiego? Bo słyszeliśmy, że jak gdyby się wasze drogi trochę rozeszły.

Nie różnię się, jeżeli idzie o przekonanie niepodległościowe. Na pewno nie różnię się jeżeli idzie o koncepcję. Sądzę, że nastąpił czas, aby koncepcje polityczne były bardziej zdefiniowane ideologicznie. Jak powiedziałem, że uważam się za człowieka prawicy, za konserwatystę, myślę, że dość jasno wytłumaczyłem za jaką prawicę się uważam. Usiłuję coś w tym zakresie robić i myślę, że jest czas w tej chwili na to, aby siły polityczne, jeżeli takowe istnieją w Polsce, nawet zarodki tych sił, żeby formułowały takie wyraźne programy, bo być może społeczeństwo będzie mogło do nich w przyszłości sięgnąć, to trzeba robić. Konfederacja Polski Niepodległej w mojej opinii jest zjawiskiem innym, ponieważ tam jak wiadomo założono pewien pluralizm, że tam faktycznie od narodowej demokracji do socjalizmu, mieszczą się wszyscy, którzy są za niepodległością. A więc jest to partia polityczna wielonurtowa. W praktyce okazało się, że nie bardzo nam to wyszło. To znaczy, że te różnice ideologiczne, o których ja mówię, one zaczęły schodzić jakby na dalszy plan, zaczęła zwyciężać jedność organizacyjna. I Konfederacja akcentując w swoim statucie, w swoich dokumentach, tą wielonurtowość, de facto tak jakby w praktyce ją gubiła. Sądzę, że nie bez powodu tak się działo, bo zawsze pewne więzy organizacyjne z czasem zaczynają wytwarzać taką wspólnotę, że zaczyna się również upodabniać sposób myślenia i to staje się jakoś jednolite. Myślę, że Konfederacja stoi

w obliczu jakiejś takiej definicji własnej ideologii, poza niepodległościową, bo niepodległościowców to w tej chwili jest wielu, a tu chodzi o skonkretyzowany program. My żeśmy taką koncepcję już wybrali, mówię ja i moi przyjaciele...

Czyli poza KPN-em?

Tak, poza KPN-em. Jeżeli nie powiem, co żeśmy wybrali i jak żeśmy to wybrali, to dlatego, że jest to odpowiedź na pytanie, które mi może postawić pan prokurator, a ja nie chcę panu prokuratorowi odpowiadać na pytania, korzystam z możliwości, które przewiduje kodeks postępowania karnego

Ja nie pytam.

Oczywiście ta koncepcja nie będzie tajemnicą, ona się tam pojawi. Jak powiedziałem, nie chcę odpowiadać na pytania pana prokuratora przy okazji tego, co robię, jeżeli coś robię. Druga kwestia...

W każdym razie wasze drogi jakby definitywnie się rozeszły?

Tak. To znaczy obaj jesteśmy niepodległościowcami i sądzę, że widzimy się jako sojusznicy na pewno, natomiast mamy odmienne koncepcje jeżeli idzie o formułę pracy organizacyjnej. Powiem tak, że zaniepokoiło mnie również trochę to, że wokół Leszka zaczęła się tworzyć atmosfera wodzowska. Chcę być dobrze zrozumiany, oczywiście, że przywódcy są wszędzie potrzebni i zawsze, tylko boję się sytuacji, w której przywódca staje się wodzem. Bo jak wiadomo z wodzem się nie dyskutuje, wodza się słucha. Otóż Józef Piłsudski też był wodzem, ale pamiętamy, że był wodzem w wygranej wojnie. W polskich warunkach wodzowie, którzy się ogłaszali wcześniej, zwykle kończyło to się smutno. Przypominam karierę Ludwika Mierosławskiego, to był dyktator, któremu nic się nie udało. Otóż Józef Piłsudski odwrotnie, nie ogłaszał się wodzem, ogłaszali go wodzem jego podkomendni. Powiedziałbym nawet, że jemu to tak nie bardzo i pasowało, on tam się bronił z tym, w ostatnim okresie życia był dość zgryźliwy i nieprzyjemny, bo mówił, że wszy go oblaży. Tak nazywał tych wszystkich, którzy mu kadzili i którzy to jego wodzostwo wynosili pod niebiosa. Niemniej jednak mówię, Józef Piłsudski został wodzem po wygranej wojnie. I ja myślę, że my też będziemy mieli wodzów, że będzie w Polsce wódz na

pewno po wygranej wojnie. Myśmy tej wojny jeszcze nie wygrali i nie wiemy kto tym wodzem będzie. Otóż to mnie troszkę tak, muszę powiedzieć w moich kontaktach z Leszkiem, zaczęło jakoś tak dźwięczeć inaczej.

To znaczy poszedł pan do opozycji na znak protestu przeciwko totalitaryzmowi, nie dyktaturze, nie chciał pan być pod dyktatorem w opozycji, tak?

Coś takiego. Widzi pan, istnieje na ogół przekonanie dość powszechne, że dyktatura jest sprawną formą rządów, natomiast demokracja to takie jest rozmemłanie, takie to, takie tamto. Otóż to po pierwsze jest nieprawda, bo istnieją systemy demokratyczne, które są bardzo sprawne. A po drugie – dyktatura może jest i sprawna na krótki okres czasu, ale dyktatura ma to do siebie, że chce mieć podwładnych, a podwładni myślą tylko na rozkaz. Natomiast demokracja mając ludzi wolnych, pozwala im myśleć, i demokracja naprawdę tworzy prawdziwe wartości. I w ciągłości historycznej widać, że to systemy demokratyczne zwyciężają, a nie dyktatorskie. Dyktatury trwają dłużej, krócej, ale zwykle muszą błagać demokrację o pomoc. Przykład sytuacji Związku Radzieckiego, technologii, i tak dalej, i tak dalej. Przypomnijmy sobie sytuację, Polska międzywojenna po dwudziestu latach była w stanie produkować i tworzyć nowoczesną myśl techniczną, nie było tej luki, jeżeli idzie o czołówkę światową. Przypomnijmy, że była telewizja przed wojną w Polsce, w warunkach eksperymentalnych, ale była, przecież to była ogromna nowość. A jakość produkowanych polskich samochodów? To wszystko było bardzo nowoczesne. Natomiast po czterdziestu latach w Polsce Ludowej trzeba było sięgnąć po licencje do krajów demokratycznych. Dlatego mówię, że jestem zwolennikiem silnych, sprawnych rządów, jestem zwolennikiem władzy, która ma kompetencje. Ale jednocześnie uważam, że tylko demokracja jest w stanie tworzyć trwałe wartości. Chciałbym, żeby Polska tworzyła trwałe wartości i w związku z tym tylko demokracja, moim zdaniem, jest rozwiązaniem i skutecznym sposobem na rządzenie Polakami. Polacy ze swojej natury są antydyktatorscy. Piłsudski jeżeli coś w swojej opinii stracił, to wtedy, kiedy czynił takie gesty dyktatorskie. Jego wielkość w tej chwili jest niekwestionowana, ale były okresy, kiedy był krytykowany. Otóż poszedłem do opozycji dlatego że nie godziłem się na

to, żeby dyktatura mną, moimi współrodakami rządziła. I wcale nie sądzę, żeby można było dżumę leczyć cholera. Nie twierdzę, że coś takiego stało się w przypadku Leszka Moczulskiego, twierdzę tylko, że zarysowało się w moich oczach pewne niebezpieczeństwo. My byliśmy w więzieniu, razem robiliśmy różne rzeczy, byliśmy bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni. Myślę, że to wytrzyma próbę czasu, chciałbym zresztą, żeby tak było. Ale nie przysięgaliśmy sobie dogonnej miłości, każdy ma własne poglądy, demokracja polega między innymi na tym...

W każdym razie nie przysięgaliście sobie posłuszeństwa ślepego.

Tak, oczywiście, na pewno nie.

Kończąc tą szalenie interesującą rozmowę, to jeszcze takie pytanie – jak pan widzi przyszłość Solidarności, jak ocenia pan realną siłę Solidarności obecnie?

Solidarność – po pierwsze – istnieje. Po drugie – jestem przekonany, że Solidarność będzie. Przy czym Solidarność będzie jako duży związek. Natomiast, jeżeli to będzie tylko związek, to będzie wielkim nieszczęściem. Dlatego że, jak to ktoś mądry mówił, wszystko jest polityką, ale na szczęście polityka nie jest wszystkim. My musimy mieć świadomość, że bez polityki my naszych problemów nie rozwiążemy. Nie rozwiążemy tego przy pomocy jakichś takich zabiegów związkowych. Żeby zakończyć to, o czym mówimy, to przedstawię może panu mój własny pogląd na to jak klasyfikuję siły polityczne w Polsce, które funkcjonują, i co z tego wynika dla nas.

Bardzo interesujące, tym bardziej, że wielu ludzi już w tym się troszeczkę gubi.

Istnieją generalnie 3 koncepcje, i tym koncepcjom podporządkowują się, czy w ramach ich działają różnego rodzaju ugrupowania, mniejsze, większe, zespoły ludzi, czy pojedynczy ludzie. Wszystkie te koncepcje w jakimś sensie chciałyby niepodległości. Przy czym jedna koncepcja (do niej należę), jest wyraźnie niepodległościowa i mówi, że to wszystko zależy od tego, czy odzyskamy niepodległość. W związku z tym trzeba wszystkimi drogami zmierzać

do niepodległości. Niepodległość już teraz. Mówimy o tym, bo to jest nam potrzebne.

Natomiast dwie pozostałe koncepcje mają trochę inny wymiar.

Najważniejsza z nich i bardzo wpływowa, to jest koncepcja, którą bym nazwał tak, to jest koncepcja poszukiwania *modus vivendi* z władzą, albo też lojalnej współpracy niezależnej struktury z władzą. Co przez to rozumiem? Otóż ludzie, którzy mają doświadczenie głównie poprzez swoją współpracę z Kościołem, mam tu na myśli działaczy KIK-u, mam tu na myśli ludzi, którzy tak czy inaczej nazywamy inteligencją katolicką, w tym bardzo wąskim rozumieniu tego słowa, czyli publicyści i tak dalej, otóż oni obserwując sytuację Kościoła w Polsce powojennej wysnuli wniosek, że skoro uchowała się struktura niezależna, jaką jest Kościół, o której wiadomo, że do władzy się nie miesza, bo nie zamierza władzy odbierać, ale jednocześnie ma własne zdanie, to prawdopodobnie istnieje też możliwość, jeżeli taką lojalną współpracę, w dobrze rozumianym tego słowa znaczeniu... Wiadomo, że to jest lojalny partner i że nie oszuka, to co mówi, to robi, bo na tym polega lojalność, a nie na lojalizmie, to znaczy, że trzymam się klamki. Lojalizm polega na tym, że ja mówię kontrpartnerowi: zrobię to i to, jeżeli ty to i to. Więc ludzie ci prawdopodobnie uważają, że można inną instytucję stworzyć, oni uważali, że taką instytucją będzie NSZZ „Solidarność”. Że związek nie miesza się do polityki, nie chce władzy, natomiast walczy o interesy świata pracy, jest niezależną instytucją, kierowaną przez ludzi, którzy są demokratycznie wybrani, ale jednocześnie jest lojalny wobec tej władzy. I ja myślę, że Lech Wałęsa tej koncepcji w jakimś sensie uległ, może nawet ulega nadal. No i oczywiście skutkiem tego byłyby jakieś rozmowy, to znaczy tamta strona musi zagwarantować, że będzie respektować niezależność, a ta strona z kolei zagwarantuje, że tę niezależności nie wykorzysta w złym kierunku.

Drugi kierunek to jest kierunek, który rozumuje w ten sposób, że można opanowując różnego rodzaju sfery życia społecznego stworzyć taką siłę, że zmusi się władzę do oddania części imperium, części swojego władztwa. I to się wyraziło w koncepcji – zostawimy im czerwoną czapeczkę, to znaczy MSW, MON i MSZ, a reszta będzie nasza. Gospodarkę, dłaczego, dlatego że my tą gospodarką będziemy lepiej zarządzać, w interesie tego państwa i żeby gospo-

darka dobrze funkcjonowała, w interesie społeczeństwa. Dlatego, że jeżeli my będziemy tym zarządzać, to i zachód będzie inaczej reagował, będzie większa swoboda, większa liberalizacja związku, i tak dalej, i tak dalej. A więc trzeba was zmusić do tego, żeście część tej władzy oddali, bo to jest w waszym interesie. Chyba Jacek Kuroń taką koncepcję w jakimś sensie formułował.

No i ta trzecia koncepcja, o której mówiłem, to jest koncepcja niepodległościowa. To znaczy w sytuacji sprzyjającej, przy pomocy masowego wybuchu, przy pomocy zorganizowanego społeczeństwa po prostu odebrać towarzyszom władzę. To oczywiście ta koncepcja jest najtrudniejsza.

I najbardziej ryzykowna, powiedzmy sobie szczerze.

Tak. Natomiast te dwie są nierealistyczne. To jest moje stanowisko, ja tak uważam, że one są nierealistyczne. Dlaczego są nierealistyczne? Dlatego że po pierwsze mieliśmy 13 Grudnia i stan wojenny i właściwie mógłbym już nic nie mówić. A po drugie – żyjemy w państwie totalitarnym, wprowadzie ten totalitaryzm dość kuleje, i wprowadzie on jest dość bałaganiarski, ale jest to jednak totalitaryzm. Naturą totalitaryzmu jest to, co mówił towarzysz Stalin o garnkach, naturą totalitaryzmu jest kontrolowanie wszystkiego i panowanie nad wszystkim. Ten totalitaryzm może się chwiać i on coś może wypuścić z pyska, ale on będzie się starał to szybko w pysk pochwycić. I zauważmy, że oni wprowadzie nie opanowali dziś Kościoła, ale oni nadal to czynią, oni się z tym nie pogodzili. Oni musieli się wycofać z odcinka kolektywizacji wsi, ale oni z tego nie zrezygnowali. Oni zgodzili się na stworzenie Solidarności...

Na krótko.

Na krótko. Otóż te dwie koncepcje, mam na myśli tę koncepcję lojalnej, nie lojalistycznej, współpracy niezależnych struktur z władzą, i przy pomocy zorganizowanej części społeczeństwa i odebranie części władzy komunistom są – moim zdaniem – de facto winne 13 grudnia. Dlaczego? Dlatego że stworzyły pewną mityczną sytuację. Jakaś część społeczeństwa liczyła na to, że można będzie Solidarność zachować za cenę takich właśnie ustępstw, to znaczy nie mieszania się do polityki, a jakaś część społeczeństwa uwierzyła, że jesteśmy już tak mocni, że możemy od nich żądać, że możemy im więcej zabrać. Natomiast my

byliśmy słabi, zresztą jesteśmy nadal słabi, w tym sensie, że – jak pan powiedział – nasza koncepcja jest ryzykowna. Otóż to, ona jest ryzykowna, sytuacja jest ryzykowna, wszystko co robimy jest ryzykowne. Tylko powstaje pytanie, co w tym wypadku jest bardziej ryzykowne, czy koncepcja niepodległościowa jest ryzykowna, czy koncepcja, zostawiania czerwonej czapeczki?

Znaczą koncepcja niepodległościowa ma swoją logikę wewnętrzną. Tylko że wiemy o tym dobrze, że intelektualiści często ulegają tej swojej wewnętrznej, intelektualnej logice, a życie jak gdyby idzie troszeczkę środkiem.

Tak, oczywiście, życie idzie środkiem.

A jakie są konkretne działania pańskiego programu, które przybliżają rzeczywistości ten cel? Praktycznie już mówiąc, pominąwszy tę ogólną koncepcję, którą tutaj cały czas posługujemy się w rozmowie. Jak w praktyce opór, jaki opór, jaka organizacja, jaka to ścieżka, jak ona ma wyglądać dla człowieka, który nas czyta, zwykłego obywatela?

Niestety muszę tego człowieka, który nas będzie słuchał, rozczarować. Nie dlatego, że nie jestem w stanie odpowiedzieć na pańskie pytanie. Po prostu korzystam z artykułu 175 kodeksu postępowania karnego. Niestety jesteśmy w warunkach, jak by to powiedzieć, jesteśmy na wolnym terytorium, ale funkcjonujemy nie w takich warunkach, kiedy można wszystko mówić.

Rozumiem, ale wróć raz jeszcze do tego, że po prostu niepodległość jest wspaniałym hasłem oczywiście i działa na każdego z Polaków. Tylko że w obecnej sytuacji politycznej świata...

Jest to nierealne...

Czy ekonomicznej, w układzie sił między Wschodem a Zachodem, ten moment jest po prostu, tak jak powiedziałem zawieszony, jak gdyby w przestrzeni i w czasie. Każdy sobie pięknie z Polaków umie tę niepodległość wyobrazić...

Nie widzieli a uwierzyli...

Ale jak ją osadzić w konkretnym czasie, w przestrzeni, to pańska koncepcja jest również pod tym względem trochę nierealistyczna jak te dwie.

Nie, nie powiedziałem, że one są nierealistyczne. Źle mnie pan zrozumiał. One są inne i uważam, że one są w swoich założeniach nieskuteczne. A czy one są nierealistyczne? 13 grudnia dowiódł, że one są nierealistyczne, 13 grudnia nie dowiódł, że moja koncepcja jest nierealistyczna.

No wie pan, gdybyśmy tak prosto zmierzali do niepodległości i gdyby takie możliwości były, mówi pan, że każdy Polak jej chce...

Chce, pan pewnie też?

Ależ oczywiście.

To dobrze, bo już się przestraszyłem...

Każdy jej chce, wie pan. To jeśliby taka sprzyjająca sytuacja, o której nawet mówimy, że jest cudem politycznym, czasy Solidarności z jednej strony, gdzie pokojowo można było brać tę władzę i tę niepodległość a z drugiej strony był 13 grudnia gdzie tutaj pan stawia wyraźnie na pewną konfrontację, gdzie właściwie to społeczeństwo, które tak chce tej niepodległości, mogło jak gdyby, mówił pan nawet o tym, że mogło stawić opór, mogło podjąć walkę i jakoś nie podjęło. Więc ja odwracam pańską sytuację, że jednak i okres Solidarności i 13 grudnia są przeciwko pańskiej koncepcji, bo nikt jej nie wziął.

Nikt jej nie wziął, oczywiście.

Była blisko, nikt nawet 13 Grudnia nie stawiał tego oporu, o którym się rozmawia na przykład z Leszkiem Moczulskim, który mówił, że w pewnym momencie nastąpi taki opór, taka konfrontacja, że po prostu będziemy mieć niepodległość. Ale jak to osiągniemy, to... Całe szczęście, że ma pan tę możliwość, że nie można ujawniać szczegółów, ale w sensie zawartości myślowej, to również wydaje się przeciętnemu myślącemu Polakowi bardzo bliska ta idea niepodległości, ale szalenie jakaś odległa, zawieszona

gdzieś nie wiadomo gdzie, w przestrzeni i w czasie. Czy w tym pokoleniu, czy w tamtym, czy w następnym.

Widzi pan, ja nie zdołam pana przekonać o tym, że coś jest realne dopóty, dopóki to nie zaistnieje, więc to jest pierwsze założenie. Po drugie – niepodległość mogła zaistnieć, twierdzą, nie zaistniała, ponieważ było szereg przyczyn, które to spowodowały...

Ponieważ była zła koncepcja Solidarności, Kościoła, tych klubów katolickich?

Między innymi.

A jakby była trochę lepsza, to byśmy wtedy odzyskali niepodległość?

Niewykluczone

Jak? Doszlibyśmy do tego?

Myślę, że to są zbyt drobiazgowy rzeczy, wbrew pozorom. Sądzę, że... nie schodzimy do tego, bo my się w tych drobiazgach, w szczegółach, zgubimy i okaże się potem, że nie wiadomo o co chodzi, wracajmy raczej do generalnych spraw.

Ale jeśli mogę panu przerwać, jeśli mogę jeszcze chwileczkę.

Może pan przerwać.

Jeśli nie było realne stworzenie zwykłego związku zawodowego, który się wyklarował, że nie jest partią polityczną, tylko związku zawodowego, wydawało się, że to już, już jest możliwe. Jeśli nawet to było nierealne, to jak pan uważa, że mogło być realne odzyskanie niepodległości?

Jakżeż nierealne, kiedy to było realne, bo ten związek egzystował, istniał, co znaczy nierealne?

Nierealne w kontekście 13 grudnia.

Dlaczego?

Dlatego, że 13 grudzień rozwalił te porozumienia.

13 grudnia wcale nie rozwalił Solidarności. Chodziło panu o to, że przewodniczącym Solidarności wysuwano fotele spod tyłków, a to rzeczywiście. Władek Frasyniuk zamiast siedzieć na wygodnym fotelu jako przewodniczący, siedział ze mną w Barczewie, a to racja. Ale przez to Władek Frasyniuk nie przestał być przewodniczącym Solidarności.

Dobra, ale mówmy poważnie. Jeśli nie było możliwe zachowanie Solidarności jako oficjalnie akceptowanej struktury przez blok socjalistyczny, związki zawodowe w ogóle okazały się... niezależne związki zawodowe okazały się w ogóle faktem społecznym nietolerowanym przez ten system, przez tę część świata, do której my przynależymy. Jak by mi pan mógł, bo przecież mamy tutaj dokładne fakty, te 16 miesięcy dość dobrze znamy, jak by pan wskazał, jak można było odzyskać w czasie tych szesnastu miesięcy niepodległość? Jeśli to nie było akceptowane przez blok socjalistyczny, jak by była niepodległość w ogóle polityczna, niezależność społeczna, akceptowana przez tą część świata, przez ten blok, w którym my żyjemy.

Dlaczego pan się zastanawia jak by to było akceptowane?

W sposób oczywisty, bo mówię panu, że nie była Solidarność zaakceptowana jako związek...

Ale istniała

Więc jak by pan chciał, żeby była zaakceptowana niepełna jej zależność i suwerenność...

Wszystko zależy od tego, proszę pana...

Operujemy w konkretnych faktach, w szesnastu miesiącach, i niech mi pan pokaże ruchy, które sprawiłyby, że odzyskalibyśmy niepodległość...

Już panu mówię

... wtedy będę usatysfakcjonowany.

Nie będzie pan nigdy usatysfakcjonowany, dlatego że my się różnimy, jeżeli chodzi o nasz sposób widzenia tego, co być może.

Sposób widzenia, to może panu się wydawać, że wcale nie jest taki różny mój wewnętrzny od pana, natomiast ja bardziej liczę się z rzeczywistością.

Pan chce być bardziej realistą.

No nie, bo w pewnym momencie pan powiedział bardzo mądrze, że koncepcje to nie tak wiele znowu znaczą, bo ta iskra, o której pan w pewnym momencie mówił, to nie zależy od tego, czy trzech, czy pięciu intelektualistów wymyśli zwartą, wewnętrznie logiczną koncepcję. To jest niekontrolowane, to jest nie do wymyślenia, to jest po prostu kwestia reakcji społecznej, ogromnego mechanizmu społecznego. Ale tu, przy niepodległości, upiera się pan tylko przy koncepcji, a już jak gdyby nie myśli pan o realnych możliwościach.

Widzi pan, bo ja myślę o kilku rzeczach, o których nie można zapominać. Wprawdzie powiedziałem to, co pan mówi, to jest prawda. Ale co będzie z tego wybuchu, i czy to będzie konstruktywne, czy to zwycięży, to bardzo wiele zależy od tego, jak ten lont się zachowa i jaka koncepcja będzie organizowała działanie Polaków. Otóż założmy, powstanie znowu Solidarność, jako fakt, w tym sensie, że Władek Frasyniuk wróci na swój fotel, daj mu panie Boże, bo ja tego chłopca lubię, i inni tam, Zbyszek Bujak będzie znowu w Mazowszu urzędował, założmy, że to się stanie. I powiedzmy będzie koncepcja numer jeden, lojalnej współpracy z władzą niezależnej struktury. I usiądą znowu chłopcy do rozmów. Gwarantuje mi pan, że ten związek przetrwa?

Nie.

Nie. No to będzie powiedzmy ta następna koncepcja, to zrobmy tę następną koncepcję. Powiedzmy, że będzie ta siła zorganizowana na tyle, że władze powiedzą zgoda, to my zatrzymujemy sobie Służbę Bezpieczeństwa, Milicję Obywatelską, Ministerstwo Obrony Narodowej, a wy bierzcie się za gospo-

darkę, róbcie to. Dostaniemy kredyty, licencje napłyną, coś tam nam pomogą, i tak dalej, fajnie będzie. Sądzi pan, że to przetrwa?

Nie, bo 13 grudnia, jak pan powiedział, pokazał, że...

A więc jeżeli będzie siła zorganizowana, to trzeba zabrać im wszystko, taka jest prawda. Albo się to nam uda, albo nie.

Wie pan, jak brzmi pytanie?

Zaraz, zaraz, daj mi pan skończyć. „Jak?”. Proszę pana, „Jak?”, to zobaczy się w praniu. Bo pan by chciał, żebym powiedział teraz „Jak?”. Teraz panu nie odpowiem.

Nie, nie, nie chodzi o szczegóły.

Nawet o ogóły. Proszę pana, Jerzy Łojek, który zajmuje się historią, napisał kiedyś taką fajną rzecz, mianowicie, że dla niego nie jest fenomenem 200 lat walki Polski o niepodległość. Dla niego jest fenomenem, że my 200 lat byliśmy w niewoli. Tak duży naród, z taką kulturą, z taką tradycją, z tysiącletnim państwem, 200 lat nie był w stanie wyrwać się z tego kotła. Dlaczego? Otóż dlatego, że obok koncepcji niepodległościowej, za którą się brało zawsze niewielu, bardzo wielu chciało się dogadywać, albo sądziło, że można będzie jakoś tam wymanewrować tego przeciwnika. I efekt był tego taki, że politykę polską robili chłopcy podchorążowie, którzy biegli, krzyczeli do broni, a towarzystwo zamykało okiennice i zastanawiało się, żeby przypadkiem nie skrzyć łba Konstantemu, bo z carem nie będzie się można dogadać. Albo było paru szczeniaków, którzy z karabinkami starymi wchodziło do Kielc, a towarzystwo zamykało okiennice, bo co ci gówniarze nasi, przyjdą Ruscy i zrobią porządek, przecież to potęga. I widzi pan, sytuacja analogiczna, podobna, chociaż inna. Na czym polega mój optymizm i z czego on się bierze? Otóż bierze się on z tego, że w przeciwieństwie do '14 roku, do 1863, '30, a nawet chyba i okupacji, obecnie mamy znacznie więcej zwolenników i ludzi zdecydowanych, którzy chcieliby ten program niepodległościowy robić. I nie ma realnej drogi w tej chwili na odzyskanie niepodległości. Gdybym miał 5 dywizji pancernych, to może bym panu powiedział – „Mam realny program, jutro moje czołgi ruszają

na Warszawę, tu zablokujemy wyjście Rosjanom z Legnicy, żeby nie mogli się ruszyć, na Bugu się zarwie mosty”. To jest realny program. Ale nic takiego nie mam.

Wewnętrzne przekonanie.

Wewnętrzne przekonanie i tych na dole, którzy śpiewają „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Ci ludzie nie śpiewają „Wróć nam samorządy” i „Podnieś nam pensje”. Zacząłem mówić o realizmie i na tym realizmie skończę. Otóż panie Macieju, pan i bardzo wielu ludzi w naszym kraju, którzy kształtują opinię publiczną, którzy są od tego, żeby wyrażać jakoś opinię, intelektualiści, artyści, i tak dalej, wy wszyscy macie to w sobie, wyście dużo zrozumieli, ale jeszcze nie wszystkim...

Kiedy pan źle mnie traktuje. Te moje kontry, które wynikają... to nie są moje poglądy...

A to fe. To nieładnie, to trzeba własne poglądy tutaj prezentować.

Ale bardzo blisko jest moich poglądów, ale ja mam jako dziennikarz obowiązek reprezentować, wie pan, również opinie powszechne.

Dobrze, dobrze, nie bądź pan taki społeczny. Co to znaczy powszechne opinie?

Ale oczywiste, że nikt po prostu nie pójdzie, tak jak pan w pewnym momencie powiedział... nie ma takich tendencji.

Być może trzeba będzie pójść i będziemy szli, być może spotkam pana.

Być może.

Nie daj Boże.

Oczywiście.

Ale po pierwsze – radzę panu, niech pan będzie sobą, będzie pan ciekawszym dziennikarzem. Po drugie tu naprawdę się dużo zmieniło. Ja panu opowiem jeszcze jedną anegdotkę z mojego życia, dobrze? Otóż przed wielu laty byłem w Londynie,

raz mi się zdarzyło, wyjechałem, udało mi się. I spotkałem tam Juliusza Mieroszewskiego. Nie muszę panu mówić, kto to był. Wiadomo, że to człowiek, który był kościem ideowym „Kultury” paryskiej. Z tym Mieroszewskim spędziłem 2 dni na rozmowach. Byłem wtedy studentem, skończyłem właśnie studia, miałem pewne doświadczenie, bo byłem po wojsku, nie byłem szczeniakiem. Przywiozłem mu takiego małego orzełka z koroną, w Krakowie sprzedawano po złotówce studentom, i to jemu przywiozłem w prezencie. On jest Krakus, on się rozczulił strasznie. A potem po latach przeczytałem jego artykuł taki, poświęcony tej mojej wizycie, wszystko tam wskazywało na to, że to chodziło o mnie. I pisze tak, że był zdziwiony, bo odwiedził go młody człowiek z kraju, który posługiwał się językiem, mówił o rzeczach, które są zrozumiałe tylko dla jego pokolenia. Bo pisze, gdyby nie te długie włosy, ja wtedy miałem taką długą plerezę, to ten człowiek mógłby siedzieć razem ze mną na UJ-ocie w 1924 czy w którymś roku. I zastanowiłem się, pisze, czy można być epigonem w wieku dwudziestu paru lat. Ten młody człowiek dowiedział, że można. Bo przecież ta Polska, pisze, jest już inna, tę Polskę, podoba się to nam, czy nie, przeorał socjalizm, i w związku z tym ten orzełek, który on przywiózł, to są już rzeczy, które już przeszły, minęły. Ja mu mówiłem o tym, że Piłsudski, że niepodległość, że to, że tamto wśród młodzieży. „To minęło” – mówi. Dlatego polska szansa to są rewizjoniści. Nam się to może nie podobać, ale to społeczeństwo zrozumie wtedy tylko program opozycji, jeżeli ta opozycja będzie się posługiwała pojęciami z zakresu socjalizmu. Rozumie pan? Naszą szansą są rewizjoniści. Dlatego Jacek Kuroń i jego koncepcja, przy całej mojej sympatii dla tego chłopaka, miała zawsze bardzo dobrą prasę na Zachodzie, ponieważ tam mu wierzano, że to społeczeństwo tak, za przeproszeniem, ten socjalizm przeorał, że tutaj mają szansę tylko rewizjoniści. A taki facet, przepraszam za wyrażenie, nacjonalista polski, co to i orzeł w koronie i Matka Boska, i w ogóle, no to on nie ma szans, to jest epigon, mocium panie. Otóż pan Mieroszewski, który od 1939 roku nie był w Polsce, wiedział lepiej ode mnie jaka jest polska młodzież i jaka jest Polska. A ja twierdzę, że wiem lepiej, i mam na to rozliczne dowody. Ja powiedziałem w sądzie, jeżeli pan jest socjalistą, to będzie panu przykro, ale bardzo przepraszam, niech i tak będzie. Otóż ja powiedziałem w sądzie, że czerwony sztandar nie jest symbolem polskiego świata pracy, dlatego że polski świat pracy wyszedł i na swoich sztandarach umieścił Matkę Boską Częstochowską i orzełka w koronie, i woli kolor biało-czerwony.

Nie, wie pan, jakbyśmy się przekonywali co do rzeczy oczywistych. Ja się zgadzam, że po 13 grudnia nastąpił absolutny renesans tego typu pojęć, jak niepodległość, symboliki i tak dalej, tutaj nie mamy co się przekonywać, ja tu nie jestem przeciw. Tylko moje zastrzeżenia, czy moje drażnienie, czy prowokowanie pana, jest moim obowiązkiem.

Trzeba, oczywiście, że tak.

Po pierwsze – to jest moim obowiązkiem. A po drugie – zawsze jest tutaj mój zupełnie prywatny niepokój. Po prostu ja wciąż zadaję to pytanie – „jak?”. I nie to pytanie, które mogłoby być kwalifikowane do jakiegoś tam artykułu karnego, jak pan stanie przed prokuratorem. Ale uważam, że nie ma takiej recepty czy takiej tajemnicy konspiracyjnej, tak wspaniale opracowanej, której pan nie może ujawnić, a która mogłaby być receptą na odzyskanie niepodległości.

Pan oczekuje ode mnie, że mam... albo mam, albo powiem panu, że mam kamień filozoficzny.

Nie, po prostu wątpię.

Oczywiście, że nie mam. Wszyscy jesteśmy ludźmi bardzo niedoskonałymi i każdy próbuje.

I to, co bym powiedział, żeby jak gdyby skończyć, że tak powiem, we właściwym tonie, w takim, o jaki chodzi, tę rozmowę, to jest taka sprawa, o której pan mówił zresztą. To jest kwestia zmierzania różnymi drogami, uczenia się kultury politycznej na tyle, żeby różnymi drogami iść do jednego celu. Umiejętność dyskusowania, uczenia się demokracji w takiej dyskusji jak nasza.

Ależ oczywiście.

Uczenie się, uczenie się kultury politycznej, demokracji, formułowania swoich poglądów...

Wie pan, ja bym sobie życzył, żeby doszło do sytuacji, żeby ludzie sobie skakali do oczu a potem mogli sobie dalej rozmawiać normalnie i spokojnie.

A potem wielowątkowo, że tak pracować na tę niepodległość, według mnie bardzo symboliczną, wspaniała, ale symboliczną...

A według mnie realną, dostępną, i to w bliskim czasie.

Ale co nie znaczy, że tu jest taka zasadnicza różnica między nami.

Nie, różnica nie.

Bo sądzę, że ci, którzy budują samorządy, w jakiś sposób pracują na ewentualną wizję tej niepodległości. Ci, co uczą demokracji, też na tę niepodległość, czy bliższą, czy dalszą, pracują. I tacy dwaj jak my, którzy rozmawiają, a nawet się kłócą, też na tę niepodległość pracują. Kwestia jest tylko, żeby te programy nie były sprzeczne, żeby sobie nawzajem nie przeszkadzały

Tak, to prawda.

I to jest zadanie, sądzę, dla polskiej opozycji, dla polskich intelektualistów. Nikt nie ma, nikt nie może powiedzieć „Mam w kieszeni receptę: odzyskamy niepodległość, czy zrobimy socjalizm według Kuronia, czy zrobimy samorządność”. Nikt tego nie ma. Próbujemy. Ale wydaje mi się, że ten proces dyskusowania, rozmawiania, uczenia się demokracji, kultury, samorządności nawet, o której pan powiedział, że nie jest pierwszym celem, to wszystko, według mnie, dość optymistycznie wygląda, bo nie jest ze sobą sprzeczne.

Tak, oczywiście.

Uważam, że na totalitarny system musi być wielość dróg drażenia tego systemu.

Oczywiście, to jest nasza siła.

To jest nasza siła i sądzę, że tutaj absolutnie pod tym względem jesteśmy zgodni.

Niestety, jesteśmy zgodni pod tym względem.

I ten element tej rozmowy również pracuje na tę niepodległość, dla pana bardzo bliską, dla mnie trochę symboliczną, trochę dalszą, ale tu nie ma wbrew pozorom zasadniczej różnicy.

Oczywiście. W każdym bądź razie na pierwszym, że tak powiem, takim zlocie niepodległościowców, już w wolnej Polsce, dostanie pan zaproszenie, ale będzie pan w ostatnich rządach...

W ostatnich, ale w łoży prasowej?

No właśnie zobaczymy. Zobaczymy, czy pan poprzestanie na tym, żeby być dziennikarzem, czy też będzie pan miał jakieś inne działania. Bo niewątpliwie jakaś partia socjalistyczna pewnie powstanie, tego się nie uniknie.

Nie wiem, mnie żadna partia już nie podnieca. Tak jak nie podnieca mnie jakaś zbyt jednoznaczna, zwarta ideologia. Dlatego że według mnie jednak kryzys ideologii jest wyraźny. Dlatego wtlaczanie się w jakąś wyraźną koncepcję ideologiczną opozycji – uważam, że to nie jest aż taka najsensowniejsza metoda.

Pan jest w dobrej sytuacji, bo pan może na ten luksus sobie pozwolić. Pan mówi tak: „Jak się chłopcom uda, to będzie dobrze, bo będę dziennikarzem niezależnym i tam będę coś robił. Jak się nie uda, to będę nagrywał w Mistrzejowicach dopóki będzie można i robił coś tam jeszcze”. A, widzi pan, ja mam taką sytuację, że albo wygram, albo...

Przegram.

Otóż mówię, że ja wygram.

Ale nawet jakby pan przegrał, będziemy pana szanowali, jako przyszli dziennikarze niezależnej prasy, i będzie pan nie w ostatnim rządzie.

Nie wiadomo, tak się mówi, a potem zobaczymy.

Ale jeszcze na koniec, poważnie co do roli dziennikarza. Uważam, że dziennikarz nie powinien występować, nawet w takiej rozmowie... Pan być może sobie przez moment myśli, że dziennikarz to jest facet z jakiejś innej

partii, z jakiegoś innego stronnictwa. Moje pojęcie dziennikarstwa, zresztą które realizowałem nawet w tamtej gazecie, polega na tym, że dziennikarz powinien unikać wtłoczenia się w jakiś jeden określony system ideologiczny, bo wtedy staje się przeciwnikiem politycznym pana.

Tak, ma pan rację.

W tym momencie traci podstawową swoją umiejętność moralną i warsztatową, a mianowicie obiektywizm. Dlatego też jestem za tym, że prawdziwe dziennikarstwo, dziennikarstwo przyszłości, o czym zresztą nawet papież Jan Paweł II często się wypowiada do środków masowego przekazu, polega na tym, że dziennikarz się powinien starać, o ile to możliwe oczywiście we współczesnym świecie, uwalniać od przynależności do jednej koncepcji ideologicznej. Powinność dziennikarska jest powinnością bardziej może moralną niż polityczną.

Powinien pan jeszcze nad tym popracować, bo to jednak zdaje się tak trochę jeszcze nie bardzo wychodzi.

Bardzo dobrze, żeby pan zrozumiał z jakiej pozycji były zadawane te sceptyczne pytania. Nie z pozycji politycznego obozu jakiegoś przeciwnika, tylko z pozycji dziennikarza, rozmawiającego z człowiekiem, którego to człowieka trzeba sprowokować, którego trzeba zahaczyć o słabe punkty jego rozumowania...

Nie ma takich.

Dziękuję bardzo.

DR ANDRZEJ ANUSZ

W POLSKIM LONDYNIE 1988 ROKU

Z KRZYSZTOFEM TURKOWSKIM¹
ROZMAWIA ANDRZEJ ANUSZ

Jak znalazłeś się w Londynie w 1988 roku? W jaki sposób zdobyłeś zaufanie działaczy emigracyjnych? Czy miałeś jakieś rekomendacje?

Zaufanie przyszło w miarę szybko i okazało się znaczne. Wynikało z wielu rozmów, które ze mną prowadzono. Pojawiłem się tam trochę jako ciekawostka. Stale współpracował ze środowiskiem uchodźstwa politycznego Ryszard Czarnecki, który był dziennikarzem w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”, tam pracował i łatwo tam się ze względu na związki biograficzne usadowił. Zaś ja zjawiłem się – jak już wspomniałem – w charakterze takiej ciekawostki. Niewyobrażalna miłość emigracji londyńskiej do kraju łączyła się przecież z żywym zainteresowaniem, co się tam dzieje.



*Krzysztof Turkowski
przed siedzibą Prezydenta
RP na uchodźstwie
w Londynie.*

Nie byłś jednak pierwszy, który z kraju do nich przyjechał...

Oczywiście, przede mną pojawił się tam Kornel Morawiecki, różni inni działacze.

Czy był wśród nich również Moczulski?

Leszek Moczulski również. Jedni działacze z kraju byli entuzjastyczni, inni raczej powściągliwi. Mnie w POSK przy jakiejś okazji poznała pani Teresa Lechnicka-Affeltowicz, która pozostawała czołową postacią Skarbu Narodowego i jednocześnie wiceprzewodniczącą Rady. Była od zawsze działaczką i to w kolejnym pokoleniu. Wywodziła się z zasłużonej rodziny, jej ojciec i dziadek to senatorowie Drugiej Rzeczypospolitej i działacze ZET-u. Sama działała w dość niezależnej grupie, którą tworzyło młodsze pokolenie. Rocznik dwudziesty czwarty, oficer Powstania Warszawskiego i konspiracji, z dobrej rodziny ziemiańskiej, więc jeśli można tak to ująć miała dar rozprowadzania innych. To ona poznała mnie z Lidią Ciołkoszową, z którą się przyjaźniła. Bardzo też była blisko z małżeństwem pani Darki i Tadeusza Żenczykowskich. Dlatego moja akceptacja za jej sprawą przebiegła tak szybko. Nawet już teraz nie pamiętam,



Krzysztof Turkowski w rozmowie z Teresą Lechnicka-Affeltowicz

jak to się stało, że zaprosił mnie pan Edward Raczyński. Minister, prezydent, ambasador, ogromna liczba tytułów – a myśmy się dość często spotykali. A potem poszło jeszcze szybciej, bo prowadziłem długie rozmowy z jednej strony z panem Stefanem Soboniewskim, szefem najważniejszej organizacji „przywojskowej”, jeśli tak się można wyrazić oraz z drugiej strony szefem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, organizacji powojkowej i politycznej w jednym – panem Zygmuntem Szadkowskim, kolejną bardzo istotną osobą. Przy okazji pojawiali się wszyscy inni od pana Szolca z jednej strony, poprzez pana Zygmunta Szkopiaka po redaktorów z Wolnej Europy, którzy po przejściu na emeryturę osiedlili się w Londynie. A potem wszyscy inni, którzy znali się na sposobach rozmawiania i pozyskiwania wiedzy, ze Zbigniewem Błazińskim na czele.

Jak rozumiem, występowałeś trochę w podwójnej roli. Jako wybitny działacz opozycji demokratycznej, tej jeszcze przedsolidarnościowej a potem oczywiście Solidarności również po stanie wojennym, ale też jako osoba mająca *background* historyka, jako profesjonalny historyk znający warsztat...

To prawda, dzięki temu łatwiej było rozmawiać.

Fajną miałeś sytuację, bo oni też na pewno chcieli się dowiedzieć, co słychać w opozycji, w kraju?

Słuchali mnie wyjątkowo uważnie. Zaś ja znałem ich wewnętrzny język, pojęcia, którymi się posługiwali nie były mi obce, bo zanim pojawiłem się w Londynie, przez 20 lat zajmowałem się bardzo poważnie historią Drugiej Rzeczypospolitej, więc w sposób naturalny potrafiłem się poruszać w ich świecie.

Wiedziałeś, o co ich pytać, jak rozmawiać.

Przeprowadzenie wywiadów, rozmów to temat, który oczywiście pojawił się nieco później. Najpierw zdarzały się wielogodzinne kolacje czy lunche, podczas których rozmawialiśmy. Miałem bardzo pozytywny stosunek do wychodźstwa, byłem zwolennikiem legalizmu, te spotkania okazywały się dla mnie ciekawe i inspirujące.

Legalizm to ważny element?

Trzeba o tym pamiętać, że legalizm tam panował, w polskim Londynie. Dla mnie oczywiście wielkim przeżyciem stała się pierwsza wizyta na Zamku, jak to się mówiło, czy na 43 Eaton Place, gdzie znajdowała się siedziba prezydenta na wychodźstwie. Zamek znajdował się w dobrej dzielnicy, a w Londynie ten podział pozostaje niezmiennie istotny. Jednak nawet, gdy odwiedzałem te osoby w domach, pozostawały dla mnie depozytariuszami legalizmu władz, bo dla mnie akceptacja władzy, funkcjonującej na podstawie PRL-owskiej konstytucji była niemożliwa, skoro jej rządy wynikały wyłącznie z użycia siły, nie z demokratycznego mandatu.

Jednak w tamtym czasie w polskiej opozycji taka postawa...

...nie była typowa.

Wtedy jej zwolennicy pozostawali w mniejszości nawet w szeroko pojętym ruchu „S”. Nieliczne środowiska: KPN, później „Solidarność Walcząca” definiowały to równie jasno, jak ty. W tak zwanym głównym nurcie opozycji oczywiście szanowano rząd na emigracji, ale traktowano go jako ciekawostkę, bez prawnych, legalistycznych wniosków?

Wynikało to po pierwsze z ogromnej niewiedzy. Nie było świadomości, co wynika z konstytucji kwietniowej, której przecież Polakom nikt nie narzucał, jak tej z 1952 r., rozszerzonej jeszcze ćwierć wieku później o zapis dotyczący sojuszu z ZSRR. Brakowało wiedzy historycznej, białe plamy dopiero wypełniano. Propaganda komunistyczna przez długie lata nie była oczywiście skuteczna, ale obśmiewanie przez nią emigracji londyńskiej pozostawiło pewien ślad w świadomości Polaków. Środowiska opozycyjnej lewicy głosiły opinię, że oczywiście Giedroyc jest pozytywną postacią, ale ten Londyn... Jakby się lekceważyło ten niewyobrażalny dorobek emigracji polskiej, największej od czasu tej Wielkiej po powstaniu listopadowym. Zresztą oni często to porównywali. Do niechętnego obrazu emigracji przyczyniły się też polityczne walki wewnętrzne, wieloletni konflikt między Augustem Zaleskim a jego oponentami bardzo zaszkodził wizerunkowi, stworzył problem. Nawet 30 lat temu brakowało wśród polskich historyków świadomości stanu posiadania emigracji po-

litycznej, dorobku kulturalnego wychodźstwa. Zaczął w Kontaktie robić filmy Mirosław Chojecki, co trochę ten obraz zmieniło, podobnie jak docierająca do kraju literatura. Ale ja miałem taką przyjemność, że na początku lat 70., dzięki mojemu promotorowi profesorowi Henrykowi Zielińskiemu, dostałem chyba pierwszą promesę na korzystanie z dzieł bezdebitowych, więc zanurzyłem się na parę lat we wszystkim, co tylko można było znaleźć w Ossolineum...

Czy to ten sam profesor Zieliński, który napisał Historię II RP, jedną z lepszych?

Tak, mówimy o tej samej osobie. Napisał też Historię Polski. Notabene profesor Henryk Zieliński to siostrzeniec księdza Bolesława Domańskiego, przed wojną szefa Związku Polaków w Niemczech. A jego siostrzenica była bardzo ważnym łącznikiem Solidarności po stanie wojennym, teraz jest profesorem. To siostra Andrzeja Szostka, księdza-rektora KUL i ostatniego doktora Wojtyły.

Jesteś więc szczęściarzem, że trafiłeś na takiego promotora jak prof. Zieliński i szansę tę wykorzystałeś?

Gdy tylko profesor załatwił mi tę zgodę, od razu zanurzyłem się w tym drukowanym świecie. Wszystko to osobno przynosili mi do czytelnicy, bo tylko na miejscu mogłem się w te publikacje wgłębiać, na wynoszenie do domu zezwolenia uzyskać by się nie dało. I tak połykałem przedwojenne „Wiadomości Literackie”, a że się interesowałem Skamandrytami, starałem się wszystko na ten temat czytać, to potem się zanurzyłem w to, co robił w „Wiadomościach” Mieczysław Grydzewski, który kontynuował to w Londynie. Potem się w tym zaczytywałem, pracując w latach 70. w rękopisach i w Ossolineum, bo już wiedziałem, gdzie jest jaka biblioteka i kto jakie pisma wydawał. Dlatego po latach to było spotkanie niezwykle, gdy u pani Lidii Ciołkoszowej zasiedliśmy sobie i poznałem panią Władę Majewską, muzę – mówili wtedy – naszego wielkiego emigracyjnego twórcy Mariana Hemara. Pokazywano mi wszystko to, co było dla mnie najbardziej wzruszające, mogłem tego wreszcie dotknąć. Pamiętam te wszystkie niezwykle wymiary: Polska Macierz Szkolna i żołnierze, ćwiczący się do walki o niepodległość, oficerowie... Jak się wchodziło do prezydenta Sabba-

ta, to było przeżycie... Pierwszą damą, żoną Sabbata była Anna, córka generała Nikodema Sulika, dawnego dowódcy 5. Dywizji Kresowej, który był również ojcem Bolesława Sulika, dokumentalisty, autora *In Solidarity*, a po powrocie do Polski przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji...

Tak, te związki niesamowite...

Z innego świata, ale dla mnie to było dość czytelne i łatwiej mi się było poruszać, bo znałem parę rodzin znaczących w najnowszej historii Polski.

Czy środowisko emigracyjne było w jakimś stopniu podzielone?

To oczywiste.

Czy odczułeś tę różnicę, że rząd, zamek, legalści, grupa generała Andersa, jednym słowem historyczne spory?

Nie, tego już nie było.

Czy czułeś, że ktoś się do Ciebie odnosi z rezerwą, ktoś inny bardziej bezpośrednio?

Najlepsze były moje kontakty ze środowiskiem politycznej emigracji woj-skowej czyli poandersowskiej i nie tylko poandersowskiej, bo istniał stereotyp, że to tylko żołnierze generała Andersa, ale ci londyńczycy byli bardzo różni. Przecież z jednej strony był Edward Raczyński, a z drugiej akowskie środowiska z Tadeuszem Żenczykowskim. Tu było bliżej pani Lidii Ciołkoszowej i pani Teresie Affeltowicz, bardzo ważnej w ich środowisku. A przecież był tam i Kazimierz Sabbat i ludzie, związani z Redutą, z takim działaczem ludowym jeszcze przedwojennym – nazywał się Kazimierski, to był mocno schorowany pan. I to była ta tradycja. Pojawiały się w rozmowach nazwiska ludzi, których niestety nie spotkałem, bo odeszli, konsul Trembecki, starzy piłsudczycy związani z grupą Wendy, Wrągi, to byli ci z Dwójki przedwojennej. Oczywiście podziały były, nie tylko w Londynie, bardzo duża grupa osadników, która przysłała z Andersem, rozeszła się po całej Wielkiej Brytanii... Istotną strukturą było oczywiście Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, bardzo ważny był Skarb – konkretna rzecz. Wojna się skończyła w czterdziestym piątym roku a oni zbie-

rali pieniądze na Polskę w latach osiemdziesiątych. Proszę sobie wyobrazić, jak ja im opowiadałem, że u nas w siódmym roku po stanie wojennym są płacone składki na Solidarność.



Krzysztof Turkowski i Paweł Chmiel w rozmowie z Tadeuszem Żenczykowskim

Tak, to był wspólny punkt.

Takich wspólnych znaczeń było wiele. Do naszych wydawnictw podchodzili z wielkim szacunkiem.

Ale różniłeś się też w opiniach z emigrantami?

Reprezentowałem wtedy pogląd, który dzisiaj oceniam już jako naiwny, że liczą się ruchy społeczne. Na co oni, starsi państwo o znanych nazwiskach kategorycznie mi odpowiadali: nie, muszą być partie, jak ma być wolna Polska.

Nasze myślenie było inne: Solidarność była tym ruchem, który miał zniszczyć komunizm, a potem...

A potem... w roku osiemdziesiątym dziewiątym dalej byliśmy niewyrobie-

ni. Dla pani Lidii Ciołkoszowej ważny był jej ukochany PPS. I była ostatnia walka Jana Józefa Lipskiego i paru innych ludzi, którzy tę ideę zniszczyli piłsudczykom. Przypominam sobie natomiast, że środowisko piłsudczykowskie Londynu z dystansem podchodziło do KPN. Nie chcieli tego herbu przekazać. Nie mieli zaufania. Ale poznałem też kręgi, w których KPN traktowano z sympatią. Do nich docierały przede wszystkim gazety, dyskusje, ciekawili ich autorzy. Zbigniew Błazyński chciał się ode mnie czegoś dowiedzieć o Dawidzie Warszawskim. Ich wiedza była różna, ale działało tam paru doświadczonych dziennikarzy. Żenczykowski, który budował Wolną Europę, to ciągle niedoceniana postać.



Krzysztof Turkowski w rozmowie z Lidią Ciołkoszową

U kresu swojego długiego życia otrzymał jednak order Orła Białego.

Ale nie doceniona tutaj w kraju. Tacy jak on, budując Wolną Europę, nie stworzyli tylko centrum zbierania informacji. Wolna Europa z Nowakiem-Jeziorańskim i nie tylko utrzymywała bardzo wielu wybitnych przedstawicieli polskiego życia intelektualnego. Tu w kraju.

Władysław Bartoszewski od lat 70 żył z felietonów i materiałów dla nich, a to postać sztandarowa, rzecz dotyczy też wielu innych.

Oczywiście, sam w 1988 roku dostałem 500 marek czy dolarów już nie pamiętam...

Ale w obu wypadkach przeliczniki były kosmiczne.

Za jedną audycję to ja miałem grubo ponad rok życia. Moja rodzina: ja i żona z dzieckiem, mogliśmy wszyscy spokojnie funkcjonować. Jak dostawałem Polcul, też 500 dolarów na rok stypendium, to porównanie z tymi pensjami w Polsce wypadło jednoznacznie.

O tym się nie pamięta, o roli tych instytucji, jak Polcul czy RWE, które w różny sposób pozyskiwały te środki...

Wolna Europa jak wiadomo była dotowana przez National Endowment for Democracy, ale też było wielu Polaków, którzy zbierali środki na opozycję w kraju.

Składali się, były też składki.

Ale był na przykład – prowadziła go pani Teresa Affeltowicz – fundusz dla żołnierzy Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy mieszkali w Polsce i dostawali zasiłki do miesiac.

Bardzo ciekawe, nie wiedziałem o tym.

Tak, ona miała ich kartoteki. Oczywiście dostawali, tylko mówiła: no ciężko mi nieraz jest, bo ja żołnierz, również oficer Armii Krajowej wysyłam głównie na Śląsk, a oni wcześniej byli w wermachcie, korpusie Rommla...

To już niesamowite paradoksy polskiej historii.

Ale należało się, walczyli. Wobec Ślązaków na froncie obowiązywała zasada: przechodzicie i jesteście w polskim wojsku. I oczywiście oni walczyli pod Monte Cassino i w Bolonii. A potem te 15 funtów to dalej było bardzo dużo. Emigranci ze swoich skromnych pieniędzy dawali, zbierano. Bo to Skarb Narodowy – zwróć uwagę na ciągłe osadzenie w polskiej tradycji historycznej.

Parokrotnie słyszałem od nich: my jesteśmy mała emigracja, bo Wielka Emigracja to była za Czartoryskiego, takie porównanie. Ale przecież... co to takiego Skarb Państwa?

Czuli tę ciągłość, tak?

Oczywiście. I jakie instytucje budowali. Pan Stachiewicz mi opowiadał o Wydziale Architektury na Uniwersytecie w Liverpoolu, w którym Polacy studiowali.

Czy tam nie skończył czasem studiów Jaraczewski?

Tak, to są takie historie, które gubimy. Z kolei Instytut Piłsudskiego w Londynie był bez porównania skromniejszy niż w Nowym Jorku. Tam były córki, oczywiście pułkownik Ignacy Matuszewski i major Henryk Floyar-Rajchman. Z kolei w Londynie imponujące było to, co robiła Reduta czy ci starsi pułkownicy, polska szkoła sowietologiczna, stworzona przez elity władzy Drugiej Rze-

czypospolitej. Jednak różne środowiska pozostawały pokłócone. Dobrze nie poznałem tylko endeków, bo zawsze była mi bliższa tradycja legionowo-peowiacka. Z relacji tylko dowiedziałem się, że Tadeusz Bielecki to była duża głowa, tak o nim mówiono, był jeszcze Darkas, już trochę młodsze pokolenie. Prawie już nie było ludowców, o Kazimierskim już wspominałem.



Krzysztof Turkowski w rozmowie z synem gen. Stachiewicza w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie

Skoro o nich mowa, czy w londyńskich rozmowach pojawiały się jakieś oceny Stanisława Mikołajczyka?

W dobrym towarzystwie nie o wszystkim się mówi.

No właśnie...

Myślę, że to trochę pointuje jego specyficzne zachowanie. Poza tym tamci jak mówiono załapali się na Amerykę, poza Stanisławem Mikołajczykiem również Stefan Korboński... Natomiast problemem ośrodka londyńskiego okazał się konflikt prezydenta z liderami stronnictw, wynikał z uporu Zaleskiego, a przynajmniej od niego się zaczął, to sprawy wielokrotnie już opisywane. Oprócz sporów politycznych istniały jednak rzeczy trwałe: coś takiego jak Polska Macierz Szkolna, ośrodek w Fawley Court, który z tych składeczek oni zbudowali. Naprawdę dzięki składkom takie obiekty wznosili.

Gdy byłem w Anglii, odwiedziłem słynną szkołę zakonną pod Londynem...

Działało parę takich szkół...

..a tam znalazłem nawet małe muzeum, a oprócz nauki uczniowie również rzeźbili.

Z Twojego opisu rozpoznaję, to musiało być u marianów w Fawley Court. Inne ważne dla Polaków miejsca to knajpa lotników, gdzie się nasi bohaterowie wojenni spotykali, pomnik w Amersham, nasze cmentarze.

Wyliczmy, z kim udało Ci się spotkać.

Generała Klemensa Rudnickiego spotkałem już w końcu jego życia niestety, rozmawiałem z generałem Stanisławem Maczkiem. Do pana Edwarda Raczyńskiego byłem zapraszany na śniadania i długie rozmowy, towarzyszyła mu pani Aniela Mieczysławska, która się nim opiekowała i pod koniec została jego żoną. Bardzo ciekawy był dla mnie dom państwa Żenczykowskich, Tadeusza i pani Darki. Podobnie jak po drugiej stronie Tamizy dom pani Lidii Ciołkoszowej i całe jej otoczenie. Oczywiście Zamek, na którym mieszkał prezydent Kazimierz Sabbat, który był następcą Ostrowskiego i Raczyńskiego.

Poznałem prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego i jego dom. Ważną postacią był profesor Edward Szczepanik, pracownik FAO, agendy ONZ do spraw żywienia i rolnictwa.



Krzysztof Turkowski z wizytą w domu Państwa Żenczykowskich

Szef rządu.

Tak, był premierem rządu londyńskiego w latach 1986–1990. Innym moim rozmówcą był Ludwik Łubieński, który zawsze pojawiał się w ważnych momentach historii drugiej wojny światowej. Ważny dla zorganizowanych struktur kombatanckich był pan Zygmunt Szadkowski. Cennym interlokutorem był pan Zbigniew Błażyński. Zaciekał mnie pan Stachiewicz i oczywiście jego przyjaciółki panie Wanda i Jadwiga Piłsudskie. Mnóstwo interesujących ludzi pojawiało się w domu pani Teresy Affeltowicz a także w Leamington Spa u pana Szolca czy w domu profesora Zygmunta Szkopiaka, który jako minister rządu londyńskiego zajmował się sprawami zagranicznymi. Półtora miesiąca spędziłem u pani Zofii Szogonowej, wdowie po staroście białostockim i ostatniej łączniczki generała Okulickiego.

„Niedźwiadka”...

To osoba, która rozwoziła ostatni rozkaz – rozwiązania Armii Krajowej. Legenda jeśli chodzi o dziennikarstwo polskie na wychodźstwie pozostał Tadeusz Nowakowski. Moimi rozmówcami byli też panowie Czyżewscy, dawni pracownicy Wolnej Europy, którzy potem redagowali „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, a także redakcja „Tygodnia Polskiego”.

Jak udało Ci się dotrzeć do tak imponującej listy rozmówców?

Oni mnie w pewnym momencie przekazywali sobie, to cała tajemnica. Po pewnym czasie wpadłem na pomysł, żeby ponagrywać z nimi rozmowy. Byłem przekonany, że warto, bo inaczej wiele ważnych spraw umknie naszej uwadze, zwyczajnie odejdzie wraz z nimi. Gdybym wtedy dysponował dzisiejszą wiedzą, zapewne zrobiłbym to staranniej. Nie posłuchałem Ryśka Czarneckiego, który radził, żeby rozmowy przeprowadzać z użyciem techniki wideo.

Czy spotykałeś się w Anglii z przedstawicielami innych narodów ujarzmionych przez ZSRR?

Różne takie spotkania się odbyły. Z Władimirem Bukowskim, rosyjskim dysydem, autorem „I powraca wiatr” oraz broszury „Pacyfiści kontra pokój” przemawiałem na ogromnym wiecu. Spotkałem się z panią Sławą Stecko, liderką emigracji ukraińskiej bardzo propolską, której mąż był wcześniej drugą osobą po Stefanie Banderze. Takie to emigracyjne paradoksy.

Czy miałeś kontakty z późniejszą polską emigracją, środowiskami ANEKSU i BBC?

Z marcowej grupy... Raz spotkaliśmy się z Eugeniuszem Smolarem, u niego w domu, ale to była krótka rozmowa. Natomiast intensywne kontakty utrzymywałem z osobami, które tak jak ja przyjechały z kraju. Jedną z nich był historyk Andrzej Friszke, z którym znaliśmy się od 1976 roku. Bardzo był lubiany przez panią Lidię Ciołkoszową i Teresę Affeltowicz. Sam wprowadziłem w to środowisko, w przekonaniu, że może być dla niego ciekawy Lothar Herbst, mojego bliskiego przyjaciela. Wcześniej on mnie ciągał po Niemczech, teraz ja go ściągnąłem do Londynu. Lothar Herbst, gdy wręczyli mu

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski po prostu się popłakał. Wzruszył się: – Ja, syn żołnierza wermachtu, który zginął pod Stalingradem, dostałem takie polskie odznaczenie.



Wręczenie Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski Lotharowi Herbstowi w siedzibie rządu emigracyjnego w Londynie

Znowu niesamowita historia... A jak układały się relacje polskiego Londynu z polskim Paryżem?

Oba środowiska żyły osobno. Wiadomo, że Jerzy Giedroyc doskonale znał rodzinę Raczyńskich, bo przecież współpracował z ambasadorem w Bukareszcie czyli bratem ministra i prezydenta Edwarda Raczyńskiego, ale szczególnej zażyłości nie było. Po 13 grudnia to Paryż był najważniejszy dla nas, bo tam znalazł się Mirek Chojecki.

W Anglii jednak też działały środowiska typowo solidarnościowe jak Solidarity with Solidarity Tadeusza Jarzembowskiego-Jarskiego, bo tak pod podwójnym nazwiskiem występował?

Pamiętam Solidarity with Solidarity, ale stara emigracja podchodziła dość powściągliwie do Jarskiego. Oczywiście znałem przedstawiciela Solidarności Walczącej Tadeusza Warszawę. Bo przedstawicielem środowiska CDN była Teresa Lechnicka-Affeltowicz, oficer AK... Oczywiście cały czas trwały dyskusje, bo Żenczykowski i Affeltowicz i jeszcze kilka osób byli raczej powściągliwi wobec wielu ruchów. O Janku Chodakowskim trudno właściwie powiedzieć, że to emigrant, skoro urodził się w Kuala Lumpur. Młodszy ode mnie, został ważnym wydawcą, twórcą Polonia Book Fund i rzeczywiście zrobił bardzo dużo. Wtedy pewna generacja się kończyła, młodszy ludzie wchodziła „Tygodnia” i do „Dziennika Żołnierza”.

Działało również wydawnictwo Orbis.

Ktoś z tego katolickiego wydawnictwa, niestety już nie pamiętam, jak się nazywał, zaprosił mnie na spotkanie. Strasznie ciężko pracowali, ale ich dzieło życia się kończyło, bo dzieci nie czytały po polsku, nie chciały, wołały korzystać z języka angielskiego i to był dodatkowy problem. Bo oni żyli bez żadnego wsparcia. Obowiązywał taki dekalog: nie chodzimy do ambasady, stajemy na głowie, żeby zostać na paszportach nansenowskich, uchodźczych... Przy okazji tego spotkania pojawiła się u mnie taka refleksja, że bardzo wielu ludzi skorzystało z naszej walki po 13 grudnia 1981 r, żeby wyjechać za granicę i różne były ich losy. A tamci, niezłomni z Londynu, byli tam, bo chcieli wolnej Polski...

Jak Londyńczycy odnosili się do przywództwa Solidarności, do głównego nurtu opozycji skupionego wokół Lecha Wałęsy?

W czasie mojego pobytu w Londynie przyjechał tam Wałęsa z kilkusobową delegacją.

Pamiętam, że był z nim Bronisław Geremek.

Ja go nie widziałem, ale był Władek Frasyński, pozostający wtedy numerem 2. Byliśmy blisko związani i oczywiście się spotykaliśmy. Tam się człowiek przy okazji nauczył, jakie są gatunki win, z których roczników i jaką whisky pić, że naprawdę jeżeli wodę, to tylko szkocką źródlaną. Wałęsa wzbudził pewną nieufność. Gdy tylko zaczęły się pamiętne rozmowy w Magdalence,

poprzedzające Okrągły Stół – ta niesłychana nieufność się pojawiła. Niektórzy w Londynie byli całkiem nieprzejednani, ale znaczna część raczej podkreślała, że trzeba uważać, bo to są gracze – duzi gracze. Trzeba pamiętać o tym, że Polacy z Londynu byli ludźmi, którzy mieli ogromne doświadczenie i potrafili analizować rzeczywistość, również tę krajową. Dla mnie pozostawali jedyną ocalałą elitą Polski, której reszta została wymordowana albo zgłajchszaltowana.

Tę elitę cechowała pewna ciągłość myśli i analizy tego, co działo się na Zachodzie i w Rosji. W jaki sposób to odczułeś w trakcie swojego pobytu?

To nawet w języku się objawiało. Siedzimy na jakimś spotkaniu i nagle Lothar Herbst, którego tam ściągnąłem, mówi do mnie: – Krzysiek, słuchaj... Pytam więc, czego mam słuchać. A on na to: – Słuchaj. Bo ja prawie ślepy jestem, ale słuch mam dobry. Słuchaj tego języka polskiego, jakim oni się posługują, bo więcej się z nim już nigdzie nie spotkamy.

Miał rację?

Tak, to była piękna polszczyzna „Wiadomości Literackich”, „Pana Tadeusza” i Mariana Hemara. Jak już dowcip – to Hemarowski, a nie jak często w kraju bywało prymitywny. U nas Kabaret Starszych Panów reprezentował tę lepszą tradycję. Emigracja ją zachowała. Kilkadziesiąt lat miłości i tęsknoty wyznaczało jej postawę wobec kraju. Obowiązywała przy tym reguła, żeby do gmachu ambasady nawet się nie zbliżać. To wciąż ten sam budynek, w którym urzędował Raczyński, ale nie zbliżano się tam, z ambasadą wiązała się też tradycja Kiszczaka.

Właśnie, czterdziesty szósty rok i Kiszczak...

To była inna już spuścizna: szpiegostwo, inwigilacja, napuszczanie jednych polskich emigrantów na innych. Dzisiaj to nie ma już żadnego znaczenia. Miałem to szczęście, Andrzeju, naprawdę miałem szczęście, że zetknąłem się z ludźmi z zupełnie innego świata.

I to w momencie pewnego historycznego przejścia, bo pamiętamy, że tam w Londynie pewne pokolenie niestety odchodziło już w sposób naturalny, a w Polsce z kolei następowała pewna historyczna zmiana, wracali-

śmy do wolności i niepodległości, akurat w tym momencie Ty patrzyłeś z bliska na świat londyński.

Pamiętam jak zrobiliśmy spotkanie z chłopakami z kraju na Zamku, bo legalizm pozostawał ważny, przyjechał Władek. Przyszli wszyscy, więc siedzieli Raczyński z panią Mieczysławską, dokładnie nie pamiętam, czy uczestniczyły siostry Piłsudskie, ale mogły wtedy być. I Sabbat, dobra głowa, wszyscy się pojawili. Zawiozła nas tam Ania, córka pani Teresy, urodzona w Stratford, ale mówiąca po polsku tak jak my, tylko ładniej, posługująca się jakby czystszą polszczyzną. Władek w latach 1988–1989 był już żywą legendą. Znałem go doskonale i pozostawałem osobą wspomagającą to spotkanie, więc mniej trochę niż inni uległem nastrojowi. A oni siedzieli zasłuchani. Pili, jedli i wsłuchiwali się jednocześnie w te opowieści. Niektórzy nawet byli zazdrośni, kto z kraju u kogo się pojawi i z kim się spotka. Ktoś z uczestników spotkania rzucił, że jest specjalistą od wyprowadzania fabryk z kryzysu, przez lata jeździł w tym celu po Ameryce Południowej. A Władek na to: – A tam jest cały kraj do roboty. Takie odbywały się spotkania...



Krzysztof Turkowski w rozmowie z Edwardem Raczyńskim i Anielą Mieczysławską

Jak rozumiem tym, którego Frasyński zachęcał do podjęcia nowego wyzwania był Jeffrey Sachs, wcześniej doradca w Boliwii i u prezydenta Carlosa Menema w Argentynie. Istniało środowisko London School of Economics, które wywarło później spory wpływ na przemiany gospodarki w Polsce. Wywodził się z niego Stanisław Gomułka, doradczący wcześniej Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, a potem Leszkowi Balcerowiczowi przy jego planie. Po latach został jeszcze zastępcą Rostowskiego.

Nie pamiętam Jacka Rostowskiego, wiem, że oni, środowisko London School of Economics, spotykali się w POSK-u w takim młodzieżowym klubie. A trzeba pamiętać, że wtedy też miałem trzydzieści parę lat, poszedłem z nimi na wędrowkę po górach. W tym środowisku działał Stanisław Berkiet, który był wiceszefem Citibanku i jednocześnie liderem harcerstwa.

Mówiło się nawet, że na emigracji działa grupa harcerska.

To byli Sabbat i Kaczorowski. Złośliwi oczywiście ironizowali, że ci harcerze po 65 lat mają, a ciągle kolana odsłaniają. Jednak to byli ludzie wcześniej niższego szczebla, ale działający przy Andersie, przy Komorowskim, przy Pełczyńskim, przy Arciszewskim, i to oni przechowali Drugą Rzeczpospolitą. Niebawem nastąpiło przekazanie insygniów, zdarzenie niedoceniane, ale Wałęsa niestety nie czuł, jakie to ma znaczenie. To był powrót Drugiej Rzeczypospolitej. Wiele ważnych instytucji jednak na emigracji zostało również wówczas, gdy komunizm w Polsce już upadł: oczywiście ogromny Instytut Generała Sikorskiego, Studium Polski Podziemnej, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Instytut Józefa Piłsudskiego i oczywiście ogromne Stowarzyszenie Kombatantów Polskich, Polska Macierz Szkolna, której walki o polskość kolejnych pokoleń dzieci emigrantów wciąż się nie docenia, harcerstwo – to były kontynuacje organizacji najbardziej patriotycznych. Wolnej Polsce i Polakom znakomicie służyły skromne sobotnie szkoły...

Czy w okresie zmiany w Polsce pojawiła się w Londynie taka tendencja, że sprzedadzą mieszkania, wrócą do kraju, żeby pomóc?

Młody mógł pomóc, stary już nie, raczej tak to odczuwano. Wyczerpanie fizyczne, doświadczenia wojenne się do tego przyczyniały. Biologia okazywała

się często nieubłagana, więc wbrew własnym marzeniom sprzed lat wracali, ale w urnach. Oczywiście bywało inaczej, pamiętam delegację z insygniami, pewnie wielu jej uczestników miało poczucie dumy i satysfakcji.

Czy po zmianie tak diametralnej emigranci z Londynu czuli się przedstawicielami wolnej Polski za granicą?

Nawet nie, mówili raczej: wypełniliśmy zadanie. Udało się, doczekaliśmy. Po latach Polacy w Dortmundzie bardziej żyli sukcesami Borussi, kiedy tam grali Robert Lewandowski i Jakub Błaszczykowski, niż przywiązaniem do tej tradycji, o której teraz rozmawiamy. Ale gdy jest wolny świat, wolna Europa – okazało się, że nie ma takiej potrzeby.

Znaleźli się jednak tacy, którzy dbali o uhonorowanie Polaków z Anglii?

Wielką rolę odegrał nowy konsul, pan Janusz Kochanowski, który zginął potem w Smoleńsku. Ambasadorem został mecenas Tadeusz de Virion, nastąpiła wymiana. Ci starzy przyznawali, że podszedł do emigracji z ogromnym szacunkiem. Docenili to ci, którzy mieli przez kilkadziesiąt lat nansenowski paszport uchodźcy i teraz naprawdę dostali paszport z orłem w koronie.

Poza ludźmi, wielkimi postaciami znanymi z historii, jakie zdarzenia wywarły na tobie największe wrażenie?

Struktura istniejąca, którą tam zastałem, chociaż wiadomo, że bywało przedmiotem żartów to, że rząd nie uznawany ma ministra spraw zagranicznych, chociaż przez jakiś czas Watykan czy niektóre kraje latynoskie to przedstawicielstwo jeszcze uznawały. Nawet jeśli część emigracji zachowała do tego dystans, było dla niej oczywiste, że mamy w sprawach polskich występować. Ciągłość robiła wrażenie, ten Zamek, gdzie Wendorf był cały czas dokąd mógł przy Augustcie Zaleskim. POSK zbudowali z tych swoich skromnych składek, gdzie była biblioteka bardzo dla Polaków ważna, pan Jagodziński, niezmiernie istotna postać. Działały Instytut Piłsudskiego i PUNO – Polski Uniwersytet Na Obczyźnie. Mam wrażenie, że to jedyna emigracja polityczna po drugiej wojnie światowej, która wytworzyła takie struktury. Nie mieli podobnych Litwini, Estończycy, Łotysze ani Ukraińcy.

Jak wyglądały ich relacje z naszą emigracją niepodległościową?

Oczywiście były dwa poziomy: jeden to kontakty dziennikarskie w Wolnej Europie, drugi to bezpośrednie spotkania. O istnieniu takiego bloku antykomunistycznego narodów Europy Środkowo-Wschodniej przekonałem się, gdy przemawiałem w ogromnej hali do paru tysięcy ludzi w towarzystwie rosyjskiego emigranta Władimira Bukowskiego, ukraińskiej liderki Sławy Stećko i parlamentarzystów ukraińskich z parlamentu brytyjskiego. Trochę już o tym spotkaniu Ci opowiadałem. Byłem tam jako jedyny Polak. Dla mnie stanowiło to ogromne przeżycie. I jeszcze po spotkaniu poszliśmy na piwo z Władimirem Bukowskim, który dla nas był wtedy absolutnie symboliczną postacią.

Czy w trakcie spotkań z Polakami miałeś poczucie pewnej ciągłości i łączności pokoleń? Znajdowaliście wspólny język, odkrywaliście go?

Absolutnie tak, bo wyobraź sobie, że mnie w dzieciństwie ojciec zmuszał do czytania „Zajęca” Adolfa Dygasińskiego. Dzisiaj nikt nie wie, że coś takiego jest w polskiej literaturze. A moi londyńscy rozmówcy też to w dzieciństwie czytali. Okazało się, że mieliśmy podobne lektury, co stanowiło dla mnie jedno z najbardziej zaskakujących londyńskich odkryć. W kinie zawsze lepiej czułem się na filmie przedwojennym niż współczesnym. Dzięki zainteresowaniu Drugą Rzeczpospolitą rozróżniałem poszczególne kabarety. Rozmowę z panią Władą Majewską z pewnością to ułatwiało.

Przedwojenna Warszawa w jakimś sensie przeżyła i była obecna w tym emigracyjnym Londynie?

Emigranci nie idealizowali oczywiście bez miary tamtego utraconego świata. Pani Lidia Ciołkoszowa opowiadała o swoich doświadczeniach harcerskich, nadmieniała, że ponieważ była żydowską harcerką, musiała osobno iść, gdy odbywał się marsz – słuchanie tego nie było miłe, nawet jeśli się o takich faktach wiedziało z lektur. Ciekawe, nawet pasjonujące było utrzymanie domu polskiego o takiej niepodległościowej tradycji pomimo podobnych przeżyć. A dla mnie kultowa była Warszawa drugiej wojny światowej, wiedzę o niej uosabiał Tadeusz Żenczykowski. Potem tam się pojawił z kraju Władysław Bartoszewski, odświeżały się przyjaźnie, anegdoty, wspomnienia.

Czy coś Cię zaskoczyło w funkcjonowaniu polskiego Londynu?

Pomimo obśmiewania polskiego wychodźstwa przez propagandę, jego samotności i trudnej sytuacji, gdy brytyjskie władze uznały, że partnera znajdują w rządzącym kraju, mniejsza o to, że komunista – objawił się na emigracji pewien profesjonalizm, którego w kraju wciąż brakuje. Środowisko miało tak zwany kontakt w Home Office, czyli nazwijmy to bezpiecznie szeroko rozumianej, wtedy, gdy trzeba było przyspieszyć wydanie komuś paszportu, ale i w sprawach poważniejszych, związanych – powiedziałbym ogólnie – z bezpieczeństwem NATO. Dzięki temu Błażyński, Soboniewski czy Żenczykowski uczestniczyli w różnych istotnych dla wspólnoty wolnego świata wydarzeniach. Natomiast niemile zaskoczyła mnie niesłychana pauperyzacja wielu ludzi z polskiej emigracji, to był dramat.

Czy to było odczuwalne, rzucało się w oczy?

Widać to było, zwłaszcza, że minęły lata. Pierwszy okres też był bardzo przykry, poniżający dla nich. Na przykład słynna srebrna polska brygada, chyba w Hotelu Dorchester, od majora wzwyż – to byli specjaliści od szorowania sreber. Niektórzy mieli głowy do interesów, jak pani Szagonowa, która zawsze kredyty załatwiała, miała dużo domów, w nich wszystkie meble osiemnastowieczne. Mąż pani Affeltowicz założył fabrykę radiotechniczną, w której sporo emigrantów dostało pracę. Również Sabbath robił biznes, miał bodajże fabrykę kołder. Niektórzy pracowali w instytucjach, w których traktowani byli trochę z przymrużeniem oka. Inni po początkowych upokorzeniach ujawnili swoje talenty w branżach, niemających związku z tym, czym się przed wojną zajmowali. Generał Rudnicki po dwóch latach pobytu dostał propozycję pracy w stajniach jako specjalista od kawalerii w stopniu generała. Zawsze miał zdolności malarskie, znał się na sztuce, więc pojechał do Szwecji, gdzie kupował stare obrazy, których miejscowi nie doceniali. A potem – jak opowiadał – wprowadził je na rynek brytyjski w ten sposób, że pokazał je w dobrym dniu na Wimbledonie niedaleko kortów tenisowych i znalazły wzięcie. Porządnie na nich zarobił.

Czy emigranci starali się nawzajem sobie pomagać, czy różnie z tym było?

Jak w Polsce, jak w Polsce...

Rozumiem.

Elitą byli „wolnoeuropejczycy”, inaczej niż BBC, bo oni mieli dobre emerytury, amerykańskie, więc mieszkali ładnie, a przy tym w dobrych lokalizacjach i pozostawiali przedmiotem zazdrości. Rzeczą istotną pozostawała na emigracji dbałość o to, żeby dzieci się uczyły. Rodzice jak mogli inwestowali w to, żeby angielski kolejnego pokolenia był bogaty i poprawny. Skromniejsze polskie domy widziałem w środkowej Anglii. Wśród elity słyszało się czasem uwagi, no zobacz, mieszkają w tej Anglii trzydzieści lat, a jak idziesz u nich do toalety, to tam papieru nie ma, tylko gazety pocięte, ach ci z Polesia, to z Polesia.

No tak...(śmiej)

A z drugiej strony było Ognisko na Exhibition Road, to takie zresztą bardzo polskie, że w dzielnicy muzeów, Instytut Sikorskiego, w Ognisku przecież był kiedyś stolik generała Andersa, kabaret Hemara, spektakle teatralne. To oczywiście historia, ale podczas mojego pobytu zdążyłem być na wieczorze 11 listopada, królowała tam szefowa ZASP Irena Delmar, zwana przez wszystkich Delmarką, świetnie się prezentowała, ale ciągle nie mogła uwierzyć, że to już nie te czasy. Wiele takich osób spotkałem. Niektórzy mieli znacznie gorzej. Nie wszyscy musieli myć naczynia, ale nie każdy czuł się elitą. Zwłaszcza, że spadali z wysoka, to oczywisty problem emigrantów. Wiele znalazło się dzielnych osób, młodsza córka Marszałka studiowała architekturę w Liverpoolu, inni medycynę, ekonomię... W nauce świetnie poradził sobie Szczepanik i Szkopiak, który był chemikiem, inżynierem metalurgiem.



Krzysztof Turkowski w rozmowie z córką Marszałka Wandą Piłsudską w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie

A życie codzienne emigrantów, co zwracało uwagę?

Pyszne pierogi, to oczywiście. Ale też polski chleb, kupowany u Ukraińców.

Spytam oczywiście o Kościół, zawsze postrzegany jako ostoja emigracji, jaka była jego rola?

Istotna niezmiennie przy wszelkich uroczystościach, co zrozumiałe. Kościół stał się też miejscem kształcenia polskiej młodzieży. Nie wiem, jak by to bez niego wyglądało, skoro dzieci emigrantów kończyły szkołę w Anglii, a potem przecież trzeba było z czegoś żyć. Polska edukacja dla większości mogła więc stanowić tylko uzupełnienie. Pamiętam ze swojego pobytu różne wydawnictwa dla dzieci, zawarte w nich wierszyki. Nie tylko „Kto ty jesteś”, ale również bajeczki uwzględniające emigranckie realia.

Jak Polacy z emigracji patrzyli na Jana Pawła II?

No jak nie kochać.

Oczywiście, ale mam na myśli to, z jakiej perspektywy odnosili się do polskiego Papieża?

Jak Styka do Matki Boskiej, na kolanach. Doceniali, jak niezwykle rolę odgrywał, jak wpłynął na poczucie godności Polaków na całym świecie i ich wspólnotę.

Czy w Londynie czuło się oddech służb PRL, a ściślej, czy emigracyjni politycy liczyli się z tym, że są inwigilowani?

Absolutnie, trzeba pamiętać, że w czołówce emigracyjnych struktur znajdowali się ludzie, którzy wiedzieli, jak tajne służby działają. Zawsze z tyłu głowy mieli, że ambasada to centrum szpiegostwa, zgodnie z prawdą zresztą. Skrajnie nieufny był dyrektor Jagodziński.

Jak postrzegałeś w trakcie pobytu relacje między polityką emigracji a tą brytyjską?

Chwaliłem przedtem już polskie instytucje, że tyle ich powstało, zwykle ze składek – ale był feler w tym, że nie udało się polskiemu środowisku wprowadzić parlamentarzystów do brytyjskiej Izby Gmin, a Ukraińcy to potrafili, mieli w parlamencie nad Tamizą dwóch czy trzech swoich. Gdy ja byłem w Wielkiej Brytanii, politykę miejscową ukształtowała aktywność pani Margaret Thatcher, nawet młode pokolenie niczym nie przypominało roczników lewicujących w 68 roku. Przeciwnikom komunizmu z Polski i emigracji było pewnie łatwiej niż przed laty.

A jak kształtowała się pozycja Polaków z Londynu wobec innych ośrodków polskiego wychodźstwa? Jak rozumiem kombatanCI z kraju, w którym rezyduje rząd emigracyjny czuli swoją szczególną rolę?

Najważniejsze było Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Niemczech, w Ameryce, we Francji, w Kanadzie i w Argentynie. Byłem na zjeździe kombatantów. Mieliśmy tam specjalne zaproszenie z Władkiem Frasyniukiem, to

było nasze kolejne spotkanie. Mówiliśmy w POSK-u do wielkiej sali. Zbierano tam pieniądze na pomoc Komitetom Obywatelskim. Kombatanci bardzo byli nami zaciekawieni, zwłaszcza że ten facet był żywą legendą. I co również ciekawe – mówiliśmy dość podobnie. Środowisko tam się podzieliło dopiero wówczas, gdy przyjechał i spotkał się z nim premier Tadeusz Mazowiecki, mam nawet zdjęcia. Wiadomo, jakiego wtedy mieliśmy ministra spraw wewnętrznych. Z perspektywy czasu łatwiej wszystko analizować, wtedy dla wielu było ważne, że premier jednak jest nasz, Mazowiecki wywodzi się z opozycji. O PAX-ie też oczywiście mówiono, ale w sposób powściągliwy. Jak się zastanawiam, dlaczego mnie i Władka Frasyniuka tak dobrze kombatanci przyjmowali, łączę to z faktem, że myśmy byli młodzi, nie zdążyliśmy się pobrudzić w PRL, dlatego mogli nas inaczej czytać. Starsi londyńczycy byli niezwykle powściągliwi, jeśli chodzi o falę emigracji z 1968 i kilku następnych lat. Uważali, że jej przedstawiciele bardzo ich atakują i obśmiewają. Pokolenie '68 nie cieszyło się szacunkiem w polskim Londynie. Lepiej przyjmowano osoby z kraju. Dla nich byłem dziwadłem, Don Kichotem w zbroi krążącym po ulicach Londynu, podobnie ze wzruszeniem przyjmowano Tolka Juzwenkę czy Lothara Herbsta.



Krzysztof Turkowski i Lothar Herbst przy Whitehall w Londynie

Mówiliśmy o tym, jak pokolenie pamiętające wojnę odchodzi. Szczątki wielu z nich sprowadzono do Polski...

Pani Affeltowicz kazała, żeby ją tu przywieźli.

Szczepanik jest w Suwałkach.

Jeśli jednak zaczynamy rozmawiać o pośmiertnych losach, upamiętnieniach – to nie mogę ukrywać, że dziwi mnie, że choćby na Gocławiu wszyscy prawie mają swoje ulice, a Warszawa do tej pory nie dorobiła się ulicy Tadeusza Żenczykowskiego.

Może po tym wywiadzie w „Opinii” coś się zmieni, do Rady Miasta warto się zwracać o upamiętnienie działaczy emigracyjnych, po to jest komisja do spraw nazw. Zwłaszcza, że Żenczykowski – można powiedzieć – bardzo jest warszawski jako postać historyczna.

Warszawski aż do bólu. Całe pokolenie słuchało jego audycji historycznych. Gdy ruszył drugi obieg, poznało go jako autora „Samotnego boju Warszawy”.

Order Orła Białego Żenczykowski dostał już od wolnej Polski.

A w II Rzeczypospolitej był najmłodszym posłem.

Zaś w Powstaniu Warszawskim szefem całej propagandy, to w ogóle niesamowita postać.

Dlatego ulica w Warszawie mu się należy.

Rozmawiamy o czasach Twojego pobytu w Londynie, kiedy komunizm w kraju osłabł a potem upadał. Jak z dzisiejszej perspektywy oceniasz działania tamtej polskiej emigracji?

Konieczne, niezbędne.

Czy to znaczy, że im dłuższa perspektywa, w sensie analizy historycznej i politologicznej, tym znaczenie emigracji powinno rosnąć?

Widzę to w ten sposób, że ważne było utrzymanie niezależności i godności tu w kraju, ale również podtrzymanie jej tam, na emigracji. Dostrzegam teraz,

już w obecnych czasach przywracanie jej szacunku. Oczywiście jeśli porównać z Wielką Emigracją po Powstaniu Listopadowym – to wychodźcy powojenni stworzyli mniej instytucji. Za to w wielkim stopniu zaangażowali się w cudze konflikty, nasi wybitni żołnierze służyli w różnych obozach przez następne lata, zwykle niewiele na tym zyskując. Pamiętam jednak poczucie, a raczej pewność, że kiedy cała Polska pójdzie niemalże cała pod tę czerwoną wodę, to my przeniesiemy wartości, na nasze dzieci...

Czyli „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”, tak?

Raczej przechowywanie honoru, godności, polskiej tradycji, także instytucji po czterdziestym piątym, to ostatnie zwłaszcza stało się trudne, gdy Watykan w pięćdziesiątym ósmym roku cofnął uznanie. To była emigracja struktur. Trochę się nie pamięta, ile było wydawnictw.

Tego wciąż się nie docenia? Zapomina się, że Jerzy Giedroyc nie działał samotnie?

Przecież Giedroyc nie stworzył Macierzy Szkolnej. To oni wpłacali często pieniądze na Giedroycia. Nie stworzył też Skarbu Narodowego, chociaż zapewne wpłacał tam własne środki. Jedno środowisko z kraju kształtowało dominujący obraz emigracji. Oczywiście Giedroyc był bardzo ważny, „Kultura”, Maisons-Laffitte, „Zeszyty Historyczne”, ale nie był to jedyny ośrodek, tego typu myślenie to bzdura.

Na Wyspach były też osoby z emigracji późniejszej, Leszek Kołakowski w Oxfordzie...

O nieufności starszych emigrantów wobec pokolenia '68 trochę już opowiadałem. Nie wiązała się może tak bardzo z Kołakowskim, ważną postacią, mocniej z takimi osobami jak Włodzimierz Brus, ich żonami – wiesz, o kim mówię – życiorysami takimi, jak Zygmunta Baumana. Poza tym profesorska emigracja raczej nie szanowała reszty wychodźstwa, trochę pogardzała emigrantami, którzy to dostrzegali. Poza tym, naprawdę nie chcę nikogo obrazić, ale oni się identyfikowali bardziej z generałem Świerczewskim niż z Andersem. Nawet jeśli z emigracji wpłacali pieniądze na podziemną Solidarność...

A Krzysztof Pomian? Jakie miał znaczenie dla emigracji?

Duże nazwisko, nawet wielkie nazwisko paryskie. Ale w intelektualnym świecie. Pisał z wielką aprobatą o fenomenie Solidarności, ale związany był raczej ze środowiskiem zachodnich intelektualistów pokolenia '68, wedle naszych kategorii lewicującym. Podobnie zresztą jak Jan Karski. Cały ten krąg charakteryzowało przekonanie, że Rzeczpospolita umarła po 17 września 1939 r. wraz z wyjściem rządu za granicę. Ewentualnie jeszcze ich bohaterem był Stanisław Mikołajczyk, a dla Polaków z Londynu – na pewno nie. To był wielki dramat tych ludzi: zakończyli wojnę bohaterską i ciężką, walcząc w niej najdłużej i nie wpuścili ich na defiladę.



Uroczystość wręczenia Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski Krzysztofowi Turkowskiemu w siedzibie rządu emigracyjnego w Londynie. Odznaczenie wręczył prof. Edward Szczepanik, premier rządu emigracyjnego.

Kult polskich lotników też stanowił ważny motyw życia emigracji?

Lotnicy mieli w Escorcie swoją restaurację. Polacy w Anglii zachowali ogromny szacunek dla nich. Dlatego, że była to formacja zbrojna doskonale przez Anglików kojarzona. A emigrantów cechowała wielka wrażliwość na dobre imię Polski, łączona z przekonaniem, że trzeba o Polsce jak najczęściej mówić i bronić jej za każdym razem, gdy inni źle ją przedstawiają. Z Londynu zapamiętałem wielkie główkowanie nad propozycjami różnych grup dla Polski. Pozostawali pewni, że przechowali ten pierścień czy złoty róg.

Ale mieli poczucie, że chcą go oddać w godne ręce, tak?

Namawiali delikatnie, żeby w Londynie zostać, rodzinę ściągnąć... Zależało im na kontynuacji ich dzieła. Minęło tyle lat, ale wciąż uważam, że emigracja nie została ani doceniona jak należy, ani do końca naukowo zbadana. Wiążę spore nadzieje z Muzeum Piłsudskiego, także z Instytutem Piłsudskiego, z zachowaniem i pomnożeniem przezeń dorobku zarówno z Nowego Jorku, jak Londynu, z obu miejsc. Wszystko to, o czym rozmawiamy, zasługuje na wielką debatę historyków.

¹ **Turkowski Krzysztof**, ur. 17 V 1954 we Wrocławiu. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, kierunek historia (1977)

1973–1975 w SZSP

We IX 1975 współorganizator strajku studentów polskich na budowie w Kari-Manc-Stadt (obecnie Chemnitz) w NRD. W X po powrocie do kraju zatrzymany i przesłuchiwany pod zarzutem kolportażu wydawnictw niezależnych.

1977–1980 pracownik Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

1976–1980 współpracownik KOR/KSS KOR. NOW-ej; 1978–1980 działacz SKS we Wrocławiu; 1979–1980 Klubu Samoobrony Społecznej we Wrocławiu. 1976–1980 kolporter niezależnych wydawnictw, m.in. „Biuletynu informacyjnego”, „Robotnika”, „Biuletynu Dolnośląskiego” oraz książek. 1979–1980 współpracownik redakcji niezależnego „Biuletynu Dolnośląskiego”, 1979–1981 redaktor i autor w niezależnym piśmie „Tematy”. 1976–1980 wielokrotnie zatrzymywany, poddawany rozmowom ostrzegawczym, rewizje mieszkania.

21–31 VI 1980 uczestnik strajku w Zajezdni nr VII MPK we Wrocławiu, członek MKS we Wrocławiu, przewodniczący grupy wspomagającej MKS, redaktor „Komunikatów Strajkowych MKS we Wrocławiu”. Od IX 1980 w „S”, członek Komitetu Założycielskiego, IX 1980–VI 1981 wiceprzewodniczący Prezydium MKZ we Wrocławiu, III–VI 1981 także rzecznik prasowy. IX–XI redaktor „Solidarności Dolnośląskiej”, 1980–1981 autor; II–III 1981 redaktor niezależnego „Serwisu Informacyjnego MKZ Wrocław”. VI 1981 delegat na I WZD Regionu Dolny Śląsk, członek ZR; członek Komisji Zjazdowej, IX/X delegat na I KZD.

13 XII 1981 współorganizator strajku w Zajezdni nr VII MPK. Na strajku Politechniki Wrocławskiej. V–VIII 1982 redaktor podziemnego pisma „Z Dnia na Dzień”. 1983–1985 archiwista w Spółdzielni Inwalidów Usług Specjalistycznych we Wrocławiu. 1983–1989 współorganizator spotkań opozycji i wykładowca w ramach Duszpasterstw Akademickich: Wawrzyni, Dominikanie, ojców Kapucynów na Sudeckiej, Duszpasterstw Ludzi Pracy; we Wrocławiu na Al. Pracy, Franciszkanów na Karłowicach, a także w Bielawie, Dzierżonowie, Legnicy, Jeleniej Górze, Głogowie, Nowej Soli, w Głubczycach, Strzelinie, Żąbkowicach, Łądku Zdroju. Współorganizator obozów dla młodzieży szkolnej i akademickiej. W latach 1983–1988 stały wykładowca w czasie sierpniowych pielgrzymek na Jasną Górę. Wykładowca Tygodni Kultury Chrześcijańskiej. 30 X 1984–1987 członek Komitetu Obrony Praw Człowieka we Wrocławiu. 1983–1987 kilkakrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany, rewizje mieszkania. VIII 1988–IV 1989 pobyt w Austrii i Niemczech.

W V 1989 wyjechał za granicę (W. Brytania). 18 XII 1989–1991 członek Wrocławskiego KO „S”; 1990–1994 radny Rady Miasta Wrocławia z listy WKO „S”, wiceprezydent. 1995–1998 prezes PAI FILM, od 1997 doradca prezesa Polsat, członek Rady Nadzorczej RSTV, od 2003 prezes spółki Antena 1. 2004–2006 członek zarządu TV Puls. 2006–2008 Przewodniczący Rady Nadzorczej PAP. 2008–2012 Przewodniczący Rady Nadzorczej TV Lubin. Członek Prezydium Dolnośląskiej Federacji Kultury we Wrocławiu, przewodniczący Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Wrocławia, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Nadawców Radiowych i Telewizyjnych, Stowarzyszenia Autorów Radiowych i Telewizyjnych. 2011–2015 w Radzie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

Autor licznych publikacji w prasie solidarnościowej, podziemnej i emigracyjnej, cyklu rozmów z liderami emigracji londyńskiej, twórcą audycji historycznych i politycznych w Radiu Wolna Europa, PR, Radiu Kolor i Radiu Wrocław.

W 1985 laureat Fundacji Polcul. W 1986 odznaczony Nagrodą Solidarności Dolnego Śląska.

Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski przez Prezydenta Kaczyńskiego / Rząd RP na Uchodźstwie w Londynie (1989).

W 2007 odznaczony Krzyżem Oficerów Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Kaczyńskiego.

10 X – 23 XII 1975 rozpracowywany przez Wydz. III KW MO we Wrocławiu w samach SOS krypt Danka, 24 II 1978 – 24 VIII 1984 przez Wydz. III KW MO we Wrocławiu w ramach SOS/SOR krypt 54; 7 XI 1984–10 VII 1989 przez Wydz. V-I WUSW we Wrocławiu w ramach KE/SOR krypt. Mikołaj.

DR ANDRZEJ ANUSZ

**„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ” (1981–1989) –
NAJMNIEJSZE PISMO DRUGIEGO OBIEGU (CZ. 5)**

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ, ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ...

Rok IV 16 grudnia 1984 r. Nr. 21

Motto: „Ktoś ty jest? Kim ty jesteś?”

ZACHOWAĆ TWARZ

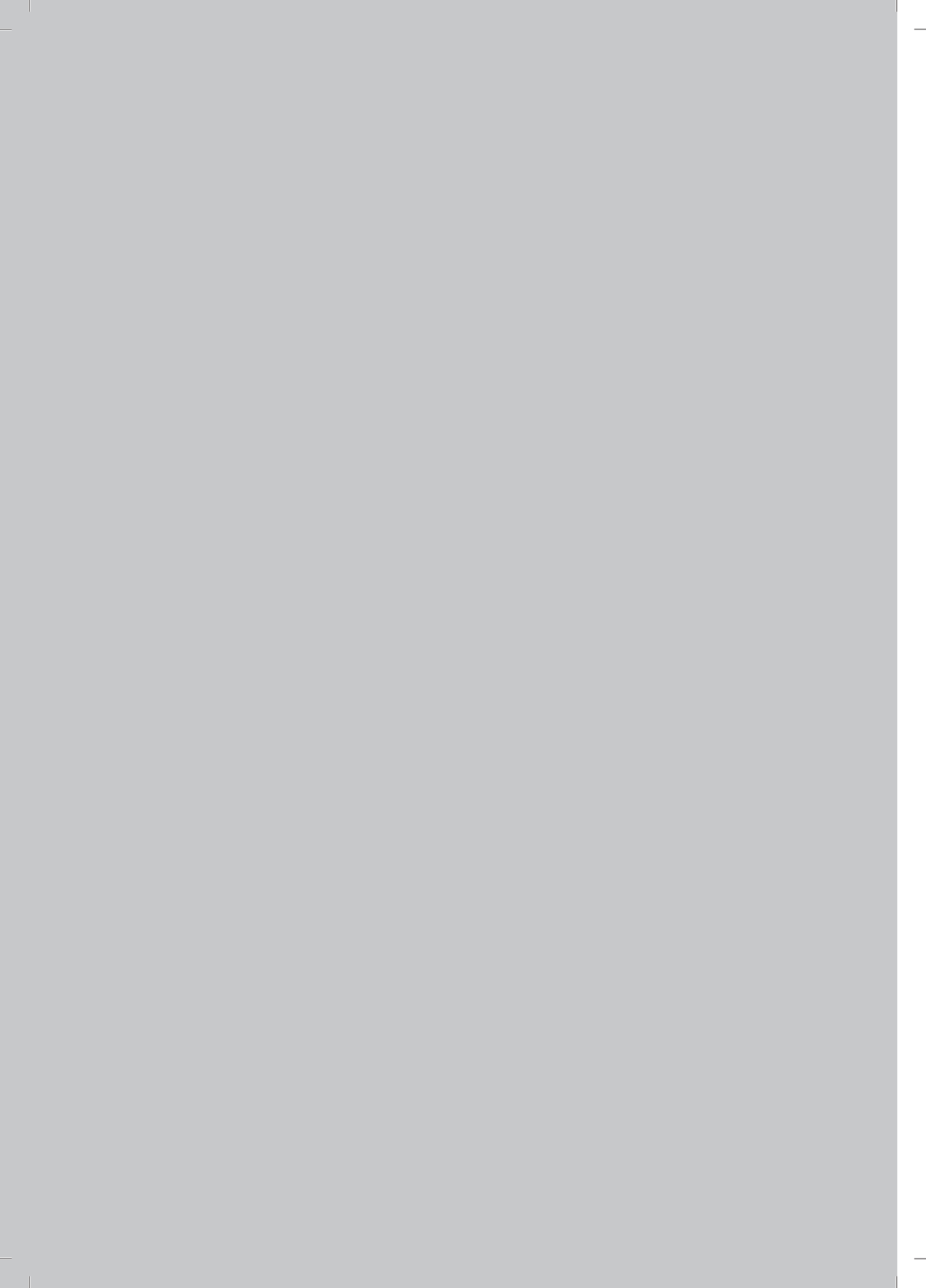
„Zawsze się radujcie”. Boże Narodzenie już blisko. Jeszcze kilka dni. Przyjdziemy na Pasterkę, bo jak przespać tę noc, gdy Bóg się rodzi? Bóg prawdziwy stał się Człowiekiem. Fakt wpisany w ludzką historię.

Jan zamordowany, zapłacił za głoszone prawdy najwyższą cenę, ale do końca zachował swą twarz, swoją godność, swoją wielkość.

Zachować twarz, w każdej sytuacji. Nie być chorągiewką. Nie być plewą, którą wiatr rozmiata. Być sobą. Wyjść z mgły przeciętności, lichoty.



KULTURA



ROZMOWA Z WIERSZAMI

O ratowaniu róż, gdy podpalano lasy

WIGILIA '81

To nie krew na śniegu tak płonie –
Noc jak usta oniemiały w krzyku.
Ponad miastem krążą czerwone –
krwawe, krwawe gwiazdy koksowników.

Za oknami chrzęści krok patrolu.
Strach jak knebel rośnie nam w gardłach.
I brak siły aby wyjść z domu,
Brak odwagi by mówić o zmarłych.

Niech tak leżą w sinych światłach błyskach,
Całunami brudnych gazet przykryci.
Niech czekają – może wyjdzie do nich Chrystus,
Może On odważy się krzyczeć...

Nam brak sił. I tylko drżąca ręka
Z trudem świeczkę zapala na oknie.
W każdym domu jest teraz cmentarz.
W całej Polsce – coraz samotniej.

1981

Ten wiersz nie powstał od razu. Stan wojenny zaskoczył mnie jak wszystkich, ogłuszył, ale nie obezwładnił. Od początku grudnia 1981 reżyserowałem na płockiej *Scenie '81* (Pierwsza i chyba jedyna scena „Solidarności” w Polsce!) poświęconą Piłsudskiemu sztukę *Czarny pierścień*. 13 grudnia miał odbyć się finał poetyckiego konkursu *O jesienną Chryzantemę*. W przeddzień wieczór, dla gości i laureatów konkursu urządziliśmy półoficjalną premierę. W roli marszałkowej Piłsudskiej wystąpiła piękna Bożena Mrowińska, która już wcześniej zorganizowała kilka przedpremierowych spektakli *Czarnego pierścienia* dla strajkujących robotników i dla studentów. Trudno zatem powiedzieć, które z kolei to było przedstawienie. Na pewno okazało się ostatnim.

Po premierze część publiczności poszła na dyskusję do hotelowej kawiarni, część – pod dowództwem poetki Urszuli Ambroziewicz – jeszcze na jakieś nocne posiedzenie „Solidarności”. Ulka rządziła wtedy związkową kulturą Mazowsza, szefowała też Solidarności Ziemi Płockiej”, z którą wielu nas współpracowało. Poza tym – wraz z kierowaną przez siebie grupą „Gościniec” należała do naszej Konfederacji Nowego Romantyzmu. Wybrała jednak związkową nasiadówkę, z której relację chciała zamieścić w swej gazecie.

Umówiliśmy się na rano. W Klubie Nauczyciela mieszczącym się w dawnym dworku Broniewskiego miało odbyć się uroczyste wręczenie nagród laureatom, aktorzy z naszej sceny mieli recytować ich wiersze.

I odbyło się – lecz bez Ulki.

Barbarzyńcy podpalają las, my ratujemy kwiaty, pani Maria goni kosmitów

W nocy wprowadzono stan wojenny. O świcie Płock wyglądał jak białe, baśniowe miasto opanowane przez upiorne kukły – kosmitów zgniłozielonego koloru. Chodzili ulicami po trzech przewalając się niezgrabnie z nogi na nogę. Niektóre stwory miały baniaste głowy z wielkimi, owadziimi oczyma, niektóre przypominały ludzi. Co jakiś czas ulicą przewalał się z chrzęstem czołg.

Kierowniczka Klubu Nauczyciela, Lena Szatkowska wierząc, że poeci jakoś się przekradną – otworzyła Dworek Broniewskiego. Poeci, choć nie wszyscy – dotarli, tyle że nie od ulicy, na której mieścił się strzeżony przez czołg i zomow-

ców Wojewódzki Komitet PZPR, ale od strony skarpy, przez zimowy ogród. Z miasta dotarło kilkoro odważniejszych miłośników poezji. Z aktorów, którzy mieli deklamować nagrodzone utwory – Kazik Tałaj. W międzyczasie Krzysztof Barański, poeta i działacz „Solidarności” przyniósł wiadomość: wszystko skończone, Urszula aresztowana.

Otóż nie wszystko! Jako przewodniczący jury i paru innych struktur zaangażowałem o pozostanie: „Solidarność” żyje, my żyjemy, impreza się odbędzie, a zadedykujemy ją Urszuli. Wszyscy obecni pozostali. Poeci recytowali wiersze, Kazik Tałaj prócz utworów laureatów deklamował wiersze z którymi wcześniej odwiedzał strajkujących robotników. Mickiewicz, Słowacki, Norwid... Aktualny okazał się znów wiecznie zbuntowany Broniewski. Lena odczytała wiersz Urszuli. Potem każdy deklamował co miał – im bardziej antyreżimowe utwory – tym większe brawa dostawały. Te wiersze stały się wkrótce załącznikiem pierwszej podziemnej antologii.

Pod koniec imprezy na salę zajrzała woźna, pani Maria Jankowska. „Nie chciałam państwu przeszkadzać, wpadł tu patrol, ale ich pogoniłam, że zabrudzą świeżo zapastowaną podłogę. Poszli w cholerę”. Pierwsza nielegalna impreza poetycka stanu wojennego dobiegła końca bez zakłóceń. Po latach ze wzruszeniem odczytałem swój wpis do księgi: *Na pamiątkę czasu, w którym usiłowaliśmy ratować róże i jedną jesienną chryzantemę.*

Krwawe liczby

Po południu wracałem z żoną do Warszawy.

Pod wpływem impulsu wysiedliśmy **w połowie drogi**, poczekaliśmy na autobus przedzierający się ze stolicy w stronę Płocka – i wylądowaliśmy w známym z wakacji hoteliku w Wyszogrodzie. Okazało się, że miałem dobrą intuicję: gdy w końcu wróciliśmy do Warszawy na schodach zatrzymał nas sąsiad: byli po pana. Tę noc spędziłem znów poza domem.

Żeby nie ugrzęznąć we wspomnieniach i zakończyć wątek prywatny:

- 1) nie zostałem internowany – skończyło się na przesłuchaniach,
- 2) niczego nie podpisałem, nie zgodziłem się nawet na współpracę zawodową -redaktorzy deklarujący poparcie stanu wojennego ocalali wtedy swoje stołki,

3) zostałem wyrzucony z radia.

Wiedza o tym, co się naprawdę stało docierała do nas powoli. Zamach Jaruzelskiego przeprowadzony był w stylu sowieckim, to znaczy zaskakującym i zakłamanym; nie do końca było jasne, czy to napaść, czy może obrona przed napaścią, winę z katów przerzucano na ofiary, które rzekomo chciały mordować komunistów i rozpocząć wojnę domową. Jaruzelski zagarnął pełnię władzy, internował przejściowo Gierka, jednocześnie udawał trzecią siłę ratującą kraj przed wojną domową. I w rzeczywistości był trzecią siłą: polskojęzyczną armią przywracającą sowietyzm w próbującym się wyzwolić kraju.

W ciągu pierwszych godzin stanu wojennego uwięziono około 5 tysięcy osób, potem liczba ta jeszcze wzrosła; do podboju i pacyfikacji społeczeństwa komuniści rzucili 80 tysięcy żołnierzy, 30 tysięcy milicjantów, 1750 czołgów i 1900 transporterów. Rozkaz generała Kiszczaaka pozwalający zabijać, już 12 grudnia o 16. był w komendach MO. Milicjanci potrafili zachować zbrodniczą dyskrecję. 12 grudnia rano przyleciało do Polski dziesięciu wyższych oficerów Sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych w Moskwie, po południu przyleciał zastępca szefa KGB Władimir Kriuczukow. Czy liczba tego typu doradców i kontrolerów była wyższa? – zapewne tak.

Operację zaczęto w nocy na 13 grudnia, do otwartych starć doszło w poniedziałek, gdy ludzie udali się do pracy. Zmasakrowano strajki w 40 zakładach. Pierwsze strzały padły 15 grudnia do strajkujących w kopalni Manifest Lipcowy; górnicy odparli dwa ataki – ustąpili, gdy milicja otworzyła ogień raniąc 4 osoby. Najbrutalniejsza akcja miała miejsce 16 grudnia w kopalni „Wujek”: milicjanci zamordowali 9 górników, 21 ranili.

Jednym z zabitych był 22-letni Zenon Zajac. Narzeczona wyblagała ciało, odwiozła do rodzinnej wsi. Po drodze kilkakrotnie zatrzymywały ją patrole, trzykrotnie otwierano trumnę, szarpano zwłoki.

Józef Stawisiński miał również 22 lata. Otrzymał postrzał w głowę. Matka szukała syna po wszystkich szpitalach Śląska, znalazła go w Szopienicach. Zatrudniła się jako salowa, by być przy nim. Była – do 25 stycznia. Tego dnia umarł.

Najdziwniejsza była śmierć Ryszarda Gzika: dostał w głowę, lecz nie

było widać rany. Kula przeszła uszami. Wyglądał – jakby spał. Pozostawił żonę i dziecko.

Najstarszą ofiarą był 48 letni Józef Czekalski. Dostał w serce. Z przodu prawie nie było widać rany, z tyłu ziała ogromna wyrwa. Żonie nie pozwolono iść za trumną.

Ostateczna liczba ofiar stanu wojennego nie jest znana, wiadomo, że przekroczyła 100 osób.

Strajki trwały do końca miesiąca. 28 grudnia wyjechali na powierzchnię górnicy kopalni „Piast”. To był koniec strajków, ale nie koniec oporu.

Powrót do normalności, czyli do konspiracji

Przed świętami zaczęły się pierwsze zwolnienia, w Wigilię wypuszczono m.in. naszą Urszulę. Obawiała się – że na wabia, **że zaczął aresztować jej znajomych** – przemknęła się do Warszawy. Zorganizowaliśmy jej melinę i ludzi załatwiających zakupy. Pomógł sąsiad z Pięciolini, Edek Kirpluk – działacz „Solidarności”, wkrótce **naczelną podziemnego pisma** *Słowo Podziemne*. A także współpracownik Konfederacji Polski Niepodległej, Związku Piłsudczyków, Solidarności Walczącej i kilku innych podziemnych organizacji. Wbrew współczesnym legendom działaczy podziemia było bowiem niewielu, organizacji więcej, każdy musiał działać co najmniej w pięciu.

Jedną z Edkowych konspiracji było podziemie dawnego PAX-u. Chłopcy – prawem i lewem – „odziedziczyli” z firmy jakieś maszyny i papier; winietę „Słowa Powszechnego” przerobili na „Słowo Podziemne”. Pierwszy numer to właściwie była złożona wpół kartka, raczej ulotka, chcieliśmy żeby dotarła do ludzi na święta, żeby dodać ją do dobrych życzeń. Pierwsze „normalne” numery zaczęły wychodzić regularnie od końca stycznia 1982. Ukazało się ich 73.

W tym samym czasie gotowa była już pierwsza antologia poezji stanu wojennego *Głosy w ciemności*. Jak wspominałem: powstała „sama” – w formie mówionej – pierwszego dnia stanu wojennego podczas poetyckiej imprezy w Płocku. Ja zająłem się kompozycją i wstępem, wiersze z oddaniem tłukła na maszynie Ludka, kto i gdzie to drukował – tego Edek nie mówił, a my nie pytaliśmy. Antologia żyła i dorastała wraz ze stanem wojennym, wzbogacała się o nowe wiersze. Poprosiłem o pomoc Jurka Tomaszewicza i Martę Berowską

– żadne z nich nie odmówiło. Dzięki temu także ich wiersze znalazły się w antologii, chociaż w szczególności druk ich nie wtajemniczałem. Potem pisali także artykuły – też nie wiedząc gdzie się ukazać. Ręczyłem, że dana redakcja „jest dobra” – to wystarczyło. Używaliśmy wtedy takich określeń. Nie: „bezpieczna”, „prawicowa”, „lewicowa”, ale po prostu: „dobra”. Nasza działalność zresztą też wynikała raczej z pobudek etycznych, niż politycznych, zwłaszcza z poczucia obowiązku wobec tych, którzy zostali uwięzieni.

Wymyśliłiśmy dość prostą technikę masowego druku. Zawoziliśmy pojedynczy egzemplarz pisma czy książki do Płocka, albo innej Łodzi, a miejscowe podziemie rozmnażało go wedle potrzeb. W Płocku odbiorczynią była Ulka Ambroziewicz, która wróciwszy z Warszawy wzięła się znów do konspiracji. Także Joanka Oniszcuk a raz czy dwa Gienek Aleksandrowicz. Wspominam – bo nawet ów raz czy dwa wymagał odwagi. Na ogół się sprawdzało. Esbecja zaatakowała mnie tylko dwa razy. Za pierwszym razem zaprowadzono mnie z pociągu na komisariat, na szczęście niczego przy sobie nie miałem, wypuszczono w nocy. Brrr... Poszedłem w przeciwnym kierunku, pod jakąś knajpą złapałem taksówkę i kazałem się wieść pod teatr. Za drugim razem jechał ze mną cały koszyczek różnych publikacji, między innymi *Pism wybranych* Piłsudskiego. Znów esbecy powitali mnie na peronie i znowu nic nie znaleźli. Koszyczek wysiadł innymi drzwiami i trafił pod właściwy adres. Wiozła go albo aktorka Joasia **Kořakowska**, albo poetka Marysia **Żółtowska**.

Świece i koksowniki

W wigilijnym wierszu znalazły się skondensowane do kilku metafor dni tamtego grudnia, koksowniki i gwiazdy, które wtedy przypominały koksowniki, ciała pomordowanych i Chrystus, na którego czekali. W pierwszym odruchu napisałem, że zamiast niego przyszli zomowcy. Potem zrezygnowałem z tej strofy. Na końcu wiersza zapalają się świece. Wiersz trafił do naszej antologii i kilku druków podziemnych, potem ukazał się w paryskim wydaniu *Kordiana i Chama* – w kraju jeszcze rządziła cenzura. W Polsce ukazał się legalnie w 1991 roku, w zbiorze *Chłopiec, który odchodzi* (po trzech latach od jego złożenia). Wsunąłem go w korekcie, gdy cenzura przestała działać.

Świece w oknach zapaliliśmy w wigilię 1981, w następnych miesiącach – każdego 13. Mówi się, że palenie świec zaczęło się na prośbę Jana Pawła II, mówi się też, że wezwał do tej akcji Ronald Reagan. 23 grudnia wygłosił telewizyjne przemówienie, w którym poprosił Amerykanów, aby zapalili świece w geście życzenia wolności dla Polski. *Od tysiąca lat w Polsce, kraju ludzi głębokiej wiary, świętowano Boże Narodzenie. Te święta nie przyniosą jednak radości dzielnym ludziom w Polsce. Zostali oni zdradzeni przez własny rząd.*

Po tych słowach prezydent USA zapalił świecę i postawił ją w oknie swojej jadalni.

Według politologa prof. Paula Kengora, pomysł podsunął prezydentowi ambasador Romuald Spasowski, który właśnie poprosił o azyl polityczny.

Może prawdziwe są wszystkie relacje, może pomysł narzucił się sam, może domagali się zapalenia świec ludzie umarli, może żywi – a zdradzeni. Po prostu w Wigilię 1981 stało się nagle oczywiste, że te świece trzeba zapalić. Przypominali sobie o tym sąsiedzi w windzie i przechodnie na ulicy. Precedensy podobno bywały: przed laty 12 Żydów nagle zrozumiało swą misję i zaczęło mówić zgodnie obcymi językami. Nasz wyczyn nie był niczym nowym, za to było nas więcej. I także dostaliśmy nie zawsze zasłużone charyzmaty, zwłaszcza łaskę odwagi, czasem niewidzialności.

Odebrano nam łaskę życia w prawdzie. Zapalaliśmy świece w mroku stanu wojennego.

W wigilię także napisałem swój wiersz

PS. Pamięć po latach

13 grudnia to najbardziej haniebną datą naszej historii. Jaruzelski nie zrobił tego, co zrobili polscy generałowie uzależnionej od zaborców Kongresówki, zrobił to, co wtedy Paskiewicz: podbił Polskę, przywrócił sowiecki porządek.

Jak wygląda po latach nasza ocena tamtych zdarzeń. Nie znam rzecz jasna danych na rok 2014, wynotowałem tylko liczby „jubileuszowe” uzyskane w 30 rocznicę wprowadzenia stanu wojennego:

51 proc. badanych uznaje decyzję o stanie wojennym za uzasadnioną – 27 proc. za nieuzasadnioną.

57 procent badanych twierdzi, że stan wojenny uchronił Polskę przed zbrojną interwencją ZSRR, a 46 procent zauważa, że udało się w ten sposób uniknąć anarchii i strajków.

26 proc. badanych odpowiedziało, że Jaruzelski zasługuje na szacunek, a tyle samo – że na potępienie. Większość Polaków nie ma własnego zdania.

Jaruzelski i Kiszczak – ludzie winni przelanej krwi – zostali mianowani ludźmi honoru.

Paskiewiczowi postawiono w 1870 r. pomnik na Krakowskim Przedmieściu, obecni byli wszyscy czołowi zdrajcy i służalcy tamtych lat. Jaruzelskiego pochowano w „polskim Panteonie” – na cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Obecni byli: ambasador Andrejew oraz – odnotujmy dla historii: Komorowski, Kwaśniewski, Wałęsa, Urban, Michnik, Kalisz, Olbrychski i inni. Pierwsi trzej to prezydenci RP, trzej od końca – Autorytety Moralne. Ten w środku, Urban, chyba całość wyreżyserował. Nazywają go Goebbelsem stanu wojennego.

Za wcześniej pogasiliśmy świece.

POLSKA W RUINIE PRINTED IN CZECH REPUBLIC

O „Królestwie” Szczepana Twardocha

Dokładnie na stulecie niepodległości Szczepan Twardoch – dziś najciekawiej piszący po polsku autor – zapewnia rodakom niezwyklej psychoterapię. Zamiast idei pokazuje ludzki wymiar historii... w nieludzkich warunkach. Już nie bawi. Skłania do wymagającej refleksji o nas samych.

„Królestwo” zaczyna się w momencie, w którym „Pianista” Władysława Szpilmana – a także jego słynna ekranizacja Romana Polańskiego – zmierza do finału: w gruzach Warszawy, zimą 1944/5. Polaków już wypędzono, Rosjanie jeszcze nie weszli, Niemcy wkrótce uciekną. W ruinach pomieszkują niedobitki dawnego świata: pojedynczy ocaleni z holocaustu Żydzi i śląski dezertier z Wehrmachtu. Obcy na polskiej ziemi próbują przeżyć w mieście, którego gospodarzy dopiero co wysiedlono. Niech nas nie zwiedzie to, że „Królestwo” stanowi kontynuację dziejącego się w 1937 roku „Króla”. Znajomość przedwojennych losów boksera Szapiry, egzekutora mafii z „północnej dzielnicy”, jak warszawiacy eufemistycznie nazywali kwartały miasta zamieszkałe przez mniejszość żydowską – nie ma najmniejszego znaczenia dla dramaturgii „Królestwa”. Najnowsza powieść Twardocha nie jest też książką o antysemityzmie ani wzajemnych relacjach Polaków i Żydów, tak samo jak „Czarodziejska góra” Tomasza Manna nie była powieścią o gruźlikach ani „Gracz” Fiodora Dostojewskiego nowelą przestrzegającą przed hazardem.

Miłość i zemsta, witalność i zazdrość, duma i obowiązek, gordyjski splot losów bohaterów z odległych kultur – to rzeczywiste tematy tej wojennej opo-

wieści. Co nie oznacza, że jak „Król Ubu” Alfreda Jarry’ego – „rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie”.

Znamy powtarzające się utyskiwania na zachodnich turystów, którzy nie odróżniają powstania w getcie od późniejszego o półtora roku powstania warszawskiego. Bez ironii: jeśli jakąś książkę o Polsce można im polecić – to „Królestwo” właśnie. Jest w nim zarówno Wielki Tydzień 1943 roku, jak sierpniowa insurekcja Polaków. Podobnie jak wcześniejsza polska klęska wrześniowa i niemieckie deportacje Żydów do Treblinki. A nawet coś więcej: próba ujęcia tych zdarzeń w związek przyczynowo-skutkowy, której nie patronuje żadna ideologia. Znając siłę przebicia Twardocha i jego marketingowe zdolności, nie wątpię, że przekład angielski rychło się pojawi. Zanim jednak to nastąpi – wywodzący się ze Śląska autor na stulecie niepodległości zamiast gładkiego czytadła oferuje Polakom ciężkie zadanie do odrobienia. Lektura „Królestwa” to praca żmudna, bo nie wynagradzana w żaden sposób uprzyjemniającymi *life-stylowymi* dygresjami w stylu wcześniejszego „Króla” o wyposażeniu buick-a, kunszcie krawców od drogich garniturów czy kolorycie przedwojennych restauracji warszawskich. W ostatnim roku wielkiej wojny podobna erudycja odnosi się do konserw z przydziału niemieckiej armii i wyposażenia samolotów bojowych.

Nie znajdzie też nikt w „Królestwie” potwierdzenia uprzedzeń ani ideologicznych fantomów czy stereotypów. Polscy ulicznicy wyłudzą od uciekinierów z getta datki, a chłop przy nasypie linii do Treblinki obdziera żydowskie trupy, niczym jego poprzednik z opowiadania Żeromskiego ciała powstańców, ale też obraz kampanii wrześniowej zawarty w „Królestwie” daje najpiękniejsze od czasów prozy Jana Józefa Szczepańskiego („Polska jesień”) świadectwo bohaterstwa naszego żołnierza, dzielnie walczącego nawet wówczas, gdy dowódcy już nie wiedzą, w którą stronę go prowadzić, a armaty ciągnięte przez konie nie bronią przed bombowcami Luftwaffe. Zamiast poprawnego politycznie dobrego Niemca wrażliwego na sztukę – jak u Szpilmana i Polańskiego – natrafiamy w gruzach Warszawy na prostego Ślązaka, który z Wehrmachtem ucieka, bo przedtem na ukraińskiej ziemi zmuszono go do popełniania zbrodni wojennych. A on wcześniej zajmował się końmi, kochał zwierzęta podobnie jak bohater słynnego opowiadania Ernesta Hemingwaya z wojny w Hiszpanii.

Zaś w toku akcji „Królestwa” oprócz powstańców Anielewicza i bohaterskich dzieci z getta, ryzykujących życiem, by dzięki dochodom ze szmuglu utrzymać przy życiu najbliższych, poznajemy również żydowskich kryminalistów, teraz wysługujących się Niemcom i zapędzających rodaków na Umschlagplatz – przedostatnią stację przed Treblinką. Nic nie jest w tym świecie czarno-białe ani jednowymiarowe. I nigdy już nie będzie, może właśnie o tym mówi ta pozbawiająca złudzeń książka...

Rozgrywająca się jesienią 1939 roku „Morfina” opisywała świat po klęsce, kiedy już nie było przedwojennej Polski, ale też jeszcze nie powstały Armia Krajowa, ani Państwo Podziemne, zaś w słynnej kawiarni Ziemiańskiej zamiast dowcipnych pułkowników i skamandryckich poetów przesiadywały typy, których pół roku wcześniej portier by tam nie wpuścił. „Król” traktował o świecie, którego realia – od intryg polityków po burdy nacjonalistów, od oficerskiej tępoty po urzędniczą korupcję – do tej klęski nas przywiodły. „Królestwo” pokazuje, że po niej uporządkowanego świata nie da się odbudować. Zostają tylko instynkt i wola życia, behawioralnie uwarunkowane okazują się nawet poczucie obowiązku, godność i duma. W zburzonym mieście bohaterowie są jak zwierzyna: żeby zdobyć nadpsutą żywność, wyjść mogą tylko nocą, a pozostawienie do rana śladów na śniegu równa się bliskiej śmierci. Iluzję bezpieczeństwa stwarza granat, przemysłnie zawieszony nad wejściem do kryjówki i zawczasu naszykowana droga odwrotu.

Dla przyzwyczajonych do polonocentryzmu odbiorców „Królestwo” stanowi dodatkowe wyzwanie. Choć rozgrywa się na polskiej ziemi, to Polacy zawsze są gdzieś dalej niż na pierwszym planie, bo z własnej stolicy ich wysiedlono. A w retrospekcjach – pozostają za murem getta albo pod nasypem kolei do Treblinki. Nie jesteśmy jedyni ani najważniejsi w świecie – zdaje się mówić czytelnikom Twardoch. I daje im kolejną łamigłówkę. Bo też paradoks ekscentrycznego śląskiego pisarza polega na tym, że odbiorcy go rozumieją, a krytyka pozostaje wobec jego fenomenu bezradna. Z andronów, wypisywanych przez żurnalistów, nie tylko na łamach równającej w dół „Rzeczpospolitej” o twórczości Twardocha dowcipny studenciak mógłby wygenerować ciekawą pracę magisterską ze słowami „patologia recepcji” w tytule. Z autora „Wiecznego Grunwaldu” mozolni wytapiacze wierszówek rozumieją bowiem tyle, co kie-

dys ze Stanisława Wyspiańskiego recenzent, który na łamach prasy krakowskiej obwieścił, że „Wesele” kończy się wesołym oberkiem... Ale to już ich problem i strata. Zaś dla czytelnika „Królestwo” to inwestycja, która się opłaca, ale kosztem wyrzeczeń. Nie liczymy na optymizm, potwierdzenie zastanych poglądów, światło w tunelu. Albert Camus też nie jest lekki, łatwy ani przyjemny w odbiorze i choć napisał „Dżumę” nie da się zinterpretować jak znawca epidemii ani wpisać w kontekst współczesnego sporu *antyszczepionkowców* z medycznymi rygorystami...

W czasach, gdy „Polska w ruinie” niespodziewanie trochę stała się po ćwierćwieczu powodzenia demokracji hasłem politycznym, torującym drogę do zwycięstwa wyborczego – urodzony 35 lat po wojnie Twardoch pokazuje nam, jak naprawdę leżąca w ruinach Polska wyglądała. I udowadnia też, że można coś nowego i ważnego napisać o holocauście nawet po „Wielkim tygodniu” Jerzego Andrzejewskiego i „Zdążyć przed Panem Bogiem” Hanny Krall, o splocie losów polskich, żydowskich i niemieckich po „Początku” Andrzeja Szczypiorskiego, o zburzonej Warszawie po „Pierścionku z końskiego włosia” Ścibor-Rylskiego, zekranizowanym przez Andrzeja Wajdę jako „Pierścionek z orłem w koronie”. Szczepan Twardoch nie ma kompleksów, ale też – co cenne – nie próbuje wzbudzać ich w innych. Nie uprawia *polityki historycznej* ani *pedagogiki wstydu*. Na psa urok, jak mawia ciemny lud, ten mityczny adresat propagandy prezesa Kurskiego. Twardoch pisze powieści. Dokładniej: wydał kolejną dobrą książkę. Nie agitkę. Cześć mu za to i chwała. Zwłaszcza, że jako artysta potrafi wszystko. Z każdym kolejnym tytułem więcej.

W najnowszej powieści Twardocha brakuje pojawiających się wcześniej u niego pretensjonalnie uduchowionych wstawek: latających nad miastem wielorybów, czy wizji indyjskich bogiń. Jakby autor przyjął do wiadomości, że czytelnicy *ujarani* i odjechani nie kupią kolejnych 100 tysięcy egzemplarzy (tyle sprzedano „Króla”) za równowartość dużej pizzy i kieliszka wina w knajpie przy Nowym Świecie, stać na to wyłącznie strasznych mieszczan, a w literaturze słowiańskiej jest miejsce tylko na jednego Wiktora Pielewina... Przestał Twardoch bajdurzyć o Spitsbergenie i przynudzać o ojcostwie, by na powrót zająć się tematami, które interesują czytelnika, a nie samego autora. Zaś manierę widoczną w języku, choćby wykpione w wielu recenzjach nadużywanie

neologizmu *wteraz* (tak w oryginale, korekto nie poprawiaj), przypisać skłonny byłbym temu, że znany w internecie jako ambasador marki Mercedes i zaznający kolejnych celebryckich sukcesów autor, niewątpliwie *podobas* (jak vox populi określa rodzimą odmianę playboya), pragnie jeszcze być porównywany ze Stefanem Żeromskim, którego wymyślny styl bulwersował ówczesnych *zoilów*, co nie przeszkodziło mu stać się sumieniem narodu. Kolejne dziwactwa twórcy „Morfiny” mogą irytować, ale najważniejsze, że nie zaprzestał opowiadania ciekawych historii, co poza nim w polskiej prozie potrafią już tylko autorzy dwa razy od niego starsi, jak Kazimierz Orłoś czy Maria Nurowska. Pozostaje więc czekać na kolejny tom losów pięściarza Jakuba Szapiry, o którym już – zarówno z „Królestwa”, jak z wcześniejszego „Króla” – wiemy, że przeżył wojnę. I możemy zgadywać, czy po niej zostanie kierownikiem sekcji boksu w milicyjnej „Gwardii” i będzie nadskakiwał komunistom jak wcześniej Niemcom w getcie, czy raczej odnowi ocalałe kontakty w świecie przestępczym i stanie się głównym waluciarzem podziemia gospodarczego PRL, psim śwędem zachowując bezkarność jak w przedwojennych czasach.

Nawet bowiem w ruinach historia się nie kończy, rozpada się stary świat. „Królestwem” Twardoch potwierdza opinię o sobie jako autorze, który wie, co pisze, a nie tylko pisze wszystko, co wie... Wybór scenerii okazuje się perfekcyjny i nieprzypadkowy. Memento na 11 listopada, chciałoby się zauważyć. Zwłaszcza, że powieść miała premierę niedługo wcześniej. Otwiera ją motto z „Odprawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego, skąd pochodzi tytułowe królestwo. Dobór wskazuje na obywatelski sens przesłania.

Przełom 1944/1945, opisywany w prozie Czesława Miłosza („Zdobycie władzy”) czy publicystyce Tadeusza Żenczykowskiego („Polska Lubelska”) stanowi – jako miara polskiej klęski – swoistą antytezę 1918 roku, kiedy okazaliśmy się zarówno mądrzy jak skuteczni, a jeszcze w dodatku geopolityka nam sprzyjała, pozwalając na urzeczywistnienie marzeń wielu generacji bez nadmiernego przelewu krwi. Po niespełna ćwierćwieczu los odwrócił się do tego stopnia, że pomimo poświęceń i bohaterskich czynów zdziesiątkowanym pokoleniom przyszło odnajdować się wśród gruzów, a dystansu do szczęśliwszych narodów nie nadrobiliśmy do dzisiaj. Nic nie jest dane nam na zawsze – zdaje się ostrzegać Twardoch. Pracujemy na przyszły los, nawet nie zdając

sobie z tego sprawy. Dzieci – jak w rodzinie Szapirów – płacą za nieprawości i błędy rodziców. W stulecie niepodległości warto się pochylić nad interpretacjami, jakie proponuje nam wystrzegający się dosłownego przekazu najlepszy dziś polski prozaik, nawet jeśli nie odnajdziemy w nich własnych poglądów.

Również istotna wydaje się inskrypcja, która do tekstu powieści nie należy, ale mu towarzyszy: „Printed in Czech Republic”. Dla archeologów przyszłości stanowić będzie dowód, że po trzech latach rządów PiS – ugrupowania zapowiadającego niegdyś niemal odrodzenie narodu w kulturze – nawet renomowanemu wydawnictwu nie opłacało się drukować w ojczyźnie wybitnej książki znanego autora.

Jak z Twardocha – mówi się już o takich sytuacjach. A może nawet: tego Twardoch by nie wymyślił? Dodatkowo i zaskakująco wzmacnia to katastroficzne przesłanie „Królestwa”...

*Szczepan Twardoch. Królestwo.
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2018*

Łukasz Perzyna

KLUCZ DO SPRAWY

Fragment książki przygotowywanej do druku

Nadkomisarz Andrzej Dorawa został wezwany do przełożonego. Dorawa był przystojny i młody, nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Wysoki – jak na jego wiek – stopień oficerski, zawdzięczał w ogromnej mierze swojej dociekliwości i skrupulatności. A ponieważ nie miał zobowiązań rodzinnych, a ponadto lubił swój zawód, poświęcał swojej pracy więcej czasu, niż wymagał tego kodeks pracy, nieustannie zadając sobie pytanie, czym kierują się ludzie schodzący na drogę przestępstwa. O ileż spokojniej spać z czystym sumieniem.

– Mamy morderstwo. Chciałbym powierzyć ci sprawę jego wyjaśnienia – powiedział nadinspektor Paweł Grzybowski.

– A kto i kiedy został zamordowany, panie komendancie? – zapytał Dorawa.

– Niejaki Edgar Rosa. Prawdopodobnie dwa dni temu, ale dokładny czas nie jest jeszcze znany. Zbrodnia została odkryta dzisiaj wcześniej rano i niezwłocznie nas o niej poinformowano. Wiemy, że był kawalerem niemającym rodziny, pisarzem oraz niewiele więcej. Sąsiadka dała nam książkę, której był autorem. Z krótkiej notatki biograficznej wynika, że był dziennikarzem, pisarzem i za pół roku skończyłby trzydzieści dwa lata.

– Prawie mój rówieśnik. Kto go znalazł?

– Właśnie sąsiadka, pani Grażyna Leszczyk mieszkająca piętro niżej, która robiła mu zakupy. Gdyby zainteresowała się, dlaczego nie odebrał pieczywa, które mu przyniosła i powiesiła na kłamce dwa dni wcześniej, o tyle wcześniej wiedzielibyśmy o tej zbrodni.

– Nie wiedziała, że nie odebrał, bo mieszka piętro niżej. Był tam ktoś od nas?

– Na miejsce pojechał Smoliński.

– Co ustalili?

– Niewiele ponad to, co powiedziałem wcześniej. Rosa był dosyć zamożny, miał luksusowo urządzone mieszkanie, porządne ubrania w szafie, w tym sporo zagranicznych, samochód. Ale sąsiadka nie potrafiła określić marki. Powiedziała, że takie teraz nie jeżdżą masowo i obiecała wypytać o szczegóły męża.

– A inni sąsiedzi?

– Najbliżsi sąsiedzi Rosy skorzystali z kilku wolnych dni i wyjechali za miasto. W poniedziałek 30 kwietnia, czyli w dniu zabójstwa, nie było ich już w mieście.

– Witek Smoliński obejrzał ten samochód?

– Chyba nie. Nie wspomniał nic na ten temat w raporcie.

– Znalazł coś ciekawego w mieszkaniu ofiary?

– Niestety. Niczego, co by miało dla nas jakąś wartość. W mieszkaniu nie znaleziono jego dokumentów, notesu z adresami znajomych, telefonu komórkowego, komputera ani chociażby albumu ze zdjęciami.

– Adresy znajomych i zdjęcia mógł mieć w komputerze, a numery kontaktowe w telefonie komórkowym.

– Albo człowiek był pedantem, albo mieszkanie dokładnie wyczyszczono, albo posiadał jeszcze inne. A może i jedno, i drugie, i trzecie. Poza kilkoma rachunkami za energię elektryczną, gaz, telefon i inne opłaty niczego nie znaleziono. Nie wiemy, co stało się z pozostałą korespondencją. Dobrze byłoby, gdybyś pojechał na miejsce i sam dokładnie się rozejrzał. Myślę, że raport Smolińskiego nie jest zbyt szczegółowy. Chyba nawet nie ustalił, gdzie stoi samochód ofiary. Od dokonania morderstwa do jego odkrycia upłynęły dwa dni, zatem morderca miał sporo czasu na przeszukanie mieszkania i oczyszczenie go z rzeczy, które ewentualnie mogłyby go zdemaskować, więc może i dużej winy Smolińskiego tu nie ma.

– Skąpe te dane, jak na kogoś znalezione w swoim mieszkaniu.

– Skąpe. Bardzo skąpe. Sprawa wygląda beznadziejnie, dlatego będę spokojny, jeśli ty się tym zajmiesz.

– Jak zginął? – zapytał Dorawa.

– Uderzono go jakimś ciężkim przedmiotem w głowę, ale narzędzia zbrodni również nie znaleziono. Szczegóły po sekcji, której wyniki powinny być gotowe najpóźniej pojutrze. Poprowadzisz śledztwo? Jeśli tak, dobierzesz sobie kogoś do pomocy.

– Chciałbym Włodka Jeżyń. No i oczywiście aspirantów – Tolka Niedbały i Janka Szarugę.

– Szarugę? Widzę, że lubisz polskie przysłowia. Nie chcesz pracować z Witkiem Smolińskim? On był pierwszy na miejscu zbrodni, może być pomocny.

– Przysłowia lubię, ale Janka też i wiem, że jeśli zrobi coś nie tak, jak trzeba, nie stoją za tym knowania.

– Chcesz powiedzieć, że Smoliński to intrygant?

– Nie, chciałem powiedzieć, że Szaruga nim nie jest.

– Zrozumiałem.

– Poza tym dobrze nam się razem pracuje.

Nadinspektor Grzybowski podniósł słuchawkę telefonu, wzywając do siebie komisarza Smolińskiego.

– Komisarzu, przekazałem pański raport dotyczący morderstwa Edgara Rosy komisarzowi Dorawie. On zajmie się tą sprawą.

– Odbiera mi pan prowadzenie śledztwa?

– Niczego panu nie odbieram, ponieważ nie było jeszcze, do chwili obecnej, przydziału. Był pan rano na miejscu zbrodni, bo akurat miał pan dyżur.

– Ale mnie ta zbrodnia szczególnie zainteresowała – bronił swojego stanowiska Smoliński.

– Dlaczego? Znał pan zamordowanego osobiście? – zainteresował się komendant.

– Nie, ale widziałem dwa filmy zrobione na podstawie jego powieści, stąd moje zainteresowanie.

– To niedużo. Chcę, aby Dorawa poprowadził to śledztwo, a panu, panie komisarzu, nie brakuje przecież zajęć.

– Ale nie może mi pan zabronić, jeśli zechcę prywatnie poszperać w tej sprawie?

– Nie zabraniam, ale pod warunkiem, że dogada się pan z Dorawą. On

będzie prowadził śledztwo i wyłącznie w porozumieniu z nim, może pan w tej sprawie działać. Nie inaczej.

– W takim razie, chciałbym od poniedziałku wziąć dwa tygodnie zaległego urlopu. Piątek mam wolny za nocny dyżur – stwierdził obrażony na dobre Smoliński.

– Proszę złożyć podanie u sekretarki. Dziękuję, to wszystko.

– Wydaje mi się, że Wiktor, mimo zakazu, będzie usiłował zająć się śledztwem prywatnie w czasie swojego urlopu – wyraził swoją obawę przysłuchujący się całej rozmowie Dorawa.

– Niewykłuczone, ale nie mogę nakazać mu spędzania urlopu według mojego scenariusza. Aż takich kompetencji nie mam. Gdyby jednak mieszał się do śledztwa, chcę o tym wiedzieć.

– Widzę, że zaraziłem inspektora moimi obawami.

– Nie, aż tak bardzo wpływowy nie jestem. Zdziwił mnie tylko jego upór, kiedy powiedziałem, że ty będziesz prowadził śledztwo, zważywszy na to, że nigdy wcześniej nie było mu śpieszno do nowych spraw. Dwa poprzednie jego śledztwa zostały umorzone, a teraz raptem poczuł się odsunięty. Nic z tego nie rozumiem. Masz, przeczytaj jego raport z miejsca zbrodni – powiedział Grzybowski, podając Dorawie dokument.

– A ja poczułem się, jakbym mu coś ukradł.

– Dostałeś tę sprawę, ponieważ wiem, że sobie poradzisz. Nie ma innych powodów – odrzekł komendant.

– No to zabieram się do pracy.

– Od czego zaczniesz?

– Od nekrologów i zlecenia zakładowi pogrzebowemu pochówku.

– Z sekcją powinni uporać się do końca tygodnia. Pogrzeb może być w poniedziałek 7 maja.

– Pogrzeb musi być najpóźniej do 7 maja. Dla mnie im szybciej, tym lepiej. Musimy dotrzeć do ludzi, którzy go znali. Dopóki ich nie poznamy, niewiele więcej możemy zdziałać. Wystąpię, także jeszcze dzisiaj, do prokuratora o zgodę na wgląd w wykaz połączeń telefonicznych ofiary i dostęp do jego konta bankowego.

- Telefonu przy zwłokach nie znaleziono – przypomniał komendant.
- Trudno, musi nam wystarczyć numer i nazwa operatora sieci. To chyba wszystko, co będę w stanie na razie zrobić.
- Nie będę przeszkadzał w prowadzeniu dochodzenia, ale chciałbym, przynajmniej co drugi dzień, dostawać protokoły przesłuchań lub taśmy z przeprowadzonych rozmów.
- Gdyby nie jutrzejsze święto, można by więcej zdziałać.
- Wiem, życzę powodzenia.
- Tak jest, panie komendancie. Dziękuję.

Nadkomisarz Dorawa i aspirant Niedbała przeglądali gazety, szukając nekrologów zamieszczonych przez komendę, kiedy do pokoju wszedł komisarz Włodzimierz Jeżyna.

- Jak leci? – zapytał kolegów.
- Ekscytująco, czytamy gazety – odpowiedział Dorawa.
- Przyszedł wstępny raport z Zakładu Medycyny Sądowej, w sprawie Edgara Rosy – powiedział Jeżyna.
- Siadaj, musimy porozmawiać i ustalić zadania. I co z tym raportem? – zapytał Dorawa.
- Śmierć nastąpiła 30 kwietnia w godzinach między trzecią a piątą po południu. Przyczyną było uderzenie tępym narzędziem w głowę, co spowodowało pęknięcie podstawy czaszki. Zadano trzy ciosy, z tego powodu biegli nie wykluczają możliwości dokonania zbrodni przez kobietę. Przy czym już pierwszy cios był śmiertelny. Prawdopodobnie zabójca chciał mieć pewność, że dokładnie zrealizował swój zamiar – odczytał szybko Jeżyna.
- A więc, kiedy znaleziono go 2 maja, nie żył już około 40 godzin – stwierdził Dorawa.
- Tak. Morderca miał dużo czasu. Ciekawe, czy mieszkanie wyczyścił tuż po dokonaniu zbrodni, czy jakiś czas później? – rozważał Jeżyna.

– Ja bym chyba wyczyścił mieszkanie od razu, tuż po dokonaniu zbrodni, żeby nie było potrzeby przychodzić tam ponownie. Bałbym się kręcić tam i z powrotem w obawie, że ktoś mnie w końcu zauważy – powiedział aspirant Antoni Niedbała.

– Tak, to prawdopodobne. Poza tym trzeba mieć wyjątkowo silne nerwy, żeby zaplanować ponowne odwiedziny mieszkania z trupem w środku – powiedział Jeżyna.

– Nikt o słabych nerwach nie popełnia zbrodni z premedytacją. Jest jedno „ale”, zbrodniarz nie mógł przewidzieć, kiedy zbrodnia zostanie wykryta. Wersja, że zaplanował ponowne odwiedziny raczej odpada. Z drugiej strony, robiąc „porządki”, musiałby spędzić w mieszkaniu Rosy sporo czasu, a morderca potrzebuje alibi – rozważał Dorawa.

– W takim razie nie miałyby alibi na kilka godzin. Chyba jednak łatwiej zabić, zabrać klucze i wrócić nocą albo następnego dnia – powiedział Jeżyna.

– Właściwie nie wiemy, jak to mieszkanie wyglądało, zanim dokonano tam zbrodni i co tak naprawdę z niego wyniesiono. Może ktoś spośród sąsiadów go odwiedzał? Trzeba to sprawdzić przy najbliższej wizycie – rzekł Dorawa.

– Na pewno wyniesiono komputer, telefon komórkowy i jego dokumenty, w tym: prawo jazdy, dowód, paszport, karty bankowe – wyliczał Jeżyna.

– Na zabranie tych rzeczy wystarczyło mordercy kilka minut. Może nawet nie tyle. Nie musiał wracać – głośno myślał Dorawa.

– 30 kwietnia sąsiadka zawiesiła na klamce jego drzwi torbę z zakupami. Torba wisiała aż do 2 maja, czyli do czasu, kiedy został znaleziony. Ciekawe, czy nikt spośród sąsiadów mieszkających wyżej, nie zainteresował się tą torbą? – zastanawiał się Niedbała.

– Najpierw trzeba zapytać sąsiadkę, kiedy zaniósł mu te zakupy. Musimy znać dokładną godzinę – powiedział Dorawa.

– Tyle, mogę ci powiedzieć i bez niej. Musiała to zrobić po piątej, w przeciwnym razie Rosa odebrałby je – powiedział Jeżyna.

– Nie przekonałeś mnie. Rosa mógł zginąć kilka, kilkanaście minut po trzeciej, a sąsiadka mogła u niego być tuż po dokonaniu zbrodni. Morderca mógł być jeszcze w środku. Nie mówiąc już o tym, że do protokołu musi trafić jej zeznanie, a nie twoje przypuszczenia.

- Trafi, trafi. To tylko formalność. Sam tego dopilnuję.
- Dopilnuj, bo na razie niewiele więcej można zrobić. Ruszamy ze śledztwem z miejsca, kiedy znajdziemy chociaż jednego człowieka, który mógłby o nim coś więcej powiedzieć – powiedział Dorawa.
- Byłoby łatwiej, gdyby mieć chociaż głupi świstek papieru, na którym zanotowany byłby czyjś numer telefonu – powiedział Jeżyński.
- A jeszcze łatwiej, gdyby był to numer mordercy – wtrącił cicho Niedbała.
- Nic prostszego, jak szukać.
- Gdzie szukać?
- W kieszeniach marynarek i spodni, w książkach. Może uda się ustalić, z której sieci telefonicznej korzystał. Zajmiesz się tym, Włodku?
- Bez numeru telefonu i zgody prokuratora niczego nie ustalę.
- Bez zgody prokuratora trudniej będzie dotrzeć do wykazu rozmów, ale operatora sieci telefonicznej można ustalić zawczasu. Nie mówię, że dzisiaj, ale jak tylko poznamy jego numer telefonu. To samo dotyczy konta bankowego. Może przynajmniej uda się ustalić, w którym banku miał rachunek.
- Masz rację, zajmę się tym. Spróbuję w tych najbliższych położonych jego domu.
- Między trzecią a piątą po południu jest ciągle widno, sąsiedzi jednak nikogo ani niczego niepokojącego nie zauważyli. Trzeba się zorientować, na którą stronę wychodzą okna mieszkania Rosy. Może sąsiedzi z naprzeciwka coś zauważyli – powiedział Dorawa.
- Trzeba by zapytać lekarza z Zakładu Medycyny Sądowej, czy są w stanie określić wzrost zabójcy – powiedział Niedbała.
- Szczegółowy raport powinien zawierać tę informację, ale nie zaszkodzi do nich zadzwonić – zaproponował Jeżyński.
- Ja to zrobię – powiedział Niedbała.
- Zbrodni dokonał człowiek dobrze znany Rosie, może nawet często bywający w jego domu, bo ktoś zupełnie obcy pamięta na ogół, czego dotyczył. Złodziej, który przychodzi okraść, a przy okazji zabija, nie bawi się w zacieranie śladów. Ma rękawiczki, które później wraz z butami niszczy i sam diabeł go nie znajdzie – powiedział Jeżyński.
- Racja, trzeba zapytać, czy zwłoki były przemieszczane – rzekł Dorawa.

– Po co?
– Mógł zginąć na klatce schodowej z ręki nieznajomego.
– Nieznajomego nie wpuściłby do mieszkania. To masz na myśli? – upewnił się Jeżyna.

– Tak.

– Z wstępnego raportu wynika, że został zamordowany w miejscu, gdzie go znaleziono – odpowiedział Jeżyna.

– W takim razie wersja, że zbrodni dokonał osobnik znany ofierze, jest prawdopodobna. Zatem zobaczymy, kto przyjdzie na pogrzeb – powiedział Dorawa.

– Nekrologi zamieściliśmy we wszystkich możliwych gazetach, nie tylko w Łodzi – powiedział Niedbała.

Do pokoju wszedł komisarz Wiktor Smoliński. Nie miał zwyczaju kłaniać się nikomu poza zwierzchnikami, więc i tym razem zwykle dzień dobry, nie przeszło mu przez gardło.

– Nie będzie mnie przez dwa tygodnie, szef zatwierdził mi urlop od poniedziałku. Nie przeszkadzajcie sobie, przyszedłem jedynie po swoje manatki i już mnie nie ma – powiedział do Dorawy.

Dorawa wzruszył ramionami. Nie przepadał za Smolińskim, który ze swoją nieprzychylną opinią o nim, chętnie dzielił się z innymi.

– Co jeszcze wiadomo o zamordowanym? – zapytał Niedbała.

– Tyle, co wiedziała o nim sąsiadka. Nie miał żadnej rodziny. Był jedynakiem, a rodzice nie żyją od kilku lat – powiedział Dorawa.

– Niewiele.

– Na razie niewiele. Trzeba ją zapytać, czy widziała, kto odwiedzał Rosę. Jest jeszcze jedna rzecz, która prawdopodobnie nam coś wyjaśni. Do raportu dołączone było pokwitowanie za opłatę skrytki pocztowej. Rozmawiałem z listonoszem. Powiedział mi, że Rosa nie otrzymywał na domowy adres prawie żadnej korespondencji. Jest nadzieja, że w tej skrytce coś znajdziemy – stwierdził Dorawa.

– Wobec tego na co czekamy? Przecież to trzeba szybko sprawdzić na poczcie, morderca też może wiedzieć o tej skrytce. Gdzie to pokwitowanie? – zapytał Jeżyna.

– Odłączyłem je od akt i dałem Jankowi, poszedł z nim na pocztę. A co, jeszcze nie wrócił? – zdziwił się Dorawa.

– Mogę zadzwonić do niego. Wyszedł jakąś godzinę temu – powiedział aspirant Niedbała.

– No to dzwoń, na co jeszcze czekasz? – ponaglił Jeżyna.

– Na pocztę przecież niedaleko, samochodem piętnaście minut w obie strony, a on dostał wyraźnie wskazówki, że sprawa jest pilna. Myślałem, że lada chwila wróci – wyjaśnił Niedbała.

– A w tym czasie kontaktujesz się z nim telepatycznie? Dzwoń, na co czekasz? – ponaglał Jeżyna.

Dorawa nie skomentował rozmowy kolegów. Był pogrążony w rozmyśleniach dotyczących odkrytej zbrodni. Nadto okazało się, że nie było potrzeby dzwonić. Aspirant tak długo zastanawiał się, w jaki sposób nawiązać kontakt z kolegą, że Szaruga zdążył właśnie wejść do pokoju z listem w rękę.

– Był pisarzem, ale strony internetowej nie miał. Czegokolwiek się dotknę, napotykam tajemnicę. Idzie jak po grudzie – powiedział Dorawa.

– Może nie zależało mu na rozgłosie – stwierdził Jeżyna.

– Wygląda na to, że zależało mu na pozostaniu w cieniu. Z notatki biograficznej, zamieszczonej na okładce jego książki, też niewiele można się dowiedzieć. Data urodzenia, kilka tytułów jego sztuk teatralnych i zawód. Pisarz, dziennikarz. Nawet nie napisali, gdzie się urodził ani nie zamieścili fotografii.

– „O wilku mowa” – powitał Szarugę, Antoni Niedbała.

– O wilku? Dlaczego? – zdziwił się aspirant, jak gdyby tylko jemu przysługiwała wyłączność na cytowanie przysłów.

– Zabłądziłeś? Nie było cię ponad godzinę – odpowiedział Niedbała.

– Nie zbłądziłem, tylko ktoś przede mną nadawał pięćdziesiąt poleconych przesyłek, a tylko jedno okienko było czynne. Nieuprzejmy babsztyl w okienku, nie dość, że „ruszał się jak mucha w smole”, to w dodatku powiedział, że gdybym miał klucz do skrytki, nie musiałbym czekać, a chwilę później dodał: „tu nie piekarnia, nic się nie przypali”. Wyjątkowo dowcipne. Wyobrażacie to sobie? Żadnych ulg dla policji – dodał po chwili Szaruga.

– Może tym razem coś konkretnego – przerwał rozmowę Dorawa, wyjmując list z ręki aspiranta.

Autorką listu była niejaka Iwona Gower, zamieszkała w Anielinie Śwędowskim, przy ulicy Świerkowej 17. Wszyscy czterej, po kolei, przeczytali list z uwagą. Pierwszy odezwał się Dorawa:

– Co o tym myślicie?

– Anielin leży jakieś 20 kilometrów od Łodzi. Dojazd nie powinien zabrać więcej niż pół godziny. Ta kobieta może sporo wiedzieć o zamordowanym, skoro od kilku lat spędzał w jej pensjonacie wakacje – powiedział Jeżyna.

– Może wyślemy tam Janka Szarugę, za trzy dni wróci i opowie nam, jak było. Nocleg na miejscu, a wypoczynek należy mu się, po tym co przeżył na poczcie – nie mógł powstrzymać się od złośliwości Antoni Niedbała.

– Nie, nie wyślemy tam Janka – powiedział Dorawa poważnie.

– Pojedziemy razem? – zwrócił się Jeżyna do Dorawy.

– Mam inny pomysł. Z listu wynika, że to pensjonat, a Rosa spędzał tam kilkakrotnie wiele miesięcy. Może trzeba będzie poobserwować to miejsce, może nawet wynająć pokój, żeby z bliska przyjrzeć się zwyczajom tam panującym oraz pani Gower. Ona nie musi wówczas wiedzieć, że ma do czynienia z policją.

– Ale najpierw porozmawiałbym z nią – stwierdził Jeżyna.

– Tak będzie najlepiej, dlatego pojedę tam sam. Nie mogę zachowywać anonimowości, a ty możesz się przydać później. Do obserwacji.

– W takim razie, pojedę do mieszkania Rosy – powiedział chętny do działania Jeżyna.

– Niezły pomysł. Porozmawiaj jeszcze raz z panią Leszczyk i pozostałymi sąsiadami. Może dowiesz się czegoś więcej, niż udało się ustalić Wiktorowi.

– Pojadę tam z Jankiem i jeszcze raz rozejrzemy się po mieszkaniu zamordowanego – powiedział Jeżyna.

– A już myślałem, że ominęła mnie wizyta w mieszkaniu zamordowanego, a tu proszę: „co się odwlecze, to nie uciecze”. Mam przeczucie, że znajdziemy coś konkretnego – zaśmiał się Szaruga.

– Wątpię. Musiałbyś mieć więcej szczęścia niż rozumu – wtrącił swoje trzy grosze Smoliński.

– Dlaczego ta wizyta miałaaby cię ominąć? – zainteresował się Dorawa.

- Witek zamienił się za mną dyżurami.
- Chciałem mieć dodatkowo wolny poniedziałek – powiedział Smoliński.
- A co, wybierasz się na pogrzeb? – zapytał Jeżyna.
- Nie twój interes, gdzie się wybieram – odpowiedział Smoliński, wychodząc bez pożegnania.
- Miłego wypoczynku! – krzyknął za nim Jeżyna.
- Ty Antoni, zostań przy telefonie, gdyby było coś pilnego dzwoń bezwzględnie, a w międzyczasie zrób listę banków znajdujących się w pobliżu miejsca zamieszkania Rosy. To na razie wszystko – rzekł Dorawa.
- Tak jest, szefie. Mam odwiedzić te banki?
- Nie ma potrzeby. Znajdź tylko adresy.

Dorawie rzeczywiście przybycie na miejsce zabrało nie więcej niż pół godziny. Dom i okolica podobały mu się tak bardzo, że sam chętnie przyjechałby tu odpocząć. To miejsce doskonale nadawało się na wypoczynek o każdej porze roku. Nawet zimą musiało tu być ładnie i zacisznie.

Nacisnął dzwonek i czekał na efekt. Z domu wyłoniła się postać kobiety.

- Pan z ogłoszenia? – zapytała, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.
 - Nie. Z policji – odpowiedział.
 - Z policji? Do mnie? Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – zapytała zaskoczona kobieta, otwierając furtkę.
 - Dzień dobry. Chciałbym rozmawiać z panią Iwoną Gower.
 - To ja. Słucham pana.
 - Nadkomisarz Andrzej Dorawa – przedstawił się, pokazując swoją legitymację służbową. Muszę prosić panią o chwilę rozmowy.
- Pani Iwona zaprosiła swojego gościa do środka i gestem ręki wskazała mu fotel. Dorawa rozejrzał się po salonie, do którego weszli. Wnętrze, jak przystało na dworek na wsi, było bardzo ładnie wykończone drewnem i przyjemnie urządzone. Dorawa nie siadał. Cekał, aż gospodyni usiądzie pierwsza.
- Czego się pan napije? Kawy czy herbaty?

- Poproszę o herbatę.
- Czemu zawdzięczam pańską wizytę, panie komisarzu? – zapytała gospodyni, przynosząc filiżanki i dzbanek świeżo zaparzonej herbaty.
- Czy zna pani, pana Edgara Rosę?
- Tak, naturalnie. Spędza u mnie kilka miesięcy każdego roku. Najczęściej od początku maja do końca września, czasami trochę krócej. Ale w tym roku jeszcze nie przyjechał. A skąd pan wie, że znam pana Rosę?
- Kiedy ostatni raz go pani widziała? – nie odpowiedział Dorawa, nie chcąc wyjawiać powodu, dla którego Edgar Rosa na pewno nie przyjedzie do tego zacisznego zakątka w tym roku.
- W ubiegłym roku. Wyjechał stąd pod koniec miesiąca, na pewno po dwudziestym września.
- Mogłaby pani powiedzieć, w jaki sposób dowiedział się, że może tutaj wynająć pokój?
- Tak. O ile dobrze pamiętam, pensjonat poleciła mu moja przyjaciółka, która prowadzi biuro porad w Strykowie lub ktoś zatrudniony w jej biurze.
- Mogę prosić o nazwisko przyjaciółki i adres biura?
- Renata Janicka. Proszę, tutaj jest jej adres i numer telefonu – powiedziała Iwona, podając Dorawie wizytówkę Janickiej.
- Dziękuję. Od jak dawna pan Rosa tu przyjeżdża?
- Od trzech lat. Lada dzień powinien przyjechać tu po raz czwarty. Jeśli panu zależy, podam dokładną datę jego przyjazdu.
- Nie trzeba. Czy może mi pani powiedzieć, co to za człowiek?
- Pan Rosa jest typem samotnika. A czy mogę wiedzieć, w jakim celu pan komisarz zadaje mi te pytania?
- Wolałbym o tym na razie nie mówić.
- Od razu wyjaśniam, że nie lubię oczerniać ludzi. Jak wcześniej wspomniałam, pan Rosa jest moim klientem od kilku lat. Zawsze nienagannie wywiązuje się ze swoich zobowiązań finansowych. Naprawdę nie mam powodu do narzekania.
- A jednak stwierdziła pani, że nie lubi oczerniać ludzi. Czyżby było coś niezbyt miłego do powiedzenia na jego temat?
- Nic takiego, co mogłoby zainteresować policję. Nie wiem, dlaczego za-

daje mi pan te pytania, ale wiem, że nie chciałabym stracić klienta z powodu swojego długiego języka.

– A jeśli powiem pani, że pan Rosa już nie będzie pani klientem, bowiem znalazł inne miejsce wypoczynku?

– Kamień spadł mi z serca. Nie będę zaskoczona, jeśli tym miejscem jest zakład karny – powiedziała Iwona, zanim pomyślała.

– Czemu przyszła pani do głowy myśli, że został pozbawiony wolności?

– Potrafię wyciągać wnioski. Nie bez znaczenia jest pańska wizyta w jego sprawie, panie komisarzu. To w zasadzie główna przyczyna. Ale jest jeszcze coś. Ten pan sprawiał wrażenie, jakby się ukrywał przed całym światem. Był tak tajemniczy, że nawet czasami przychodziło mi do głowy, że jest członkiem jakiejś mafii. Chociaż jak na członka mafii, zdecydowanie zbyt kulturalny. W umowie o wynajem zastrzegł sobie, że wyłącznie jemu wolno będzie tu mieszkać – wyjaśniła pani Iwona.

– Odpowiadał pani ten układ? Przecież to bardzo niekorzystna dla pani umowa.

– Pan Rosa płacił za wszystkie niewynajęte pokoje. Byłam zaskoczona, ale w końcu to nie moja sprawa.

– Z pewnością kosztowało go to więcej niż pobyt za granicą. Czyż nie? – zdziwił się Dorawa.

– Takie postawił warunki, a ja je przyjął. Poza tym w pokojach niewynajętych nie sprząta się codziennie i nie wymienia pościeli co jakiś czas, nie korzysta z wody i energii elektrycznej, więc nie kosztują tyle co wynajęte. Policzyłam mu za każdy pokój trzydzieści procent wartości. Myślę, że to uczciwa transakcja.

– Uczciwa, ale niekorzystna dla pani.

– I tak, i nie, ponieważ nie mam gwarancji, że te pokoje wynajęłabym komuś innemu. Kiedy pojawił się tu po raz pierwszy, nie miałam innego klienta. Właśnie otworzyłam pensjonat. A umowa z nim zawarta jest niekorzystna dla mnie z innego powodu. Nie lubię nudy.

– W jaki sposób pan Rosa regulował należność za wynajęte pokoje?

– Gotówką.

– Nie zdarzyło się, aby wstawił czek lub przelał pieniądze na pani konto?

– Nie, nigdy. Płacił z góry, a pod koniec pobytu zostawiał zaliczkę na rok następny.

– Można wiedzieć, ile pokoi ma pani do wynajęcia?

– Sześć pojedynczych i cztery podwójne. To niewielki pensjonat.

– Czy ktoś kontaktował się z panem Rosą, w czasie jego pobytu tutaj? Może ktoś do niego dzwonił, może odwiedzał?

– Nie widziałam, żeby ktokolwiek go odwiedził. Zanim zawarł umowę, upewnił się, czy na pewno nikt nie będzie zakłócał mu tutaj spokoju. Cisza i spokój, zarówno z jego, jak i z mojej strony. Trochę znudzona takim układem, wysłałam do niego list informujący, że muszę zmienić nieco warunki jego pobytu tutaj. Co do telefonów, korzystał wyłącznie ze swojego telefonu komórkowego.

– Czy może ma pani numer jego telefonu?

– Nie, mam jedynie adres jego skrytki pocztowej.

– W jaki sposób pani się z nim kontaktuje?

– Wcześniej nie miałam potrzeby się z nim kontaktować. List wysłałam na adres skrytki. Jedyne zresztą. Zazwyczaj, to pan Rosa kontaktuje się ze mną. Każdego roku pod koniec kwietnia lub na początku maja zawiadamia o terminie przyjazdu. Zawsze kilka dni przed przyjazdem. Tak, abym mogła przygotować pokój. Pod tym względem też jest bardzo solidny. Jedyne to jego unikanie ludzi jest dla mnie niezrozumiałe. Jakby ludzie nie byli mu do niczego potrzebni, wręcz przeszkadzali.

– A dlaczego nie zostawił swojego numeru telefonu?

– Nie lubi rozmawiać przez telefon. Korzysta jedynie z telefonu, aby umówić się na spotkanie. Nigdy jego rozmowy nie trwały dłużej niż trzy minuty. Często jeszcze krócej. W bezpośrednich kontaktach jest oszczędny w słowach, a co dopiero w telefonicznych. Do mnie telefonował zawsze na telefon stacjonarny, więc jego numer nie wyświetlał mi się.

– Kiedy kontaktował się z panią po raz ostatni?

– Nie kontaktował się ze mną, odkąd w ubiegłym roku wyjechał.

– Czy przychodziła do niego jakaś korespondencja?

– Raz przyszedł list, ale ja nie mam pewności, że to to był list do niego. Chyba dwa lata temu. O ile dobrze pamiętam, adresowany był do pana Edgara Różańskiego lub Różanowskiego. Położyłam list na stoliku w przedpokoju

i zupełnie o nim zapomniałam. Miałam zamiar oddać go listonoszowi, ale po kilku dniach pan Rosa poinformował mnie, że list zabrał, bo należał do niego. Podziękował i na tym koniec.

– Nie zapytała pani, dlaczego nazwisko adresata różniło się od tego, jakie podał?

– Nie widziałam powodu, dla którego miałabym prowadzić dochodzenie w tej sprawie. Ja także nie nazywam się Edgar Różański, a więc list nie był do mnie adresowany. Imię, sam pan przyzna, dość rzadkie, zgadzało się. Poza tym jeśli nadawcy bardzo zależy na tym, aby list dotarł do właściwego adresata, powinien wysłać list polecony, a ten był zwykły. Nie kwitowałam jego odbioru. Szczerze mówiąc, ucieszyłam się, że pozbyłam się kłopotu.

– List był prywatny, czy posiadał pieczętkę jakiegoś urzędu?

– Nie zwróciłam na to uwagi.

– Czy będąc tutaj, pan Rosa wyjeżdżał gdzieś?

– Tak. Często raz w tygodniu, czasami dwa razy. Wyjeżdżał na kilka godzin, ale proszę mnie nie pytać dokąd, bo nie wiem.

– W jaki sposób spędzał tu czas?

– Wiele godzin spędzał przy komputerze. Właściwie rzadko kiedy się z nim rozstawał. Sporo też czytał. Zajmował pokój z tarasem na pierwszym piętrze i nawet tam nie siedział beczynn timer. Czasami chodził na spacer, a czasami robił wycieczki rowerowe, ale nie dłuższe niż godzinne.

– Unikał ludzi, bo nie chciał się rozpraszać – stwierdził Dorawa.

– Tak. To by się zgadzało. Nie pomyślałam o tym.

– Czy będąc tutaj, pan Rosa zajmował zawsze ten sam pokój?

– Zawsze ten sam.

– Czy ten pokój był sprzątnięty ostatnio?

– Oczywiście. Nawet niedawno. Dwa dni temu. Jest przygotowany do zamieszkania.

– Czy orientuje się pani, kim z zawodu jest pan Rosa?

– Nie, nie zadaję nietaktownych pytań.

– Dlaczego nietaktownych?

– Jak pan sobie to wyobraża? Powinna zapytać: „co pan skończył, panie Edgarze?”. Przecież to pytanie z gatunku „grubej rury”.

– Przyznaję. Miałem raczej na myśli rozmowę, z której wynikałoby, czym się na co dzień zajmował – uśmiechnął się Dorawa.

– Żeby coś wynikało z rozmowy, należałoby taką rozmowę odbyć, a pan Rosa nidy nie podjął na ten temat dyskusji. Przykro mi.

– Czy do Anielina przyjeżdżał samochodem?

– Tak, dwudrzwiowym mercedesem w kolorze ciemnoniebieskim, prawie granatowym. Auto jest bardzo stare, ale doskonale utrzymane. Piękne, lśniące. Pracy silnika w ogóle nie słychać. Takich modeli nie spotyka się już na ulicach. Korzystał tutaj z garażu, mam miejsce na cztery samochody.

– Czy pożycz mi pani na kilka dni tekst umowy, jaką zawarła pani z panem Rosą? – zapytał Dorawa.

– Oczywiście. Proszę chwilę poczekać.

Iwona przyniosła żądany dokument i bez słowa wręczyła go policjantowi. Dorawa podziękował.

ZYGFRYD.
GRZESZNY UROK ŻYCIA.
DWA OBLICZA JEDNEJ GĘBY
(CZ. 3)

PRZY STOLIKU IV

Przy stoliku siedzieli nad krzyżówką pani Bogna, rozprawiając o czymś z Profesorem oraz dwie dziewczyny uciszane na przemian przez dyskutującą parę, która też co jakiś czas podnosiła głos.

Przez drzwi do siłowni wszedł jakiś dziś niemrawy Jerzy, a tuż za nim Olaf.

– Słuchajcie koleżanko, mówiłem, wpisałyście i gra, ot, co. Teraz wam mówię masa,... wpiszcie więc masa.

– Jak to – zachnęła się Bogna – w hasle je perłowa, a Masa przecież już nie żyje, zamordowali go. Co on ma do tego?

– O, jaka koleżanka zorientowana. Ja z tym nic nie miałem wspólnego – perswadował Profesor. Natomiast z masą perłową – tak. Trafiła mi się kiedyś taka pani od Lehara „Wesoła wdupka”. A że to była „miłość nie duża, poryw uczucia niewielki” więc i masa w kolii, którą jej dałem była sztuczna.

– A „Polesia czar” – wpiszcie moczary i nie mówcie mi koleżanko, że Moczar nie żyje. Zasłużył na to, ot, co! – Powiedział Profesor, patrząc badawczo na Bognę.

Dziewczyny rozstrzygając swe egzystencjonalne spory coraz bardziej zagłuszały zajętą łamigłówkami parę. Kto, kogo, jak i za ile. Padały liczne rady:

– Frajerka jesteś, mocna w gębie ale słaby masz łeb do interesu, dupę za bezcen dajesz. – Edukowała Ala Olę. Przez całą noc facet bzykał cię za darmo. Ten koleś niby twój, to przelatuje każdą, a ty go nie odpuszczasz.

Gdy pani Bogna zapytała Profesora o następne hasło z krzyżówki „Nazwa warszawskiego stadionu, w nawiasie szyny plus ukrop – odpowiedział jej szybko – Torwar i zwrócił się do dziewczyn;

– „Nie inaczej jako żyw tu przed waćpanną siedzę. Sen ucieka mnie od

powiek i jeno do wzdychania mam ochotę, od którego chyba cały w parę się rozplynę – co waćpani powiadam dlatego, że mając serce czułe i efektów głodne, snadnie mękę moją zrozumiesz...”

Nastała chwilowa cisza, którą przerwał śmiech Oli

– Jaja jakieś – krzyknęła. – Jak boga noga, jaja.

Ala szybko zamknęła ręką jej usta i ofuknęła;

– Cicho głupia – dając tym możliwość dalszej wypowiedzi Profesorowi.

– „Kochanie to niedola ciężka, bo przez nie człek wolny niewolnikiem się staje. Równie jak ptak z łuku ustrzelon, spada pod nogi myśliwca, tak i człek miłością porażony, nie ma już mocy odlecieć od nóg ukochanych...”

– Totalnie nie wiem, co pan mówił – grzecznie zauważyła Ala.

– To kwestia Ketlinga do... A w ogóle, to znacie Sienkiewicza?

– Znamy, oczywiście, matmy nas uczył – wykrzyknęły uradowane dziewczyny.

– Tak przypuszczałem.

– A..., a po co tak długo nawijał ten koleś?

– Bo miał czas – dziewczyny – wszedł w słowo przybyły pan Tadeusz – i poświęcał go na elegancką adorację swej boginki. Im dłużej się o coś walczy tym lepiej smakuje. A nie chciałaś być tak jak Ariadna, dla której Tezeusz pokonał w labiryncie Minotaura i jeszcze po drodze wyrwał z wody nenufary i rzucił jej u stóp.

– E tam – Machnęła ręką Ola. – W szkole nie uczą o czym pan mówił. Totalnie.

– A, co zamierzasz w swojej sytuacji – pytał Olaf Jerzego na boku.

– Poczekaj, tu dobra dyskusja. Zaraz pogadamy.

– One, one przecież nie wiedzą o czym się mówi – powątpiewał Olaf – Ciekaw jestem co teraz zrobią.

Co zrobią, to zobaczymy przy wyjściu. – Śmiał się Jerzy.

Tadeuszowi widać temat odpowiadał, bo przypomniał tekst Zagłoby, który mówił dosadniej

– „Jak tatarska orda bierze w jasyr corda”. A nawet się chwalił, że „kochałem się tak zapamiętałe, mógł mnie baran przez godzinę z tyłu trykać, nim się spostrzegłem”

– Rozumiecie to panienki?

Pytanie było niepotrzebne. Dziewczyny zanosili się śmiechem zasłaniając dłonią usta i podnosząc nogi.

– Trykać, trykać – Cha, cha, cha. – Super

– Jednak literatura przemawia do młodych, trzeba ją tylko atrakcyjnie aplikować – stwierdził Profesor.

– Teraz już tego nie ma – powiedział Olaf.

– Ale są chwalebne próby. Tak panowie – zaczął Tadeusz – Moja znajoma Helenka kupiła nad stawem działkę. Postawiła dworek i oświeca okolicznych.

– Tylko własnych chłopów jej brak – zauważyła Bogna.

– A pani swoje koleżanko – śmiał się Tadeusz. – Właśnie, że ma.

Wykupiła trzech biedniaków. Wprawdzie jeden popija, drugi jest głuchy, i przywala się do pasierbicy, a trzeci jakby normalny; ale chłopów ma. Jednego zatrudnia przy pieczarkach, drugiego przy hodowli ślimaków, wszyscy zbijają jakieś skrzynki, palety, czy coś tam i folwark działa. Dwóch śpi w dworcowym domku dla służby, a jeden w swojej starej chałupie, której do tej pory, ani jej, ani swej żony nie mógł utrzymać.

– O, widzi pan – wtrącił Profesor, zwracając się do Jerzego – Jak pan straci robotę, to ma pan godny przykład przedsiębiorczości.

– Właśnie straciłem – przyznał Jerzy.

– Gdyby pan nie mógł znaleźć proszę się do mnie zgłosić za, za..., pół roku – proponował Zygfryd.

– Dlaczego mam czekać pół roku. Nie można teraz?

– Teraz pan by jej nie wziął.

– A co to za robota?

– Inkasent.

– Co? Panie, to ja z takiej firmy... korporacja...

– Tak, tak..., korporacja. Ja złożyłem propozycję. Reszta należy do pana.

– Przecież byłem oddanym pracownikiem i szefowi powinno zależeć. On się utrzymuje dzięki takim jak ja. Może mają jakiegoś nowego? – spekulował niepewnie Jerzy. Dlaczego mnie odstrzelili? Czemu właśnie mnie?

Olaf szykował się do wypowiedzi. Zbierał się w sobie. Uśmiech błąkał mu się na twarzy ale nie był pewien, czy to jest stosowna chwila. Jednak gdy zaczął, rozmowy ucichły z ciekawości, cóż ten na ogół milczący człowiek powie.

– Otóż był napad na bank – zaczął Olaf niepewnie rozglądając się wokół. Napastnikowi spadła z głowy kominiarka. Podchodzi on do jednego z klientów i stwierdza „pan mnie widział” i strzela mu w głowę. Podchodzi do drugiego i pyta – widział mnie pan? – Nie widziałem, nie słyszałem – odpowiada szybko klient – ale moja żona widziała.

– Dobrze, bardzo dobre – pochwalił Profesor. To jest korzystanie z okazji. Jednak u pana, panie bezrobotny to nie był ten przypadek. Młodzi przyjezdni, którzy dostali władzę nad miastem nie rozumieją tego miasta. Nie znają jego historii i tradycji. Dla nich, jest to miejsce pracy i zamieszkania. Oswajanie się z miastem następuje u nich poprzez kluby, galerie, manify i grille, czyli przez uciechy. A co gorsze karierę zapewnia im nie praca dla miasta, a partia, koteria, a nawet grupa przestępcza – nie miasto. Decydent pomniejszy wykonuje polecenia decydenta większego za cenę utrzymania się na stanowisku. Rządzi hierarchia zależności, nie wartości. Pana winy w tym nie ma panie Jerzy. Pana winą jest...

– Ale myśmy chcieli dobrze – wtrącił Olaf, czując się w obowiązku usprawiedliwić przyjętą postawę kolegi jako i swoją.

– Wiele osób chce dobrze – odniósł się Profesor do wypowiedzi Olafa – jedni chcą dobrze dla siebie i tylko dla siebie. Drudzy chcą dobrze dla innych i tylko dla innych. Z jednych i drugich postaw może wyrosnąć, a może też wyrosnąć z tego dyktatura. Pan Jerzy sprawnie funkcjonował w trybach korporacji, dobrze mu się powodziło i myślał, że może być tylko lepiej. Odnosił się z lekceważeniem, a jestem pewien, nawet z pogardą do tych, którym się nie powiodło.

– Nie, nie, myli się pan – potwierdził Jerzy.

– Proszę pana, ja osobowość poznaję po ruchach, po zachowaniu, ot, co! Zakończył swą wypowiedź Profesor.

– Jednak ośmielę się nie zgodzić z panem Profesorem – powiedziała pani Bogna i dla dodania śmiałości zadarła brodę i obydwoma rękoma spulchniła włosy. Powiem tak; te poglądy są nienowoczesne.

– Droga koleżanko – zaprotestował Profesor – to już przerabialiśmy. Nie ma takiego czegoś jak nowoczesność. Pod tym hasłem kryje się narzucanie postawy niedouczonego. Tym którzy mało wiedzą o przeszłości. To Sowietci wmawiali

swoim poddanym, że cokolwiek zrobią to jest odkrycie, to przodująca nowoczesność, której świat nie widział. A świat nie tylko widział ale i praktykował.

– No wie pan – protestowała pani Bogna Czyż.

– Jak się nic nie wie o przeszłości, o historii, to wygodnie mieć podpórkę w tym co modne, a dla leniwych liczy się tylko tu i teraz... Przez wiek rodziło się prawo naturalne. Na jego podstawie powstało prawo stanowione, które we współczesnej cywilizacji regulowało stosunki międzyludzkie i społeczne.

Przyszli nowi; przyszli barbarzyńcy, pętaki, nieuki, politycy, bankierzy, biznesmani i wszelkiego rodzaju kombinatorzy, którzy dla własnych interesów manipulują ludźmi wmawiając im stosowne zachowania.

Teraz Europa jest terenem zapraszającym do podboju. Nie ma czego bronić. Ni wiary, ni ojczyzny, ni honoru. A najeźdźcy chcą się dobrać do supermarketu. Warto ginąć za sklep, choćby największy?

– A skąd się to wzięło? – pytał retorycznie Profesor. Właśnie z takich narzucanych mód i postaw jakie prezentuje pani tu siedząca z piękną rudawo – słomianą strzechą na głowie, jak i tu dwaj panowie w tym jeden niespodziewanie wyrzucony z pracy.

– Zmęczycie mnie. Dawno tak długo i z taką dozą trywializmu nie gadałem – poskarżył się Profesor. Nie spodziewałem się tego od siebie. Na starość to przychodzi. Może pora do klasztoru? – szeptał pod nosem.

– Może siedząca tu pani coś powie. Nigdy się nie odzywa, a pilnie słucha. Teraz my panią posłuchamy.

– Cóż ja. Ja pracuję. Patrzę i oceniam – proszę pana. Pomagam też komu trzeba, na ile mi sił starcza – odpowiedziała niezbyt pewnie pani Wanda

– Widocznie mało ma pani pracy w domu, jak pani może jeszcze chodzić po innych, że tak powiem – skomentowała nieco nadąsana pani Bogna.

– W domu, jak to w domu; mąż, dwoje dzieci własnych i jedno z sierocińca. Trochę nie takie. Niezaradne. Ludzie biorą do adopcji zdrowych i najładniejszych, a to niebożę....?

– I nie zaniedbuje pani ich wszystkich? – Uparcie pytała Bogna Czyż wachlując się krzyżówką.

– Oni wszyscy pracują, jeden drugiemu pomaga i jeszcze mnie wyręcza. Dajemy radę proszę pani – wyznała przepepytywana jak na przesłuchaniu kobieta.

Dziewczyny uznały, że tematy są mało rozrywkowe i poszły do wyjścia, odprowadzane wzrokiem Olafa i Jerzego. Przy drzwiach przystały i się obejrzały.

Jerzy znacząco spojrzał na Olafa.

– A gdzie pani ich znajduje, tych nieszczęśników? – zainteresował się Andrzej, który zajął miejsce po jednej z dziewczyn. Co to za ludzie?

– No, pełno jest potrzebujących, tylko trzeba widzieć. U mnie w bloku na dziesiątym piętrze mieszka taki młody nieszczęśliwiec. Dobrze im się powodziło, wyjeżdżali za granicę, a gdy był dłuższy czas bez pracy żona zabrała synka i wyjechała. Jego nie chciała brać ze sobą. Do niego przychodzi też taki niezaradny kolega. Chciał być pisarzem, malarzem. Szukał natchnienia w alkoholu. Nie pomagało. Nie wiem czy uda mu się wyjść z tego. Nieraz mu jakiś obrazek sprzedam. Podrzucę trochę jakiegoś odzienia od dobrych ludzi, ale tak dłużej nie można żyć.

– Proszę pani. Pani...

– Wanda jestem. Mazur się nazywam proszę pana Profesora.

– Pani Wanda ma pani w sobie ogromną siłę. Chciałbym z panią porozmawiać po wyjściu. – Zaproponował. – A niech mi pani jeszcze powie, co w tej pomocy sprawia pani największą przyjemność – spytał.

– To, że na mnie czekają.

– Że czekają pani mówi, że czekają... – Opuścił Profesor głowę i zasępiiony wielokrotnie pociągał się za nos.

– Każdą z tych osób – kontynuowała cicho pani Wanda – dotknęła choroba, zagrożenie życia jakimś wypadkiem. Jednym słowem nieszczęście. I tak sobie myślę – proszę pana, czy dopiero osobista katastrofa, niepowodzenie przywraca ludziom właściwy stosunek do życia, do postrzegania nieszczęść i potrzeb innych.

– A nieraz dopiero śmierć – wtrącił Profesor patrząc przed siebie – Jednak największą katastrofą jest gdy nie można umrzeć.

– Chciałam jeszcze dokończyć – jeśli nie nudzę – taką historyjką, bajką, w której brałam udział. To jest cała satysfakcja za moją pracę.

Była pewna wykształcona i dostatnia rodzina zabiegana przy swoich karierach. Mieli córkę Jadzię. Nie chodziła źle ubrana, ani głodna. Była tylko bez miłości, bez zainteresowania się nią. Gdy matka zachorowała cała troska ojca skupiała się na żonie. Jadzia była jeszcze bardziej samotna. Gdy matka umarła

Jadzią zajął się dziadek. Wtedy dziecko po raz pierwszy odczuło zainteresowanie i miłość. Dziadek jako były żołnierz Andersa opowiadał wnuczce o Italii. Obiecywał, że ją kiedyś tam zawiezie. Niestety, gdy Jadzia miała dziesięć lat dziadek zmarł. Jadzia, teraz już Jadwiga jest dojrzałą kobietą. Pozostała jej tęsknota za dziadkiem i niespełnione marzenie zobaczenia Włoch.

Uzbierałam wśród dobrych ludzi tyle pieniędzy, że jeszcze zostało na opłacenie podróży Witka, prawie dorosłego już chłopca, któremu pani Jadwiga pomagała. Tego Witka prześladowe jedno wspomnienie; jak rodzice awanturowując się przy rozstaniu wrywali sobie z rąk kryształową cukiernicę. Zabrała ją matka. Zabrała kryształ a jego zostawiła. Siedział przez kilka dni samotny w piwnicy aż znalazły go sąsiadki. Formalnie opiekowała się nim ciotka, też pijaczka jak jego rodzice. Dzięki zainteresowaniu sąsiadek nie szedł na złą drogę, ale nie zaznał nigdy szczęścia. Żyje z poczuciem odrzucenia. Chłopiec pracował po znajomości u krawca na przyuczeniu zawodu. Jednak ubrań teraz nie szyje się na miarę, ani też nie nicuje lub reperuje to krawiec zbankrutował.

Właśnie za te uzbierane pieniądze pani Jadwiga chce aby z nią Witek pojechał do Włoch proszę pana – zwróciła się pani Wanda wprost do Profesora. Przepraszam, że długo opowiadałam, ale to są właśnie takie historie, których ludzie zajęci nie widzą.

Przy stoliku po tej opowieści zapanowała cisza.

– Szkoda, że nie słyszeli tego ci co wyszli pani Wando – stwierdził Andrzej i zapytał wprost.

– Pani tu nie ćwicz, a często pani tu jest.

– A, to takie – trochę zmieszana się pani Wanda i odruchowo przeszukiwała kieszenie swego blezera – z takim chłopcem właśnie przychodzę. Opłacam mu każdorazowo ćwiczenia i pilnuję żeby, żeby... On ma skłonności do ćpania – jak to się mówi.

FORUM

Na skraju chodnika tuż przy jezdni stał starszy mężczyzna. Spoglądał w lewo w stronę nadjeżdżających z Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich autobusów i samochodów. Wyglądało jakby przygotowywał się do przebiegnięcia przez ruchliwą jezdnię. Zapadał zmrok. Rozbłyskały uliczne latarnie. Mężczyzna szedł

ze swego posterunku. Podszedł do stojącego przed hotelem kawałka starej ściany. Czytał po raz kolejny upamiętniający napis. „Miejsce uświęcone krwią Polaków poległych za wolność ojczyzny. Tu 28 stycznia 1944 r. hitlerowcy rozstrzelali 102 Polaków”. I po raz kolejny poprawiał napis, że powinno być; Niemcy rozstrzelali Polaków a nie hitlerowcy. Wrócił na krawężnik. Stał przez kilka minut nieruchomo. Znowu powracały myśli; gdyby go wtedy jakaś kula dogoniła, gdyby był starszy i stanął z powstańcami do walki..., byłby kimś innym? Przypadki, czy wybory decydują kim się jest? Po kilku minutach zszedł ze swojego posterunku. Włączył się w nurt przechodniów i poszedł w stronę ulicy Kruczej. Naprzeciw szedł Pizoń.

– Co ty, mnie śledzisz? – zapytał spotkanego.

– Nie Tomy, nie śledzę cię ale..., że tu cię widzę to nie przypadek. Coś się z tobą dzieje. Po co tu sterczysz? Oczekujesz, że tak jak przed rokiem będzie katastrofa i wpadnie na ciebie autobus?. To nierealne. A nawet jak zdarzenie się powtórzy, a ty zostaniesz tylko, a może aż kaleką?

– Widzisz Pizoń, ja rozmawiam tu z przeszłością, minionym czasem, z widmami.

– Widzę żeś trzeźwy. To znaczy, że masz chorą głowę.

– A ja widzę to, czego nie widać. Widzisz Pizoń tu przewalający się tłum. Idą, idą, idą.... Dokąd? Do nieba? Do piekła?

– Ty naprawdę masz coś z głową.

– W tym tłumie i każdym innym jestem sam. Kiedyś szedłem omijany, potrącany przez innych i miałem świadomość, że tu gdzieś blisko, a nawet daleko jest jakiś znajomy, jakiś przyjaciel, czy nawet wróg, ale mój. A ci są obcy. Tamci wymarli. Nie tylko brak wspólnych spraw, ale podobnego sposobu myślenia.

Patrz Pizoń, jakie piękne dziewczyny. Długonogie, ledwo odziane. Patrz na tych chłopaków, kolorowe portki, podkoszulki. Patrz na te panie i panów. Wszyscy ubrani młodzieżowo, na luzie.

A wiesz co ja widzę? Widzę ruchliwą ulicę, ludzie idą wte i we wte i każdy stosownie do wieku odziany. Panowie w marynarkach, kapelusz na głowie, pantofle na zelówce. Panie w sukienkach, beretach lub zawojach na głowie. Chłopcy w pumpach i kraciastych do kolan skarpetach, w marynarkach, swetrach. A pośród nich widzę szwabów w mundurach wermachtu, SS, policjantów. I widzę siebie. Chłopaka w krótkich spodenkach i spranej koszuli uciekającego przed strzałami. Z pudła zawieszanego na szyi wysypują się niesprzedane fajki. Biegnie ten wyrostek wzdłuż kamienicy, przy której kawałku ściany teraz

stoimy. Mam z tym chłopakiem psychiczną łączność, jakby ze swoim synem i..., i szkoda że taki nie zostałem, ba, że tam nie zostałem pod tym murem.

Pizoń, oni wtedy powinni mnie zabić. Kula powinna mi przeszyc serce a nie rękę. To ci powiem, że ja tego chłopczykę widzę jak błąka się w obcym sobie tłumie i jest bezradny.

– Chłopie, ty weź się w garść bo sfiksujesz – ot, co – na serio o ciebie się martwię. Jednak mam dla ciebie dobrą wiadomość. – Zmienił temat Pizoń

– Dla mnie już nie ma dobrych wiadomości.

– Sentymentalne brednie, czy wyrzuty sumienia, które ci odrosło? Ja też wiele rzeczy pamiętam, było, minęło. Żyje się aż do śmierci.

– A jak śmierć się spóźnia?

– Obsesja. Idiotyczna obsesja. Chory, chory rozum ot, co. – wykrzykiwał zdenerwowany Pizoń.

Ja ci nie pozwalam umierać. Nie chcę zostać sam w tym obcym tłumie. Razem nabroiliśmy – jak ty uważasz – razem będziemy to znosić. A właściwie ja nie mam czego żałować. Takie były czasy, a ja jakimś skurwysynem nie byłem. Pracowało się. Kto wiedział...? E tam Próżna paplanina – ot, co.

– Tu pierwszy raz powinienem stracić życie. – Z uporem kontynuował Zygfryd. – Pętla czasu. Stoję i czekam na śmierć. Nikt nie strzela. Żyję, jeszcze żyję. Patrz na ten tłum przechodniów – zwrócił się Zygfryd do Pizonia. – Różni, a jednak jednakowi, jak ludzie w tłumie na całym świecie. Różni, a jednak moi. Wiem co myślą, jakie mają nastroje, jakie chcą mieć życie.

Wiem? Otóż wiem coraz mniej. Co raz mniej rozumiem, coraz mniej jestem w tym tłumie. Idą, idą, a ja już z nimi nie idę. Oni przechodzą wokół mnie i przeze mnie. Nie wiem co myślą, co czują, czego chcą. A kiedyś wiedziałem, czułem.

– Weszlibyśmy do „Kopciucha” – zaproponował Pizoń.

– A widzisz. Nie ma „Kopciucha”, nie ma Cepelii”, nie ma „Patyka” – podtrzymywał swój temat Zygfryd.

– Nie ma twojej kamienicy, ostał ci się jeno mur. Wszystko się zmienia. Tam gdzie kiedyś rośla ruta podniecając państwa chuć, dzisiaj stoi Nowa Huta, a więc zbudź się stary, zbudź. Wszystko się zmienia, a my tak tkwimy przy starym. Jedź Tomy do domu ja tam przyjadę – zadysponował Pizoń.

(cdn.)

INSTYTUT HISTORYCZNY NN IM. ANDRZEJA OSTOJA-OWSIANEGO
jest
organizacją pożytku publicznego

**Nasze działania nie byłyby możliwe
bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców**

Aby przekazać

1%

wystarczy numer KRS – 0000331920

SZANOWNI PAŃSTWO!

Wśród wielu organizacji społecznych realizujących misję użyteczności publicznej, które zasługują na wsparcie, szczególne miejsce zajmują te, które nie stawiają sobie celów doraźnych, ale inwestują swoją pracę i zaangażowanie wolontariuszy w przyszłość Polski i Polaków. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja-Owsianego, głosząc za Adamem Skwarczyńskim, że „żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębę życia jego organizm...”, upatruje swoją misję w pracy organicznej na rzecz polskiej tożsamości i polskiej wspólnoty narodowej, przywołując i utrwalając pamięć o zdarzeniach, ludziach i miejscach związanych z historią Polski.

Jest nas już wielu, którzy uważają, że warto bezinteresownie angażować się na rzecz spraw wspólnych, oddawać swój czas i swoją pracę. Dziś chcemy zaproponować Państwu włączenie się w sukces naszego stowarzyszenia przez udział w akcji 1% dla Instytutu. Choć nie wymaga to wielkiego wysiłku, to ma to dla nas ogromne znaczenie, potwierdzając celowość prowadzonej przez nas działalności.

**Środki, które wpłyną do Instytutu w ramach akcji 1% zostaną w całości
przeznaczone na działalność wydawniczą i edukacyjną!**

REGON – 100794445
NIP – 7252015134

Konto:
PKO Bank Polski

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251